

NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ

TIME RIDERS

KROLOWIE PIRATÓW



ZIELONA
SOWA

ALEX SCARROW

Alex Scarrow



TIME RIDERS

2001 1912 1957 1941 2066

Królowie piratów

Tłumaczenie: Karol Sijka



Spis treści

Karta redakcyjna

O Autorze

Dedykacja

Prolog. Montreal, rok 2050

Rozdział 1. Londyn, rok 1889

Rozdział 2. Londyn, rok 1889

Rozdział 3. Londyn, rok 1889

Rozdział 4. Londyn, rok 1889

Rozdział 5. Londyn, rok 1889.

Rozdział 6. Londyn, rok 1666

Rozdział 7. Londyn, rok 1666

Rozdział 8. Londyn, rok 1666

Rozdział 9. Londyn, rok 1666

Rozdział 10. Gdzieś na kanale La Manche, rok 1666

Rozdział 11. Londyn, rok 1889

Rozdział 12. Londyn, rok 1889

Rozdział 13. Gdzieś przy angielskim wybrzeżu, rok 1666

Rozdział 14. Londyn, rok 1889

Rozdział 15. Londyn, rok 1889

Rozdział 16. Na pokładzie „Clary Jane”, rok 1666

Rozdział 17. Na pokładzie „Clary Jane”, „październik 1666 roku

Rozdział 18. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś na Oceanie Atlantyckim, rok 1666

Rozdział 19. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Afryki, rok 1667

Rozdział 20. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś przy zachodnim brzegu Afryki, rok 1667

Rozdział 21. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Afryki, rok 1667

Rozdział 22. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Afryki, rok 1667

Rozdział 23. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 24. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 25. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 26. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Afryki, rok 1667

Rozdział 27. Na pokładzie „Clary Jane”, „gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Afryki, rok 1667

Rozdział 28. Na pokładzie „Clary Jane”, Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 29. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 30. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 31. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 32. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 33. Londyn, rok 1889

Rozdział 34. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 35. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 36. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 37. Na wschód Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 38. Londyn, rok 1889

Rozdział 39. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 40. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 41. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 42. Morze Karaibskie, rok 1667

Rozdział 43. Londyn, rok 1889

Rozdział 44. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 45. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 46. Nowy Jork, rok 2025

Rozdział 47. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 48. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 49. Londyn, rok 1889

Rozdział 50. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 51. Na wodach przy Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 52. Przy wybrzeżu Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 53. San Felipe, Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 54. Castillo Santiago, Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 55. Castillo Santiago, Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 56. Nowy Jork, rok 2025

Rozdział 57. Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 58. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 59. San Geronimo, Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 60. Nowy Jork, rok 2025

Rozdział 61. San Geronimo, Puerto Bello, rok 1667

Rozdział 62. Port Royal, Jamajka, rok 1667

Rozdział 63. Nowy Jork, rok 2025

Rozdział 64. Port au Prince, Hispaniola, rok 1667

Rozdział 65. Londyn, rok 1889

Rozdział 66. Nowy Jork, rok 2025. LONDYN, rok 1889

Rozdział 67. Port au Vikram, Republika Pandory, rok 1687

Rozdział 68. Londyn, rok 1889

Rozdział 69. Port au Vikram, Republika Pandory, rok 1687

Rozdział 70. Więzienie Newgate, Londyn, rok 1687

Rozdział 71. Londyn, rok 1889

Rozdział 72. Londyn, rok 1889

Rozdział 73. Londyn, rok 1889

Rozdział 74. gdzieś przy wybrzeżach Florydy, rok 1687

Epilog. London Bridge, Londyn, rok 1889

Seria „Time Riders”

Tytuł oryginału: TIME RIDERS. THE PIRATE KINGS

Tłumaczenie: KAROL SIJKA
Redaktor prowadzący: AGNIESZKA SKÓRZEWSKA-SKOWRON
Redakcja: MAGDALENA ADAMSKA
Korekta: JOANNA ŁAPIŃSKA, MARZENA ZIELONKA
DTP: BERNARD PTASZYŃSKI

First published in Great Britain in the English language by Penguin Books Ltd.
Copyright © Alex Scarrow, 2013
All rights reserved
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o. Warszawa 2016
All rights reserved

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8073-003-8

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 96, 00-807 Warszawa
tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51
e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i psem rasy Jack Russell – Maxem.

Odwiedź witrynę
www.zielonasowa.pl/akcje/time-riders
i zostań Jeźdźcem w Czasie.

*Jakubowi –
– „chłopcy z nabrzeża”*

Prolog

Montreal

rok 2050

– Jakim cudem tak skończyliśmy? W tym czasie, w tym strasznym chaosie?

Waldstein przyglądał się publiczności: rzędom bladych owali niknących w słabo oświetlonej sali wykładowej. Na ostatnią w historii konferencję TED przybyła śmietanka najtęższych umysłów, innowatorów, biznesmenów i przedsiębiorców. Kolejnych konferencji nie będzie. Organizowanie paneli naukowych w niebezpiecznym i coraz bardziej pogrążonym w chaosie świecie stawało się niemożliwe.

Pytanie, które właśnie postawił, było, oczywiście, czysto retoryczne. Sam im odpowie.

– Chciwość. Chciwość i samozadowolenie. Na przełomie ostatniego stulecia, kiedy ekscytowaliśmy się początkiem nowego milenium... założyliśmy, że zasoby ropy naftowej są niewyczerpane. Teraz, po fakcie, wiemy oczywiście, że gdy spadły ostatnie kartki dwudziestowiecznych kalendarzy, gdy wskazówki zegarów wybiły ostatnie sekundy starego tysiąclecia, a my bawiliśmy się na przyjęciach, po cichu nadszedł „szczytowy moment wydobycia ropy naftowej”. Moment, w którym ludzkość zdołała wyeksploatować połowę globalnych zasobów paliw kopalnych.

Dla zwiększenia efektu zawiesił głos. Holograficzny teleprompter też zamarł w bezruchu.

– „Zbiornik” był do połowy pusty. Spora grupka geologów już wtedy była na alarm, wyjaśniając każdemu, kto chciał słuchać, że najwyższy czas zabrać

się do roboty i znaleźć substytut ropy. Nikt nie posłuchał. Dlaczego? Bo ropa wciąż szerokim strumieniem wypływała z ziemi, wciąż była tania. Po co wkładać kij w mrowisko i wszystko psuć? Spójrzmy prawdzie w oczy: kto na świetnej imprezie chce gadać z podpierającym ściany fanatykiem, który mamrocze o końcu świata? Nie zrobiliśmy nic, żeby odstawić narkotyk o nazwie ropa naftowa. Dlatego później... po pierwszych piętnastu, dwudziestu latach nowego stulecia, kiedy najwięksi producenci ropy zauważyli, że ich pola naftowe, jedno po drugim, wysychają, sprawy przybrały zły obrót. To pierwszy Wielki Problem, który powinniśmy byli rozwiązać, lecz zaniechaliśmy tego. A drugi? W początkach stulecia niektórzy ekonomiści szacowali, że w połowie dwudziestego pierwszego wieku populacja globu sięgnie poziomu blisko dziesięciu miliardów ludzi.

Publika poruszyła się niespokojnie.

– Ich szacunki okazały się zaniżone o około półtora miliarda. Ale nikt nie jest doskonały, prawda? – Waldstein zaniósł się suchym, pustym śmiechem. Publika nie miała ochoty odpowiadać tym samym. – Wysłano zatem kolejny sygnał ostrzegawczy. Dziesięć miliardów? Ziemski ekosystem nie mógł żywić dziesięciu miliardów gąb w nieskończoność! Ale czy ludzie usłuchali? A skąd! „Nie mogę urodzić więcej niż dwoje dzieci? Jak śmiesz! Jak śmiesz mówić mi, co mogę, a czego nie mogę robić?!”. Dlatego nigdy nie uporano się z tym problemem i zaraz po „szczytowym momencie wydobycia ropy” przekroczyliśmy „szczytowy moment spożycia żywności”, „szczytowy moment spożycia wody pitnej”. Uderzyły w nas wszystkie symptomy kurczących się zasobów, a przed światem stanęło nie lada wyzwanie: dostarczyć co najmniej tysiąc pięćset kalorii ponad dwunastu miliardom głodujących.

Waldstein westchnął.

– Musieliśmy zatem zmierzyć się z dwoma fundamentalnymi problemami: deficytem zasobów i eksplozją demograficzną. Obu można było zapobiec; nie zapobieżono żadnemu. A do tych dwóch problemów doszedł jeszcze trzeci, ostatni.

Kciukiem dotknął dłoni i nad jego głową rozbłysnął monstrualny holograf:

duży jak okrągła scena, z której przemawiał. Stworzona na podstawie zgromadzonych danych animacja przedstawiała zmiany, jakim przez pięćdziesiąt lat ulegała Ziemia: kurcząca się pokrywa lodowa, błękit wzbierających oceanów, puchnących jak kleks atramentu na czystej kartce papieru.

– Pozwoliliśmy, by świat rozgrzał się jak patelnia. Po części to konsekwencja spalania wszystkich zasobów ropy – to bez wątpienia w niczym nie pomogło. Ale kruchy ekosystem Ziemi tak naprawdę rozpadł się z powodu wzrostu globalnej populacji. I właśnie wtedy, kiedy potrzebowaliśmy jak największych połaci ziemi, by zbierać plony zdolne wyżywić nas wszystkich, wzbierające oceany rozlały się po nizinach, ziemiach uprawnych. Połknęły lądy... a wraz z nimi wiele wielkich miast.

Dotknął dłoni i przesunął kilka migocących slajdów. Nowy Jork: skurczony do wyspy Manhattan, otoczonej gigantycznymi groblami przeciwpowodziowymi; New Jersey, Brooklyn, Bronx i Queens zamienione w patchwork zatopionych ulic i gnijących dachów. Londyn: kamienice czynszowe, stłoczone jak chwasty wyprężające się do słońca, wyrastające z mgły zanieczyszczeń. Tamiza: groźna, wezbrana rzeka ujarzmiana przez potężne zapory wodne.

– Pierwsze półwiecze powinniśmy byli poświęcić na rozwiązanie tych problemów. A my co robiliśmy? Walczyliśmy jak dzieci. W późnych latach dwudziestych wybuchła pierwsza wojna azjatycka, ponad dwadzieścia lat temu. Później borykaliśmy się z kolejnymi pacyficznymi wojnami naftowymi. W zeszłym tygodniu obchodziliśmy dziesiątą rocznicę wojny trzydziestodniowej pomiędzy Koalicją Arabską a Izraelem... i, na Boga, wcale nie toczyła się ona o dostęp do złóż ropy... nie, poszło o coś tak archaicznego, tak nieistotnego, jak ideologia religijna! O imię, którym ludzie powinni czcić nieistniejącego Boga.

Hologram nad Waldsteinem odtworzył serię obrazów: rdzewiejące wraki czołgów i mechołazów, napromieniowane ruiny Jeruzalem i Damaszku.

– Znaleźliśmy się w takim, a nie innym miejscu. Żyjemy w wyjąłowym świecie. Zatrutym. W świecie, który – całkiem słusznie, według niektórych –

obraca się przeciwko nam. Ale, w znacznie dłuższej perspektywie, jest to zaledwie kolejny cykl. Kiedyś już się to wydarzyło. Istniała epoka dinozaurów, nastąpiła też nasza. Świat postanowił przeprowadzić rekalkibrację. Zrobić generalny remanent, wszystko rozpocząć od nowa.

Nie czytał już z telepromtera. Organizatorzy konferencji z wyprzedzeniem otrzymali kopię przemowy: nudną, bełkotliwą tyradę o „odpowiedzialnej przedsiębiorczości w trudnych czasach”.

Słów, które pragnął dziś rano przekazać – i które przekaże – nauczył się na pamięć.

– Ale my, panie i panowie, w przeciwieństwie do dinozaurów, bez wątplenia nie wyginieemy. Niemniej w drugiej połowie tego stulecia dotknie nas nieuchronny kryzys zasobów, który zdziesiątkuje globalną populację do poziomu góra kilkudziesięciu milionów. Może nawet do kilkuset tysięcy. Ci, którzy przeżyją, będą musieli się dostosować. Będą, miejmy nadzieję, mądrzejsi i zrozumieją, że naszemu kruchemu światu należy się szacunek.

Waldstein zauważył, że słuchacze wiercą się niespokojnie. Uśmiechnął się.

– Proszę, zorientowaliście się, że nie czytam tekstu zatwierdzonego na dzisiejszy wykład. Pewne słowa trzeba jednak wypowiedzieć głośno...

Zawiesił wzrok za ostatnim rzędem widowni, na wianuszkach rozstawionych przy ścianie kamer. Wydarzenie relacjonowało kilkanaście stacji informacyjnych. Waldstein wiedział, że relację na żywo albo w powtórkach obejrzą wszyscy mieszkańcy planety – 2050 rok, ostatnia Konferencja TED. Ostatnia z ostatnich.

Idealna okazja do ogłoszenia apelu.

– Obawiam się, że sytuacja nie wygląda najlepiej. Proces nieuchronnych zmian już trwa, czy nam się to podoba czy nie. Ale powiem wam jedno. Wierzę, że Wielka Zagłada nie oznacza końca ludzkości. Będzie etapem pośrednim. Czeka nas trudny – piekielnie trudny – etap, ale nie wszystko stracone.

„Woleliby, żebym zszedł ze sceny. Woleliby, żebym skończył”.

– Wspomnicie moje słowa: kolejne dwie dekady okażą się bardzo bolesne.

Przerazająco bolesne. A wraz z pogarszaniem się sytuacji pojawiają się głosy, że powinniśmy cofnąć czas, skorzystać z technologii translokacyjnej, wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów, przeżyć ostatnie półwiecze na nowo, stworzyć lepszy świat. Ludzi, którzy będą się tego domagali, ostrzegam...

Pogroził palcem w kierunku kamer rejestrujących konwencję z końca audytorium.

– Jeśli się na to poważymy – jeśli odważymy się igrać z czasem – ta głupota będzie największym z wielu popełnionych przez nas błędów.

Przez scenę ruszył jeden z organizatorów konwencji – dr Rajesh – ale Waldstein powstrzymał go skinieniem głowy.

– Moje wystąpienie powoli dobiega końca...

Gdyby zmuszono go do zejścia ze sceny, wybuchłby skandal. Niepotrzebne to ani jemu, ani organizatorom. Media trąbiłyby o żenującej przepychance, zamiast skupić się na treści przesłania.

– Podsumuję to tak... – Dr Rajesh zrozumiał zamysł, zatrzymał się w pół kroku i pozwolił Waldsteinowi dokończyć przemówienie. – Panie i panowie, popełniliśmy wiele błędów, całą masę, a w niedalekiej przyszłości będziemy nieustannie wodzeni na pokuszenie; zapagniemy wrócić w czasie i wszystko naprawić – dla nas samych i dla naszych dzieci. Ale podróże w czasie to otwarte na rozcież wrota do piekieł: to puszka Pandory, której nie można zamknąć, gdy już się ją raz otworzy. Jeżeli odważymy się bawić w Boga za pomocą tej technologii, wówczas wszystko rzeczywiście zniknie. Dosłownie wszystko: ta mała, samotna, odosobniona niebieska kula życia, którą nazywamy Ziemią i wszystko, co się na niej znajduje.

Waldstein nie spodziewał się burzy oklasków. Słusznie. Minąwszy pobladłego dr. Rajesha, zszedł ze sceny otoczony głuchą ciszą.

Rozdział 1

Londyn
rok 1889

7 lutego 1889 roku

Wiecie, już na Brooklynie zaczęłam spisywać dziennik Agencji. Pomyślałam, że mogę to kontynuować tutaj, chociaż nie mam nawet pewności, czy jeszcze jesteśmy w Agencji.

Kurcze, dziwnie tu. Jakoś tak spokojnie w porównaniu do wszystkich wydarzeń z okresu między rekrutacją a przybyciem tutaj. Usypiająco. Okres sprzed przeprowadzki minął jak błyskawica. Tyle się nam przydarzyło. Kiedy przywołuję w pamięci wszystkie wspomnienia – nazistów, mutantów, dinozaurowate stwory, pułkowników Devereau i Wainwrighta, Adama Lewisa – czuję się jak bohaterka filmu klasy B. Pozostałe postaci przypominają natomiast bohaterów z książek. Takich, które zostają w pamięci do końca życia.

Najczęściej myślę o Adamie. Zastanawiam się, dlaczego nie pozwoliliśmy mu z nami zostać, skoro przygarnęliśmy Rashima wraz z jego debilnym robocikiem. Przecież mogliśmy, nie? Dopiero teraz to rozumiem. Tylko wtedy byłam przekonana, że wszystko trzeba dokładnie wysprzątać. Że wszystko trzeba przywrócić dokładnie na swoje miejsce.

Dlatego pozwoliłam mu wrócić do pracy. Pozwoliłam umrzeć.

Maddy oderwała wzrok od ekranu.

I tęsknię za nim.

Ale to głupie, głupie i babskie. Znała go niecałe dwa dni. Tylko dwa dni, bo później odszedł. A tu nagle, po upływie Bóg wie ilu miesięcy, epoki całej, zaczyna za nim tęsknić. Wzdycha do niego jak do pięknego księcia z bajki.

Pff. Jakby rzeczywiście „coś” ich łączyło.

A przecież mogło. Gdyby tylko podjęła inną decyzję.

– Weź sobie na wstrzymanie, Maddy – skarciła się, po czym zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy SpongeBubba nie podsłuchuje. Lubił zakradać się po cichu i stawać tuż za kimś, mrugając tymi swoimi oczyma z wielkimi rzęsami i szczerząc kły jak półgłówek. Teraz na szczęście stał po drugiej stronie lochu – jak porzucona kukielka, pogrążony w stanie uśpiania; miał zamknięte oczy, a na panelu bocznym mrugało zielone światełko. Pozostałych nie było w bazie. Rashim, Liam i Bob wyszli rankiem do nielegalnego kasyna, ponieważ ich oszczędności zaczęły się kurczyć. Sal i Beki udały się na nabrzeże, kupić trochę jedzenia na kolację.

Maddy wciąż niepokoiła się o kobiecą jednostkę pomocniczą. Przecież jeszcze trzy miesiące temu dokładnie ten sam klon z żelazną determinacją tropił ich trójkę i próbował po kolei pozabijać. Zdołali rozbroić jednostkę, a później ją zrestartować, przeprowadzając dość odrażającą procedurę, o której Maddy wołała nie rozmyślać. W procesorze jednostki zainstalowali sztuczną inteligencję z domyślnymi ustawieniami. Być może w pewnym momencie poeksperymentuje i zainstaluje część starej świadomości Beki, ale teraz... tak jest bezpieczniej. Minusem było to, że jednostka pomocnicza wróciła do punktu wyjścia i od podstaw uczyła się, jak nie sprawiać wrażenia chłodnej, socjopatycznej maszyny do zabijania.

Maddy została sama i zyskała sposobność przeniesienia myśli na ekran.

Skasowała ostatnie zdanie: „I tęsknię za nim”.

Tęsknić za ludźmi? Zakochiwać się? Obdarzać ich uczuciami? To dobre dla prawdziwych ludzi, którzy mają mamę i tatę. Dla prawdziwych ludzi z prawdziwymi sercami i duszami. Takie fanaberie nie przystoją sztucznie wyhodowanym produktom organicznym. Ponownie skupiła się na ekranie.

– Dość już tego rzewnego, babskiego biadolenia.

W Londynie mieszkamy od około dwóch miesięcy. Nie tkwimy już w bańce czasowej, wiemy prawdziwe życie, które toczy się dzień po dniu. To dużo lepsze. Lubię każdego ranka wychodzić przez boczne drzwi na Farringdon Street, przyglądać się powozom i dwukółkom, handlarzom rozkładającym stoiska. Każdy dzień jest inny, otwiera nowe możliwości.

Nowe życie wynagradza mi to, czego się dowiedziałam. Że jestem „produktem”. Liam i Sal też. Wszystkie wyobrażenia o życiu przed „śmiercią” okazały się jedną wielką lipą. Ale, jak powtarza Liam: „Teraz jesteśmy tutaj. I mamy siebie nawzajem”. Ma rację. Własną przeszłość „pożyczyliśmy” od kogoś innego. Ale chrzanić to: przyszłość należy do nas.

Uśmiechnęła się. Czy to nie jest sprawiedliwe? Teraz mogą decydować o sobie.

Mamy nowy cel. Nie pełniemy już funkcji ochroniarzy. Nie musimy już strzec skazanej na zagładę osi czasu – pilnować, żeby Titanic uderzył w górę lodową, a samolot lotu numer jedenaście linii American Airlines w wieżę północną.

By ludzie zniszczyli sami siebie.

Nie.

Patrzymy. I czekamy. A gdy nadarzy się okazja, wepchniemy ten stracony świat na tory szczęśliwszej wersji dwudziestego pierwszego wieku. Jeśli pojawi się szansa, wykorzystamy ją, a teorie pod tytułem „historia powinna biec jednym, określonym torem” spuścimy w bystrej wodzie klozetu. No bo kto tak naprawdę decyduje o tym, czym jest „właściwa” oś czasu? A jeśli epidemia wirusa, o której opowiadał nam Rashim, zdarzenie Pandora, całkowita anihilacja ludzkiej cywilizacji w dwa tysiące siedemdziesiątym roku – to wydarzenia przynależące do nieprawidłowej osi? Zdarzenia, które nigdy nie miały prawa się wydarzyć? A nuż Waldstein myli się, twierdząc, że to los, który należy chronić.

Ale to nie jedyna rzecz, która doprowadza mnie do szaleństwa... Sami pomyślcie: a jeśli Waldstein nigdy nie powinien był się urodzić – i w ogóle nigdy nie powinien był wynaleźć urządzenia do translokacji w czasie?

Od tego dopiero może się w głowie pokielbasić.

Zamknęła dokument. Dość już tego rozmyślania jak na jeden poranek. Ostrożnie podniosła się z bujanego fotela, próbując nie zbudzić SpongeBubby. Spojrzała na niego. Dioda gotowości pozostawała włączona, plastikowe ślepia obramowane długimi rzęsami penetrowały mrok.

W lochu wciąż unosił się aromat świeżo prażonych ziaren kawy. Rano przed wyjściem Liam i Rashim zdążyli kupić jej kawę i świeżo pieczony chleb z grubym plastrem solonej wieprzowiny. Maddy złapała szal i podeszła do niskiego przejścia. Zapaliła świeczkę, odsunęła rozciągniętą w poprzek loszku zasłonę, po czym odblokowała rygiel. Dębowe odrzwia rozwarły się ze skrzypnięciem. Upewniła się, że po pomieszczeniu nie kręci się Delbert, wścibski gospodarz, albo jego pomocnik – chudy jak tyczka Bertie. Dwaj oszuści czasem magazynowali tu podejrzanе towary, a gdy tylko mogli, krzatali się w pobliżu, próbując coś wywęszyć lub dojrzeć przez drzwi i zasłonę.

Dziś rano ich nie było.

Schyliła się, przeszła przez drzwi ze świeczką w dłoni i wyprostowała się. Płomień świecy omiółł ceglane sklepienie i drewniane skrzynie pakowe z przyprawami i luksusowymi towarami, przywiezione ze wszystkich zakątków Imperium Brytyjskiego; skrzynie, które przypadkiem „pospadały” z przeróżnych wozów dostawczych. Po jej prawej stronie wątyły odbłask światła rzucił zimną poświatę na porysowaną i pokrytą brudem podłogę z płyt chodnikowych.

Maddy wyciągnęła długi żelazny klucz z kieszeni sukni i ciasno owinęła ramiona wełnianym szalem. Ranek był mroźny. Podeszła do drzwi – bocznego wyjścia na Farringdon Street – i obróciła klucz, a ciężkie drzwi z dojmującym zgrzytem otworzyły się do środka. Światło dnia nagle zalało pogrążoną w mroku salę.

Nad jej głową zawisło błękitne – olśniewająco pocztówkowobłękitne niebo. Zmrużyła oczy, oślepiąca blaskiem grubej warstwy śniegu i powiodła wzrokiem po dachach i kominach domów, w których jeszcze nie rozpalono palenisk. Na Farringdon Street toczyło się zwykłe życie: zaprzęg ciągnął wóz piwowski, a gorące oddechy rumianolich robotników mieszały się z obłokami pary unoszącymi się znad końskiego grzbietu. Cudownie ożywczy lutowy poranek, jak z prozy Dickensa, scena z noweli o Scrooge'u. Maddy walczyła z pokusą, żeby nie zawołać jakiegoś ulicznego urwipółcia i nie wcisnąć mu do ręki pensjaka z prośbą o przyniesienie wielkiej gęsi wiszącej w oknie zakładu rzeźnika, w dole ulicy.

Parsknęła na tę myśl, wydmuchując z nozdrzy kolejne chmury lodowatego powietrza.

Przechodzący obok mężczyzna w czarnym płaszczu pozdrowił ją, delikatnie dotykając ręką cylindra.

– Cudny dziś dzień, nie sądzi panienka?

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem. – Cudny.

Patrzyła, jak mężczyzna przechodzi przez zatłoczoną ulicę, klucząc pomiędzy wozami i dwukółkami, po czym zaczerpnęła w płuca rześkiego i chłodnego powietrza pachnącego miłym, wszechobecnym, acz nienachalnym aromatem dymu drzewnego.

„O Boże, kocham to miasto”.

Rozdział 2

Londyn

rok 1889

– Obstawiać, obstawiać, panowie! – krzyknął krupier. Spojrzał niepewnie na kupkę żetonów, którą Rashim przesunął po stole do gry w faro. Pozostali skupieni wokół stołu gracze z rozdziawionymi ustami gapili się na górę żetonów. Rashim patrzył tylko na talię kart.

– Dobry Boże, sir, stawia pan dwadzieścia funtów! – rzekł mężczyzna po jego prawej.

Rashim z roztargnieniem wzruszył ramionami. Nie przestawał liczyć.

Gentleman z niedowierzaniem potrząsnął głową i podniósł wzrok na stojącego z tyłu Liama.

– Pański przyjaciel zawsze tak nonszalancko traktuje pieniądze?

– Ach, oczywiście. To nałogowiec, w rzeczy samej – Liam poklepał Rashima po ramieniu. – A mimo to chłopaczyna jakimś cudem zawsze wychodzi na swoje.

Pozostali gracze przy stole do faro, pięciu elegancko ubranych gentlemanów, wstrzymali się z obstawianiem, ciekawi, na który numer Rashim przesunie stos żetonów. Dym kręcił zawijasy wokół ustawionej na stole lampy oliwnej skąpo rozświetlającej tonące w mroku pomieszczenie. Zza wysokich drzwi z ciemnego drewna dobiegały przytłumione odgłosy rozmawiającej klienteli Long Baru: bogaczy spożywających wystawny obiad w oczekiwaniu na jeszcze wystawniejszy popołudniowy spektakl w teatrze Criterion, którego siedziba znajdowała się tuż obok.

– Czy on ma więcej pieniędzy niż zdrowego rozsądku?

Liam roześmiał się w głos.

– Ha... wkrótce się przekonamy.

– Panowie, ktoś jeszcze stawia? – dopytywał krupier.

Stłoczeni przy owalnym stole gracze o czerwonych twarzach wpatrywali się w stos monet, wszyscy chcieli zobaczyć, na które pole Rashim wreszcie popchnie kupkę. Gdzieś za nimi wielka postać Boba blokowała blade światło wpadające przez małe, brudne okno zaplecza. Liam zerknął ukradkowo w stronę klona, by sprawdzić, ile palców rozłożył na swoich grubych udach.

Raz jeszcze delikatnie, z uczuciem poklepał Rashima po ramieniu, mówiąc:

– Oczywiście zawsze nalegam, żeby mu towarzyszyć. Roztrwonilby rodzinny majątek, gdybym nie miał na niego oka.

W międzyczasie na ramieniu Irańczyka lądowały kolejne pacnięcia: pac, pac, pac. Trzy. Rashim niemal niepostrzeżenie skinął głową.

„Trójka”. Otrzymał taki sam wynik jak Bob. Trójka: statystycznie najbardziej prawdopodobne, że w talii krupiera pozostała właśnie ta karta.

– Wiecie, panowie – kontynuował Liam, zdejmując dłoń z ramienia Rashima. – Czasem zdaje mi się, że jego anioł stróż nigdy nie schodzi z posterunku. Mój przyjaciel ma pierońskie szczęście.

Rashim delikatnie przesunął stos na pole oznaczone numerem trzy.

Gentleman po jego prawej stronie podniósł wzrok na Liama.

– Pierońskie szczęście, tak? – Położył kilka żetonów obok stosu Rashima.
– Teraz trochę tej fortuny przejdzie na mnie. – Pozostali mężczyźni siedzący wokół stołu szeptem wymienili uwagi i zrobili to samo.

Krupier uniósł brew.

– Wszyscy obstawiają trójkę?

Rumiane twarze przytaknęły.

Wzruszył ramionami i zdjął pierwszą kartę z odkrytej talii. Dziesiątkę kier. Powoli odsunął ją na bok, ukazując dziewiątkę karo.

– Karta bankiera to dziewiątka, panowie – obwieścił. Pieniądze postawione na dziewiątkę zostałyby zgarnięte przez krupiera. Mężczyzna położył kciuk na karcie, aby przesunąć ją na bok i odsłonić *carte anglaise* – kartę gracza.

– A teraz, panowie, przekonamy się – w głosie spoglądającego na Rashima krupiera pobrzmiwała nutka niepokoju – czy pierońskie szczęście dziś zadziała. Pańska karta to...

Już przed teatrem Criterion Liam dopiął guziki płaszcza i wypuścił obłok zimnego powietrza. Spojrzał na przeciwległą stronę Piccadilly Circus, zauważył stojącą na poboczu bryczkę.

– Obawiam się, że to kolejne miejsce, którego powinniśmy przez pewien czas unikać. W najbliższym czasie nie wpuszczą nas tam.

Rashim pokiwał głową, chowając duży zwitek banknotów do wewnętrznej kieszeni kamizelki. Wszystkie wygrane dziś rano żetony wymienili na łączną sumkę siedemdziesięciu funtów z haczykiem, czyli równowartość rocznego wynagrodzenia urzędnika z małą nadwyżką na drobne wydatki.

Rashim zapiął płaszcz.

– Niedługo pewnie będziemy musieli zacząć się przebierać.

Liam skinął głową, machając jednocześnie cylindrem, żeby przyciągnąć uwagę woźnicy, który właśnie wypuszczał ostatniego pasażera.

– Ciekawe – poklepał Boba po plecach – w co przebierzemy tę starą górę mięsa?

Bob spojrzął po sobie.

– Przydałyby się inne ubrania.

– Oj, zdaje mi się, że potrzebujesz lepszego kamuflażu, Bob. Nie sądzę, żeby po Londynie przechadzało się wielu mężczyzn twojego wzrostu i budowy. A już na pewno nie tak przystojnych.

Obecność Boba była oczywiście kluczowa. Nie tylko pomagał Rashimowi w liczeniu kart, które to obliczenia swoją drogą czasem okazywały się zawodne, ale przede wszystkim był gwarantem szybkich wypłat. Do

wyegzekwowania należności wystarczał jego jeden głęboki pomruk.

– Następnym razem możemy zabrać Beki – zasugerował Liam.

– Byłem pewien, że kobiet nie wpuszcza się do domów gry – rzekł Rashim.

– No trudno, przykleimy jej sztuczne wąsy i wciśniemy w garnitur. Jest tak przerażająca, że nikt nie zechce się jej z bliska przyglądać.

Bryczka zatoczyła koło i przejechała w poprzek ruchliwą aleję. Woźnica spał konie i zatrzymał powóz centymetry przed ich stopami.

– Gdzie panowie sobie życzą?

Liam otworzył drzwiczki powozu i puścił Boba i Rashima przodem. Pod ciężarem klona bryczka przechyliła się w jedną stronę ze skrzypnięciem sprężyn podwozia.

– Wieź nas do Holborn, dobry człowieku – odparł Liam. – I nie szcędź koni!

Niezręcznie wspiął się do środka, zamknął za sobą drzwiczki, a powóz płynnie włączył się w gęsty ruch drogowy sunący w górę Shaftesbury Avenue.

Rashim zerknął ze zdziwieniem na Liama.

– Nie szcędź koni?

Wzruszył ramionami.

– Czy nie tak właśnie mawiają eleganccy panowie?

Bob zmarszczył czoło, sprawdzając sformułowanie w bazie danych.

– To frazes powtarzany w filmach kostiumowych z połowy dwudziestego...

– Aj, dajże spokój, Bob... nie psuj zabawy.

Rozdział 3

Londyn

rok 1889

– Informacja: ta rzeka zamarzała każdej zimy – powiedziała Beki, wskazując na Tamizę. – Lód był tak gruby, że na środku koryta stawiano targowisko. W szesnastym stuleciu wydarzyło się to kilka razy. Meteorologowie nazwali ten okres „małą epoką lodową”.

Oparła się o wykonaną z kutego żelaza balustradę mostu Blackfriars, doceniając swoje wełniane mitenki. Choć słońce grzało mocno, od wzburzonej Tamizy wiał przeszywający, lodowaty wiatr.

– Widzę, że Maddy przegrała ci trochę informacji z lokalną historią.

– Potwierdzam. Wgrano mi szczegółowy pakiet danych z historią Londynu od XV do XIX wieku.

Beki brzmiała jak Bob. Bardziej nawet niż on sam. Sztuczna inteligencja jednostki wciąż była niedojrzała i nieopierzona, niedoprawiona lingwistycznymi smaczkami i niuansikami, których oryginalna Beki zdołała się nauczyć i które imitowała, łudzaco przypominając człowieka. Ale ona nie była prawdziwą Beki, prawda? To zupełnie inna, choć wyglądająca identycznie, AI – sztuczna inteligencja. Taka, której postanowili nadać to samo imię. Sal nigdy nie przekonała się do tego pomysłu. Jednostka pomocnicza opierająca się o balustradę tuż obok niej była kimś innym, choć istniała szansa, że jej sztuczna inteligencja ewoluuje analogicznie, a ona sama zamieni się w jednostkę pomocniczą podobną do tej, która im kiedyś służyła.

– Dziwne. Wciąż muszę sobie przypominać, że nie pamiętasz nic, co przydarzyło się drużynie przed założeniem bazy w Londynie.

Beki skinęła głową.

– Potwierdzam. Rozmawiałam o tym z Madelaine. AI mojej poprzedniczki stała się niestabilna i zawodna.

– Przyznała się, że zabujała się w Liamie – parsknęła Sal. – Bądź mądra. Nawet chodzący komputer może się zakochać.

– Informacja: wyznanie miłości było najprawdopodobniej wynikiem heurystycznie wygenerowanej pętli empatycznej. Błędnie przyporządkowanej funkcji kodu. – Beki patrzyła na Sal tym samym przeszywającym wzrokiem, który niegdyś potrafił wyrażać niemal... coś na kształt ciepłych uczuć. – Moja AI będzie rozwijać się niezależnie. Nie zduplikuję wywołanego błędu.

Może i dobrze się stało. Liam nie potrzebuje kolejnej omdlewającej jednostki pomocniczej o oszałamiającej urodzie upadłego anioła. Sal patrzyła, jak barka obładowana workami z węglem zbliża się do mostu.

– Czasami żałuję, że nie mogę się „zresetować” – powiedziała Sal. – Opróżnić głowy i zacząć od początku.

– Dlaczego?

Barka wpłynęła pod most i warknęła, z komina, prosto na nie, buchnęła gęsta chmura pary. Przez chwilę w powietrzu unosił się ciepły zaduch skażony smrodem palonego węgla. Sal machnęła ręką, rozpędzając resztki oparów.

– Dlaczego, Sal? – Beki powtórzyła pytanie. – Pragnienie utraty danych jest nielogiczne.

– Wolałabym nie wiedzieć, czym jestem. Że nie jestem człowiekiem.

– To nieprawda. Jesteś człowiekiem. Twój mózg...

– Jestem człowiekiem zrobionym na zamówienie. Klonem.

Beki przekrzywiła głowę.

– To prawda.

– Wciąż ciężko mi przyjąć do wiadomości, że połowa moich wspomnień to kłamstwo. Moi rodzice. Moje dzieciństwo. Wszystko, co wydarzyło się przed rekrutacją. A przecież nawet ona jest fałszywa.

– Chyba wiem, co czujesz – powiedziała Beki. – To tak, jakby mieć folder pełen wątpliwych danych.

– Właśnie. Tyle że wspomnienia nie są tak schludnie uporządkowane. I chociaż moje dzieciństwo to blaga, w pewnej mierze tworzy moją tożsamość. Rozumiesz? Dlatego tak mówię... z tym akcentem. – Jej brytyjsko-hinduska intonacja nie zniknęła, chociaż Sal ze wszystkich sił starała się jej pozbyć: mówić całkowicie neutralnym, nieakcentowanym językiem.

– Gdybym знаła tylko życie z Liamem, Maddy i Bobem... byłoby mi o wiele łatwiej uporać się ze wszystkim. Przypomina to wybudzanie się ze snu. Ten moment, kiedy jeszcze się do końca nie obudziłaś, a sen wydaje się taki prawdziwy.

Sal opisała to bardzo obrazowo – przecież świeżo wybudzony umysł odsiewa ewidentnie nieprawdziwe elementy z tygła wymieszanych wrażeń i wspomnień. Ale odrzucanie majaków sennych – latających świń, gadających żab, armii grzybów z karabinami maszynowymi – to bułka z masłem. Zmyślane życie hinduskiej dziewczynki z dwa tysiące dwudziestego szóstego zdawało się w pełni rzeczywiste. Zapachy centrum Mumbaju: aromat przypraw i smród ścieków, intensywny odór chemikaliów, środków dezynfekcyjnych i wybielacza z pralni. Gryzący fetor wydobywający się z rur wydechowych i fabryk recyklingowych, w których plastikowe śmieci zamieniano w bezcenną ropę naftową. Odgłosy: warkot silników motorowych, zawodzenie syren policyjnych, wrzaski tysięcy handlarzy ulicznych, szum klimatyzatorów pompujących ciepłe powietrze prosto na i tak wilgotne, duszne ulice.

Jakże ciężko o tym zapomnieć. Wszystko to wydawało się takie prawdziwe.

Na barce, która wypłynęła z drugiej strony mostu, zadźwięczał gwizdek parowy; kapitan wysyłał ostrzeżenie dla łodzi płynącej w górę rzeki.

„Mogło wypaść gorzej, Sal. Czy to nie lepsze miejsce? Londyn tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku?”

Zarówno Maddy, jak i Liam rozkoszowali się tym, smakowali wszystkie

doświadczenia niczym turyści na wakacjach. A Rashim? Z nim też nie było źle: myślał chyba, że trafił do hiperrealistycznego wirtualnego symulatora wiktoriańskiego Londynu. Zazdrościła wszystkim trojgu. Bawili się w najlepsze.

„A ja? Ja czuję się zagubiona”.

Zagubiona. Jak duch. Niczym zabłąkana istota, która nie wie jeszcze, że umarła i że pora ruszyć dalej.

„Duch”.

– Sal?

Dziewczyna nie dosłyszała słów Beki.

– Słucham?

Jednostka pomocnicza wskazała koszycki zakopane w śniegu u ich stóp.

– Powinniśmy wracać. Zgodnie z harmonogramem to ty dzisiaj robisz kolację.

Sal skinęła głową. Dziś wieczorem jej kolej na gotowanie, a obiecała, że przyrządzi potrawkę z królika. Kilka oporzędzonych królików – purpurowe truchła z odsłoniętymi mięśniami korpusu i sierścią na skokach – leżało na szczycie kosza z ziemniakami, cebulą i rzepą.

– Tak, jasne.

Beki schyliła się i podniosła oba koszyki, a Sal ruszyła przodem wzdłuż mostu Blackfriars, kierując się w stronę Farringdon Street.

Rozdział 4

Londyn

rok 1889

– Przepraszam. – Liam odłożył kufel, z którego na stół wylało się kilka kropel ale. – Czy ty właśnie powiedziałaś...

– Mhm, pożar Londynu. – Maddy włożyła do ust kolejną łyżkę potrawki. – Pyszne, Sal – powiedziała z pełnymi ustami. – Naprawdę dobre.

– Wróćmy do rzeczy, jeśli można – powiedział Liam. – Pożar Londynu?

– No, a co?

– A co? – Liam rozejrzał się po pozostałych. – Hmm... niech no pomyślę. – Ach tak... spłoniecie żywcem.

– Masakra jakaś. Potrafisz być takim tępakiem. – Wywróciła oczami. – Przecież nie każę ci stawać w płomieniach. Nic nie czaisz?

– Ale wtedy spłonęło całe miasto, prawda?

– Nie. Tylko część. A my będziemy obserwować pożogę z dzielnicy, której pożarł nie ogarnął. Proste jak budowa cepa.

– Fajnie byłoby coś takiego zobaczyć – odezwała się Sal.

Maddy z wdzięcznością skinęła głową.

– Dzięki, Sal. Też tak myślę.

– Ale dlaczego? Po co tam jechać? Po co podejmować ryzyko? – Liam strzepywał rozlane ale poza krawędź stołu.

– Nikt tam nie spłonie, Liamie. Jeju!

– Dobra, nie spłoniemy. Mówię o ryzyku związanym z aktywacją portalu.

Rashim pokiwał głową.

– Ma rację. Ta wyprawa nie jest niezbędna. Zawsze, gdy otwieramy okno, przesyłamy sygnaturę tachionową.

– Tak... oczywiście, istnieje nikłe prawdopodobieństwo – nikłe – że ktoś akurat obserwuje ten okres i nas zauważy, ale nie popadajmy w paranoję, czy to w ogóle realne?

– Obliczenie współczynnika prawdopodobieństwa jest niemożliwe. – Na brodę Boba z kącika ust wyciekła strużka potrawki.

– Nie należy mówić z pełnymi ustami – pouczyła go Maddy, z pełnymi ustami. – Nie wygląda się przy tym najpiękniej. – Odwróciła się do Liama. – Jak długo już tu czekamy? Dziewięć, dziesięć tygodni? Gdyby Agencja naprawdę wiedziała, gdzie jesteśmy, mielibyśmy już na karku kolejnych gości.

– Ale jedna z jednostek rzeczywiście przeszła – powiedział Rashim, spoglądając na Beki, która siedziała obok Boba i po cichutku pochłaniała kolejne łyżki potrawki, robiąc przy tym mniejszy bałagan niż on.

– No dobrze, w dwa tysiące pierwszym rzeczywiście niewiele brakowało. – Maddy skrzywiła się. – Na pewno zostawiliśmy za sobą jakiś ślad, na który trafili. Weźmy ukradziony przez nas samochód... jednostki pomocnicze mogły podpiąć się do radiowęzła policyjnego i namierzyć nas w szkole. Ale pamiętacie? Komputer-Bob otrzymał rozkaz, żeby dokonać autodestrukcji po otwarciu ostatniego okna. Nie zostawiliśmy za sobą nic, co mogłoby naprowadzić kogokolwiek na nasz ślad.

– Jasne, ale co, jeśli jedno z nich dopadło go, zanim zdążył wymazać wszystkie dane?

Maddy wzruszyła ramionami. Jej argumentacja była oczywista.

– Gdyby tak było, ktoś już by nas odwiedził. A przecież tak się nie stało. A to z kolei oznacza, że ich zgubiliśmy.

– Dla nich możemy być wszędzie. I w każdym czasie – dodała Sal. – Nic nie wiedzą.

– Właśnie. Mogliby się do nas zbliżyć tylko, gdybyśmy sami popełnili

naprawdę idiotyczny błąd, który totalnie odmieniłby historię, a im pozwoliliby zlokalizować w czasie źródło kontaminacji. – Nasunęła okulary na nos. – Z pewnością nie muszę tego nadmieniać, ale my, na bank, takiego błędu nie popełnimy.

– To w dalszym ciągu ryzyko – powiedział Liam.

– T-a-akk, ale daj spokój, naprawdę nikt. Przechodzenie przez ulicę jest ryzykowne. Korzystanie z tutejszej toalety publicznej to ryzyko.

– Bardziej dla nas niż dla was, chłopcy – dodała Sal.

– Posłuchajcie, ja to widzę tak – kontynuowała Maddy – jesteśmy w domu. Naprawdę nam się udało. Uciekliśmy z tej pochrzanionej, apokaliptycznolubnej Agencji, w której szerzy się kult Waldsteina. Jesteśmy wolni. A – powiedziała z uśmiechem – w bonusie dostaliśmy ten porypany wehikuł czasu.

– Którego chcesz teraz użyć do wygłupów?

Maddy zmarszczyła brwi.

– Nie no, daj spokój, Liamie, to niesprawiedliwe. Robisz ze mnie rozkapryszoną panienkę. A ja tylko pomyślałam, że moglibyśmy zerknąć w przeszłość. Troszkę poeksplorować. Ociupinę cofnąć się w czasie. W dodatku bardzo blisko w ujęciu przestrzennym. Chciałam zobaczyć tylko te wydarzenia, które możemy obejrzeć bez nadwyrażania wehikułu translokacyjnego: koronację królowej Wiktorii, egzekucję Karola I, położenie kamienia węgielnego pod opactwo westminsterskie. Szekspira? Czy to nie byłoby super? Odwiedzić „łabędzia z Avonu” i podsunąć mu kilka pomysłów do jego dzieł?

– Dobry Boże, tak – mruknął Rashim.

– Karol Dickens?

Twarz Liama rozbłysła, jemu też zaświtał pomysł.

– Karol Darwin?

– Sam widzisz, gość od małąp. Poznalibyśmy wszystkich tych ludzi i zobaczyli wszystkie ważne wydarzenia, które miały miejsce w Londynie. Pewnie, nie moglibyśmy z nimi porozmawiać, a jeśli już, to raczej bardzo

zdawkowo i...

– Nie zaleca się bezpośredniej rozmowy z ważnymi postaciami historycznymi – pouczył Bob.

Maddy skinęła głową.

– Słuszna uwaga. Ale możemy je przynajmniej zobaczyć, prawda? Zobaczyć wiele ważnych wydarzeń z ich życia. – Odsunęła miskę. – Dopóki nie poszperałam w bazie danych, nie wiedziałam nawet, ile genialnych rzeczy zdarzyło się przez kilkaset lat w samym Londynie. A wszystko to praktycznie tuż za naszym progiem.

– Ograniczenie geotranslokacji do samego Londynu znacznie obniży stopień zużycia energii – zgodził się Rashim. – No i oczywiście zmniejszy ślad pozostawiony przez sygnał tachionowy.

– O tym właśnie mówię. Nie proponuję wam przecież błąkania się po starożytnym Egipcie i oglądania budowy piramid. Ani pomagania neandertalskim jaskiniowcom w polowaniu na futrzaste mamuty w Nepalu. Już w pobliżu naszego domu wydarzyło się tyle rzeczy, które moglibyśmy obejrzeć. – Wzruszyła ramionami. – I dlaczego tego nie zrobić? Nic nikomu nie jesteśmy winni. Nie mamy rodzin, które uważalibyśmy za własne, ciężaru, który ktoś mógłby wykorzystać przeciwko nam. Jesteśmy tylko my... a jeśli będziemy postępować rozsądnie, jeśli nikogo nie skrzywdzimy i nic nie zmienimy, to dlaczego nie moglibyśmy odrobinę skorzystać z życia?

Przeniosła spojrzenie na Liama.

– Liamie? Przekonuje cię to?

Przez chwilę drapał się w brodę, ważąc argumenty za i przeciw, a następnie wzruszył ramionami.

– Jasne, korzystanie z życia to niełichy pomysł. – Wyszczерzył zęby. – A co tam, zobaczymy pożar Londynu.

Rozdział 5

Londyn
rok 1889

– Wszyscy gotowi?

Pokiwali głowami. Po raz kolejny założyli improwizowane ubrania przypominające stroje z epoki – tym razem z połowy siedemnastego wieku. Były nie do odróżnienia od autentyków, chyba że przy bardzo bliskich oględzinach. Liam włożył luźną lnianą koszulę, która wylewała się z ciemnych spodni. Maddy i Sal nosiły długie, zgrzebne sukienki z szorstkiego lnu i proste gorsety ciasno opinające talie. Tylko Rashim wyróżniał się swoim strojem. Uparł się, że ukryta pod płaszczem kamizelka z jedwabnym podbiciem może łatwo udawać męski kaftan, zwłaszcza że wszyscy mieszkańcy będą myśleć tylko o poździe pożerającej właśnie Londyn.

Ponieważ nie wyruszali na misję, lecz prywatną wycieczkę, Bob i Beki mieli pozostać w bazie, żeby pilnować lochu i obsługiwać wehikuł translokacyjny.

– Wszyscy dobrze przypięli transpondery? – spytał Rashim. Sklecił transpondery, wykorzystując do tego różne komponenty przewiezione z bazy pod arkadami. Były to prymitywne, proste urządzenia rozmiaru orzechów. Sal trzymała transponder wewnątrz medalionu wiszącego na łańcuszku ukrytym pod sukienką. Z roztargnieniem wymacała pod bawełną guzek znajdujący się tuż pod kością obojczykową.

– To tylko rozwiązanie awaryjne – powiedziała Maddy – na wypadek, gdybyśmy zostali rozdzieleni. Ale jeśli nic złego się nie wydarzy, to wiecie

chyba, jak wygląda procedura. Co?

– Wracamy do punktu zbiórki i czekamy – powiedziała Sal udreńczonym tonem osoby, która po raz kolejny słyszy tę samą opowieść. – I spotykamy się na Farringdon Street... tyle tylko, że sto dwadzieścia trzy lata wcześniej.

Maddy westchnęła.

– Dobrze. Sal i Liamie, jedziecie pierwsi.

Zajęli miejsca, ramię w ramię, w obrębie oznaczonych na ziemi kwadratów. Oboje stali na małym kopczyku piachu. Po boku znajdował się metalowy kubek pełen torfiastego mułu rzeczno i końskich odchodów wcześniej uzbieranych przez Boba. Otwieranie kolejnych okien skutkowało pogłębianiem się dziur w kamiennej posadzce, dlatego pomyśleli o alternatywnym rozwiązaniu: gdy stali na warstwie brudu, ich stopy spoczywały na bezpiecznej wysokości ponad podłogą, dzięki czemu spodnia część sześcienną masę wysyłaną w kosmos nie ulegała nagłej erozji.

Jak zawsze przed translokacją, Sal poczuła motylki w żołądku.

„To tylko sekunda” – pocieszyła się w duchu. Mniej nawet. Mgnienie oka. A mimo to miała wrażenie, że upłynęło kilka długich minut. Nienawidziła tej mlecznej próżni, drgającej bieli, marmurowo-krystalicznego, miążkiego śniegu.

„To nie do końca nic, prawda?”

Zerknęła na Liama, a ten jej odmruknął.

– Jak leci, Sal?

– Świetnie.

Doskonale wiedział, co budzi jej niepokój. Przyznał się jej kiedyś, że chyba też je widział: pływające w pustce niewyraźne zarysy. Nic, co dałoby się zdefiniować, nic wystarczająco zwarte, by opisać kształt. Zjawy – a właściwie zjawy, w liczbie mnogiej – zataczające koła z wrogą ciekawością, wirujące tuż obok, lecz nigdy na tyle blisko, by móc ujrzeć je wyraźnie, zanim przenikną na drugą stronę.

Ale zbliżały się. Sal była pewna. Tak jakby one – albo on, stwór rozciągnięty w długie kosmyki, które można pomylić z wieloma istotami –

przyspieszały, wyczuwając ją w pobliskiej przestrzeni chaosu, wirowały ku niej w jeszcze zawrotniejszym tempie, wykazując jeszcze większą ciekawość.

– Ręce i stopy do wewnątrz, dzieciaki – powiedziała Maddy. – Nawet nie próbujcie drgnąć. – Popatrzyła na oboje i wyszczerzyła zęby. – I powiedzcie „dżem”.

Liam parsknął sarkastycznie. Sal uniosła brew.

– Dziesięć... dziewięć...

– Wiesz, czym według mnie są te pierony, Sal? – cicho spytał Liam.

– Czym?

– To zagubione dusze. Duchy może.

Sal zerknęła na niego uważnie.

– Próbujesz mnie pocieszyć?

– Idzie mi o to, że duch nie może cię zranić, prawda?

– W niczym mi to twoje gadanie nie pomaga.

– ...cztery... spokój tam... trzy...

„Duchy?” Innymi słowy to istoty, które niegdyś były ludźmi. Sal poczuła, że w jej żołądku coś się przewraca. Ludzie. Mogą to być „duchy” innych ludzi; na tyle głupich, by poważić się na to, co oni. Kiedy Maddy odliczała ostatnie kilka sekund, a szum wyzwalonej energii zagłuszał jej słowa, Sal zastanawiała się, po co, do diabła, to robią.

„Ach tak, dla zabawy”.

A wtedy poczuła to przerażające, wywołujące mdłości „spadanie”.

Mocno zacisnęła powieki. Pikowała. Ale nie było to zwykłe spadanie, nie czuła wiatru dmącego wokół niej, nie słyszała wycia w uszach. Omiało ją jedynie uczucie nieważkości. Zapanowała głucha cisza, nie licząc łomotania jej własnego serca.

Liczyła w myślach. Sekunda po sekundzie, aż do pełnej minuty.

„No już, już. Skończmy z tym! Proszę!”

LONDYN

rok 1666

Poczuła, że coś łaskocze ją po nosie. Niepewnie podniosła powiekę. Tuż przed jej oczami unosiła się bryłka odchodów z wystającą gałązką siana; równie nieważka grudka wzbiła się spod stóp w powietrze i obracała leniwie przed twarzą. Sal ucieszyła się, że wreszcie ma na co popatrzeć. Wokół wirował wszechświat pozbawiony materii, nie licząc jej samej i kawałka wirującej końskiej kupy.

Silny wstrząs. Stopy mocno uderzyły o ziemię, a kupa rozpaćkała się o twardą glebę między nimi. Ale mleczna, rozmyta przestrzeń pozostała. Tyle, że to nie była ta sama przestrzeń. Sal poczuła spaleniznę. Usłyszała stukot kół od wozu, parskanie rozjuszonych koni, podniesione w panice głosy.

Liam wyłonił się ze skłębionych oparów i mocno chwycił ją za rękę.

– Uważaj!

Wstała, podpierając się o zbitą z desek ścianę, a chwilę później obładowany wóz, niepewnie uginający się pod ciężarem mebli i cennych artykułów, hałaśliwie przetoczył się obok nich. Woźnica batem smagał zad konia.

– Ej, wy tam, z drogi! – krzyknął do powłóczącej nogami pary zmierzającej ku niemu przez ścianę dymu. Sal szybko rozpoznała Maddy i Rashima.

Czwórka przyjaciół powitała się w kłębach gryzących oparów.

– Jezusie, ni cholery nie mogę tu oddychać – zachrypiała Maddy, zasłaniając ramieniem nos i usta. Kiedy silny powiew wiatru przepędził chmurę dymu, zobaczyli, że trafili do wąskiej uliczki. Piętrzące się po obu jej stronach drewniane domy niebezpiecznie się ku sobie chyliły, coraz mocniej ciężące ku ziemi ściany, zwieńczone dachami ze słomy i drewnianych

dachówek, pogrążały brukowaną, ubitą uliczkę w wiecznym mroku.

– Tędy... chyba – powiedziała Maddy. – Ta droga powinna zaprowadzić nas do rzeki.

Pobiegli za wozem, który dudniąc i podskakując pędził wzdłuż wąskiej uliczki. Przez rozwarte okna wyglądały zaniepokojone twarze londyńczyków, wpatrujących się w gęsty słup dymu, który unosił się ponad dachami. Zwały oparów, niczym kłęby chmur, zakryły popołudniowe niebo.

Uliczkę zapełniali kolejni ludzie, wylewali się z bocznych alejek i wąziutkich zaułków ukrytych pomiędzy wysokimi, walącymi się drewnianymi budynkami o krytych strzechą dachach. Wszyscy biegli w tę samą stronę, na południe, instynktownie kierując się nad brzeg rzeki. Wszyscy dźwigali swój dobytek, taszczyli tobołki z rodzinnym majątkiem, nieśli dzieci, tulili noworodki – byle dalej od złowieszczego nadciągającego dymu.

Poszturchiwani, popychani, napierani przez coraz gęstsza, pęczniejącą masę motłochu, przyjaciele zostali wreszcie wyrzuceni na szeroki bulwar, który – pomost po pomoście, chybotliwe schody po chybotliwych schodach – opadał ku rzece, tworząc siatkę mol podpieraných przez pale wyrastające na brzegu i wrzynające się w Tamizę jak zęby grzebienia. Wokół pomostów pływały wszelkiej maści lichtugi, łódki i kutry rybackie, podskakujące ciężko na wzburzonej wodzie, niebezpiecznie przeciążone ludźmi i ich chudobą.

Maddy przyglądała się otoczeniu. Przed nimi roztaczała się rzeka, w oddali za nimi pogrążona w chaosie dzielnica drewnianych budynków na południowym brzegu. Po prawej widać było kruszejący kamienny murek biegnący wzdłuż linii, która pewnego dnia zamieni się w Farringdon Street – były to pozostałości po rzymskim murze, który kiedyś stanowił granicę antycznego Londinium. Biegł aż do samej rzeki.

Po lewej, na zachodzie, wzdłuż brzegu ciągnęły się oszałamiająco zdobione drewniane składy i kolejne pomosty, górowały tworzące kąt czterdziestu pięciu stopni ramiona kilkunastu dźwigów załadowczych oraz pionowe, kołyszące się linie setek masztów. Nadrzeczne dystrykty Londynu przypominały chaotyczną, przecinającą się losowo, niebezpiecznie pochyłą

stertę drewna. Płataninę szop, magazynów oraz sześć- i siedmiopiętrowych drewnianych kamienic, w połowie wybudowanych na ziemi, w połowie na pokrytych mułem filarach wyrastających z rzeki.

Dalej, półtora kilometra w górę rzeki, Maddy ujrzała rozciągnięty nad Tamizą London Bridge, uporządkowany korowód solidnych kamiennie-ceglanych łuków, zwieńczonych tą samą chaotyczną dżunglą spiętrzonych drewnianych kamienic. Kiedyś był to zwykły most; teraz jego szczyt obrastało niemal całe miasto domów. Przypominał spodnią część kadłuba statku, którą oblazła kolonia pąkli.

– Ruszajmy wzdłuż rzeki – powiedziała Maddy, wskazując London Bridge. – Obejrzymy to z bliska.

Rozdział 6

Londyn

rok 1666

– Jezu, wali się następny!

Minęły trzy godziny. Liam i pozostali z niemą fascynacją patrzyli, jak brygada ochotniczej straży pożarnej, zwykłych mieszczan podzielonych na pięcio- i sześćoosobowe grupki, mocuje pół tuzina długich bosaków pożarniczych. Mężczyźni zarzucili bosaki za ramy kilku okien najwyższego piętra. Chwilę później mocno chwycili za dolną część żerdzi i na dźwięk rogu, jednocześnie wypuszczając z płuc jęk zmęczenia, pociągnęli za haki.

Pięciopiętrowa kamienica – chyląca się niebezpiecznie ku ziemi i gotowa samoczynnie runąć pod ciężarem absurdalnie wystających górnych pięter – zatrzeszczała, a cała konstrukcja nienaturalnie się wygięła. Mężczyźni wydali kolejny zgodny jęk, po raz drugi ciągnąc za żerdź. Dały się słyszeć pierwsze odgłosy pękającej u szczytu drewnianej konstrukcji. Na ulicę kaskadą opadł deszcz drewnianych dachówek.

– Hoj! Uważać tam na dole! – krzyknął gaśniczy z rogiem. – Już się wali!

Budynek przez moment niepokojąco chwiał się i wyginał, później, począwszy od góry, odkleiła się od niego tylna drewniana ściana. Dach, niespodziewanie pozbawiony podpory, gruchnął i runął, z otwartych okien buchnął kurz, a na ziemię opadł grad odprysków i drzazg. Potem jęknęła i odpadła ściana frontowa, ściągana za pomocą haków pożarniczych. Strażacy dali drapak, błyskawicznie umykając przed elewacją, która powolnym łukiem odsuwała się od szkieletu budynku niczym skórka odchodząca od jabłka, a potem zadrgała i grzmotnęła na ziemię. Nabrzeże

usłała lawina odłamków i odprysków. W kilku miejscach nadrzeczne pomosty zostały przebite na wylot, kiedy belki konstrukcyjne opadły na deskowanie i przedziurawiły gęstą siatkę drewnianych filarów i podpór, by następnie z chłupotem wpaść do płynącej w dole Tamizy.

Liam krzyknął z ekscytacji na widok tego spektaklu. Z wysokiego budynku ostał się tylko jeden uparty narożnik, wysoki na dwa piętra, który przez moment kolebał się tylko, a potem też skrzypnął, jęknął i wreszcie runął z łoskotem, zlewając się z niechlujną stertą rozszczepionego drewna.

Przez chmurę kłębiącego się kurzu, w miejscu, gdzie wcześniej stała kamienica, widzieli horyzont usiany gigantycznymi jęzorami pomarańczowej pożogi, podsycanej przez rześką, zachodnią bryzę, która pchała ogień na wschód. Płomienie drapieźnie przeskakiwały z dachu na dach. Deszcz iskier i kępek żarzącej się strzechy tańczył we wstępującym wirze gorejącego powietrza, sprawnie koziołkując nad przerwami w zabudowie powstałymi po zawalonych budynkach.

Maddy zerknęła w prawo. Wznosząca się tuż obok London Bridge szeroka konstrukcja, pewnie rozpięta nad rzeką na kamiennie-ceglanej podstawie, już płonęła. Wysokie, przeciążone iglice kamienic na północnym krańcu mostu trawiła dzika pożoga. Oddziały straży rozpaczliwie próbowały zburzyć wystarczająco dużo budynków, by utworzyć przecinkę, która ocaliłaby most. Niestety, ich wysiłki wkrótce okazały się płonne.

Pod mostem, obok podstawy filarów podpierających przęsła, gromadzić zaczęły się przeróżne łodzie. Żadna z nich nie wpłynęła bezpośrednio pod przęsła z obawy, że spadające żagwie wylądują na pokładzie i zajmą ogniem wysmołowane deski. Łódki pruły wzburzoną rzekę, lawirując pomiędzy większymi barkami, a sterujący nimi przedsiębiorczy wioślarze urządzali wyścigi po unoszące się na wodzie kosztowności wyrzucane przez okna kamienic.

Maddy widziała osoby uwięzione w płonących domach. Ludzie desperacko wieszali się otwartych na rozcież okien, przez które buchały gęste kolumny białego dymu; machali ramionami, szmatami, błagali o pomoc.

„Mój Boże”.

Podobne obrazki widziała w relacjach serwisów informacyjnych z Manhattanu: pracownicy w poczerniałych, służbowo-białych koszulkach i poluzowanych krawatach niebezpiecznie wychylali się z gofrowatej konstrukcji World Trade Center. Uwięzieni, bezsilni, zamknięci w pułapce przez kłębiące się chmury czarno-szarego dymu, machali, próbując zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Nagle wszystko to przestało przypominać wycieczkę historyczną i zamieniło się w najgorszy rodzaj obrzydliwego podglądactwa.

Zobaczyła kobietę, która puściła się framugi okiennej. Biedaczka przeleciała całe światło mostu – cztery, pięć pięter w dół – i wpadła do Tamizy. Pod pachą trzymała szmaciany tobołek. Drugą ręką młóciła fale, próbując utrzymać się na powierzchni wody. Szybko zniknęła w odmętach i już nie wypłynęła.

Po chwili odpadła kolejna osoba. Mężczyzna, którego ubrania, a może włosy, płonęły, zostawił za sobą falującą smugę dymu. Powietrze przesiąkło zapachem skwierczącego mięsa. Ponad kakofonią ludzkich głosów, wyciem i trzaskiem płomieni, usłyszała kwiczenie świń oraz piski innych uwięzionych zwierząt. Miała nadzieję, że właśnie to jest źródłem zapachu pieczonego mięsa. Ale było to myślenie życzeniowe. Równie prawdopodobne było, że to zapach palących się ludzi. Poczula, że zbiera jej się na wymioty.

Spotkała się wzrokiem z Liamem. Widział dokładnie to samo, co ona: ludzi, którzy skakali po to, by uratować życie, choć zdawali sobie sprawę, że robią to na próżno, że skaczą w objęcia śmierci. A jednak robili to, bo ani chwili dłużej nie znieśliby palącego gorąca płomieni. Czuł to samo, też marszczył nos.

– Dość się napatrzyłam – powiedziała Maddy. Jej głos utonął w zgiełku, ale Liam doskonale zrozumiał, co przed chwilą powiedziała. On też się napatrzył. Wyjazd na ten mały rekonesans był chybionym, albo raczej perwersyjnym, pomysłem. To właśnie wyrażał grymas na jego twarzy. Że doszedł do takiego samego wniosku. Maddy klepnęła Rashima i Sal po ramionach. Odwrócili się jednocześnie.

– Wracamy!

– Okej – powiedziała Sal. Wyraz jej twarzy mówił: „Koniec, wystarczy”.

– Rashimie? Wracamy!

Odwróciwszy się, ruszyła na zachód, wzdłuż skraju rzeki. W tę samą stronę uciekali pozostali londyńczycy. Ogień pożerał całe miasto na wschód od London Bridge, wszyscy biegnący wokół nich ludzie, wiedzeni stadnym instynktem dzikich zwierząt umykających z lasu na sekundy przed wybuchem pożaru, wyczuli, że przestało to być miejsce, z którego można bezpiecznie obserwować przebieg wypadków.

Płomienie nadciągały w ich kierunku, rozwiewane przez mocny, dmący od Tamizy wiatr, przyciągany przez inferno łapczywie wysysające pokłady świeżego tlenu.

Maddy zeszła po chybotliwych schodkach na niższy pomost, mijając z prawej otwartą piwniczkę i warsztat bednarza. Rzemieślnik właśnie pakował najcenniejsze narzędzia, a jego żona ładowała dorobek życia do beczek, które, jak zgadywała, zamierzali wrzucić do wody i spławić rzeką. Przyjaciele szli krok za Maddy, która przedzierała się przez ciżbę ludzi, próbując zejść kolejnymi schodami ku tafli Tamizy. Na rzece podskakiwały łódki i tratwy podstawione przez wioślarzy oferujących usługi przewozowe za horrendalne stawki.

Dziewczyna schyliła się pod deskami podpierającymi szopę i doszła do drabiny ustawionej na końcu krótkiego drewnianego pomostu. Wspięła się po niej i ponownie znalazła na poziomie ulicy. Dyszała, popychana przez ludzi dźwigających na plecach worki z towarami i kosztownościami. Posuwanie się wzdłuż brzegu rzeki przypominało pokonywanie morderczego toru przeszkód skleconego z pomostów, schodków, drabin, stopni, desek, podpór, beczek i pętli sznurów konopnych, które zwisały z belek na tyle nisko, by zacisnąć się na szyi nieuważnej osoby niczym garota.

Po kolejnych pięciu minutach wspinania, wdrapywania, schylania się i kluczenia wyszli na wybrukowany bulwar, zatłoczony do tego stopnia, że ludziom stojącym w pobliżu krawędzi groziło wypadnięcie przez barierkę i wylądowanie na gontowych dachach rozciągającej się w dole nadrzecznej

bieda-dzielnicy. Maddy była do cna wykończona. Uklęła z rękami na kolanach, wstrząsnęły nią torsje.

Liam chwycił ją, sam z trudem łapiąc powietrze.

– Nie zatrzymuj się, do cholery!

– Brakuje... brakuje mi... powietrza!

Rashim i Sal dołączyli do nich. Cała trójka, pośród wzbierającej rzeki tłuszczu, utworzyła wokół Maddy ciasny krąg.

– Ogień coraz szybciej się rozprzestrzenia – ostrzegł Rashim. – Jest szybszy od nas!

Maddy powstała z kolan, żeby to zobaczyć. Skinęła głową. Miał rację. Temperatura powietrza odczuwalnie wzrosła. Ostrożny odwrót gawiedzi powoli zamieniał się w chaotyczną ucieczkę. Nieba nie zakrywał już złowróżbny tuman nisko zawieszony dymu: zamiast niego, ponad tłącymi się strzechami, szalała doskonale widoczna ściana skłębionych płomieni. Domy, wcześniej lizane i trawione językami ognia tak długo, aż się zawała, teraz spontanicznie zapalały się przed nadejściem płomieni, taki żar lał się w tym momencie z nieba.

– Po co podchodziliśmy tak blisko ognia? – ryknęła Sal. – Jesteśmy zbyt blisko!

Maddy potrząsnęła głową. To nie miało sensu.

– Nie powinien dość tak daleko! Byłam pewna, że na zachód od mostu będziemy bezpieczni!

– Ale nie jesteśmy! – wpadł jej w słowo Liam. – Chodźcie! Musimy iść dalej! – Chwycił Mads za rękę i pociągnął za sobą, po raz kolejny wtapiając się w rwący nurt ludzi.

Niespodziewanie, ponad krzykami paniki, wyciem nadciągających płomieni, usłyszeli ewidentny odgłos strzału z muszkietu. Morze uciekających londyńczyków zamarło.

Maddy dostrzegła, że ludzie daleko w przodzie zatrzymali się i zaczęli wycofywać. Przed nimi rozciągała się wolna przestrzeń: pięciometrowy plac nabrzeżny, pełen porzuconych wozów, szmacianych tobołków i żołnierzy:

ubranych w ciemnozielone bluzy i żelazne napierśniki królewskich gwardzistów, którzy stali z wystawionymi muszkietami.

Kolejny huk. Nad głowami rozległ się odgłos strzału ostrzegawczego. Kapitan gwardii wyjechał na koniu zza linii swoich podwładnych i gestem nakazał sparaliżowanym ludziom, aby rozeszli się do domów.

– Ani kroku dalej – ryknął, a koń pod nim wierzgnął nerwowo. – Wracajcie, skąd przyszliście!

Przez tłum przelała się fala wściekłych z oburzenia, poirytowanych głosów.

– Do tyłu, mówię! – Napędził na nich konia. – Do tyłu albo z powrotem nad rzekę! Czekają tam na was łodzie i barki! Tą drogą nie przejdziecie ani kroku dalej!

Liam wyciągnął szyję, aby lepiej się rozejrzeć.

– Dlaczego nas nie przepuszczą?

– Nie wiem – odpowiedziała Maddy. Odwróciła się, aby sprawdzić, czy mogą przejść w innym kierunku.

Cofnąć się? Nie. Natknęliby się na ścianę zapierającego dech żaru, który czuła już na policzkach. Po lewej ciągnęła się krawędź bulwaru, a za nią kręty labirynt schodów i skrzypiących drabinek, drewnianych dachów biedadzielnicy, stopniowo opadających ku przeludnionym już pomostom. A droga po prawej? Zablockowana przez kamienną ścianę frontową wielkiego składu. Wąskie alejki po obu jego stronach biegły na północ, skąd nadciągała pożoga, rozlewając się ku rzece. Wyglądało na to, że znaleźli się w szybko zwężającym się przesmyku, z którego jedyną drogę ucieczki blokowali żołnierze.

Zza wielkich podwójnych drzwi składu wyłoniło się kilku kolejnych strażników, którzy szybko podbiegli do kompanów. Jeden z nich powiedział coś kapitanowi. Ten nagle spał konia.

– Wracajcie! Głupia hołota! Wracajcie! Z rozkazu króla... na litość boską... COFNAĆ SIĘ! – Kapitan obrócił konia i brutalnie spał go ostrogami, wracając do swoich ludzi.

Maddy zerknęła na otwarte na rozcież drzwi. Przed czym oni uciekają? Ze środka zaczęli wysypywać się żołnierze, gnali jakby po piętach deptał im rozjuszony byk. Wewnątrz magazynu panowała ciemność. Usłyszała, jak kapitan wykrzykuje rozkaz i po chwili żołnierze ustawieni w szeregu w poprzek nabrzeża rozpoczęli błyskawiczny odwrót, pobrzękując uprężami i sprzączkami u mundurów. Po raz kolejny popatrzyła na ciemne wnętrze magazynu i zauważyła syczący, iskrzący się, jaskrawy przedmiot na podłodze.

„O mój Boże... czy to...?”

Rozdział 7

Londyn
rok 1666

Liam leżał na plecach, zaćmiony, porażony mózg przywoływał w pamięci moment *déjà vu*: podobną do tej chwilę, kiedy leżał na wznak, ogłuszony i pozbawiony tchu, wpatrując się w ciemne niebo. Ostatnim razem doświadczał podobnego uczucia, patrząc na błękitne niebo ponad średniowiecznym miastem Nottingham, gdy powietrze przeszywały strzały, cichutko niczym letnie pszczoły. Teraz obserwował rój świetlików, leniwie, tanecznie opadających ku niemu jak płatki śniegu.

„Ładnie”. Uśmiechnął się nieprzytomnie.

Leżał tak może dziesięć minut, choć równie dobrze mogło to być dziesięć sekund, nie wiedział. W zasięgu jego pola widzenia wzbił się kłęb dymu, obok czuł niemrawe poruszenia: ludzie, tak jak on powaleni przez coś na ziemię, zaczęli się wiercić, wciąż jeszcze słysząc w uszach dzwonienie. Podniósł się na łokciu, żeby rozejrzeć się i ocenić sytuację.

Tłum, w którego samym środku stał jeszcze kilka minut temu, zniknął. Zamienił się w pokryty kurzem dywan ciał: niektórzy, budzili się z zamroczenia, innych skręcały agonálne drgawki. Niektórzy stali jak sparaliżowani. A w pobliżu miejsca, gdzie sekundę wcześniej znajdował się wielki skład, leżało kilka rozdartych na strzępy trupów. Skład zniknął. W jego miejscu wyrosła nieregularna sterta kamieni i drewnianych belek, ponad którą wznosiły się smugi dymu i kurzu, wlatujące ku grzybiastemu cumulusowi powoli dryfującemu na zachód.

Na ramieniu poczuł brutalnie potrząsającą nim dłoń. Odwrócił się i ujrzał

upiorną, pokrytą białym pyłem twarz. W pierwszej chwili nie rozpoznał przyjaciela. Potem zauważył przyciętą brodę i długie czarne włosy spięte w schludny kucyk, teraz szare od kurzu.

Rashim coś mówił. Poruszał bezwładnie trzęsącymi się ustami, ale głos brzmiał, jakby docierał zza szyby, z drugiego końca długiej tuby. Był słaby, przytłumiony, tonął wśród jazgoczącej kakofonii białego szumu rozrywającego uszy. Liam odgadł, co krzyczy przyjaciel.

– Chyba nic mi nie jest.

Rashim coś wskazywał. Liam poczuł, że dotyka jego ucha, po czym pokazuje koniuszki palców pokryte alarmującą, wściekle czerwoną krwią. Znow zaczął coś wykrzykiwać.

Liam potrząsnął głową.

– Powiedziałem, że nic mi nie jest! – odkrzyknął. – Tylko nie słyszę za dobrze!

Rashim chwycił go za ramiona i podźwignął, stawiając na nogi. Teraz Liam lepiej wszystko widział. Na bruku naokoło leżało pokotem trzydzieści, czterdzieści – może więcej – ciał. Ci, którzy nie zginęli, nie zostali ranni albo po prostu powaleni na plecy przez eksplozję, uciekli. Wielu z nich zeskoczyło z bulwaru na zrujnowaną zabudowę bieda-dzielnicy; w wyniku zderzenia zawało się kilka rachitycznych ruder.

– Gdzie Maddy? Sal?

Rashim potrząsnął głową i powiedział coś w odpowiedzi.

„Przepadły? Czy on właśnie powiedział, że przepadły?”

Liam poczuł, jak z twarzy odpływa mu krew.

„Przepadły? To znaczy umarli?”

Rozejrzał się po leżących wokół ciałach.

– Gdzie one, u diabła, są?

Rashim szturchnął go w ramię, żeby przyciągnąć jego uwagę.

– Ja... myślę... że... uciekły! – wyartykułował, powoli składając usta. Liam ponownie przeniósł wzrok na leżących wokół ludzi. Niektórzy już się

podnosili, inni nie byli w stanie. Zauważył, jak młody mężczyzna w jego wieku, zdumiony i otumaniony, siada i spuszcza wzrok na metrowy odłamek drewna sterczący z jego klatki piersiowej tuż pod kością obojczykową. Na jego kolana leniwie tryskały łuki krwi.

„Jezu”.

Tuż obok ujrzał kobietę albo, mówiąc precyzyjniej, tułów kobiety.

Ale – poczuł ukłucie winy z powodu ulgi czy niemal euforii – ani śladu Sal i Maddy. Piskliwe dzwonięcie w uszach słabło. Teraz już był w stanie usłyszeć Rashima.

– Uciekły. Chyba.

– W którą stronę?

– Nie wiem. Mnie też powaliła eksplozja. Nie widziałem, w którą stronę. – Popatrzył w kierunku skraju nabrzeża. – Może przeskoczyły przez krawędź? – Rashim odwrócił się do niego. – Co teraz?

Liam nie miał bladego pojęcia.

– Nie możemy tu zostać! Ogień jest coraz bliżej.

Uświadomił sobie, że trzaski w jego uszach nie były skutkiem ubocznym upadku, lecz odgłosami szalejącego w pobliżu pożaru. Płomienie ogarnęły pobliski budynek przy brzegu rzeki – stojący tuż przed nieistniejącym już składem wielki, trzypiętrowy, kamienny dom kupiecki. Słyszał, jak pod wpływem spiekoty pęka szkło, a drewniane podpory dwuspadowego dachu z jękiem puszczają.

Żołnierze w powrotem zaczęli zwierać szyki. Wycofali się pięćdziesiąt metrów dalej, kilku w pośpiechu toczyło teraz beczki przez otwarte drzwi następnego budynku.

Teraz zrozumiał, co usiłują zrobić. Przecinkę! Próbowali utworzyć dużo szerszy wyłom, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się ognia. Niewielkie luki w zabudowie, które zrobiono w pobliżu London Bridge najwyraźniej nie wystarczały. Trzeba było zburzyć więcej niż jeden budynek, żeby ocalić miasto na zachód od tego punktu. Teraz jednak zwrócono się ku desperackim, bardziej drastycznym rozwiązaniom: proch strzelniczy, zamiast

bosaków pożarniczych. A ponieważ płomienie szalały w zastraszającym tempie, kapitan i jego podwładni otrzymali zapewne surowe rozkazy, żeby pod żadnym pozorem nie zwlekać z podpalaniem lontów... nawet gdyby miało to spowodować śmierć niewinnych cywili.

– Liamie! – Rashim chwycił go za ramię. – Musimy iść!

Fragment przedniej elewacji domu kupieckiego runął na bruk, wzbijając w powietrze deszcz iskier i rozpętując we wnętrzu budynku istne inferno. Narażony na bezpośrednie działanie płomieni, Liam poczuł, że jego twarz płonie od żaru.

– Za bulwar! – stęknął. – To nasza jedyna szansa!

Rozdział 8

Londyn
rok 1666

Pobiegli ku krawędzi bulwaru, ale inni wpadli na ten sam pomysł. Na szczycie wąskich drewnianych schodów powstał zator. Stopnie alarmująco skrzypnęły pod ciężarem wszystkich ludzi, którzy postanowili skorzystać z nich w tej samej chwili.

– Liamie! – warknął Rashim. – Dach!

Za trzeszczącymi stopniami rozciągał się płaski drewniany taras, trzy i pół metra poniżej skraju bulwaru. Rashim przewiesił nogi przez barierkę i skoczył. Liam spadł obok niego kilka sekund później, kruche deski wygięły się pod nimi niebezpiecznie.

– Jezu, to zaraz pierdyknie!

Z powodu wszechobecnej w powietrzu spiekoty, już i tak wysuszone przez letnie upały drewno zrobiło się jeszcze łamliwsze. Liczne przepalenia i fragmenty tłącego się drewna wskazywały miejsca, gdzie opadły kępki płonącej strzechy, od której ogniem zajmowały się belki i deski. Liam trafił na drabinkę wiodącą do wnętrza drewnianej chałupy i ruszył przodem.

Wyszli na zbity z desek trotuar uginający się już pod ciężarem tuzina innych ludzi, obładowanych skórzanymi czerpakami i szmacianymi workami z kosztownościami. Chodnik – wspierany przez drewniane podpory i poprzeczne belki związane konopną liną – lekko opadał, zakręcał w lewo i gwałtownie się opuszczał, po czym zrównywał się i łączył z wąskim pomostem.

Kiedy próbowali wyminąć mężczyznę, który włókł za sobą ciężką dębową

trumnę, usłyszeli nad głowami potężny huk; kłęb iskier przetoczył się przez skraj bulwaru i runął w dół, prosto na drewniane chałupy.

Przepchali się do pomostu o powierzchni góra pięćdziesięciu metrów kwadratowych, pełnego ludzi, skrzyń, beczek, kóz i kurczaków w wiklinowych koszach. Pomost oblepiło kilkanaście barek różnych rozmiarów; łodzie spokojnie podskakiwały i kołysały się, a wzburzeni uciekinierzy, przekrzykując łoskot fal, próbowali zbić gargantuiczne „opłaty ratunkowe” dyktowane przez przewoźników.

Liam zauważył, że wszystkie łodzie zachowują bezpieczny dystans od zdesperowanej tłuszczy cisnącej się na molo; członkowie załogi dzierżyli w rękach wiosła, maczety i pałki, jeden z nich obnażył nawet szablę, gotowy odeprzeć nagły atak tłumu. Spojrzał do góry, za siebie, dach szopy, na który zeskoczyli kilka minut temu, ogarnęły już żółte płomienie. Reszta walącej się linii brzegowej zapłonęła w ciągu najbliższych dziesięciu minut. W ostatniej chwili na pewno wybuchnie awantura, ciżba na molo zapomni o obawie przed zatłuczeniem pałką, maczetą albo toporem... kiedy gorąc stanie się nie do zniesienia.

Muszą dostać się na pokład jednej z tych łodzi. Teraz.

– Rashimie! – Zerknął na drogą, szytą na miarę kamizelkę przyjaciela. – Wyglądasz jak bogacz, chodź! Chwycił jego dłoń i pracując barkami, jął przeciskać się przez napierający tłum do najbliższej łodzi, która podskakiwała na falach trzy metry na prawo od pomostu.

Ośłonił usta dłońmi i krzyknął:

– Hoj! Hoj! Tutaj!

Jeden z przewoźników spojrzał w stronę Liama.

– Jest ze mną gentleman! Gentleman potrzebuje łodzi!

Poczuł na sobie spojrzenia innych ludzi na pomoście. Wokół nich wyrosła ściana wykrzywionych wściekłym strachem twarzy.

Mężczyzna na dziobie łodzi wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się Rashimowi. Wyszczrzył zęby.

– Ta, dla gentlemana znajdzie się kawałek pokładu!

– A dla jego służącego? – błagalnym tonem odezwał się Liam.

– A to, to już zależy od gentlemana!

Rashim wziął przykład z Liama i kiwnął głową.

– Tak! Oczywiście! Przewóz dla dwóch osób!

– Czterdzieści funtów za parę!

Rashim niepewnie zerknął na Liama.

– Przecież nie mamy ani...

– Jezu! – syknął Liam. – Zgódź się, dobra? Później będziemy się martwić!

Rashim odwrócił się do przewoźnika.

– Umowa stoi, sir!

Mężczyzna na dziobie skinął na Irańczyka.

– Rzućże mi twoją sakiewkę!

– Nie! – z oburzeniem ryknął Rashim. – To wykluczone, sir! Zapłacę dopiero, gdy znajdziemy się na pokładzie!

Marynarz przekazał tę odpowiedź ponad ramieniem mężczyźnie stojącemu na tyle łodzi, który najwidoczniej dowodził załogą pinasy. Ten z zainteresowaniem wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się petentowi i wreszcie skinął głową.

– Będziecie musieli do nas podpłynąć! – ryknął marynarz. – Ja was wciągnę!

Wtedy dobiegł ich potężny łoskot. Liam odwrócił się i zobaczył, że chybotałe schody, którymi zamierzali zejść z bulwaru, runęły w dół. Czterdzieści, pięćdziesiąt osób w panice przedzierających się po nierównych deskach ku rzece, zniknęło razem z nimi. Dach chałupy, przez którą zesli nad Tamizę zamienił się w bulgoczące piekło. Chłopak czuł, jak żar smali mu włosy.

Liam już miał wskoczyć do wody, gdy nagle poczuł, że czyjaś dłoń zaciska się na jego ramieniu. Odwrócił się i zobaczył płomiennorudą kobietę, z jej czerwonej twarzy strużkami ściekała sadza, sączyły się wilgotne strumyki potu.

– Zabierz me dziecię ze sobą! Błagam!

Popchnęła przed siebie przerażonego małego chłopca. Sądząc po kościstej sylwetce, mizerota mógł mieć dziesięć, może jedenaście lat. Ponad wystrzępionymi, pocerowanymi łachmanami oblepiającymi wychudłą postać sterczała kępka blond włosów. Chłopak rozpaczliwie przywarł do matki z taką samą dziką zawziętością, z jaką trzymał się ramienia Liama.

– Nie, przykro mi... nie, nie mogę!

– Błagam! Na Boga, ulitujże się nad nim!

– Liamie! – warknął Rashim. – Chodź!

– Skacz! – odpowiedział. – Jezu! SKACZ WRESZCIE!

Rashim wskoczył do wzbierającej wody i popłynął w kierunku łodzi.

– Bóg wam pomoże, to tylko dziecko! – Kobieta wykrzyczała prosto w twarz Liama. – Będzie dla ciebie pracował! Dla twojego pana!

– Nie, nie mogę! Przykro mi, szanowna... a teraz proszę, proszę mnie puścić...

Odwrócił się i zobaczył, jak Rashim chwytą za zanurzone w wodzie wiosło.

Kobieta puściła rękę tylko po to, by za chwilę położyć obie dłonie na jego głowie, odwrócić ją do siebie tak, by mógł spojrzeć prosto w jej oczy. Zobaczyć ją. Poznać... nawet jeśli tylko na chwilę.

– Bóg mi świadkiem, mam tylko jego! To całe moje życie... błagam! Jeśli masz spełnić jeden tylko dobry uczynek w swoim życiu, niechaj to będzie dzisiaj!

Liam spuścił wzrok, ale zobaczył tylko włosy; twarzyczka chłopca znikła pod fałdami matczynej sukni, rączki ciasno oplotły kobietę.

„Ach, Jezu, Liamie, ty ośle dardanelski...”

Poczuł, że niepewnie kiwa głową.

– Dobra, zgoda. – Wyciągnął rękę i chwycił za jedno z patykowatych ramion chłopca. Kobieta, krztusząc się, odetchnęła z ulgą.

– Nie! Nie, mam! Nie! – Chłopiec szarpnął, próbując uwolnić się

z mocnego uścisku Liama.

Kobieta, łkając, walczyła ze swoim dzieckiem, odrywała zaciśnięte na talii dłonie.

– Puść, natychmiast! Puść!

Chłopiec wykręcał się i wydzierał, gdy nieznajomy i kobieta próbowali oderwać go od mamy. Liam silnie wykręcił mu rączki, do momentu, w którym przestraszył się, że może je połamać. Wreszcie obezwładnił i w żelaznym uścisku unieruchomił szarpiący się, płaczący, wierzgający kłębek gałganów i szmat.

Kobieta opadła na kolana i ujęła twarz synka w dłonie.

– Williamie, moje złotko... moje życie! Moje dziecko! Teraz pójdziesz za tym młodzieńcem! Bądź dla niego dobry! Szybko ucałowała jego czoło, po czym wstała i znowu utkwiała w Liamie intensywne spojrzenie.

– Niech Bóg pana błogosławi, sir! – Na gorzejącej, wilgotnej od strumieni potu i łez twarzy malowały się dziwnie ambiwalentne uczucia: rozdzierający serce żal... i euforia. Niepohamowana ulga.

– Bóg zawsze będzie pana za to błogosławił!

Z prawej strony dobiegł głośny łomot. Liam zobaczył, jak na molo zwała się kłębiasta chmura iskier. Ludzie, zwierzęta, wszyscy ryczeli ze strachu i udreki, gdy pod wieczorne niebo wzbił się huczący zawijas płomieni, a temperatura dramatycznie wzrosła.

– LIAMIE! – krzyknął do niego Rashim, który w połowie wpełzł już na pokład łodzi. – CHODŹŹE!

Nie było chwili do stracenia. Liam wskoczył do wody, ciągnąc za sobą opierającego się chłopca. Zimna Tamiza przyniosła natychmiastową ulgę od nieznośnego już gorąca. Płynął, głęboko zanurzając w wodzie jedną tylko rękę, bo drugą przytrzymywał chłopca. Dwie, trzy, cztery... nagle jego ręka uderzyła o podane wiosło. Mocno złapał za pagaj i przyciągnął chłopca, żeby i on zdołał go dosięgnąć.

Powoli łódź zaczęła odpływać od mola. Czując wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo, wiosłarze po obu stronach barki harmonijnie zanurzali

wiosła, by jak najszybciej oddalić się od brzegu. Liam odwrócił się i natychmiast zrozumiał skąd ten nagły odwrót. Molo było puste. Woda spieniła się ludźmi, którzy wskoczyli do rzeki.

Gdy brutalnie obłąpiła go para rąk, Liam wypchnął do przodu chłopca.

– Najpierw on!

Chłopca – nie ważącego więcej niż zwitek mokrych szmat oblepiających samą skórę i kości – z łatwością wyciągnięto z wody. Chwilę później za dłoń Liama złapała wielka rzeźnicka łapa. Resztkami sił Liam przełożył nogę przez krawędź łajby i ociekając wodą, kaszląc, przetoczył się na zasikaną zęzę.

– Niewiele brakowało! – wydyszał Rashim. – Patrz.

Liam podniósł się ociężale i wyjrzał ponad umykający dziób. Pomost nikał na horyzoncie bardzo szybko, a mimo to Liam czuł na twarzy żar, jakby wpatrywał się w trzewia pieca piekarniczego. Na tle wieczornego nieba, nienaturalnie czarnego z powodu nisko unoszącego się dymu, blokującego jasność późnoletniego zmierzchu, zobaczył, że strzelające z nadrzecznego piekła płomienie zaczynają nadgryzać pomost. Dostrzegł zarys kozy, opętańczo ciągnącej za postronek, kurczaki w koszyku, wirujące pierze, skrzydełka rozpaczliwie, agonalnie młójące powietrze. I samotną postać, która stała z boku, nieruchomo, patrząc na niknącą w oddali łódź.

Chłopiec podniósł się z dna i kaszląc, charcząc, wytężył wzrok, byle tylko dostrzec matkę. Liam obrócił go ku sobie.

– Hej. – Mocno złapał małą owalną szczękę, nie pozwalając mu się odwrócić. – Nie musisz na to patrzeć, młody.

Silny podmuch wiatru podsycił płomienie, obrócili się, zmieniając kierunek, a kobieta nagle zniknęła z pola widzenia, otoczona migającymi jęzorami czerwieni.

Łódź podskoczyła i zakołysała się, sunąc w stronę głównego nurtu rzeki. Cisza... panowała niemal kompletna cisza, za wyjątkiem kojącego szumu zanurzanych w wodzie wiosł. Liam usłyszał stukot butów: uderzały o drewniany pokład, chlupotały w zbierającej się na dnie wodzie. Potem

poczuł dłoń na ramieniu. Podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę, którego widział z oddali, kiedy zawierali transakcję: ogorzałą twarz pod trikornem okalała ciemna kozia bródka, inna niż u Rashima, dłuższa, z wpiętą wstążką.

– Słuchaj no, twój pan rzekł mi, kiedy wciągaliśmy go na pokład, że powierzył ci sakiewkę z pieniędzmi. – Uśmiechnął się. – Gentlemani rzadko bywają tak ufni.

Liam spojrział na Rashima, który mniej niż pomocnie wzruszył ramionami.

– Ja... cóż... mamy trochę pieniędzy, sir. Ale nie przy sobie.

Kapitan z zawodem wydał wargi. – Hmm... szczerze ci rzeknę, żeś mi od początku jakoś tak glizdowato wyglądał. Ale nic się nie bój. – Wyszczrzył zęby i spojrział na Rashima i chłopca, który przykucnął obok Liama. – I tak zarobimy na tym interesie trochę pensów.

Rozdział 9

Londyn

rok 1666

– Och, jasna cholera, gdzie oni, do diabła, są?

Maddy zmrużyła oczy, próbując rozpoznać otaczające ją cienie. Dawno już zapadł zmrok, lecz niebo wcale nie było ani ciemne, ani utkane gwiazdami; miało barwę zmatowiałego, płynnego bursztynu. To poświata płonącego Londynu odbijała się od spodu nienaturalnie gęstych cumulusów.

Stały pośrodku apokaliptycznej scenerii, skapane w bladosiarczanowym zmierzchu. Scena przypominała impresjonistyczny obraz piekła albo apokaliptyczny pejzaż Constable'a, odmalowany paletą szkarłatnych i ciemnobrunatnych barw. A pod krwawiącym niebem, na północnym brzegu Tamizy roilo się od ludzi uciekających na zachód, w ich kierunku. Kipiące wściekłością, wzburzone morze postaci przelewało się tak bez choćby ani jednej pochodni czy lampy oliwnej – światła było pod dostatkiem.

W oddali, półtora kilometra dalej, London Bridge zamienił się w łuk ognia, odbijający się w niespokojnej, falującej wodzie. Na samej rzece utworzył się zator łodzi, od małych lichtug po kilkumasztowe statki.

– Widzisz ich? – Sal potrząsnęła głową.

Maddy nie potrafiła zrozumieć, co się z nimi stało. Razem utknęli w tej masie ludzi. Później nastąpiła eksplozja. Odkryła jej przyczynę: rozkaz wyburzenia budynków okazał się metodą dużo skuteczniejszą niż wysiłki mężczyzn z bosakami. Odgadła, co wisi w powietrzu na kilka sekund przed wybuchem. Tyle wystarczyło, by pociągnąć Sal na kolana. Później rozpętało się piekło – tłuszcza zgodnym hurmem ruszyła ku rzece, szturmując bulwar

i labirynt chybotliwych schodów, drabin, chybotliwych chodników. Dziwnym trafem zostały zepchnięte na bok, do wylotu alejki. Instynktownie poprowadziła Sal w tę właśnie stronę, z dala od ciżby spanikowanych londyńczyków.

Głupota.

Kierowały się wprost na pierwszą linię pożaru, biegły na oślep, pomiędzy dwoma wysokimi budynkami, z których skapywały języczki płomieni, smagając je po twarzach. Czuła, że żar smali jej włosy, a na skórze występują bąble. W pewnej chwili, w połowie wysokości wąskiej uliczki, zaczęła się zastanawiać, czy obie z Sal w ogóle przeżyją. Nie wiedzieć czemu, pokrzepiała się w duchu, że jej śmierć nie wywoła kontaminacji historycznej. Zostaną po nich tylko kości i zwęglone ciała. Nic więcej.

Koszulę pokrywały wypalone przez żar dziurki, w miejscach gdzie iskry przepaliły materiał. Zapalił się rąbek jej sukienki, która zajęła się ogniem aż do wysokości uda. Płomień mocno trzymał. Gnały na złamanie karku, a ona rozpaczliwie próbował go ugasić, zanim cała stanie w płomieniach.

Lecz niespodziewanie, dziwnym sposobem, znalazły się tutaj, żywe. Płonący korytarz kończył się dziedzińcem, pełnym prychających, spłoszonych kucyków, które w panice wyrywały się z postronków i kopytami skrobały bruk. Kobiety precyzyjnie się dalej, szturchając boki koni i odbijając się od nich, aż wreszcie wybiegły na małe, śródmiejskie pastwisko. Pełno tu było oczadziałych, zgiętych w pół ludzi, wykasłujących z płuc resztki dymu; nad wszystkimi unosiły się smużki dymu; wywinięte kołnierze, czepki, mankiety, spódnice, trikorny i ozdobne koronki tliły się jeszcze, ponieważ nikt nie miał siły zadbać o to, by je dogasić.

A Liam i Rashim? Maddy mogła jedynie zgadywać, że tłum ludzi pociągnął ich za sobą jedną z niezliczonych dróg wiodących na brzeg rzeki. A zatem musieli być gdzieś wśród setek uciekających ludzi, którzy przedzierali się przez morderczy tor przeszkód w przybrzeżnej dzielnicy biedoty. A może uratowała ich jedna z cumujących w pobliżu łodzi i są na pokładzie któregoś ze statków kursujących wśród armady innych jednostek, czekając na zejście na brzeg. Pewnie tak samo niepokoją się o los Maddy

i Sal.

– Na Jahullę! – Sal wypluła sadzę z ust. – Dlaczego wysadziłaś nas tak blisko pożaru?

Maddy potrząsnęła głową.

– Ja... ja nie wiedziałam, że tak bardzo się rozprzestrzenił.

Wygenerowała mapę – pobraną z bazy danych siatkę z zaznaczonymi obszarami, na których w ciągu trzech dni szalał pożar. Albo artykuł z Wikipedii był nieprecyzyjny, albo znalazła niewłaściwą mapę. Tak czy siak, dała ciała. Spaprała sprawę i nieomal doprowadziła do śmierci ich wszystkich.

Jezusie. A miało być tak „fajnie”.

„Jesteś na maksa tragiczna, Maddy. Głupia gęś z ciebie”.

– Przepraszam, Sal. Chyba... chyba schrząniłam.

Maddy wyprowadziła Sal z otwartego placu na wąską, brukowaną uliczkę. Przekrzywione domy, pogrążone w mroku i opuszczone, chyliły się ku nim niczym ciekawskie, milczące olbrzymy.

Zaprogramowane okno powrotne miało się uaktywnić lada chwila. Cicha uliczka nie była pusta. Kilkadziesiąt metrów dalej stali ludzie; bojaźliwie spoglądali na wschód, obserwując pożar Londynu i modląc się, aby przeprowadzone wieczorem z rozkazu Karola II wyburzenie połowy dzielnicy pomogło powstrzymać pędzącą ku nim pożogę.

W tym półświecie i tak pewnie nikt nie zauważy migocącej przez chwilę kuli i dwojga znikających z tego świata ludzi. Nie ma szans.

– Co teraz zrobimy? Wracamy bez nich? – spytała Sal.

Maddy zadawała sobie to samo pytanie.

– Tak mi się wydaje. Jeszcze nie są straceni, Sal. Pamiętasz? Transpondery Rashima?

Tak. Właśnie tak robią. Wrócą i nakierują sygnał w tę stronę, próbując wywęszyć choćby najlżejszy powiew pojedynczej cząstki tachionowej. W końcu właśnie z tego powodu wszyscy dostali po jednym urządzeniu, na wypadek podobnych komplikacji.

„Bo nie jesteś totalnie beznadziejna, Maddy. Byłaś na tyle ostrożna, żeby przewidzieć, że coś takiego może się wydarzyć”. Właśnie. To był jej pomysł, aby Rashim zmajstrował coś taniego i użytecznego.

Jeśli przeżyli, będą nadawali sygnał, który pomoże ich namierzyć i ściągnąć z powrotem. A jeśli nie żyją, cóż, sygnał i tak będzie płynął...

„Nawet o tym nie myśl, Maddy. Żyją, dobra? Tylko ich zgubiłyśmy. To wszystko”.

– Jeszcze sekundka – powiedziała. – Wrócimy do domu i znajdziemy ich, Sal. Proste jak drut.

– Taką mam nadzieję.

Maddy poklepała ją po ramieniu.

– Na pewno ich znajdziemy. Liam odnajduje wyjście z każdej sytuacji, prawda? – Z trudem przywołała uśmiech, choć i tak było zbyt ciemno, żeby go zobaczyć. Zresztą, nawet gdyby Sal się to udało, zobaczyłaby uśmiech tak podnoszący na duchu i szczery jak mrugnięcie okiem sprzedawcy samochodów z demobilu.

– Pewnego dnia może nie odnaleźć – ponuro burknęła Sal.

Właśnie wtedy poczuły podmuch powietrza i na środku brukowanej alejki zatańczyła, niczym warstwa oliwy na wodzie, ciemna, dwumetrowa kula. Maddy zobaczyła blady błysk żarówki, zarys Boba i Beki, którzy czekali, aby powitać je w domu. Przeszła pierwsza, za nią postąpiła Sal. Wtedy, w mgnieniu oka, kula zniknęła. Przepadła jak kamień w wodę.

Zauważyła to tylko jedna osoba: kobiecina wyglądająca z wąskiego okienka swojego domu, bezpośrednio nad nimi. Niepokoiliła się o los męża, stróża, wezwanego do pomocy przy gaszeniu pożarów. Łamała sobie głowę nad tym, co właśnie zobaczyła w uliczce pod oknem, głowiła się przez całe kilka minut do czasu, gdy sąsiad krzyknął do niej, że widziano jej męża, który z resztą swojej brygady zmierzał w tę stronę.

Przyniesiono wieść – albo pobożne życzenia – że wydany przez króla w ostatniej chwili rozkaz wysadzenia wielu budynków za pomocą prochu strzelniczego przyniósł oczekiwany skutek, a przynajmniej powstrzymał

rozprzestrzenianie się ognia na zachód. Kobieta prawie nie słyszała ostatnich słów. Mówią, że jej mąż żyje. Tylko to chciała wiedzieć.

Rozdział 10

Gdzieś na kanale La Manche

rok 1666

Liam wiedział trzy rzeczy, które docierały do jego świadomości jedna po drugiej. Po pierwsze, pękała mu głowa. Miał wrażenie, że imploduje i eksploduje z regularnością metronomu, jak miechy kowalskie. Po każdym uderzeniu wstrząsała nim tępa fala bólu i mdłości.

Po drugie, jego nos i gardło zatykała, niemal kompletnie je blokując, gęsta jak syrop mieszanka sadzy i smarków. Odchrząknął, próbując wypluć ociupinkę zalegającej w gardle flegmy, i niemal natychmiast tego pożałował; głowę przeszył ostry ból, a przewody nosowe zapiekły ogniem.

Po trzecie, świat się kołysał. Jego obolałe ciało, rozciągnięte na drewnianym pokładzie, powoli przewracało się z jednej strony na drugą, a świat poniżej próbował zręcznie przeskoczyć to na lewo, to na prawo. Nie pomagało to pokonać nudności. Naszła go ochota, żeby wymiotować całą zawartość żołądka na chropowaty pokład, tuż obok swojej twarzy, ale bał się, że delikatne falowanie podłogi wepchnęłoby wymiociny z powrotem do otwartych ust. Jęknął rozpaczliwie.

– Liamie? Czy to ty?

– Sztooo jaa – zawył w odpowiedzi Liam. Przycisnął policzek do nieheblowanego odeskowania, które przecierało jego skórę do kości, gdy tak przewalał się w tę i we w tę.

– Dzięki Bogu! Bałem się, że mogłeś się nabawić wstrząśnienia mózgu. – Liam rozpoznał głos mężczyzny: odrobinę zniewieściały, konkretny i precyzyjny sposób mówienia. Rashim. Otworzył jedno oko i od razu

skrzywił się, gdy rozpalone gwiazdki i strumienie światła przecięły rozmazane pole widzenia. Zacisnął powieki. To było światło dnia, bolesny promień.

– Gdzie jeszcześmy? – wybełkotał Liam, wciąż niezdolny podnieść głowy ani niemający na to ochoty. Ustami wciąż dotykał podłogi, wysuszonej i popękanej. Jego własny głos wbijał mu szpikulce w skronie.

– Na morzu – odparł Rashim. – Chyba.

W uszach Liama wciąż lekko dzwoniło. Słaby, wysoki pisk jak gwizdek dla psa. Ale po raz pierwszy usłyszał też inne dźwięki: regularne, rytmiczne skrzypienie drewna, syk i bulgotanie leniwych fal uderzających o kadłub łodzi.

Wreszcie odnalazł w sobie siłę, by unieść głowę z podłogi i, pokonując zawroty i mdłości, podniósł się na czworaka. Beknął, wypluwając z ust oślizgłą nić śliny i wymiocin, po czym grzmotnął na podłogę, prosto pomiędzy rozłożone dłonie. Łypnął w górę, mrużąc oczy przed światłem. Zobaczył Rashima. Siedział oparty o drewniany reling, rękami obejmując kolana. Obok niego, w podobnej pozycji, kucnął chłopiec o płowych włosach.

Rashim wzruszył ramionami.

– Nie odezwał się do mnie ani słowem. Może tobie powie, kim jest.

Liam zignorował tę uwagę i rozejrzał się wokół. Niski dach składał się z ułożonych w poprzek nieheblowanych desek i grubych dębowych belek. Po drewnianym pokładzie walały się zwoje lin, w kątach stały piramidy baryłek, związanych sznurem, żeby samopas nie toczyły się po pokładzie. Duże szmaciane sakwy piętrzyły się niczym ciała w kostnicy.

Statek. Przypominający jeden z tych starych żaglowców. No tak, on rzeczywiście był stary. Przypomniał sobie: wybrali się w podróż do tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego roku, by na własne oczy zobaczyć wielki pożar Londynu. Najwyraźniej nie wrócili do swojego lochu, zatem wciąż muszą przebywać w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym.

– Co się stało?

– A co pamiętasz?

– Pożar. I genialny pomysł Maddy, żeby go zobaczyć.

– A ostatnia rzecz, jaką pamiętasz?

Liam klapnął na pośladki, wycierając ślinę z ust. Głowę zwiesił nisko, pomiędzy ramiona, jakby walczył z kolejnym odruchem wymiotnym. Przypomniawszy sobie eksplozję. Gigantyczną. Pamiętał, jak jej podmuch zwałił go z nóg na plecy. Później wybuchł chaos. Ludzi ogarnęła panika. To sobie przypominał. Wyścig na złamanie karku do skraju drogi albo bulwaru, a potem upadek z dużej wysokości.

– To eksplozja. Wszyscy ruszyli ku brzegowi rzeki, prawda?

Rashim skinął głową.

– Zgadza się.

Liam przywołał w pamięci obraz paniki, falującą połąć roztrzaskanego drewna. Musieli zejść na pomost wypełniony ciżbą wyjących, jęczących ludzi. Wokół, na wodzie, która błyszczała zajaczkami odbijającego się ognia, kołysały się łódki.

– Udało nam się dostać na pokład jednej z tych łodzi, co?

– Wynegocjowałeś cenę i wciągnęli nas na pokład. Tak było. – Rashim wyrócił głęboko osadzonymi oczami. – Zapewniłeś ich, że jestem bogatym lordem z kieszeniami wypchanymi gotówką. – Westchnął. – Nie wiem tylko, jaki według ciebie miał być następny punkt tego planu.

Liam skrzywił się, obejmując rękami pękającą głowę.

– Udało mi się uratować nas od pożaru!

– Zgoda.

– Sam widzisz, uratowałem nas...

– I tego małego, niemego nicponia, sam nie wiem po co.

– Ale żyjemy! Jesteśmy bezpieczni, co nie?

– Hmm... – westchnął z ironią Rashim. – Żywi, owszem. Ale co do bezpieczeństwa, to wcale nie jestem przekonany.

Najgorsza fala mdłości zaczynała ustępować. Liam przesunął się do tyłu po chropowatym drewnie, a gdy plecami dotknął nadburcia, usadowił się tuż

obok chłopca, którego skulona sylwetka wyglądała teraz jak sprasowana szyneczka wciśnięta między kawałek białego i ciemnego chleba.

– No to gdzie my, do diabła, jesteście, Rashimie?

– Nic więcej nie pamiętasz?

– Chyba pamiętam jak się ratowałem, skacząc do Tamizy. – Przymknął oczy. Chłopiec, tak, ciągnął tego chłopca za sobą. Liam próbował przypomnieć sobie kolejne szczegóły, ale nie potrafił.

– Łódź, która uratowała nas i około tuzina innych, popłynęła w dół rzeki – powiedział Rashim. – Do miejsca o nazwie Tilsbury i do ich statku. Wszystkich puścili wolno. Oprócz nas.

– Jezu! Dlaczego nas nie, do stu piorunów?

– Właśnie to, słowo w słowo, wykrzyczałeś kapitanowi statku w twarz. – Rashim odwrócił się, by nań spojrzeć. Na twarzy mężczyzny wykwitł dziwnie współczujący uśmiech. – Potem jeden z marynarzy łupnął cię wiosłem w potylicę.

Liam się skrzywił. A myślał, że pulsujący ból głowy wywołał perkusyjny huk eksplozji.

– Nie dostali od nas ani pensa – ciągnął Rashim. – Nie ściągnęli żadnego haraczu. Odnoszę nieodparte wrażenie, że jesteście zakładnikami.

– Czym?

Rashim wzruszył ramionami.

– Częścią ich ładunku.

– Jezu! Gdzież się podziało bezinteresowne miłosierdzie? Chęć niesienia pomocy ludziom w potrzebie!

– Właśnie.

Liam przekręcił się, żeby wyrzeć przez mały otwór po lewej. Ambrazura była półotwarta, przy każdym powolnym przechyle o framugę delikatnie stuknęła pokrywa. Dopiero teraz dostrzegł dwumetrowy, gruby walec z żelaza oparty na masywnej drewnianej lawecie z niewielkimi żelaznymi kołami.

– Czekaj – dotknął go ostrożnie, łudząc się, że zniknie spod palców,

a rzeczywistość pryśnie, okazując się dziwną halucynacją, snem. – To armata – mruknął.

– Jedna z wielu – powiedział Rashim, wskazując głową pokład. Liam odwrócił się i rozejrzał po miejscu, w którym się obudził. Niski dach, liny i baryłki. No i tak, kolejne furty w burtach, działa: dwanaście po ich stronie i jeszcze dwanaście po drugiej.

– To... to pokład działowy? – Liam przekręcił się i wyjrzał przez bulaj. Ujrzał głębokie, falujące, błękitne morze i rozbijającą się o drewnianą burtę pianę, która bryzgała mu prawie po oczach. – Czy my jesteśmy na statku... na pełnym morzu?

Rashim skinął głową.

– Miło mi skonstatować, że wreszcie udało się panu zorientować w bieżącej sytuacji. – Posłał mu sardoniczny uśmiech. – Witam pana, panie O'Connor, w otchłani naszego opłakanego położenia.

– Na litość boską. Z deszczu, cholera, pod...

– Pokład statku pirackiego. Lub gorzej... statku niewolniczego.

– Co? – Liam podniósł na niego wzrok. – Zrobili z nas niewolników?

Rashim wzruszył ramionami.

– Niebawem się o tym przekonamy.

Rozdział 11

Londyn
rok 1889

Zmaterializowały się na osobnych kwadratowych polach z powrotem w lochu. Maddy gestem dłoni nakazała Bobowi przerwać.

– Nie resetuj pola dla pozostałej dwójki... straciliśmy ich!

Obie jednostki pomocnicze i SpongeBubba zamarli. Nawet mrugające na monitorach kolumny statystyczne sprawiały wrażenie wyjątkowo statycznych.

– Co się stało z resztą? – spytała Beki.

Maddy w kilku zdaniach streściła przebieg zdarzeń, gęsto przetykając opowieść westchnięciami.

– Skończyło się na tym – podsumowała – że wybuchła panika i zostaliśmy rozdzieleni. Teraz trzeba sprawdzić, czy nic im się nie stało.

– Transpondery – powiedział Bob.

– Właśnie, zaraz ich namierzemy. – Spojrzała na przeciwległą stronę pokoju, na Sal. – Niewykluczone, że zajdzie konieczność otworzenia portalu w samym środku pożogi... jeśli znaleźli się w pułapce ognia!

– Rozumiem. – Bob pokiwał głową.

Maddy podeszła do biurka komputerowego i usiadła na bujanym fotelu.

– Komputerze-Bob, wiesz wszystko o transponderach Rashima?

> Potwierdzam, Maddy. Prędkość przesyłowa sygnału wynosi 1 ppm na milisekundę.

– Boże. Jedna cząstka tachionowa na milion. To przecież wartość tak nikła,

jak naturalne promieniowanie w tle.

– Jak w ogóle można odebrać tak słaby sygnał?

> **To rzeczywiście niełatwe, chyba że się wie, gdzie i kiedy dokładnie szukać.**

– Właśnie taki był pierwotny zamysł – powiedziała Beki, bezprzewodowo podłączona do konwersacji. – Doktor Rashim Anwar nie chciał przesyłać zbyt wyraźnego strumienia z informacją o waszej lokalizacji.

Maddy otworzyła naszyjnik, wyciągnęła transponder i popatrzyła nań nieobecny wzrokiem.

– Mówił, że ile trzyma bateria w tych urządzeniach?

> **Około pięciu lat.**

Więcej niż trzeba. Najważniejsze teraz, to zlokalizować ich. Transpondery mogą sobie świergotać do woli, ale nie wiadomo, czy Liam i Rashim są cali i zdrowi. Czy nie są ranni – albo gorzej.

– Okej, nakieruj wiązkę jakieś półtora kilometra na wschód stąd, na okolice dziewiątej wieczorem drugiego września tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego roku. To wtedy wszystko się pokiełbasiło.

> **Potwierdzam.**

Sal przysiadła na krawędzi stołu.

– A jeśli odnaleziony sygnał nie będzie się przemieszczał? Wiecie, co to oznacza?

Maddy wiedziała. Wtedy i tak musieliby wrócić i się przekonać. Muszą mieć pewność. A gdyby potwierdziły się ich podejrzenia, musieliby odzyskać ciała. Ta myśl ją zaniepokoiła, nie, wstrząsnęła nią.

– Boże, Sal... a jeśli naprawdę są martwi? – Jej głos zadrzał niepewnie. – To moja wina. Spowodowałam ich śmierć, i po co? – Zwinęła dłoń w pięść i uderzyła się w udo. – Bo mi się nudziło! Bo mi się zachciało pozwiedzać!

Czy Liam nie ostrzegał, że to niepotrzebne ryzyko? Nie mówił tak? A ona przejechała się po tych jego w pełni uzasadnionych obawach jak walcem.

„Matko”.

– Maddy. – Sal nachyliła się nad nią, ton jej głosu złagodniał. – Jeśli

rzeczywiście tak się stanie. Jeśli... no, sama wiesz... – Nie powiedziała tego, nie powiedziała: „jeśli znajdziemy ich martwych”. – Jeżeli właśnie to się wydarzy, nie powinnaś tak reagować. Nie możesz tak zareagować.

– Obwiniać się? A dlaczego nie? To przez moją głupotę! – Z kącików oczu płynęły łzy. To rozjuszyło ją jeszcze bardziej. – Jestem jednostką pomocniczą. Może nie? Ktoś kiedyś mnie zaprojektował. – Zaśmiała się niewesoło. – Czemu w takim razie zrobili mnie taką głupią bzdziągą?

No to koniec. Teraz, po wspólnym przeżyciu szeregu przygód, pokonaniu mutantów i potworów, nazistów i neandertalczyków, tyranów i dinozaurów... ta krztyna zwykłej głupoty położy wszystkim kres. Bo one dwie, para mięsobotów i chodząca szafka, to już nie drużyna. To tylko dwie zagubione dziewczynki i ceglana cebra wypełniona niepotrzebną technologią.

Po ekranie przebiegł kursor komputera-Boba. Sal to zauważyła. Musnęła rękę Maddy, żeby przyciągnąć jej uwagę.

> Zlokalizowałem dwa sygnały transpondera.

– Są razem? – spytała Sal.

> Potwierdzam, Sal. Mniej więcej metr od siebie.

Maddy przetarła łzy z twarzy, zostawiając na policzkach rozmazane smugi.

– Poruszają się? – zadała dużo istotniejsze pytanie.

> Będę musiał wykonać drugi skan z przesuniętym do przodu czasem.

– Przesuń go o... – Podniosła okulary ze stołu i nieporadnie włożyła na nos. – Przesuń go o minutę.

> Potwierdzam.

Obie dziewczyny w milczeniu patrzyły na ekran, niecierpliwie czekając na rezultat. Beki i Bob podeszli do nich, stając po obu stronach bujanego fotela. Łatwo było dostrzec w tym gościu emocjonalne wsparcie, wspólną troskę. Można byłoby tak pomyśleć, gdyby nie fakt, że to tylko maszyny organiczne: wyhodowani w laboratorium socjopaci. Zabójcy bez sumienia. Zachowywali się przewidywalnie wyłącznie dzięki zakopanym głęboko w kodzie sztucznej inteligencji mechanizmom detekcji wrogów i przyjaciół.

> Odbieram te same sygnały. Współrzędne geograficzne są

identyczne. Nie poruszają się.

„Minuta to za mało”. Przez minutę mogli analizować, zastanawiać się, w którym kierunku uciekać.

– Przesuń czas o pięć minut.

> Potwierdzam, Maddy.

I znów to pełne napięcia wyczekiwanie.

– No dalej... dalej – wymruczała Maddy w stronę ekranu z konwersacją. Wreszcie kursor mrugnął i pomknął wzdłuż wiersza polecenia.

> Sygnał ponownie przechwycony. Czas przyspieszony o pięć minut.

– No i?

> Współrzędne geograficzne uległy zmianie. W stosunku do poprzedniego odczytu przesunęły się o około siedemdziesiąt osiem metrów w kierunku południowo-wschodnim.

Maddy wypuściła powietrze z płuc.

– Żyją!

Sal uśmiechnęła się z widoczną ulgą.

– Kierują się na południe. Po eksplozji na pewno porwał ich tłum uciekający w kierunku rzeki.

– Tak. Ale nie powinni długo mitrężyć w tym miejscu. – Mapa opisująca kierunek rozprzestrzeniania się pożaru wskazywała, że promienie strawiły wszystko aż do brzegu Tamizy.

– Trzeba otworzyć tam okno.

– Ale ten obszar był kompletnie zatłoczony – powiedziała Sal. – Setki ludzi próbowały przedostać się na pokład łodzi ratunkowych.

– Wiem, ale nie możemy zdać się na ślepy los i liczyć na to, że zdołają się uratować. Wypadałoby im jakoś pomóc.

– To wysoce niewskazane, Maddy – upomniał Bob. – Nie wolno otwierać okna wśród tłumu ludzi.

Niewskazane i prawdopodobnie bardzo skomplikowane. Zresztą, Bóg jeden wie, czy gdyby otworzyli portal tuż nad głowami Liama i Rashima, nie zamieniliby ich w ludzką lasagne. Mogli jednak zerknąć w niedaleką

przyszłość – bliską przyszłość Liama i Rashima – i sprawdzić, czy uda im się uratować.

– Przetaw zegar o kolejne pięć minut... nie, o dziesięć.

> **Potwierdzam.**

– Jeżeli wciąż tam tkwią – powiedziała Maddy – wtedy chrzanić to... otworzymy portal kilkanaście metrów od brzegu, nad rzeką. Trudno, najwyżej przetniemy kogoś na pół albo zrobimy dziurę w czyjejs łodzi, a kilkanaście galonów wody zaleje nasz loch... niech i tak będzie. Trudno się mówi.

Sal przytaknęła. Maddy przekręciła się na krześle i utkwiała wzrok w Bobie i Beki.

– Wy dwoje nie będziecie mi potem marudzić, co?

Jednostki pomocnicze potrząsnęły głowami.

– Bezpieczny powrót agentów to priorytet – beznamiętnie odparła Beki.

– Dobrze wiedzieć, że wam zależy. – Odwróciła się i utkwiała w ekranie pełen nadziei wzrok. – Dalej, komputerze-Bob, co tam masz?

Minęła kolejna minuta, wreszcie kursor przesunął się ponownie.

> **Informacja: sygnały zniknęły.**

– Zniknęły? Jak to zniknęły?

> **Poszerzę pole wyszukiwania. Chwileczkę.**

– Dostali się na łódź? – powiedziała Sal z wiarą w głosie.

– Albo przedzierają się wzdłuż rzeki. Może próbują szczęścia gdzieś dalej.

Ewentualności. Wróżenie z fusów. Ale istniały też inne możliwości, prawdopodobieństwa. Płomienie przemieszczały się w zastraszającym tempie. W przeciągu dziesięciu minut pożoga mogła ogarnąć trzęsawisko drewnianych budynków, obracając w popiół wszystko na swojej drodze. Transpondery Rashima nie były magicznymi amuletami – ani pierścieniem Frodo Bagginsa – stanowiły zlepek elektronicznych układów ze sklepu RadioShack i komponentów wymontowanych z nowoczesnych urządzeń przyszłości. Odpowiednio silny żar mógł z powodzeniem zamienić je oraz Liama i Rashima w skwierczącą słoninkę.

> Nie zdołałem wychwycić żadnych sygnałów.

– O Boże! – wyszeptała Sal. Ukryła twarz w rękach i załkała.

„Liam to twarda sztuka”. Tego Maddy była pewna. Urodzony zwycięzca. A przynajmniej tak go zaprojektowano. Nie potrafił stać bezczynnie, przymarznięty do ziemi, czekać na śmierć. Przynajmniej próbowałby się uratować – wskoczyłby do rzeki. Zrobiłby coś.

– Nie. – Maddy stanowczo potrząsnęła głową. – Nie, do jasnej cholery, nie, to jeszcze nie koniec gry. To znaczy, że musimy szukać dokładniej! Powiększmy zasięg wyszukiwania. Transpondery mogą być zepsute albo kontakt z wodą spowodował zwarcie, cokolwiek.

> Sygnały są bardzo słabe, Maddy. Musimy znać dokładny czas i miejsce, w które skierujemy wiązkę, aby ich translokować z powrotem.

– No to przeprowadźmy sondowanie! No już, zaczynamy. Kilka kilometrów w dół i w górę rzeki, w obie strony. Jako punktu odniesienia użyjemy ostatniego zweryfikowanego sygnału i zaczniemy wyszukiwanie. Okej?

> To trochę potrwa.

– No to bierzmy się do roboty!

> Potwierdzam.

Odwróciła się do Sal i delikatnie położyła dłoń na jednym z jej drżących ramion. Teraz jej kolej na bycie pomocną, silną.

– Spokojnie, Sal. Liam to wojownik. Daleko mu do idioty. Powiem ci, co zrobił... wynegocjował miejsce na pokładzie i wypłynął poza nasz zakres wyszukiwania, to wszystko. Wkrótce znowu trafimy na jego sygnał.

Sal kiwała głową.

– Tak... tak, pewnie tak. – Podniosła na Mads pełen nadziei wzrok, na jej twarzy widniały rozmyte smugi sadzy.

– No i masz babo placek. – Uśmiechnęła się Maddy. – Teraz obie wyglądamy jak zaryczane przedszkolaki.

Rozdział 12

Londyn
rok 1889

Siąpiący deszcz. Nieustający szelest mżawki, przerywany ciężkim mlaskaniem obłych, rozlazłych kropel skapujących z framugi drzwi w kałużę u jej stóp. Sal obserwowała z progu, jak Farringdon Street rozpoczyna następny pracowity dzień. Piękny śnieg zamieniał się w depresyjnie szarą breję.

Dziś rano miała towarzysza. W progu obok niej stał wysoki, chudy jak patyk młodzieniec, pomocnik ich gospodarza.

– Szczerze nienawidzę deszczu – rzekł Bertie. – Przeklęty lodowaty deszcz. Włazi ci to pod kapotę, wszędzie.

Sal przytaknęła. Jeszcze wczoraj Londyn wyglądał jak z pocztówki, dzięki pięknej, śnieżnej pokrywie i błękitnemu niebu.

Bertie posłał jej nieporadny uśmiech. Chciał powiedzieć coś, co przerwałoby niezręczne milczenie.

– Jak doktorowi idą eksperymenty w tym waszym loszku? – spytał, ruchem głowy wskazując zalegający za nimi mrok.

– Och, sam wiesz... świetnie.

– Współczesna nauka to taki fascynujący temat. Czuję, że żyjemy w prawdziwie błogosławionych czasach. – Bertie potrząsnął głową z zachwytem. – Nie ma miesiąca, żeby w czasopiśmie naukowym nie publikowano informacji o przełomowym odkryciu bądź wynalazku.

Błada skóra chłopca rozciągnęła się w uśmiechu. Nie był to cyniczny,

lubieżny uśmiezek młodzieńca próbującego wywrzeć wrażenie na młodej damie, raczej wyraz niewinnego zachwytu. Chłopięcego zachwytu nad światem pełnym nieograniczonych możliwości.

– Gdy patrzę na żarówki i inne urządzenia wykorzystujące energię elektryczną, na warkotliwe bezkonne powozy, grające gramofony... wtedy czuję, jakbym patrzył bezpośrednio w przyszłość. To wspaniałe. – Spojrzał na nią. – Powiedz, zastanawiasz się czasem, jak będzie wyglądała odległa przyszłość? Na przykład – ręką wskazał ulicę – jak za sto lat będzie wyglądał Londyn? Albo za sto pięćdziesiąt lat?

„Sto pięćdziesiąt lat? – Przeprowadziła w myślach szybki rachunek dodawania. – Dwa tysiące trzydziesty dziewiąty”.

– Ja myślę, że wszystkie te brudne cegły i kocie łby dawno znikną. Zastąpią je wysokie, lśniące wieże z marmuru i stali. Być może każdy człowiek na ziemi będzie miał własny bezkonny powóz. – Podniósł wzrok na deszczowe chmury. – Przypuszczam, że niebo zaroi się od latających machin transportujących ludzi z wieży do wieży. Wożących ich do pracy. Kto wie? Niewykluczone, że nikt nie będzie nawet musiał pracować! Wszystko będą za nas robiły maszyny, mechaniczni służący! – Zaśmiał się. – To dopiero byłby spektakl!

Sal skinęła za nim głową.

– A pani, panno Vikram? Jaka jest pani wizja przyszłości?

Zastanawiała się, jaką mu dać odpowiedź. Że przyszłość okaże się zupełnie niewesoła? Że pod wieloma względami już teraz, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, posiano ziarna, z których wykiełkuje apokalipsa ludzkości? Świat epoki wiktoriańskiej – świat Bertiego – był już o krok od odkrycia potencjału ropy naftowej – bezkonkurencyjnego źródła energii. To dzięki niej dwudziesty wiek przyspieszy. A bomba demograficzna eksploduje. Podobny do hardego, więdnącego chwastu w doniczce, pasożytującego na świeżo rozrzuconym nawozie z grzybów, świat rozkwitnie i rozrośnie się do rozmiarów za dużych dla swej małej doniczki. Później, po wysączeniu wszystkich składników z gleby, obróci się przeciwko sobie, zacznie pożerać własne kłaczka, aż wreszcie zginie.

Zastanawiała się, jak mu powiedzieć o tym, że już teraz zegar ludzkości odmierza pozostały do kresu czas.

– Myślę, że przyszłość będzie... interesująca, Bertie.

– Herbercie. – Wzruszył ramionami z zażenowaniem. – Nienawidzę tego, że Del zawsze przedstawia mnie imieniem Bertie. Tak to można wołać na teriera.

– Przepraszam cię bardzo, Herbercie.

Zbagatelizował przeprosiny machnięciem ręki, dając do zrozumienia, że nie ma się o co obrażać.

– To ekscytujące wyobrazić sobie, że podróżowanie w przyszłość jest możliwe. Na własne oczy móc zobaczyć, jak ona wygląda. – W oczach chłopaka zatańczył płomień. – Pomyśl tylko! Być może za sto pięćdziesiąt lat od dzisiaj ludzie wymyślą pojazd, który zabierze nas na inne planety. Na Księżyc... na Marsa! Wyobraź sobie tylko! Planety, na których żyją inne inteligentne istoty, które obserwują nas, zastanawiając się, kim jesteśmy. Wspaniała myśl!

Podróżowanie w przestrzeni. Sal skinęła głową i uśmiechnęła się ponownie, nie chcąc odzierać go z futurystycznego optymizmu i ujawniać, że ludzkości uda się dotrzeć tylko na powierzchnię najbliższego sąsiada, Księżyca. Pospacerować po kraterach, pozbierać trochę kamyków, wetknąć w powierzchnię srebrnego globu flagę, a potem wrócić do domu. Tak będzie wyglądał szczyt chwały gatunku ludzkiego, nasza największa wyprawa poza granice tego świata; zostawimy po sobie jedną, zakurzoną flagę amerykańską i odciski stóp, których ze sterylnej, martwej skały nigdy nie zwieje żaden podmuch wiatru. Odciski stóp, które z całą pewnością przetrwają gatunek ludzki.

– Hej, Sal! Sal! – z mroku echem przyplłynął głos Maddy. – Sal! Znaleźliśmy ich!

Maddy, potykając się, wyszła z lochu; o ceglana ścianę mocno uderzyły niskie drewniane drzwi.

– Złowiliśmy sygna... – Zauważyła, że Sal ktoś towarzyszy.

– Ach! Przepraszam... Ja... – Szeroko rozwarła usta. Zapadła krępująca cisza. Herbert spojrzał na nią, potem na Sal.

– Ach, mniemam, że znowu chodzi o wasze tajemnicze eksperymenty naukowe.

Sal posłała mu ciepły uśmiech.

– Przepraszam, Herbercie, chyba powinnam się poże...

– Tak. Tak, oczywiście. – Skinął głową i skłonił się lekko. – Pilne sprawy do załatwienia. Przyjemnie się z panią rozmawiało, panno Vikram.

– Sal – odparła z uśmiechem. – Proszę mówić do mnie Sal. – Uścisnęła podaną rękę. – Przyjemność po mojej stronie.

Maddy pożegnała Herberta szybkim skinieniem ręki, popchnęła Sal do środka, po czym zamknęła i zaryglowała drzwi.

– Komputer-Bob złowił sygnał – powiedziała, prowadząc Sal do biurka i monitorów.

– Gdzie oni są?

Maddy usiadła w bujanym krześle.

– Komputerze-Bob?

> **Słucham, Maddy?**

– Wyświetl współrzędne geograficzne.

Monitor po prawej stronie zamigotał, na ekranie pojawił się szereg cyfr, w których obie dziewczyny rozpoznały sygnaturę czasowo-lokalizacyjną. Sal, zmrużywszy oczy, spytała:

– Tydzień po pożarze? Dobrze interpretuję te cyfry?

Maddy skinęła głową, marszcząc brwi.

– Tak, o to chodzi.

– A lokalizacja? Średnio sobie radzę z rozszyfrowywaniem tych wszystkich numerów. To nie Londyn, prawda?

– To nie stolica, bankowo. Komputerze-Bob, przenieś, proszę, te współrzędne na mapę.

> **Potwierdzam.**

Na kolejnym ekranie wyskoczyła mapa świata, a sekundę później rozbłysła na niej czerwona kropka. Maddy zareagowała parsknięciem. Nie był to śmiech, raczej nosowe prychnięcie.

– Co to do cho...?

Sal zmeła w ustach przekleństwo. Nie hinduskie, jedno z tych, które zdążyła podłapać wśród przewalającego się tłumu londyńskich dokerów i handlarzy. „Jojczyć to”.

Zerknęła na Maddy.

– Co oni robią na samym środku Kanału La Manche?

Maddy uniosła brew.

– Cholera wie.

Rozdział 13

Gdzieś przy angielskim wybrzeżu rok 1666

– Ruszać zadki, czorty bladodupe, kapitan chce się wam przyjrzeć.

Liam podniósł wzrok na marynarza, który nienawistnie patrzył na nich z góry. Twarz wilka morskiego zakrywała broda, spomiędzy której wystawał purpurowy, kartoflowaty nos, przypominający jajko spoczywające na dnie gniazda. Liam zgadywał, że drab równie dobrze może mieć trzydzieści co pięćdziesiąt lat, ale trzeba pamiętać, że w tym stuleciu wszyscy wyglądali na co najmniej dekadę starszych niż w rzeczywistości.

– No, podnieśże tego kulasa! – warknął, trącając Liama butem.

Chłopiec pierwszy zerwał się na nogi i podał Liamowi rączkę, żeby pomóc mu wstać. Liam podziękował uśmiechem. Ten gest – wyciągnięta ręka – był pierwszym od czasu ucieczki z pożogi sygnałem, że chłopiec w ogóle dostrzega jego obecność. Irlandczyk chwycił podaną dłoń i stękając podniósł się na nogi. Głowa wciąż pękała przy każdej próbie poruszenia. Rashim ruszył za nimi, wszyscy kolejno wspięli się po drabinie i wyszli na światło dnia.

– Dobry Boże – wymruczał Rashim.

Liam powiódł wzrokiem wzdłuż pajęczej sieci want, zbiegających się w jednym punkcie piętnaście metrów wyżej, tuż pod bocianim gniazdem. Grotzagiel wydał się jak balon i odrobinę zmarszczył, wypełniony bardzo hojnym podmuchem mocnego, zachodniego wiatru. Główny pokład wrzał od roboty. Na krótki moment tętniący życiem statek zamarł, gdy wszyscy żeglarze, a było ich około stu, w jednej chwili oderwali się od pracy, żeby na

nich spojrzeć.

– No, jazda, gąski! – krzyknął prowadzący jeńców marynarz. – Od kiedy to płacą wam za gapienie się jak stare prukwy?!

– Złamanego pensa jeszcze nie dostał! – krzyknął ktoś z górnego pokładu.

– W rzyć cię zara kopnę w ramach zapłaty, Thomas, jeśli mi migiem nie naprężysz tych poluzowanych lin! – Wilk morski wyrzucił z ust strumień bluźnierstw i machnął na Liama i resztę jeńców. – Chodźtaże! Tędy!

Ruszyli przez krąg siedzących po turecku na pokładzie mężczyzn, splatających ze sobą końce liny, samych brodaczy o ogorzałych twarzach. Liam z przepaszającym uśmiechem na ustach powtarzał tylko: *pardon, pardon*. Wprowadzono ich po schodkach na rufę statku, na mniejszy podwyższony pokład. Stojący przy rumplu sternicznym mężczyzna o ogorzałej od słońca twarzy i w granatowym kaszkiecie odwrócił się do nich z uśmiechem.

– Świeże mięsko, co?

– Noo – odburknął strażnik, mijając go. Przystanął przy małych dębowych drzwiach i zastukał.

– Kapitanie Teale! Przyprowadziłem pańskich gapowiczów!

Z wnętrza kajuty dobiegł stłumiony głos. Strażnik szybko otworzył drzwi i schylił głowę, wpuszczając zakładników do środka. Wzrok Liama szybko przyzwyczał się do panującego wewnątrz mroku. Znaleźli się w długiej na sześć i szerokiej na cztery metry kajucie, która zwężała się na drugim końcu. Wzdłuż jej tylnej ściany biegł szereg oprawnych w ołów okienek, które wpuszczały do wnętrza skąpą ilość światła. Na krześle siedział kapitan statku; pochylał się nad rozłożoną na stole mapą nawigacyjną, a jego twarz skrywało opadające rondo trikorna.

Podniósł na nich wzrok i Liam wreszcie ujrzał jego twarz. W odróżnieniu od pozostałych marynarzy, których zdążył zobaczyć, twarz kapitana sprawiała wrażenie odrobinę delikatniejszej, odrobinę pulchniejszej i odrobinę mniej ogorzałej. Nosił brodę i wąsy, równiutko przycięte wokół

ściągniętych ust; długą brodę splatał w schludne warkoczyki związane żółtymi wstążeczkami.

– Nazywam się kapitan Jack Teale. Jestem kapitanem tego statku, „Clary Jane”. – Przez chwilę badawczo się im przyglądał. – Popatrzmy... – rzekł wreszcie – najwyraźniej nie należycie do gatunku ludzi, których poznacie na tym pokładzie: lubieżnych szumowin i łajdaków. – Zerknął na Rashima. – Obecny tu pierwszy oficer szepnął mi słówko na pana temat, sir, twierdzi mianowicie, że jest pan zamożnym gentlemanem.

– Sądzę... hmm... sądzę, że zeszłej nocy zaszło jakieś tragiczne nieporozumienie. – Błagalnie spojrzał na Liama. – Kiedy zostaliśmy uratowani.

– Właśnie tak – przerwał Liam. – Znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, nie inaczej. Pożar w Londynie kompletnie wymknął się spod...

– Ależ w rzeczy samej. Widziałem na własne oczy. Spektakularne widowisko. Tragiczne wręcz. – Przyznał Teale, wzruszając ramionami. – Ale jakie możliwości przed nami otworzyło. Na przewożeniu i „ratowaniu” ludzi zbiliśmy tamtej nocy małą fortunę. Na was za to nic nie zarobiliśmy. Wystaraliście się o miejsce na pokładzie, stosując metody, których żadną miarą nie można nazwać uczciwymi, tak mi to przedstawiono.

– Przykro mi. – Teraz Liam wzruszył ramionami. – Coś trzeba było zrobić. Inaczej spłonęlibyśmy żywcem.

Kapitan Teale uśmiechnął się.

– Nie mogę was za to winić. Postąpiłbym dokładnie tak samo, gdybym kiedyś znalazł się w podobnej niedoli. – Usiadł z powrotem na krześle, zdjął trikorn i podrapał się po czaszce pod długimi czarnymi włosami, które, tak jak brodę, plótł w grube warkoczyki. – Fakty są takie, że nie jestem filantropem, jestem przedsiębiorcą, statek ten jest natomiast prywatną inwestycją. Czujcie się zatem w obowiązku uiścić opłatę transportową, ponieważ bez niej żadnego z was trzech stąd nie wypuszczę.

– Uiścić opłatę transportową? – Liam spojrzał na Rashima, a potem znów na Teale’a. – Mamy dołączyć do załogi?

– Chwytasz w lot.

– Uch, mogę tylko spytać... na jak długo?

Kapitan Teale zignorował go. Zdążył już przenieść wzrok na Rashima.

– Sir. Czy jesteś pan gentlemanem?

Rashim bojaźliwie skinął głową, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Gentlemanem bez grosza przy duszy najwyraźniej. – Teale postukał palcami w stół. – Niedobrze to dla pana. Ale zakładam, że jesteś pan wykształcony? Orientuje się pan w bieżących wydarzeniach? Zna pan słowa i cyfry? Języki? Naukę?

– Tak. Tak... oczywiście.

– Cudownie – odpowiedział Teale. – Żywię nadzieję, że okaże się pan dobrym interlokutorem i przeprowadzimy niejedną miłą konwersację. Te bestie na pokładzie mają tylko odrobinę więcej oleju w głowie niż ogolone małpy. Dobre to nicponie, nikt nie zaprzeczy, ale żaden z nich za gentlemiana uchodzić nie może. – Skupił wzrok na kamizelce Rashima. – Ośmielę się zauważyć, sir, że nosi pan kunsztowny kaftan. Nigdy wcześniej nie widziałem tak wysmakowanego kroju.

– To... hmm... tak się teraz nosi we Włoszech, to najnowsza moda.

Teale z uznaniem ściągnął usta i uniósł brwi.

– Naprawdę? – Wstał i podszedł do stołu nawigacyjnego, nieporadnie objając swoje biodro o jego róg. – Do stu piorunów! Te przeklęte statki to same twarde krawędzie i ostre rogi.

Stanął naprzeciwko Rashima, rozcierając piekące udo. Wyciągnął dłoń i przebiegł palcami po wysmienitym jedwabiu.

– Milusi. Zdejmij to, dobry człowieku.

Rashim niespokojnie zerknął na Liama. W kamizelce znajdował się transponder, ukryty pod poszewką wewnętrznej kieszonki.

– Wolałbym się z tym nie rozstawać, okej?

Teale uniósł brew.

– O-kej? – Pierwszy raz słyszał to słowo. – Och-kej? Co to za słowo?

Włoskie?

– Nie, nie do końca.

Teale przekrzywił głowę.

– Dostanę to odzienie, jeśli łaska.

– Naprawdę wolałbym się z nim nie rozstawać.

– Ściągniesz to z siebie albo poproszę pana Reynoldsa, żeby je z ciebie zdarł. – Teale wzruszył ramionami. – A szczerze mówiąc, delikatnych łapek to on nie ma. Odnotowalibyśmy niepowetowaną stratę, gdyby taka piękna rzecz się rozdarła, nieprawdaż?

Rashim popatrzył na marynarza, który ich eskortował. Mężczyzna uraczył go spojrzeniem spode łba i warknął. Naprawdę warknął.

– Dobrze, już dobrze. – Rozpiął kamizelkę i zawahał się, zanim oddał część garderoby. Przez chwilę Liam miał wrażenie, że Rashim poprosi o możliwość zatrzymania transpondera. Ale to byłoby głupie. Kapitan pomyliłby go pewnie z cennym przedmiotem i również nalegał na zatrzymanie przy sobie.

Teale wziął kamizelkę, nałożył na swoją ciemnoczerwoną koszulę i zapiął pod szyją.

– Prześliczna rzecz. Prześliczna, w rzeczy samej. – Uśmiechnął się, dość przyjaźnie, do Rashima. – Dziękuję. Potraktujmy ten prezent jako pierwszą ratę spłaty należnej mi sumy, zgoda?

– Czy mogę spytać, jak długo planuje nas pan przetrzymywać na pokładzie? – dopytywał się Liam.

Teale odwrócił się do niego.

– Cóż, sir, wszystko zależy od tego, w jakim tempie nasze towarzystwo handlowe będzie generowało zysk.

– A czy można spytać, hmm... jaki jest zakres działalności tego towarzystwa handlowego?

– Czy twój sługa zawsze zadaje tak cholernie przedwczesne pytania? – spytał Rashima.

– Ja... tak, tak mi się wydaje.

– Spuszczasz regularne lanie temu impertynenckiemu nicponiowi?

– Nie. Nie spuszczam mu lania. Nie tak wyglądają nasze relacje...

– Jeżeli rzeczywiście dajesz mu zatrudnienie, sir – Teale wyglądał na zaskoczonego – a on pobiera pensję, to przysługuje wszak panu pełne prawo lać łapserdaka.

– Nie. – Rashim spojrzał na Liama. – Nie jesteśmy zwykłym panem i służącym. Łączy nas przyjaźń. To mój towarzysz podróży.

– A ten chłoptaş? Czyją jest własnością?

– To kolejny towarzysz – odparł Rashim.

– Towarzysz, co? – Teale potrząsnął głową, nie mogąc się nadziwić osobliwości tego wszystkiego, po czym odwrócił się do Liama. – Ponieważ właśnie zostałeś członkiem załogi, będziesz zwracał się do mnie per kapitanie albo – tylko jeśli będę w łagodnym nastroju – per szyprze.

Liam skinął głową.

– Tak jest, kapitanie. Czy mogę spytać, czym zajmuje się to towarzystwo handlowe?

– Skoro nalegasz – odpowiedział Teale, wzdychając z rezygnacją. – Nasze przedsiębiorstwo pomaga przeładowanym hiszpańskim statkom handlowym pozbyć się zbędnych ładunków.

– A zatem to statek piracki? – spytał Rashim.

– Dobry Boże, sir, ależ nie! – ostro odrzekł Teale. – Nie zajmujemy się... działalnością kryminalną! Skąd, to okręt kaperski. Mamy błogosławieństwo króla!

– Eee, jeszcze nie mamy – burknął Reynolds.

Teale zbył tę uwagę machnięciem ręki.

– Pff! To tylko formalności. Niebawem zaradzimy temu błahemu niedopatrzaniu. – Odwrócił się do Liama. – A w międzyczasie mój pierwszy oficer, obecny tu Reynolds, znajdzie waszej trójce zajęcie. Nie jestem pewien, co to dokładnie będzie... zapewne wiązanie kilku metrów brudnej

liny.

Postąpił krok do tyłu, spuścił pełen zachwytu wzrok na swoją nową kamizelkę i wygładził ją.

– No, a teraz zmiatać mi stąd, wszyscy trzej. Postarajcie się być użyteczni.

Reynolds wyprowadził ich z kapitańskiej kajuty. Zgarbiwszy się, przeszli przez niskie drzwi i wyszli na podwyższony pokład rufowy. Liam objął wzrokiem całą długość okrętu: wszystkie żagle były już rozłożone i wydęte wiatrem, łódź pruća niespokojne fale z dużą prędkością, po obu stronach dziobu bryzgała słonawa mgiełka.

Reynolds wyszczerzył się w bezzębnym uśmiechu.

– Kuniec pierdyczenia, kurczaczki, teraz jesteście moje.

Rozdział 14

Londyn
rok 1889

– To kompletne szaleństwo! Gdzie oni płyną?

Maddy i Sal patrzyły na monitor. Komputer-Bob stracił sygnał. Ostatnie blipnięcie zarejestrował w pobliżu pomarszczonego wybrzeża Kornwalii. Stracił je, ponieważ sygnał – najwyraźniej emitowany ze statku – mógł podążać w dowolnym kierunku. Na północ i w kierunku Morza Irlandzkiego. Na południe, w kierunku francuskiego wybrzeża. Na zachód, prosto na Atlantyk, albo w innych niezliczonych kierunkach zgodnych ze wskazaniem kompasu. Przez ostatnie siedemnaście godzin komputer-Bob systematycznie przeczesywał morze na południowy zachód od wybrzeży Anglii, rozrysowując spiralne półkola od ostatniego punktu, w którym odnotowali ich obecność na ekranie. Do wyszukiwania używał siatek z dziesięcioma polami, a następnie przesunął je o jeden dzień w stosunku do ostatniej lokalizacji. Im bardziej Liam i Rashim oddalali się w czasie i przestrzeni od ostatniego punktu, tym większe prawdopodobieństwo, że na zawsze stracą ich z pola widzenia.

Siedemnaście godzin pełnego udręki wyczekiwania, obserwowania, jak komputer-Bob skrupulatnie generuje kolejne siatki i przenosi je na mapę Oceanu Atlantyckiego. Kwadraty oznaczone kolorami wskazywały przeszukane lokalizacje, paliły się na nich daty, dla których przeprowadzono wyszukiwanie. Do pewnego stopnia była to zgadywanka: z jaką prędkością może podróżować siedemnastowieczny statek? Czy przemieszcza się w linii prostej? A może zygzakiem, często zmieniając kierunek podróży?

Zgaduj-zgadula. Właśnie to niepokoiło ich najbardziej. Domysły. Bazowali na przypuszczeniach. Ale teraz, po tylu godzinach nadziei i obserwacji przerywanej tylko na krótki sen, wreszcie trafili na ich ślad. Znowu.

Sal spojrzała na żarzący się na ekranie kwadracik. Znajdował się w dwóch trzecich szerokości Atlantyku. Zgodnie z sygnaturą czasową dla Liama i Rashima upłynęły cztery miesiące.

– Cztery miesiące? – Sal potrząsnęła głową. – Okręty płyną przez Atlantyk znacznie szybciej.

– Raczej. Stare okręty wcale nie były takie wolne. Może cumowali w innym miejscu. Albo przepłynęli ocean, wrócili i wypłynęli znowu. Sama nie wiem.

– Nieważne, wreszcie ich zlokalizowaliśmy, dlaczego po prostu nie otworzymy okna, żeby sprowadzić ich do domu? – spytała Sal.

Maddy potrząsnęła głową.

– Nie możemy: sygnał to ruchomy cel. Pomyśl tylko, Sal. Otworzymy portal, przejdziemy przez niego, i co? Najprawdopodobniej wylądujemy w oceanie tuż za statkiem, zamiast na jego pokładzie.

– Maddy ma słuszość – dodał Bob. – Nawet zakładając, że portal otworzy się nad pokładem, ale statek będzie pozostawał w ruchu, istnieje ryzyko konfliktu gęstości: zlepimy się z częścią konstrukcyjną okrętu albo, co gorsza, z jednym z członków załogi.

– Racja. A ja nie mam ochoty zlać się w jeden organizm z przepełnionym majtkiem – odparła Maddy, żując zapałkę. Jakże tęskniła za plastikowymi skuwkami długopisów, które lubiła obgryzać do wyszczerbionego koniuszka.

– Wystarczy śledzić ich kurs. Muszą zacumować w jakimś porcie albo zatoce, gdziekolwiek. To przecież stary, siedemnastowieczny żaglowiec, będą musieli uzupełnić zapasy jedzenia i wody, odpocząć na lądzie.

Bob kiwał głową.

– Spokojnie czekać, aż cel zamieni się w stacjonarny punkt. To optymalny plan działania.

– Trzeba się przyczać, Sal. Przyczać i za wszelką cenę nie stracić ich z radaru. Póki co są na pełnym morzu, prawdopodobnie będą płynąć w linii prostej, bo wokół nie ma żadnych niebezpieczeństw, przed którymi musieliby uciekać.

Na jednym z monitorów pojawiło się okno dialogowe komputera-Boba.

> Potwierdzam. Wznowiłem wyszukiwanie od bieżącej lokalizacji, cofnąłem czas i współrzędne, dzięki czemu zdołałem zidentyfikować trzy inne lokalizacje, które przeciął sygnał.

Na mapie Atlantyku czerwono zapłonęły trzy kwadraty. Każdy wskazywał odstęp kilku dni. Wszystkie pola znajdowały się mniej więcej w linii prostej. Linia styczna z kierunkiem kursu zjeżdżała w dół, wskazując okolice południowego wybrzeża Ameryki, koniuszek Florydy.

Sal zmarszczyła brwi.

– Płyną na Florydę? Co tam jest?

– Disneyland! – odparł SpongeBubba. Jednostka, z nudy i ciekawości, przyczłapała do zgromadzonej przy biurku drużyny. – Skippa jedzie do Disneylandu!

Sal spojrzała na Maddy.

– Wiesz, jak wyłączyć tę porąbaną zabawkę?

– SpongeBubba? Otwórz nowe menu poleceń administratora tymczasowego.

SpongeBubba wywrócił oczami i wbił wzrok w Maddy.

– Hasło?

– Obi-Wan Kenobi – Zerknęła na Sal. – Rashim mi zdradził.

– Co to w ogóle znaczy?

– Oj, Rashim to straszny nerd. – Maddy cmoknęła z dezaprobatą i odwróciła się do SpongeBubby. – Gotowe?

– Udostępniono dodatkowe opcje menu. Zamieniam się w słuch.

– Przejdź do trybu czuwania.

Jednostka laboratoryjna lekko oklapła, serwomotory zaszumiały, robot zamarł.

– Rashim dał mi też listę poleceń. – Maddy wróciła do pilniejszych spraw, chwyciła myszkę i zaczęła przewijać mapę na ekranie.

– Floryda. Choć równie dobrze mogą zmierzać w kierunku Bahamów. – Zrobiła lekkie zbliżenie. – Albo na dowolny atol na Karaibach. – Zasepiła się. – Masakra, patrzcie. Tutaj jest pierdylion wysp. Jeśli gdzieś między nimi zmienia kurs, bardzo łatwo ich zgubimy. – Skrzywiła się. – Gdybyśmy wiedzieli o ich położeniu odrobinę więcej, na jaki typ statku trafili, zyskalibyśmy wskazówkę, gdzie zmierzają.

– Informacja – odezwała się Beki. – Mogą być martwi.

Dziewczyny poraziły ją wzrokiem.

– Na litość boską, Beki!

Popatrzyła na nie niewzruszenie.

– Maddy, należy rozważyć taką ewentualność. Z ich perspektywy upłynęły już cztery miesiące.

Maddy wypluła spomiędzy zębów małą drzazgę.

– Nie uśmiercajmy ich przedwcześnie, co? Liamowi udało się przeżyć dłuższe okresy niedoli i to w znacznie niebezpieczniejszych czasach.

Beki przytaknęła.

– Dobra. – Odwróciła się do mapy. – Po prostu chciałabym wiedzieć więcej o tym okresie historycznym. Rozumiecie... a nie tylko polegać na informacjach z bazy danych. Których i tak prawdopodobnie nie ma zbyt wiele.

– Utwórzmy widok szczelinowy – powiedziała Sal. – Spróbujmy wygenerować możliwie najbardziej szczegółowy widok terenu – dodała, wskazując głową pulsujący punkt na ekranie. – Przy odrobinie szczęścia uda nam się dostrzec Liama.

– Dobry pomysł. – Maddy w zamyśleniu pokiwała głową. – Warto spróbować. – Nachyliła się. – Komputerze-Bob, jak precyzyjny jest sygnał?

> **Mogę posłużyć się metodą triangulacji i zeskanować ostatni sygnał. Prawdopodobnie uzyskamy dość szczegółowy obraz.**

– Jak szczegółowy? To znaczy zrobimy zdjęcie z odległości metra od

transpondera? Stu metrów? Kilometra? Jaka to będzie wartość?

> **Najpierw przeprowadzę obliczenia, później udzielię dokładnej odpowiedzi.**

Maddy, sfrustrowana, przygryzła usta.

– Dobra, zajmij się tym. Ciekawe, czy uda się tam zajrzeć.

> **Potwierdzam.**

Godzinę później ustalili proponowaną lokalizację: szereg współrzędnych, które według obliczeń Boba znajdowały się w obrębie pięćdziesięciu metrów od źródła sygnału.

– Pojedynczy sygnał. Tylko tyle mamy – powiedziała Maddy.

– Liama czy Rashima?

– Transpondery nie są aż tak zindywidualizowane, Sal. Rashim skonfigurował je tak, aby zostawiały ślad w postaci tachionowej strużki, tylko tyle. Nie można stwierdzić, czyja to strużka, niestety.

Nikt nie ośmielił się powiedzieć, czyj sygnał wolałby namierzyć.

– Jeden z nich mógł ulec awarii lub uszkodzeniu – dodała. – A oni wciąż są razem.

– Tak, oczywiście. – Sal pokiwała głową.

– Okej, Bob, strzel fotkę, sprawdzmy, na czym stoimy.

> **Potwierdzam.**

Odległy rytmiczny stukot emitowany przez generator Holborna chwilowo zagłuszył szum energii tłoczony do urządzenia translukacyjnego. Nie upłynęła sekunda, a furkot ustał. Na jednym z monitorów zaczął się wyłaniać rozpixselowany obraz. Czekali, aż po kilku sekundach samoczynnie wyregulowała się rozdzielczość, a na ziarnistym zdjęciu pojawiły się wyraźniejsze kontury.

Kwadrat oceanicznego błękitu.

– Morze – wyszeptała Sal. – Jahulla! – zaklęła, zapominając na moment o swojej przysiędze, aby nie używać języka hindi, w którym została zaprogramowana. – Nie trafiliśmy w statek!

– Niekoniecznie. Może zwyczajnie musimy dostosować kąt widzenia. Bob,

uda ci się zmienić kąt zdjęcia?

> Tak, Maddy.

Rozbrzmiał kolejny sekundowy szum, a chwilę potem obok pierwszego zdjęcia powoli wyłoniło się drugie. Błękit, znowu, ale tym razem obraz ukośnie przecięła czarna smuga.

Zerknęła na Sal.

– Co to według ciebie jest?

– Lina?

Hinduska skinęła głową. Tak, możliwe. Wygląda na fragment takielunku. Drewniany maszt. Coś przypominającego łódź, zgadywała.

– Oj, jesteśmy zdecydowanie za blisko. Zrobimy kolejne zdjęcie? Oddal szczelinę o... niech pomyślę... dwadzieścia, trzydzieści metrów?

> Możemy zrobić wyraźniejsze zdjęcie, Maddy. Ale za każdym razem, gdy otwieramy szczelinę, wystrzelamy własny mały ślad cząsteczek. To pogarsza precyzję.

– Zrób jeszcze jedno. Cofnij kamerkę o dwadzieścia metrów, wychwyćmy więcej szczegółów.

Komputer-Bob po raz ostatni wtoczył do wehikułu translokacyjnego mały ładunek energii, sekundę później na ekran wypłynęły powoli zlewające się w całość fragmenty trzeciego zdjęcia. Tym razem obraz był dość wyraźny: łódź. Bardzo mała, tylko trochę większa od pontonu: samotny maszt i trójkątny kawałek płótna. Na rufie siedziała postać, widać było jej głowę, ramiona, kapelusz.

Maddy, zmrużywszy oczy, próbowała wyłowić nieistniejące szczegóły, przyglądała się rozpixselowanemu zdjęciu.

– Liam? Czy to Liam?

– Tylko jeden z nich – powiedziała Sal.

– W łodzi może być ktoś jeszcze, poza polem widzenia. Ktoś kto leży na plecach, śpi, cokolwiek.

– Bob, zrobisz zbliżenie?

> Informacja. Precyzja już jest bardzo słaba. Jeśli podejmiemy zbyt blisko, narazimy na niebezpieczeństwo postaci ze zdjęcia.

Miał całkowitą rację, oczywiście. Zbyt duże zbliżenie, wraz ze zmniejszającą się przy każdym zdjęciu precyzją wiązki, mogło doprowadzić do aktywacji miniportalu we wnętrzościach postaci, kimkolwiek by ona była, a to, prawie na pewno, spowodowałoby jej śmierć.

– Anonimowy rozbitek w łupince na środku Morza Karaibskiego. Lepiej nie ryzykować.

– Nie wygląda to dobrze – oceniła Sal. Ponownie przyjrzała się obrazowi.
– Czy to w ogóle Liam albo Rashim?

Maddy nie potrafiła stwierdzić. Widziała jedynie plamę rozmazanych pikseli przypominających głowę i ramiona; nawet gdyby obraz miał większą ziarnistość i można było wyłowić z niego więcej szczegółów, twarz postaci i tak kryła się pod rondem trójgraniastego kapelusza. Tą ciemną smugą tak naprawdę mógł być każdy.

– Dość, średnio to pomaga. Musimy śledzić sygnał do momentu, aż się gdzieś na dobre zatrzyma. Tymczasem powinniśmy nadrobić lektury, podciągnąć się w historii. – Podniosła wzrok na Sal i dwie jednostki pomocnicze. – Idź do czytelnicy w British Museum. Weź ze sobą tych dwóch knypków i poszukajcie historycznych książek o piratach. Niech je zeskanują i przefiltrują dla ciebie informacje.

Ponownie skupiła wzrok na Bobie i Beki, którzy stali za nimi jak bezużyteczne manekiny.

– Poza tym najwyższa już pora wyprowadzić naszą parę bestyjek na codzienny spacer.

Rozdział 15

Londyn
rok 1889

Sal kręciło się w głowie. Całe popołudnie spędziła wraz z jednostkami pomocniczymi w czytelni British Museum, przekopując się przez wszystkie książki o korsarstwie, które udało się odnaleźć bibliotekarzowi. W odróżnieniu od współczesnych encyklopedii lub baz danych, tutaj informacje uporządkowano – o ile w ogóle – dość umownie: była to prawdziwa zbieranina osobistych relacji, biografii, wątpliwej wiarygodności dzienników pokładowych – prawdopodobnie fikcyjnych, sprawozdań sądowych, pamiętników, listów gubernatorów i ambasadorów. Większość tych dokumentów spisano językiem pełnym ozdobników i swobodnie stosowanej ortografii, dlatego należało przeczytać je kilkakrotnie, aby rozszyfrować znaczenie słów.

Czterokołowy powóz ze stukotem przejechał przez szyny tramwajowe. Skręcili z Southampton Row na High Holborn.

– Może przynajmniej wam dwojgu udało się coś zrozumieć z tych wszystkich książek?

– Potwierdzam – zadudnił Bob.

– Segregujemy dane – odparła Beki, trzepocąc powiekami jak bohaterka powieści Jane Austen, na chwilę przed teatralnym omdleniem.

– Tworzymy bazę danych z informacjami na temat społecznych, politycznych i gospodarczych realiów tysiąc sześćset sześćdziesiątego siódmego roku.

– Ze szczególnym uwzględnieniem aktów korsarstwa w Indiach

Zachodnich, na Karaibach i na Oceanie Indyjskim – dodała Beki.

– Genialnie – odparła Sal, potakując głową. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, dlaczego jej „projektant”, kimkolwiek był, nie pomyślał o wyposażeniu jej w skomputeryzowany umysł. Chociaż, jeśli się głębiej nad tym zastanowić, miało to sens. Bob i Beki byli zasadniczo chodzącymi, oddychającymi i pierdzącymi komputerami. Jednostki, zaprojektowane pod kątem przetwarzania danych, nie radziły sobie z myśleniem intuicyjnym. Świadomość ta w pewnym sensie krzepiła. Może jednak jest człowiekiem w większym stopniu niż to ostatnio czuła. Bardziej człowiekiem niż „produktem”.

– No to z czym musi się teraz mierzyć Liam?

Powóz zaskrzypiał, gdy Bob przekreślił się w skórzanym fotelu, by lepiej na nią spojrzeć.

– Potrafisz sformułować precyzyjniejsze pytanie, Sal?

– Nie. Nie bardzo. Nic nie wiem na temat tych czasów. To znaczy... – Ze złością zastukała obleczonej w rękawiczkę palcami o parapecik karocy. – Czy trwa tam wojna?

– Tak, jest wojna – odparła Beki. – Wojna zastępcza pomiędzy Anglią a Hiszpanią. Scena walki to liczne szlaki handlowe na Atlantyku. Obie strony próbują wzajemnie uniemożliwić sobie utrzymywanie skutecznych relacji handlowych z koloniami.

– Wojna z Hiszpanią oficjalnie zakończyła się w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym, niedługo po śmierci Olivera Cromwella, który zmarł wczesną jesienią tysiąc sześćset pięćdziesiątego ósmego – dodał Bob. Pytając spojrział na Sal. – Słyszałaś o angielskiej wojnie domowej?

– Nie bardzo – skrzywiła się Sal. – Czy to ważne?

Bob przekrzywił głowę.

– Ważne jest, że po wojnie domowej lord protektor, Oliver Cromwell, wyznający protestantyzm i opowiadający się za świeckością państwa, ideologicznie przeciwstawiał się katolickiemu imperium hiszpańskich Habsburgów. Po śmierci Cromwella w Anglii powstała destabilizująca

próżnia u władzy, przez co zaistniało ryzyko, że kraj po raz kolejny pograży się w odmęcie wojny domowej.

– Bezkrólewie dobiegło końca – podjęła Beki – wraz z restauracją monarchii, po intronizacji króla Karola II. Karol II wyznawał katolicyzm, pragnął przywrócenia pokojowych relacji z Hiszpanią. Tym właśnie sposobem, w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku, wygasła wojna między dwoma krajami.

– Czyli w czasach, w których znalazł się Liam, nie toczy się już żadna wojna?

– Oficjalnie nie – powiedział Bob. – W rzeczywistości oba kraje, potajemnie, w dalszym ciągu przeprowadzają akcje sabotażowe w Indiach Zachodnich, na Karaibach, wzdłuż wybrzeża Ameryki Środkowej. Gubernatorzy kolonii wydają prywatnym okrętom licencje pozwalające swobodnie napadać na statki handlowe pływające pod innymi banderami. Licencje takie nazywano listami kaperskimi.

Beki przytaknęła i kontynuowała wykład.

– Statki z taką licencją nazywano natomiast okrętami kaperskimi. A w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym siódmym gubernator angielskiej Jamajki – sir Tomasz Modyford – wydawał licencję wszystkim statkom, które się o nią ubiegały, tylko po to, by móc atakować hiszpańskie statki handlowe bez ponoszenia konsekwencji prawnych.

– Król Karol II rozkazał swojemu gubernatorowi zaprzestania tych praktyk – powiedział Bob – ponieważ narażało to na szwank pokój z Hiszpanią. Gubernator Jamajki zignorował jednak to polecenie.

– Dlaczego?

Bob spojrzał na nią, załopotany mu powieki, pobierał dane.

– Jamajkę odbito z rąk Hiszpanii stosunkowo niedawno, w tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym roku. Hiszpanie, wbrew zawartemu pokojowi, pragnęli odzyskać wyspę. Gubernator Modyford bał się, że poważą się na atak i spróbują odbić dawne dominia. Jediną metodą obrony wyspy i osady Port Royal – pełniącej funkcję stolicy – było utrzymanie floty okrętów

kaperskich, których kapitanom żywo zależało na pozostaniu pod angielską protekcją: gwarantowała ona bowiem bezpieczną przystań dla wszelkiej maści korsarzy.

Sal skinęła głową.

– Rozumiem. – Odparła i wyjrzała przez zabrudzone okno. Konie, stukając kopytami o bruk, ciężko wjeżdżały właśnie pod High Holborn. – Czyli Liam i Rashim płyną w stronę części świata, gdzie wciąż toczy się wojna?

– Potwierdzam, wojna zastępcza – poprawiła ją Beki. – Prywatna wojna.

Sal westchnęła.

– Dlaczego, gdy już którekolwiek z nas zostaje w przeszłości, zawsze lądujemy w takim bajzlu, gdzie nigdy nie jest spokojnie i bezpiecznie, wiecie... tak miło po prostu?

Jednostki pomocnicze wzruszyły ramionami.

– Nie dysponujemy danymi, aby odpowiedzieć na to pytanie – odrzekł Bob.

Powóz zatrzymał się przed bocznymi drzwiami bazy, w cieniu masywnych, żelaznych łuków wiaduktu Holborn. Sal zapłaciła woźnicy, otworzyła małe półokrągłe drzwi i wpuściła jednostki do środka. Na szczęście ciemny korytarz za nimi był pusty. Zapukała w mniejsze półokrągłe drzwiczki prowadzące do ich lochu.

– Maddy? Halo? Jesteśmy w domu!

Usłyszała dobiegający z wewnątrz niewyraźny odgłos kroków, trzaśnięcie szybko odsuwanej rygla, skrzypnięcie otwieranych drzwi. Pojawiła się oświetlona lampą gazową twarz Maddy. Dziewczyna uśmiechała się z przejęciem.

– Co się tak cieszysz? Co jest? Stało się coś?

– Złapaliśmy stały, nieruchomy sygnał. Komputer-Bob zlokalizował go. Twierdzi, że jest pewny i bezpieczny. – Wepchnęła Sal i dwie pozostałe jednostki do środka. – Wreszcie możemy cofnąć się po nich w czasie!

Maddy ustawiła się w zaznaczonym na podłodze kwadracie. Zdążyła już pokłócić się z Sal, która twierdziła, że wystarczy wysłać jednostki

pomocnicze. Misja ta nie należała do gatunku skomplikowanych. Wystarczyło namierzyć sygnał, z odrobiną szczęścia natknąć się na Liama i Rashima, a później zabrać gagatki do domu. Nie wymagało to podejmowania skomplikowanych, taktycznych decyzji; tylko wyjazd i powrót. Ale ona, racjonalizując i nieskutecznie przekonując Sal, twierdziła, że warto posłać w przeszłość jakiegoś człowieka. No bo jeśli coś poszło źle? Jeśli Liam i Rashim są ranni albo znaleźli się w niebezpieczeństwie? Przyjmowała nawet ewentualność, że Liam zamienił się w tubylca i trzeba go będzie przekonywać do powrotu. W końcu, ile razy przez ostatnie kilka miesięcy wspominał jej, że najchętniej pozostałby w Nottingham i pełnił funkcję szeryfa?

– Gotowa – powiedziała, wciągając powietrze, żeby uspokoić nerwy.

Bob ustawił się w kwadracie obok niej.

– Też jestem gotów – burknął.

Bob i Beki uraczyli Maddy półgodzinnym wykładem na temat czasów i miejsca zrzutu, Port Royal. Nie miała pewności, czy powinna czuć przerażenie, czy ekscytację w związku z tą opowieścią. Bała się, że wszystko może być prawdą.

– Minuta do zrzutu – oznajmiła Sal. – Maddy, zastanów się jeszcze... przecież Bob i Beki sobie poradzą.

– Wszystko będzie dobrze, Sal. – Posłała jej uśmiech. – Sielanka to nie będzie, ale zabieram ze sobą Boba.

„Sielanka to nie będzie?” Port Royal z opowieści Boba i Beki przypominał pograniczne miasteczko rodem z Dzikiego Zachodu. Pograżone w bezprawiu i chaosie. Szybko zerknęła na mapę, którą Beki przesłała za pomocą bluetootha na jeden z monitorów. W mieście znajdowały się ulice o takich nazwach, jak Queen Street, Lime Street, York Street. Był tam gmach sądu, kościół, giełda towarowa, nawet szkoła, na litość boską.

„Jezu... jeśli dzieci potrafią tam przeżyć, to na pewno nic mi się nie stanie podczas pięciominutowego spaceru”.

– Będzie zabawa – dodała, próbując pocieszyć bardziej siebie niż Sal.

– Czterdzieści pięć sekund.

Jasne. Zabawa.

„Taka jak podczas oglądania pożaru w Londynie. Taka zabawa?”

Stłamsiła ten napastliwy głos pobrzmiewający w jej głowie. To była porażka, choć może nawet nie z jej winy. Mapa przedstawiająca rozprzestrzeniający się pożar, okazała się nieprecyzyjna. Ostatecznie ogień jest nieprzewidywalny. Tym razem nie będzie pożaru. Jedynie gwarne, skorumpowane miasteczko, na pewno nie gorsze od Rzymu pod panowaniem Kaliguli. Na pewno nie gorsze, prawda?

– Jeszcze trzydzieści sekund – powiedziała Sal. – Ramiona i nogi...?

Maddy skinęła głową. Ręce przycisnęła do bioder. Spuściła wzrok na swoje ubranie. Po raz kolejny wybierali się do przeszłości w niedopasowanych strojach, ale ich ubrania były na tyle neutralne i niewyróżniające się, że nie miały prawa przyciągnąć zbędnej uwagi. Zwykła brązowa suknia, nienaturalnie ściśnięty gorset, sznurowane buty i biały, lniany czepek. Okulary zostawiła oczywiście na biurku. Nie planowała nic czytać, a wzrok Boba i tak lepiej niż jej sprawdzi się podczas szukania Liama.

Odzienie stojącego metr obok Boba również nie rzucało się w oczy: jasnoszara lniana koszula nocna z owiniętym wokół talii paskiem, zza którego wystawał zatknięty nóż rzeźnicki i czarne pantaloney wpuszczone w parę gumiaków. Tylko gęstej, czarnej fryzurze na kokosianym łbie przydałoby się strzyżenie, pomyślała, gdy Sal zaczęła odliczać ostatnie dziesięć sekund.

– No i pamiętajcie, okna powrotne są zaplanowane na godzinę, dwie i dwadzieścia cztery godziny po zrzucie – krzyknęła ponad narastającym szumem wyzwalanej energii.

Maddy skinęła głową. Czowała, jak włosy pod czepkiem unoszą się, a po karku przebiegają iskry statycznej elektryczności.

– Pięć... cztery... trzy...

„No to znów w mleko... hop”.

Rozdział 16

Na pokładzie „Clary Jane”

rok 1666

Liam siedział po turecku na pokładzie w otoczeniu trzech marynarzy, wszyscy w skupieniu wzmacniali refliny. Kolana przygniatały mu zwoje szorstkiej, drapiącej, cienkiej liny konopnej, którą najpierw sprawnie obwiązywał końcówkę dużo grubszego sznura – refliny – a potem mocno zaciskał węzeł.

Towarzysze pracowali metodycznie razem z nim, opowiadając sprośne historyjki, które, jak podejrzewał, przyprawiłyby Maddy i Sal o rumieniec niesmaku i oburzenia. Po drugiej stronie pokładu William – młody chłopiec, którego uratował z pożaru – razem z kucharzem okrętowym szorował i pucował garnki i patelnie, używając do tego piasku i wody morskiej.

William już mówił. Niezbyt wiele słów na raz, do tego tylko w odpowiedzi na czyjeś pytanie, a nie z własnej inicjatywy, ale znaczyło to przynajmniej, że przeżyta trauma nie uczyniła go niemową.

Rześki prąd powietrza od grotzągla przynosił ochłodę i chronił przed prażącym słońcem, targając czuprynę Liama. Jeden ze stojących na pokładzie dziobowym piratów grał na skrzypcach, spod smyczka wyływała lekka i skoczna melodia, która budziła wspomnienie Corku, czy też raczej zaprogramowane wspomnienie Corku. Muzyka cichutko rozbrzmiewała i ulatywała niesiona wiatrem.

Skończył zabezpieczać koniec refliny i rozprostował bolące plecy, spoglądając na pracujących w skupionym milczeniu marynarzy. Prace konserwacyjne. Kolejna grupa mężczyzn smołowała wanty i sznur

kotwiczny, a jeszcze inna wzmacniała i zszywała dolną krawędź żagla. Wszyscy bezwarunkowo poddawali się kojącemu kołysaniu okrętu, wdrapującego się na efemeryczne pagórki błękitnego oceanu, prującego grzebień fali.

„W kapkę innych okolicznościach – uznał Liam – potrafiłbym do tego przywyknąć”.

– Hej, picusiu-glancusiu, laleczkowate palusie nie nadażają za robotą, co? – zaczepnie spytał jeden z siedzących obok Liama drabów. Henry Bartlett – który wiele lat spędził w królewskiej Marynarce Wojennej, a teraz korzystał z uroków życia korsarza.

– No, trochę kaleczy to dłonie, w rzeczy samej. – Obejrzał pęcherze na swoich palcach. – Podejrzewam, że już nigdy nie zagram w Mario Kart.

Henry i pozostali roześmiali się w głos, ni w ząb nie rozumiejąc, o czym błazen gada.

– No i masz, ten tu znowu tymi swoimi dziwacznymi powiedzonkami fechtuje!

O to właśnie mu chodziło. Metoda działała. Jego dziwaczność. Towarzysze podróży, cała załoga, lgnęli do niego, nawet do Rashima. Brało się to głównie z ciekawości, zareagowali na nich jak gromadka małych laboratoryjnych na nową plastikową zabawkę wrzuconą do klatki. Liam szybko zorientował się, że aby uzyskać akceptację – aprobatę – tej przerażającej grupy rozbestwionych wiarusów i zwyrodnialców, nie należy się z nimi bratać, wręcz przeciwnie – należy się wyróżniać. Być ekscentrycznym. Oni to uwielbiali. Choć na Rashima (który w ich oczach był tak samo dziwny) patrzyli z pewną dozą rezerwy. Przyprawili mu etykietę „stałego bywalca kapitańskich kolacyjek”. I o ile Liama traktowali jak brata-łatę, choć pasował do ich kompanii jak pięść do oka, do Rashima odnosili się z dystansem.

– Masz – powiedział Henry. Sięgnął po sporawy garniec rozcieńczonego wina, stojący na pokładzie między nimi, i podał go Liamowi.

– Dzięki – odpowiedział, przechylając naczynie. Siłą rzeczy przyzwyczaił się do tego smaku. Uznał, że lepszy już kwaśny, drożdżowy posmak

trzymanego na słońcu piwa niż łyk przechowywanej na statku wody pitnej, cuchnącej jak dno zamulonego stawu.

„Już prawie miesiąc” – pomyślał Liam. Od wypłynięcia z Londynu upłynął raptem miesiąc, a panująca na statku rutyna tak mu spowszedniała, że zdążył do niej przywyknąć. Najcięższych było kilka pierwszych dni. Nie chciał dopuścić do siebie świadomości, że są tu uwięzieni, co i rusz niecierpliwie rozglądał się po pokładzie, czekając, aż otworzy się portal i zobaczy falujący obraz Maddy, wymachującej rękami, zachęcającej do przeskoczenia przez okno i powrotu do domu. Rashim wyjaśnił mu jednak – parę ładnych razy – że ich przyjaciele nie mogą zorganizować bezpiecznej akcji ratunkowej. Portal to stały obiekt czasoprzestrzenny. Nie może przemieszczać się wraz ze statkiem. Nawet gdyby udało im się otworzyć go bezpośrednio nad okrętem, zamieniłby się w gigantyczną kulę armatnią, która przeleciałaby przez statek, rozrywając w drodze powrotnej do tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku wszystkie napotkane przeszkody: kadłub, pokład, maszt, olinowanie, marynarzy – albo poszczególne części ich ciał. W najgorszym wypadku portal wydłubałby w okręcie dziurę i w efekcie go zatopił.

„Tkwimy w tej kabale, dopóki nie uda nam się zejść na ląd – powiedział Liamowi. – Lepiej przywyknij”.

Właśnie wtedy Liam odwrócił się ku rufie i ujrzał Rashima, który wychodził z kapitańskiej kajuty, potrząsając głową i mrucząc pod nosem. Liam przeprosił i dołączył do przyjaciela.

Rashim skinięciem głowy pozdrowił Liama opierającego się o reling.

– Jak po dzisiejszym śniadaniu?

– Poważnie się obawiam, że nasz kapitan to kompletny amator. – Utkwił wzrok w falującym oceanie. – Nie ma najmniejszego pojęcia o nawigacji. Bawi się w zgaduj-zgadulę.

– Ale chyba wie, gdzie jesteśmy, co?

– Jego najlepszy strzał był niepokojąco ogólny. – Spojrzał na Liama. – Gdzieś przy zachodnim wybrzeżu Afryki. Próbowałem podać odrobinę precyzyjniejsze koordynaty. Uważam, że jesteśmy u wybrzeży Sierra Leone... czy jakkolwiek to miejsce się teraz nazywa.

Kapitan Teale już dawno powinien był wypłynąć na głębokie wody; minęli już właściwy równoleżnik, za którym należało odbić na zachód, w stronę Karaibów. Teale twierdził, że czeka na sprzyjające wiatry. Ale tak naprawdę, według Rashima, kapitan w ostatniej chwili stchórzył, wątpiąc, czy uda mu się przepłynąć Atlantyk i dopłynąć na Karaiby.

– On nie wie nawet, jak wyznaczyć długość i szerokość geograficzną. Właśnie dlatego, moim zdaniem, płyniemy przytuleni do linii brzegowej Afryki jak na szkółce żeglarskiej – powiedział, wskazując nikły szary zarys lądu na horyzoncie. – Dzięki temu nie musi nawet spoglądać na mapę. Czuje się pewnie, dopóki nie traci lądu z oczu. – Rashim się roześmiał. – Ekspert nawigacji, co?

– To trochę niepokojące. – Liam spojrział na niego uważnie. – Czyli teraz pomagasz mu w dotarciu na Karaiby, tak?

Rashim wzruszył ramionami.

– Robię, co w mojej mocy. Próbuję nauczyć się obsługi kwadrantu. Nie dołączają do nich instrukcji. – Potrząsnął głową. – Nie dość, że zostaliśmy porwani przez piratów, to na dokładkę są to korsarze amatorzy.

Liam pokiwał głową. Nawet jeśli nie było to niepokojące, to na pewno odrobinę żenujące.

– Spróbuj spojrzeć na dobrą stronę tego wszystkiego, Rashimie. Kiedy postawimy nogę na lądzie, Maddy na pewno zdoła nas odebrać.

– Tylko jeśli dowie się, gdzie nas szukać. A to niełatwo stwierdzić.

Liam poklepał się po kamizelce.

– Mamy nasze transpondery.

– Nasz okręt jest igłą w stogu siana, jeśli nie wie się, gdzie dokładnie szukać.

Liam poklepał go po plecach.

– Wyluzuj. Zobaczysz. Jej się zawsze udaje. – Zabrzmiało to chyba zbyt nonszalancko. W ciągu ich krótkiej historii wspólnej działalności zaliczyli prawie tyle samo wpadek, co zwycięstw. No, może odrobinę mniej wpadek. – Ostatecznie się udaje – dodał z przekąsem Liam.

Rozdział 17

Na pokładzie „Clary Jane”, październik 1666 roku

Potrawka smakowała lepiej, niż się zapowiadała, nawet wyglądała przyzwoicie. Ale może tylko dlatego że Liam był głodny jak wilk. Świeże powietrze, oczywiście. No i fakt, że ciągle – sekunda po sekundzie, dzień po dniu – łapanie równowagi, dostosowywanie się do delikatnego kołysania „Clary Jane” wymagało pracy całego ciała, prężenia wszystkich mięśni. Nie dziwota zatem, że codziennie wieczorem, gdy okrętowy kuchta pichcił coś w garnkach, a spod pokładu wydobywał się zapach gulaszu lub potrawki, Liam marzył o opróżnieniu swojej miski, jakiegokolwiek posiłku by akurat nie podali.

Wyjrzał przez furtę działową. Słońce wisiało nisko, pomarańczowa tarcza dostojnie przetaczała się po horyzoncie. Ciepłe, skośne, pionowe prawie strugi wlewały się przez ambrazury, przeczesując drewniany pokład reflektorowymi wiązkami światła; oczy mrużyły się mimowolnie z powodu blasku bijącego od łańcuchów i klamer u pasów.

Na codzienny posiłek zeszli wszyscy poza wartą. Pokład działowy rozbrzmiał symfonią brzęknięć i skrobnięć drewnianych łyżek o blaszane miski; pod niską powalę wznosił się szmer rozmów.

William, skończywszy pomagać kucharzowi przy obsłudze załogi, usiadł obok Liama z własną miską potrawki. Podniósł wzrok na Liama.

- Dobrze? Smakuje, sir?
- Bardzo smaczne. – Liam pokiwał głową.
- Pomogłem Kuchcikowi to przyrzadzić – powiedział, pakując do ust

łychę kleiku.

– Ty też się świetnie spisałeś.

– Dziękuję, sir.

Liam potrząsnął głową.

– Nazywaj mnie Liamem... jak inni, okej?

– Oh-kay? – Chłopiec łypnął znad miski. – Co to w ogóle znaczy?

Liam potrząsnął głową.

– Nic szczególnego... tak się tylko mówi w miejscu, z którego pochodzę. Dla podkreślenia, że wszystko jest w porządku. – Przyglądał się, jak chłopiec pałaszuje porcję. – Jak sobie radzisz, mały?

Chłopiec w zamyśleniu odłożył łyżkę, przez chwilę rozgryzając wieprzową chrząstkę.

– Tęsknię za mamą, bardzo.

– To całkowicie zrozumiałe.

William podniósł na niego wzrok.

– Sądzi pan, że...?

„Zapyta mnie, czy ona żyje”.

– Czy uratowała się z pożaru?

Chłopiec skinął głową.

– Nie sposób było dostrzec, co się dzieje...

„Skłam, na litość boską”.

– Widziałem, że gdy pomost zapłonął, prawie wszyscy wskoczyli do wody. Wśród tych ludzi znajdowała się twoja matka. – Delikatnie uderzył chłopca w ramię. – Myślę, nie, jestem przekonany, że wyłowila ją jedna z łodzi. Tak jest, wokół kręciło się ich bardzo dużo.

– Mam nadzieję. – Głos chłopca przeszedł w szept.

– Wiesz, co sobie myślę, Williamie? Myślę, że za kilka lat uda ci się wrócić do domu, do Londynu. Będziesz już wtedy młodym mężczyzną, odnajdziesz mamę, a ona będzie z ciebie strasznie dumna. Będzie ją rozpierała duma, że jej synek wyrósł na dużego, silnego, awanturniczego

marynarza.

– Co znaczy awanfurniczy...? – zaszepiał się William.

Liam uśmiechnął się.

– Nic. Kolejne głupie słowo używane w miejscu, z którego pochodzę.

William się zamyślił.

– A skąd pan pochodzi, sir? Mówi pan zupełnie inaczej niż inni, sir.

Co mu powiedzieć? Przecież nie prawdę. Chociaż nawet to, co Liam uważał za prawdę, dzieciństwo w Corku, to wytwór czyjejs wyobraźni. Czyjeś wyobrażenie na temat tego, jak wyglądało to miasto z przełomu wieków, amalgamat bujdy, frazesów i stereotypów.

– Ach, to miejsce o nazwie Williamsburg. Nikt, kogo spotkałem, o nim nie słyszał. To śmieszna, mała miejscina, mówię ci... mamy tam całą masę powiedzonek i przysłów. A ty, Williamie?

– Ja i mamcia mieszkamy z wujem. Jest bednarzem. Grhm... mieszkaliśmy – poprawił się.

– A ojciec?

– Ojcu się pomarło po Wielkiej Wojnie.

Liam przez chwilę musiał pomyśleć, o co chodzi chłopcu. Wojna domowa, to o niej mówił.

– Mamcia powiadała, że zginął za pana Cromwella. Powiadała, że zmarło mu się przez kulę od muszkietu, co się w nim była rozerwała. Kilka lat wcześniej to było. Potem zachorował i pomarł. Kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

– Przykro mi, Williamie.

William wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie poznał.

Rashim usiadł naprzeciwko Liama, obok Henry'ego Bartletta, który chciał posłuchać trochę o ich regularnych konwersacjach z kapitanem.

– Rzeknijcie, panie Racziiii...

Rashim przymknął oczy.

„Błagam...”.

– Moje imię należy wymawiać jako „Raszim” – wyjaśnił. – Właściwy dźwięk to „szy”. Nie „czy”. A tak w ogóle to moje imię, nie nazwisko.

Henry przepraszająco spuścił głowę.

– Uniżenie proszę o wybaczenie, Rasziimie. Wygląda na to, że nasz kapitan cię polubił. O czym to tak, jaśnie panowie, mendzicie o poranku?

Rashim nie był pewien, czy może się zdobyć na szczerość. Załoga zdawała się wierzyć, że Teale przysporzy im fortuny, wielkiego bogactwa. Nie wiedział jednak, gdzie leży źródło tego zaufania. Przecież za zamkniętymi drzwiami kajuty rufowej kapitan Teale zamieniał się w kłębek nerwów. Podczas kilku pierwszych porannych spotkań ukrywał prawdziwy charakter pod maską brawury i tupetu. Rashimowi Teale jawił się jako przedstawiciel ubogiej szlachty, którego charakteryzowało wysrane z mlekiem matki przeświadczenie, że wystarczy głośno krzyknąć, by podporządkować sobie pospólstwo.

Rashim dowiedział się trochę o historii Teale’a. Podczas wojny domowej walczył po stronie króla jako oficer kawalerii. Był młody, szalony, odważny. Raz, po bitwie pod Naseby, sam król Karol I ucałował go w policzek w podzięce za romantyczny akt brawury; poprowadził szarżę brygady, która rozgromiła znajdującą się niebezpiecznie blisko linię muszkieterów kosztem dziesiątek ofiar wśród oddziału jeźdźców.

Po wojnie fortuna Teale’a się odwróciła. Skromny rodzinny majątek skonfiskowano, Teale po raz pierwszy w życiu był zmuszony zarabiać pieniądze. Na początku kapitan pilnował się przy Rashimie. Opowiadał bajki o sukcesach handlowych, o tym, jak uczył się „sztuki pomnażania kapitału” od marnej klasy kupieckiej. Prawił, że posługiwał się nienaganną techniką negocjacji, że dodawał nutkę splendoru i elegancji do targowisk, na których pojawiał się celem skupu i sprzedaży towarów, z których to transakcji czerpał wielkie zyski.

Ale stopniowo ta maska zadufania opadała i wyłaniał się spod niej bardziej szczerzy opis wydarzeń. Żadne z jego handlowych przedsięwzięć nie przyniosło szczególnych sukcesów. A ostatnia transakcja okazała się opłakana w skutkach. Dzięki rodzinnym powiązaniom otrzymał licencję na wybudowanie plantacji trzciny cukrowej o powierzchni tysiąca akrów na jamajskiej ziemi. Następnie, wykorzystując wrodzone zdolności handlowca, przekonał wielu kupców z Bristolu do wyłożenia pieniędzy i zainwestowania w statek handlowy wyładowany niewolnikami, nasionami, sprzętem i pieniędzmi, czyli wszystkim, co niezbędne do założenia plantacji na Karaibach. Teale zapewniał współników, że interes przyniesie nie podwójny, lecz poczwórny zwrot kapitału w ciągu dwóch lat od wybudowania plantacji. Sam zaś, w zamian za swój geniusz handlowy, przydatne koneksje z rodziną królewską i założenie całego przedsiębiorstwa, otrzymać miał za wszystko okazałą prowizyjke.

Niestety, okręt zaatakowali korsarze. Inwestorzy stracili wszystko. Nawet statek. Teale uciekł z Bristolu tej samej nocy, kiedy się o tym dowiedział. Wyjechał, zanim wieści doszły do uszu inwestorów, którzy z tytułu strat własnych zażądałiby jego głowy.

Gdy dotarł do Londynu, dowiedział się o nowej okazji: korsarstwie. Mężczyźni nie lepsi od niego, z pewnością słabiej wykształceni, a w niektórych przypadkach z krótkim albo żadnym doświadczeniem morskim, zbijali fortuny, napadając na hiszpańskie galeony. Pod rządami Cromwella listy kaperskie, licencje uprawniające do atakowania i plądrowania wyładowanych dobrami, niechronionych okrętów hiszpańskich, wypisywano jeden za drugim, nie pozwalając dobrze obeschnąć tuszowi.

Teale miał pecha, bo zanim udało mu się wejść w ten interes, Cromwell zmarł, a niedługo po jego śmierci restaurowano monarchię. Karol II, katolik, na dodatek sympatyzujący z królem Hiszpanii, Filipem IV, po otrzymaniu oficjalnej skargi od hiszpańskiego monarchy, przestał udzielać licencji.

„Za to mój drugi kuzyn, lord Modyford, obecny gubernator Port Royal, niedawno zdobytego przez marynarkę brytyjską przyczółku na Jamajce,

wciąż wydaje listy kaperskie osobom godnym zaufania”.

To była unikatowa przynęta Teale’a. Przynęcił załodze, bandzie rzezimieszków i piratów, bezlitosnych wilków morskich, że jeśli się do niego przyłączą, użyje rodzinnych powiązań, aby uzyskać list kaperski, który pozwoli im bezkarnie plądrować i łupić hiszpańskie okręty z najcenniejszych towarów i uchroni od zyskania złej sławy „piratów”.

Przekonanie kolejnej grupy kupców, aby rozstali się ze swoimi pieniędzmi, nie zajęło Tealowi wiele czasu. To za ich pieniądze nabył szkuner – „Clare Jane”. Równie skutecznie namówił grupę doświadczonych żeglarzy, aby dołączyli do załogi i popłynęli z nim na Jamajkę.

Rashim trzeźwo spytał, dlaczego, skoro z taką łatwością skompletował załogę, porwał jego i Liama na pokład. Teale wyjaśnił, że okręt szykował się już do wypłynięcia z Tilbury, kiedy dotarły do nich wieści o pożarze Londynu. Załoga uznała, że zmiana kursu i odbicie w górę rzeki przysporzy łatwych łupów: coś splądrują, kogoś przewiozą w zamian za wygórowaną opłatę. Teale wzruszył ramionami.

„Nieszczęście jednych, to zysk innych. Takich okazji nie można przegapić”.

Tamtej niedzielnej nocy szalupa „Clary Jane” przysporzyła im prawie sto funtów zysku z opłat transportowych. Całkiem znośnie jak na preludium przygód na wielkich wodach.

– No? – Henry Bartlett stuknął Rashima w ramię.

– Chcesz wiedzieć, o czym rozmawiamy? – Rashim miał nadzieję, że obojętne wzruszenie ramion wyglądało przekonująco. – O wysokiej kulturze. Poezji. Szekspirze. O takich sprawach.

– Poezja? – Zaśmiał się Henry. – Kapitan Teale to cholerny fircyk, co nie? – Wysiorbał pełną łyżkę owsianki. – Nieważne. To szczwany lis. I dobrze ustosunkowany. Sam żem słyszał, jak mówi, że jego rodzina od samego króla się wywodzi.

Nie, nie była to poezja. Ani Szekspir. Kapitan Jakub Teale zaczynał

odkrywać, że istnieją na świecie rzemiosła, do których szlachetnie urodzony gentleman nie musi mieć wrodzonej smykałki. A nawigacja morska to jedno z tych rzemiosł.

„Nijak nie mogę dojść do ładu z tymi diabelskimi wynalazkami! – jeszcze dziś rano wyznał Rashimowi Teale, wpatrując się w leżący na stole kwadrant. – A te mapy? Boże, dopomóż – to jakieś bezsensowne bazgroły”.

„Naprawdę nie potrafi pan nawigować okrętem?”

„Nie, sir, nie potrafię!”

„Hmm... a czy na pokładzie statku znajduje się ktoś, kto zna się na nawigacji?”

„Tak po prawdzie, to miałem nadzieję, że pan, panie Anwar”.

Rozdział 18

Na pokładzie „Clary Jane”,
gdzieś na Oceanie Atlantyckim
rok 1666

– Chyba nie płyniemy już na Karaiby.

Liam popatrzył na Rashima.

– Co? Chyba żartujesz! Cała załoga myśli, że właśnie tam zmierzamy!

– Nie krzycz lepiej – wyszeptał Rashim.

Było ciemno, Rashim dopiero przed chwilą zakończył kolejne spotkanie z kapitanem. Słońce zostawiło na horyzoncie plamę, która szybko bladła na bezchmurnym, granatowym niebie, gwiazdy i księżyc świeciły mocno i jasno. Spod pokładu dobiegały hałasy wydawane przez załogę, zajętą wieczornym rytuałem: brzęk garnków i patelni, podniesione głosy, śmiech, stukot kości toczących się po denku beczki. Na pokładzie dziobowym stali tylko oni, z bezanmasztu morze obserwował nocny wartownik, a na rufie przy rumplu przysypiał sternik. Łagodna bryza delikatnie tarosiła żagle, ocean był płaski, spokorniały jak skarcone dziecko.

– Teale kompletnie się rozkleił dzisiaj wieczorem – zwierzył się Rashim. – Pamiętasz, jak mówiłem, że nie potrafi wyznaczyć długości i szerokości geograficznej i chce, żeby go nauczyć.

– Tak, ale twierdziłeś też, że uda ci się zabrać nas na Karaiby...

– Myślałem, że problem polega tylko na tym, że nie potrafi nawigować, ale on w ogóle nie jest w stanie zmusić się do wypłynięcia okrętem na pełne morze. Boi się stracić ląd z pola widzenia. Choć sam nie chce tego przyznać.

– Rashim zmoczył usta w metalowym kubku z rozwodnionym rumem. – Zakładałem, że kiedy przekroczymy równik lub któryś z najbliższych równoleżników, będę miał szansę poprowadzić nas przez Atlantyk.

– Właśnie o to dopytywali niektórzy chłopcy – powiedział Liam. – Kiedy dokładnie odbijemy na zachód?

– Odpowiedź brzmi: nigdy. Teale zmienił zdanie, kierujemy się na południe.

– Południe? – Liam przywołał w pamięci mapę świata. – Południe... prosto na kraniec Afryki?

– Na sam dół, okrążymy Przylądek Burz i wypłyniemy na Ocean Indyjski.

– Dlaczego?

– Prawdziwy powód jest taki, że myśl przepłynięcia Atlantyku przyprawia go o palpitację serca, choć oczywiście za żadne skarby sam się do tego nie przyzna. Jutro poda inny powód. Powie ludziom, że płańdowanie arabskich statków na Oceanie Indyjskim przysporzy im jeszcze większych, niepojętych bogactw.

Liam zamyślił się, próbując przetrwać to, co usłyszał.

– Chłopcy się wściekną... przecież wszyscy zaciągnęli się, żeby popłynąć na Jamajkę. – Ale może i nie, jeśli głębiej się nad tym zastanowić... wszyscy dołączyli do wyprawy, żeby zbić majątek. Trochę popsioczą, ale później uznają, że właściwie nie ma znaczenia, dokąd zmierzają, o ile nie tracą szansy na zdobycie łatwego łupu pod ochronnym parasolem listu kaperskiego, a nie w otwarcie nielegalny, piracki sposób. To było bardzo ważne. Żaden z nich nie chciał przeżyć reszty swojego życia z nakazem aresztowania wiszącym nad głową, z perspektywą, że pewnego dnia niechybnie zadynda na linie.

– Nie obejdzie się bez wyrzekania – powiedział Liam. – Ale od czego złotoustemu piratowi jego język? Mam przecucie, że uda mu się sprzedać ten pomysł. Wszyscy wierzą, że to boski pomazaniec.

– To niezły blagier.

– Ta, i lepszy kretyn, z tego, co mówisz.

– Racja. W moich czasach wciskałby ludziom cyfrochłam.

Liam wzruszył ramionami.

– A w moich cudowne eliksiry i balsamy.

Leniwe morze muskało dziób. Liam wpatrywał się w ciemne odmęty, w których odbijał się waniliowy blask księżyca.

– To oznacza, że prędzej czy później przybijemy do lądu. – Spojrzał na Rashima. – Istnieje taka szansa, prawda?

– Szansa na portal? Prawdopodobnie, ale tylko jeżeli uda im się nas namierzyć.

Liam skinął głową. Jeżeli rzeczywiście otworzą portal, istnieje ryzyko, że zmaterializuje się tuż przy Teale’u, bo to właśnie on nosił kamizelkę.

– Jeżeli przybijemy do brzegu, obaj będziemy musieli trzymać się blisko kapitana.

– Wszyscy ludzie na pokładzie? – Kapitan Teale odwrócił się do kwatermistrza okrętu, Francisa Woodcocka. Ludzie wołali na niego Stary Tom, bo nikt nigdy nie nazywał go Tomem i wcale nie był taki stary. Liam wciąż próbował zrozumieć pokrętne poczucie humoru piratów.

– Tak jest, szyprze, wszyscy obecni i policzeni – warknął Stary Tom.

Teale stanął przy poręczy pokładu rufowego i objął wzrokiem całą załogę statku, osiemdziesięciu sześciu ludzi stłoczonych na śródokręciu. Ster obwiązano liną, żeby się nie obracał, żagle okrętu zwinięto. „Clara Jane” dryfowała, kołysząc się usypiająco na spokojnym morzu.

– Panowie – zaczął – niektórzy z was już zapewne zauważyli, że utrzymujemy kurs południowy i nie odbijamy na zachód, ku otwartemu morzu, jak należałoby się spodziewać.

– Tak! – krzyknął ktoś z tyłu. – To kiedy zmienimy kurs? – Przez pokład przetoczyła się fala głosów, wszyscy głośno deliberowali nad tym samym. Załoga, wśród której nie było nawigatora, okazała się na tyle rozumna, by zauważyć, iż słońce wschodzi od bakburty, a zachodzi za sterburty, no

i oczywiście cały czas widzieli cieniutki szlaczek lądu mającego na horyzoncie za burtą.

– Pamiętam, pamiętam. Wszyscy zaciągnęliście się, żeby wyruszyć w podróż przez Atlantyk i zbić fortunę na grabieży pechowych galer hiszpańskich, które natkną się na nas na Karaibach. I, Bóg mi świadkiem, w końcu to osiągniemy. Niemniej... moją decyzją, jako kapitana tego statku, naszą wyprawę zarobkową rozpoczniemy od małego objazdu.

– Objazdu?

– Jestem przekonany, że wszyscy słyszeli o nieprzebranych bogactwach czekających na szlakach handlowych pomiędzy Indiami a Półwyspem Arabskim. Pływają tam statki, które tyle dobra przewożą, że je te wszystkie bele jedwabiu, flaszki wina i garnce monet ściągają w odmęty, tak jak ciele, które wierzga w brzuchu jałówki i każe matce po ziemi się czołgać. Ocean Indyjski to zasobne i żyzne łowisko, stwarza niepowtarzalną szansę dla naszej załogi, naszego okrętu, na zabicie fortuny.

– Chcemy hiszpańskiego złota! Nie przypraw i materiałów na suknie dam!
– ryknął Henry Bartlett. Kilku marynarzy okrzykami wyraziło poparcie dla jego słów, i to nie w żartobliwy sposób, jak zauważył Liam. Piraci zaczęli się wściekać.

– Obierając ten kurs, dopłyniemy do Przylądka Horn!

– No a jakże, i będziemy musieli gdzieś zacumować, uzupełnić zapasy. Spotkamy dzikusów, kanibali, dzikie bestie!

Załogę ogarniał coraz bardziej zapalny nastrój.

– Nie na to się pisaliśmy, Teale! – ryknął Henry. – Żaden z nas nie po to wchodził na pokład!

Jakub Teale w zamyśleniu pogładził się po wąsikach, typowych dla dawnego stronnika Karola I, zaczepiając kciuk o dolną kieszeń kamizelki Rashima. Nie zrzucając świadomie przybranej maski nonszalancji, czekał aż chór wyrażających dezaprobatę głosów wreszcie ucichnie. Wyglądał na człowieka, któremu nie przystoi przekrzykiwanie się z kompanią rzezimieszków. Czekał, aż zapadnie absolutna cisza.

„Och, ależ on jest dobry” – pomyślał Liam. Mężczyzna roztaczał aurę sfrustrowanego aktora.

– Panowie, panowie – spokojnie wznowił przemowę. – Złoto jeszcze samo wpadnie nam w ręce, więcej złota niż zdołacie sobie wyobrazić. Więcej złota niż szkuner jest w stanie przewieźć. Na każdą arabską łódź zmierzającą w jedną stronę z towarami na sprzedaż przypada inna, z ładownią pełną monet. Do Anglii powrócimy bogaci jak baroni. Każdy zdobędzie tyle łupów, że przez całe życie nie zaznacie dnia pracy. Przez resztę życia wszyscy będziecie opływać w luksusy, nosić wytworne stroje! Kochać piękne kobiety!

Liam zauważył, że kilku marynarzy połknęło haczyk – wyobraziło sobie taki bieg wypadków.

– I zapamiętajcie to sobie, panowie, zapamiętajcie bardzo dobrze, bo wiem, że mocno ciąży to na waszych sumieniach. Napaść na wszystkie statki pływające po Oceanie Indyjskim nijak nie może być policzona za grzech i nieważne, czy mamy list kaperski, czy go nie mamy. To Maurzy, muzułmanie... arabskie i indyjskie okręty. Plądrowanie tych łajb niewiernych nie przysporzy nam złej sławy, przeciwnie, panowie, będziemy w domu witani jak bohaterowie!

Część marynarzy zawyła z aprobatą, triumfalnie. Nikt nie chciał, żeby przyłgnęła do niego łaska pirata. Oznaczało to bowiem jedno – trwającą całe życie ucieczkę. Henry Bartlett zdradził Liamowi, dlaczego tak ochoczo zaciągnął się na statek Teale’a: kapitan zapewnił jego i jemu podobnych, że dzięki swoim koneksjom zapewni licencję kaperską dla okrętu.

Teale wyłowił wzrokiem żeglarza, który zetknął się już kiedyś z dzikusami.

– I ty, panie, też portkami będziesz trząśł na widok kilku ciemnoskórych dzikusów? – Odrzucił głowę i zaśmiał się. Liam skrzywił się, bo śmiech zabrzmiał sztucznie, sceniczne, choć żaden z tych ludzi nie mógł oglądać Errola Flynna ani Douglasa Firbanksa, którzy grywali awanturnicznych zabijaków w starych, czarno-białych filmach.

– Idę o zakład, że wystraszy ich wystrzał jednej z naszych armat. Pierzchną jak zające albo pokłonią się przed nami jak przed bogami!

Kolejni mężczyźni krzyknęli z aprobatą.

– Panowie, jeszcze w tym roku wzbogacimy się na wodach Oceanu Indyjskiego. A za rok, solennie wam obiecuję, popłyniemy z naszym majątkiem na Morze Karaibskie, kupimy plantację, pobudujemy olśniewające rezydencje i zostaniemy panami wszystkich ziem w zasięgu wzroku.

Przez pokład przewaliło się tsunami wiwatów, nawet Henry Bartlett potakiwał z aprobatą.

– Okrzykną nas królami piratów! – dodał Teale. I po tych słowach trzymał już całą załogę jak wróbla w garści.

Liam zerknął z ukosa na Rashima.

– Jasny gwint, mnie też prawie przekonał.

Rozdział 19

Na pokładzie „Clary Jane”, gdzieś przy zachodnim
wybrzeżu Afryki
rok 1667

Upłynęły raptem dwa dni od czasu, gdy kapitan Teale umocnił swój autorytet obietnicami niewyobrażalnego bogactwa, kiedy jeden z marynarzy, naprawiający róg szotowy na fokmaszcie, wypatrzył na horyzoncie zbliżające się z południa żagle.

Teale pragnął jak najszybciej rozpocząć przygodę korsarza, dlatego postanowił wykorzystać sprzyjające wiatry i ruszyć w pościg. Opadło całe olinowanie, żagle rozpostarły się i wzdęły. „Clara Jane”, niesiona uderzeniem wiatru, z naciągniętymi linami, pobrzękującymi z naprężenia, zaczęła pruć dziobem wielki błękit oceanu, zostawiając za sobą szeroki, spieniony ślad.

Stary Tom, warcząc, rozkazał wytoczyć ze zbrojowni kegi z prochem strzelniczym i otworzyć je, a następnie podsypać dwa tuziny znajdujących się na „Clarze” muszkietów i rozdać je tym marynarzom, którzy robili wrażenie najbardziej wprawionych strzelców, czyli takich, którzy potrafią wymierzyć w cel.

Henry Bartlett wcisnął Liamowi do ręki kordelas, a Rashimowi podał siekiere. Szczęrzył przy tym zęby jak szaleniec.

– Najwyższa pora na zabawę! – Ruszył, wydając broń z małego worka, który trzymał pod pachą. Tuż za nim dreptał William, obładowany garłaczami, zawieszonymi na długich jedwabnych wstążkach, które miał owinięte wokół karku.

Liam spojrział na zakrzywione ostrze, które znalazło się w jego dłoniach.

– Nie jestem pewien, czy bardziej jestem podekscytowany, czy kompletnie przerażony – mruknął.

Rashim skinął głową.

– Wolałbym nie pobrudzić rąk krwią. Jeśli da się tego uniknąć... Nie przepadam za krwią.

Godzinę po dostrzeżeniu okrętu zbliżyli się na tyle, by wyłowić wzrokiem więcej szczegółów. Teale zaprosił Rashima i Liama na pokład dziobowy, by w dobrym towarzystwie czerpać rozkosz z pościgu.

– Pierwszorzędna rozrywka, nie sądzą panowie? – Wyciągnął zza pasa lunetę, rozłożył ją, oparł się o reling górnego pokładu i przyłożył oko do soczewki.

– Trójkątne żagle. W dodatku idą dość nisko nad wodą. Wygląda mi to na mauretańską łajbę. – Podał lunetę Staremu Tomowi. Tom dłuższą chwilę przyglądał się ściganemu statkowi. – To dau, szyprze – powiedział. – Dwa maszty, łacińskie żagle. Jakies kilkaset ton.

– To dużo?

Tom wzruszył ramionami.

– Sporawa łajba.

– Wiecie jakieś działa?

Tom popatrzył na swojego kapitana z niedowierzaniem.

– To statek kupiecki, szyprze... jasne jak słońce, że nie wiecie żadnych pieprzonych armat.

Teale z tęgą miną skinął głową.

– Tak, oczywiście. Tak właśnie podejrzewałem.

Pościg trwał do południa: załoga płynącego przed nimi dau najwyraźniej spostrzegła, że ma na ogonie towarzystwo i rozwinęła wszystkie żagle.

– Odbija na bakburtę! – ryknął Tom.

– To znaczy w lewo, tak? – mruknął Rashim. Liam skinął głową.

– Przeklęte Maury uciekają w stronę lądu! – ryknął Teale, ruchem głowy

wskazując linię brzegową kontynentu. Byli już dużo bliżej, płynęli niecałe sześć mil za burtą. Rashim powiedział mu, że według jego przewidywań płyną gdzieś przy północno-zachodnim wybrzeżu Afryki: była to mniej więcej tak precyzyjna informacja, jak ta, że Nowy Jork znajduje się gdzieś na prawym brzegu Ameryki.

Teale odwrócił się do Rashima i Liama.

– Parszywe tchórze, spróbują znaleźć jakąś zatoczkę albo przesmyk, żeby nas zgubić. Ha! To przypomina polowanie na lisy!

Jeśli Teale rzeczywiście po raz pierwszy dowodził statkiem, to skąd u licha może być czegokolwiek pewny, zastanawiał się Liam.

„Szlachecka arogancja. Wystarczy przez całe życie powtarzać człowiekowi, że jest lepszy od innych, a uwierzy, że jest w stanie góry przenosić” – uznał Liam.

Dau był już na tyle blisko, że Liam mógł dostrzec więcej szczegółów bez pomocy lunety. Trzy ciemnoczerwone żagle, długi, niski, charakterystyczny dla galeonów dziób wznoszący się nad linią wody i zasłaniający rufę – przypomniało mu to zbyt zwartą zabudowę Londynu, gdzie górne piętra niemal stykały się ze sobą nad wąską ulicą. Dostrzegał przemierzających się po takielunku marynarzy, regulujących żagle tak, by statek mógł rozwinąć jak największą prędkość.

Stary Tom potrząsnął głową, spoglądając na chorągiewkę wskazującą kierunek wiatru, powiewała i łopotiała na burtę. Południowo-wschodni wiatr gnał „Clare” ku lądowi. Stary wyga wyglądał na zdezorientowanego.

– O co chodzi? – spytał Liam.

– Ta ich łajba powinna rozwijać dużo większą prędkość. Ożaglowane są i rufa, i dziób. Wiatr dmie w nie mocniej niż w nasze.

Teale poklepał go po ramieniu.

– Bo jest obładowana łupem po sam maszt, Tom! Nie mówiłem! Te statki są jak bydło pasione na rzeź!

Minęła kolejna godzina, „Clara Jane”, nie ustając w pościgu, energicznie pruć wody oceanu, słońce nad nimi przeszło w zenit. Teale rozkazał

sternikowi odbić na lewo od dau i próbować wcisnąć się między ląd a statek, żeby wypłoszyć ofiarę z powrotem w morze. Tak blisko lądu nie byli od trzech tygodni. Liam dostrzegł pojedyncze drzewa i masyw urwistych skał, bladą linię plaży i spienionych fal. Brzeg w tych okolicach był jałowy, skalisty i, co istotniejsze, zdradliwy: cyple usiane urwistymi, obżartymi erozją ostrogami skał przywodziły na myśl długie, kościste palce wrastające w morze. Na ich skraju, wokół podwodnych skał, pieniała się i wrzała kipiela.

– Kapitanie Teale – zaniepokoił się Rashim. – Nie podchodzimy zbyt blisko brzegu?

Teale przechylił się przez reling, by lepiej przyjrzeć się wodzie od bakburty.

– Masz słuszność. – Odwrócił się do sternika. – Płyn na południe, nie zbliżaj się do brzegu!

– Tak jest, kapitanie.

Tylko czterysta, może pięćset metrów dzieliło ich od dau.

– Co to? – spytał Liam, wskazując niewyraźną linię ciągnącą się za dau. W miejscu, gdzie niewyraźna linia opadała do oceanu, dostrzegł coś białego wirującego w wodzie, zostawiało to za sobą szeroki ślad piany. Rashim podążył wzrokiem za jego palcem.

– Widzę, co to do cholery może być?

Teale przyłożył do oka lunetę.

– Wygląda na to, że coś za sobą ciągną – zachichotał. – Głupcy wyrzucili za pokład kosztowności w nadziei, że je przegapimy, gdy dostaniemy się na pokład.

– Baranie łby. To właśnie ich wstrzymuje... spowalnia na amen – mruknął Tom.

„Robią to celowo?” – Liam zerknął na Rashima.

Rashim w lot pojął, w czym rzecz.

– Boże... myślisz...?

– ...że to przynęta? – Liam zaczął odpowiadać, kiedy rozbrzmiał głos.

– Zmienia kurs!

Załoga daua odcięła ciągniętą linę, statek zaczął gładko pruć wodę, obracając się o sto osiemdziesiąt stopni, ciemnoczerwone łacińskie żagle łopotały jak szalone, pozbawione wiejącego ku lądowi wiatru, ale olinowanie naprężyło się jak struna, a żagle wzdęły; dau zakołysał się niebezpiecznie i ruszył prosto na nich.

Teale gapił się na zbliżający się statek szeroko rozwartymi oczami.

– A niech mnie! Lis się zwilczył!

– To pułapka! – powiedział Liam.

– Nie bądź niemądry, chłopcze! – rzucił przez ramię. – Na tym statku nie ma ani jednego działa! – Odwrócił się i wyszczerzył zęby do Liama. – Siłą ognia bijemy tych głupców na głowę.

Liam patrzył na dau; pędził prosto na nich. Rozwinął taką prędkość, że z dwunastu dział Teale'a może jedno posłałoby salwę, która trafiłaby we wrogi statek, zanim ten dobieje do ich burty.

– Tom! Działa gotowe?

– Tak jest. Kanonier i jego chłopcy czekają na rozkazy, kapitanie.

Teale się uśmiechnął.

– No to obróćmy naszą piękniszę i pokażmy tym Maurom nasze działa! – Odwrócił się do sternika. – Obróć ją w prawo. – Wskazał pełne morze. – Na sterburtę, właśnie... mocno na sterburtę!

Sternik przy rumplu wyraźnie się zawahał.

– Ale...

Teale przemaszerował przez górny pokład i wyrwał mu koło z ręki.

– Nie marudź, nicponiu! – Przekręcił koło, „Clara Jane” powoli zaczęła się obracać.

– CO? – Tom odwrócił się na pięcie i poraził kapitana wzrokiem. – Co ty wyprawiasz?! – ryknął.

Teale oburzył się na jawną niesubordynację.

– Dobry Boże, ślepyś człowieku? Obracam statek, żebyśmy mogli posłać

im salwę!

– Patrz! – warknął Stary Tom, pokazując palcem żagle. – Obróciłeś nas pod wiatr! – Wszystkie żagle łopotały i szeleściły ospale, a sam statek oklapł na wzbierającym morzu, całkowicie pozbawiony impetu. Na sterburtę obracał się boleśnie wolno – jeśli w ogóle.

– Osiedliśmy teraz jak krowa na zadku, głupcze!

W tym czasie dau zbliżył się na odległość nie większą niż sto metrów. Najwyraźniej nie był to zwykły statek handlowy z tuzinem, może dwoma tuzinami członków załogi na pokładzie. Liam dobrze to teraz widział. Na śródokręciu wrogiej jednostki stał rząd mężczyzn, błyszczały obnażone ostrza szpad i toporów, lufy kilku podszypanych prochem tromblonów.

– To piraci! – ryknął Henry.

Liam popatrzył na Toma i kapitana Teale’a.

– Piraci? – Teale zbladł jak prześcieradło.

– Do diaska! – mruknął Tom. – Pierwsza łajba, co ją próbujemy napaść okazuje się inną jaskinią piratów.

– Och, cudownie – syknął Liam, nie po raz pierwszy żałując, że na spektakl pod tytułem „Wielki pożar Londynu” nie zabrali ze sobą Boba i Beki.

Rozdział 20

Na pokładzie „Clary Jane”, gdzieś przy zachodnim
brzegu Afryki
rok 1667

Dau z gracją i wprawą natarł na skierowaną ku lądowi burtę „Clary Jane”, sekundy przed zetknięciem się dziobów załoga okrętu zrefowała łacińskie żagle i pozwoliła im załopotać; niesiony impetem dau szybko i z dobrze wyćwiczoną precyzją grzotnął w dziób wrogiej jednostki, marynarze zachwiali się, balansując ciałem, by utrzymać grunt pod nogami.

Marynarze dau zwinnie, łukiem, wyrzucili tuzin bosaków, które zaplątały się w olinowaniu „Clary Jane”, z sykiem zapalanego prochu wypaliły pierwsze muszkiety.

Liam patrzył, jak załoga dau wdziera się na pokład „Clary” – pięćdziesięciu... sześćdziesięciu ludzi, może więcej. Nie dorównywali im liczebnie, ale sprawiali wrażenie dużo dzikszych, znacznie bardziej zahartowanych w walce piratów niż załoga „Clary”.

Liam spojrzał na Rashima, który pobladał prawie tak samo jak Teale.

– Wszystko dobrze?

Rashim szybko pokiwał głową, nerwowo oblizując usta.

Właśnie wtedy Liam to poczuł – zauważył, że coś się w nim odmieniło. Ostatnim razem, kiedy zawisło nad nim ryzyko natychmiastowej śmierci w męczarniach – niebezpieczeństwo wypatroszenia i przecięcia na pół ostrym żelazem – miał chęć zwymiotować, pozbyć się całej zawartości żołądka. A teraz...?

„Dzień jak co dzień. Czego tu się bać?”

Być może sprawiła to świadomość tego, kim jest. Świadomość faktu, że jest produktem organicznym...?

„Jestem zupełnie jak Bob. Jestem jak Bob. Jak Bob. Jestem niezniszczalny”.

Może był. Może nie. Ale czy w czasach starożytnego Rzymu nie otrzymał śmiertelnej rany i nie wyzdrowiał?

Na usta wypłynął mu uśmiech.

„Mój Boże – sapnął i uniósł kordelas, ważąc go w dłoni i oceniając profil.
– Uda mi się”.

Odwrócił się do Rashima.

– Zostań na pokładzie głównym!

– Ha? Dokąd idziesz?

Liam czubkiem ostrza wskazał masę ludzi tłoczących się na głównym pokładzie.

– Walczyć!

Rashim złapał go za ramię.

– To... Liamie, tam jest niebezpiecznie! Możesz...

– Rashimie. – Zdjął z ramienia rękę przyjaciela. – Ja nawet nie jestem człowiekiem. Nie do końca. – Roześmiał się z ledwie wyczuwalną nutką goryczy, żalu. – Przecież nigdy tak naprawdę nie istniałem. – Mocno poklepał Rashima po ramieniu. – Ty tu lepiej zostań! Uważaj na siebie. I dopilnuj, żeby Will nie wychodził spod pokładu. – Odwrócił się, przebiegł pokład rufowy i po drabinie zjechał na śródkręcie.

Natychmiast stanął oko w oko z wyższym i szerszym w barach marynarzem o smagłej twarzy i błyszczących błękitnych oczach, na które opadała czupryna czarnych, kręconych włosów. Pirat uniósł broń, maczetę o długim trzonku, i zamachnął się nią, mierząc w splot pomiędzy karkiem a ramionami Liama. Irlandczyk sparował uderzenie kordelasem; żelazo ostro zawibrowało w dłoniach. W drugiej ręce mężczyzna trzymał sztylet, którym spróbował pchnąć Liama w biodro.

– Nawet nie próbuj! – Liam szybkim ruchem opuścił kordelas, zakleszczony z maczetą napastnika, i Arab stracił równowagę. Pchnięcie sztylitem przeszło za nisko i za szeroko. Liam poczuł, że jego łokieć mocno trafił w szczękę mężczyzny. Pod ciosem pirat poleciał do tyłu i nieporadnie przytrzymał się krawędzi relingu „Clary”. Liam, nie zwlekając, podskoczył doń i zdzielił zgiętym ramieniem. Korsarz znów się zachwiał, zamachał rękami, przeleciał plecami przez burtę i zniknął w ciemnej otchłani pomiędzy zwartymi dziobami statków.

Na lewo od Liama Henry Bartlett wściekle wymachiwał toporem w kierunku dwóch korsarzy. Trafiające w próżnię, półkoliste ciosy przynosiły tylko taki efekt, że trzymały napastników na dystans. Dwóch zabijaków szczyrzyło kły; droczyli się z Henrym, wiedząc, że prędzej czy później dopadnie go zadyszka.

Liam zaczepił stopą o rozciągnięte na pokładzie zwłoki. Rozpoznał twarz, ale nie potrafił przypomnieć sobie imienia. Ramiona umarlaka oplatała wstęga z przywiązanim garłaczem. Liam schylił się, chwycił broń i odczepił ją od – Jasona. Właśnie... miał na imię Jason.

Długą lufę tromblona wymierzył w jednego z pastwiących się nad Henrym mężczyzn i, mając nadzieję, że nieszczęsny Jason nie zdążył wystrzelić z broni, pociągnął za spust. Pistolet zaklekotał, w ułamku sekundy syknął proch i broń wierzgnęła w dłoni, gdy z lufy wyleciała gęsta chmura dymu.

– Je-zu – jęknął. Od szarpnięcia boleśnie zamrowiła dłoń i cała ręka. Dym przybrał kształt rozwlekłej, niebiesko-białej, grzybiastej chmury, która ani myślała ustąpić. Zniecierpliwiony przeszedł przez tę chmurę. Mężczyzna, do którego mierzył, ciężko osunął się na kolano, zasłaniając rękami ziejącą, postrzępioną dziurę w piersi.

Liam upuścił pistolet, bezużyteczne już narzędzie. Henry Bartlett pochwycił jego spojrzenie, podziękował skinieniem głowy i odważnie natarł na drugiego korsarza, dziko wywijając toporem.

Liam rozejrzał się, próbując szybko ocenić przebieg potyczki. Pokład pokrył dywan leżących pokotem ciał: obraz gęstego kłębowiska walczących zastąpił spektakl kilkunastu pojedynków. Mężczyźni walczyli z jadowitym

okrucieństwem – podstępnie, nieuczciwie. Nie był to atletyczny popis szermierki najwyższej próby: podstępnych cięć i niespodziewanych wypadów przeplatanych żarcikami dziarskich piratów, bohaterów filmów z gatunku płaszcza i szpady; nie, nic z tych rzeczy.

Tutaj jeden pirat siedział okrakiem na drugim, raz za razem dźgając go nożem po karku. Inny ciężką drewnianą kolbą muszkietu na miazgę rozbijał głowę przeciwnika. Kolejny wydrapywał drugiemu oczy. Następny strzelał z tromblona prosto w tył głowy drugiego, z satysfakcją patrząc, jak czaszka i tkanka mózgowa rozpryskują się po pokładzie.

„Niech Bóg ma mnie w opiece”. Liam był przerażony. Zniesmaczony. Ale i, co uświadomił sobie z ukłuciem winy, niebywale ożywiony.

Szanse zdawały się wyrównywać. Arabskich korsarzy było mniej niż Anglików, choć piraci mauretańscy wyglądali na dużo większych zabijaków, bardziej doświadczonych, lepiej przygotowanych do potyczki. Ale załoga „Clary” walczyła o życie, nie tylko o nagrodę. I to właśnie okazało się jęczyzkiem u wagi – to miało zdecydować o zwycięstwie w tej krótkiej bitwie.

Szło o przeżycie.

Liam zorientował się, że podświadomie szuka kolejnego przeciwnika, miał absurdalne wrażenie, że jest na potańcówce i szuka partnerki do tańca. Utkwił wzrok w innym mężczyźnie. Młodszym tym razem. Pewnie w tym samym co on wieku. Młoda twarz, skóra koloru kawy, gładka jak pupcia niemowlęcia, na której wykwiatać zaczynały pierwsze włoski dorosłości. Liam i młodzieniec postąpili ku sobie kilka kroków. Walczący, splątany, rozwrzeszczany, ryczący świat wokół nich zszedł na dalszy, wyciszony plan... jakby ktoś zwolnił prędkość odtwarzania do żółtego tempa, wyciszył odgłosy rzeczywistości, zostawiając jedynie świszczący oddech Liama i młodzieńca.

Chłopak skinął Liamowi głową w dziwnym geście formalnego pozdrowienia – pragnął okazać szacunek osobie, którą planował zabić z zimną krwią.

Liam odpowiedział tym samym.

– Miło mi... zaczynamy zatem!

Młodzieniec trzymał bułat, zakrzywiony miecz, wysmarowany już czyjąś krwią. O dziwo, to ułatwiało zadanie. Przez chwilę, ulotną sekundę, Liam wahał się, czy zdobędzie się na zabicie chłopca. Wiek, sylwetka, burza czarnych włosów: wyglądał jak jego lustrzane odbicie. Liam zastanawiał się, czy w innych okolicznościach, na innej osi czasu, mogliby być przyjaciółmi, braćmi. Głupia myśl. Szczególnie teraz, gdy czekała ich walka na śmierć i życie. Ponownie zerknął na jaskrawą smugę krwi. Krew wszystko usprawiedliwiała. Dawała błogosławieństwo.

„Skończmy już z tym”.

Liam skoczył do przodu, uderzył szablą, celując w przeponę. Młodzieniec sparował cios, ostrza brzęknęły ogłuszająco w ich prywatnym wszechświecie. Pirat wywinął żelazo w przeciwnym kierunku, próbując trafić w prawy bok Liama. Ten odpowiedział niskim, nieznacznym ruchem, ostrza zetknęły się i zadzwoniły, jelce szpad zakleszczyły się.

Młodzieńcy przywarli do siebie, próbując nawzajem wytrącić się z równowagi. Liam poczuł na policzku ciepły oddech. Złączyli się w intymnym uścisku. Właśnie wtedy dostrzegł, że chłopiec drży. I jest przerażony. Zaklął pod nosem. Po raz kolejny spojrzał na kropelki krwi ściekające z bułatu.

„On już zabijał. Ma krew na rękach. To zwykły przeciwnik”.

Kolanem uderzył chłopaka w krocze, pozbawiając go tchu. Uchwyt zelżał, a młodzieniec cofnął się o krok, żeby przez sekundę czy dwie odzyskać siły. Ale Liam szybko do niego doskoczył, wykorzystał przewagę. Ciął kordelasek z góry. Młodzieniec w ostatnim momencie sparował uderzenie. Odparł atak Liama, ale nie powstrzymał go. Ostrze szabli odbiło się rykoszetem od jelca bułatu i opadło w dół, do wewnątrz, wgrzyzając się głęboko w prawą nogę młodego mężczyzny. Ten zawył z bólu i opadł na kolano, spod płata skóry i mięśni wyłoniła się srebrna kość. Liam przeciął mu udo, ścięgno i mięśnie.

Teraz Irlandczyk miał przewagę wysokości. I swobodę ruchu. Arabski młodzieńcy próbował szybko, nisko dźgnąć krocze przeciwnika, cudem

odwrócić bieg wypadków, ale Liam sprawnie odskoczył w bok; na nie więcej niż pół sekundy młodzieniec maksymalnie wyciągnął ramię, całkowicie odsłaniając szyję i ramiona.

Liam spuścił ostrze. Brutalnie. Mocno. Wbiło się głęboko w tkankę, miażdżąc chrząstki i kości. Chłopiec, z którego ciała sterczał głęboko wbity kordelas, podniósł na Liama brązowe, załzawione oczy. Brązowe oczy, które chciały coś zakomunikować: złość? Żal? Przebaczenie? Z ust wypłynęła krew, źrenice uciekły pod powieki. Młody Arab bokiem osunął się na pokład.

Liam gapił się na trupa jak urzeczony; pod korpusem pęczniała kałuża krwi. Może nie był aż tak młody, pomyślał. Może tylko wyglądał młodo. Na pewno korzystał z życia, zanim dosięgło go smutne przeznaczenie. Liam oceniał jego wiek na kolejno szesnaście, dwadzieścia i dwadzieścia pięć lat, z każdym mrugnięciem dodając parę wiosen.

„Czy to ważne, ile miał lat?”

Liam po raz wtóry spojrzął na zakrwawiony bułat leżący na pokładzie.

„To był zwykły przeciwnik”.

Rozdział 21

Na pokładzie „Clary Jane”, gdzieś przy zachodnim
wybrzeżu Afryki
rok 1667

Siekiera wyglądała nieporęcznie i ciężko w mokrych od potu dłoniach Rashima. Nie sądził, że będzie potrafił, czy nawet chciał, zabić nią kogokolwiek. Wątpił, czy umiałby się nią posłużyć inaczej, niż bezmyślnie wymachując w powietrzu i robiąc minę zabijaki. Niżej, na śródokręciu, wśród skłębionej masy ciał, dostrzegł Liama, który parował i zadawał ciosy; kordelas Irlandczyka już dawno pokryły plamy krwi.

„Boże, pomóż mi. Jestem przerażony”.

Nogi mu drżały, jakby za chwilę miały się pod nim ugiąć. Tuż obok niego, na chropowatych deskach pokładu, Stary Tom tańczył śmiertelne tango z upartym piratem; zwarci w uścisku mężczyźni stękali i sapali, próbując się wzajemnie podusić. Kapitan Teale odzyskał resztki opanowania i odparował atak jednego z korsarzy, demonstrując niecodzienne umiejętności szermiercze. Jediną nietoczącą pojedyńku na życie i śmierć osobą na obu okrętach był właśnie Rashim.

Rozejrzał się po statku. Szala zwycięstwa wciąż mogła przechylić się w dowolną stronę. Na pokładzie piętrzyły się ciała: rannych, konających, martwych; gołe stopy i buty ślizgały się po wzbierających smugach i kałużach krwi.

Nagle, kątem oka, dostrzegł coś na horyzoncie: zarys trójkątnego żagla wypływającego zza cypla. Prosto na nich pędziły dwa dau.

„To była pułapka. Udali ucieczkę... wywiedli nas w pole”.

Taką taktykę obrali piraci: podnieść wszystkie żagle i zamarkować desperacką ucieczkę, a jednocześnie potajemnie spowalniać, żeby zwabić okręt Teale’a jak najbliżej brzegu, przy którym cumowały ich pomocnicze jednostki.

– Kapitanie! – krzyknął Rashim. – KAPITANIE TEALE!

– Niech cię szlak, darmozjadzie! – krzyknął przez ramię Teale, parując zadany cios. – Nie widzisz, że jestem zajęty?

– Płyńcie ich tu więcej! Trzeba to przerwać!

Teale nie miał czasu, jego ostrze, dzwoniąc, co i rusz ścierało się z żelazem wroga. Rashim utkwiał wzrok w dwóch dau; statki szybko sunęły po błękitach. Jeśli na każdym z okrętów znajdowała się taka sama liczba korsarzy...

„Zmiażdżą nas”.

Rozejrzał się w panice, zastanawiając się, co może zrobić. Uciec? Uratować się? Rzucić wpław? Podszedł do relingu na rufie i spojrzał w dół, na falującą wodę. Mógł przeskoczyć przez burtę. Być może udałoby mu się nawet dopłynąć do brzegu. A później? Ratować się samotnie? Zdać się na własne siły? Ciekawe tylko, jak szybko zostałby złapany przez podobnych bandytów, zabity albo, co bardziej prawdopodobne, sprzedany w niewolę.

Róg jednego z opuszczonych żagli dau załopotał w wąskiej przestrzeni pomiędzy okrętami, poderwał się luźno, naprężony rześkim wiatrem. W umyśle Rashima zaświtała myśl. Przypomniał sobie słowa Starego Toma sprzed kilku dni. Kiedy niebezpiecznie blisko beczki ze smołą do uszczelniania ktoś pozostawił palącą się świecę, marynarz powiedział: „To ognia marynarze powinni obawiać się najbardziej. Pożar na statku już zbyt wielu ludzi posłał na dno oceanu... Mniejsza z burzami i podwodnymi skałami, ogień to największy wróg żeglarza”.

Na dau żagiel zwisał luźno. Rashim wpadł na pomysł. Odwrócił się na pięcie, podbiegł do niskich drzwi prowadzących do kajuty Teale’a, otworzył je kopniakiem i, zgiąwszy się w pół, wbiegł do środka. Szybko znalazł to, czego szukał – dużą lampę oliwną w miedziano--szklanym kloszu,

zawieszoną na haku przy krokwi. Chwycił ją, otworzył drzwiczki klosza i wyciągnął ceramiczną kolbę z olejem.

Wypadł na pokład i pędem rzucił się ku krawędzi pokładu, wymijając po drodze Toma. Wychylił się za reling i złapał za róg łopoczącego, ciemnoczerwonego żagla.

– No chodź tu! – syknął, nie mogąc złapać materiału tańczącego metr od dłoni.

Nie wyglądało to najlepiej. Był zbyt daleko. Nie złapie żagla. A nawet gdyby mu się to udało, ciężkie płótno targane przez wiatr pewnie pociągnęłoby go za sobą przez burtę. Rashim zaklął. Zmiana planu. Wyciągnął knot ze szczytu flakonika. W środku mocno zakołysał olej; kolba była wypełniona w ponad połowie.

„Trafię tym w żagiel?” Tak. Spróbuje oblać płótno olejem. Ale jeśli źle wymierzy rzut, kolba wraz z całą zawartością oleju przeleci obok łopoczącego żagla i z pluskiem wpadnie do morza.

Rashim ostrożnie trzymał naczynie w obu dłoniach – jedną chwycił ucho naczynia, drugą podtrzymywał podstawę kolby. W płótno uderzył kolejny podmuch wiatru; materiał zatrzepotał, wyrzucił się i wrócił ponad pokład dziobowy dau. Źle.

„No chodź! Chodź! Tutaj!”

Kolejny podmuch wiatru, fok dau zmarszczył się, poruszył i litościwie wyrzucił, wracając ponad szczelinę pomiędzy dziobami okrętów, w stronę Rashima.

„Teraz!”

Zamachnął się kolbą; z wnętrza bryzgnęła oliwa, żółty strumień przeleciał nad dziurą i wsiąkł w ciemny materiał.

– TAK! – wykrzyknął cienkim głosem. Upuścił kolbę na pokład. Teraz potrzebował jedynie płomienia.

– Ogień! Ogień! – mruczał do siebie. – Potrzebuję przeklętego ognia! – Rozejrzał się wokół. Choć nad pokładem unosiła się gęsta chmura gryzącego dymu, nigdzie nie było widać płomieni ani innego źródła zapłonu. Wtedy

zauważył garłacz sterczący z za pasa Starego Toma, który z wychodzącymi z orbit oczami i purpurową twarzą mocował się z przeciwnikiem. Rashim podniósł spod stóp pustą kolbę, podbiegł do nich i potężnym ciosem rozbił naczynie o potylicę niedoszłego dusiciela Toma. Pirat, charkocząc, opadł na starego wygę całym ciężarem ciała. Tom z wyrazem obrzydzenia na twarzy odepchnął od siebie nieprzytomnego przeciwnika.

– A niech cię! Wcześniej go mogłeś... psiamać... załatwić!

– Pistolet! – krzyknął Rashim. – Strzelałeś już z niego?

Tom padł na kolana... charczał. Kasłał. Rzęził. Rashim nie miał czasu czekać, aż dojdzie do siebie. Wyrwał pistolet z za pasa Toma.

– Hoj! Hej! To mój... garłacz!

– Potrzebny mi jest! – Biegając z powrotem do burty pokładu, Rashim sprawdził pistolet. Na szczęście wciąż był podsypany, gotowy do wystrzału. Po raz kolejny wychylił się za reling, maksymalnie wyprężając ciało. Nie łudził się, że żagiel zajmie się od kuli rozgrzanego ołowiu wystrzelonej z pistoletu. Pocisk co najwyżej wydrze w łopoczącym żaglu elegancką dziurę. Nie ma szans. Ale jeśli wystrzeli wystarczająco blisko przemoczonego oliwą materiału, długi na kilkadziesiąt centymetrów jeźor iskier i ognia powinien liznąć płótno.

„Powinien, ale nie musi”.

Znów znalazł się na łasce kapryśnych podmuchów. Wiatr przeciągnął fok z powrotem nad pokład dau i okrutnie zadrwił z Rashima, szeleszcząc żaglem. Mężczyzna zerknął ku wybrzeżu. W ich stronę szybko nadpływały dwa dau.

– Jasna cholera! – syknął. – Podfruniesz tu, skubańcu?!

Poczuł chłodny powiew na mokrym policzku, żagiel poderwał się po raz wtóry, zaszeleścił, wydał jak balon i wreszcie przechylił się w jego stronę. Rashim wychylił się jeszcze mocniej, maksymalnie wyciągnął ręce, stanął na palcach jednej nogi, drugą podniósł, próbując idealnie zbalansować ciało; gdyby teraz dzioby przypadkowo się zderzyły, wypadłby za burtę. Pociągnął za spust, tromblon wierzgnął w dłoni. Ekspłodowała grzybiasta, niebiesko-

szara chmura, całkiem przesłaniając widok. Rashim, łapiąc równowagę, opuścił się z powrotem na pokład i zamłócił rękami, rozpędzając wirujący, kłębiący się przed nim dym.

Przez resztki oparów dojrzał wreszcie, że żagiel odleciał nad pokład dziobowy dau. Gdyby panowała noc, ciemność, wiedziałby, czy żagiel zapłonął. Ale w tym oślepiającym popołudniowym słońcu nie sposób było dostrzec żadnego ognia. Wtedy zauważył – czerwony żagiel pociemniał, jakby ktoś na wewnętrzną część płótna wylał słoiczek atramentu, który zaczął stopniowo przeświecać przez materiał. Na środku kleksa wykwitła poszarpana dziura, później pojawił się dym, dużo dymu, wreszcie na materiał wdrapywać się zaczęły pierwsze jęczyczki ognia.

„Tak!”

Żagiel na dobre zajął się ogniem. Stary Tom, powłócząc nogami, podszedł do Rashima i w mgnieniu oka pojął jego plan.

– Mądrala! – zacharczał, wciąż ledwo przepuszczając powietrze przez posiniaczone, zbolące gardło. – Prawdziwy mądrala.

– Patrz! – Rashim wskazał palcem. – Płyną jeszcze dwa! Widzisz?

Tom zmrużył wzrok. Dwa kolejne dau znajdowały się już niecałe ćwierć mili od nich, pokonanie dzielącego ich dystansu mogło zająć im raptem kilka minut. Zaklął.

– No to jesteście załatwieni, o ile zaraz nie damy drapaka.

Dym buchający z fokżagla zakrył oba pokłady. Rashim słyszał, jak piraci nawołują się przez kłęby dymu. Rozbrzmiały krzyki paniki. Efekt był niemal natychmiastowy: fala krzyczących o pomoc głosów. Statek stanowił źródło ich utrzymania, dlatego nie bacząc na nic, piraci przerwali walkę i rozpoczęli szaleńczy odwrót. Hurmem, w tłoku, zaczęli przeskakiwać przez lukę pomiędzy dziobami na własny statek, aby odciąć płonący żagiel i wyrzucić go za burtę, zanim pożar ogarnie cały okręt.

Stary Tom zareagował błyskawicznie.

– Odetnijcie haki abordażowe! – Chwycił ster okrętu i maksymalnie go obrócił, żeby „Clara Jane” znów nabrała impetu obrotowego. Luka pomiędzy

dziobami powiększała się zdecydowanie zbyt wolno, szkuner niemrawo odbijał w prawo, żagle szeleściły i przesuwały się wolno, niepewne, z której strony łapać wiatr.

– Niuchaj, niuchaj wiatr! – syknął Stary Tom. – On tu jest, staruszek! Znajdź go!

Teale stanął tuż obok nich przy rumplu, niespokojnie zerkając na nadpływające dąbki.

– Kierujesz nas na skały!

Tom zaklął.

– Na Boga, musimy się rozpędzić, Teale, głupi capie. Rozpędzić! Co za pieprzona różnica, w którą stronę płyniemy!

Rozdział 22

Na pokładzie „Clary Jane”, gdzieś przy zachodnim
wybrzeżu Afryki
rok 1667

Żagle „Clary Jane” powoli wydymały się i łapały zachodni wiatr, ciągnąc ją ospale ku skalistemu wybrzeżu. W tym miejscu morze pieńło się grzywami fal rozlewających się na zdradliwych płycznach, rozbijających się o ostre krawędzie i grzbiety wystających skał.

– Obróć ją! – ryknął Rashim.

– Za wcześnie!

– Osadzisz nas na mieliźnie!

– No, możliwe. – Stary Tom zerknął na nadpływające dau, dzieliło ich już tylko kilkaset metrów. – Albo oni nas osadzą, jeśli sobie tak będziemy podskakiwać jak umarlaki na wodzie.

Trzymał ster skręcony maksymalnie w lewo, jakby miał zamiar wyprowadzić statek prosto na skały, ale nagle, w ostatnim momencie, gdy szkuner już pruł fale pod pełnymi żaglami, mocno odbił rumplem na sterburtę i znów przyblokował go w maksymalnej pozycji. „Clara Jane” powoli odbiła łukiem w prawo; wszyscy na pokładzie, z wykrzywionymi obawą twarzami, chwytając się za co popadnie, czekali, kiedy kil statku zderzy się z podwodną skałą i niechybnie roztrzaska w drzazgi.

Rashim poczuł pod stopami zgrzyt, niepokojąco długą wibrację.

„Boże, właśnie w coś uderzyliśmy”.

Lecz „Clara Jane” kontynuowała nieznośnie niemrawy półobrót, aż ostatni

cypelek skalistego wybrzeża przesunął się na lewo, dziób poniósł statek na południowy zachód, wprost na parę napierających dau.

– Teraz... ach... teraz suniemy prosto na nich! – krzyknął Rashim.

Kiedy dziób „Clary” znalazł się na wysokości wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma wrogimi jednostkami, Tom ustabilizował kurs.

Rashim zmarszczył brwi.

– Nie, czekaj... chcesz nas władować między nich?

Szkuner przechylił się ku bakburcie, żagle się wydeły, reje obróciły na brasach i cały statek pomknął pod wiatr tak szybko, jak tylko żaglowiec potrafi.

– Nie mają dział na pokładzie, nic nam nie będzie – powiedział Tom. – Tylko schowaj łeb, żeby cię jaka kula muszkietowa nie pacnęła, jak się między ciulów wciśniemy.

Liam dołączył do stojących na pokładzie rufowym mężczyzn. Popatrzył za siebie, na dau, którego zostawili z tyłu. Płomienie z fokżagla przeniosły się już na główny żagiel, piraci wspięli się na maszty, wściekle wałąc siekierami w takielunek, żeby jak najszybciej odciąć płonące płótno, zanim ogień przeskoczy na żagiel rufowy.

– Niezła robota, Rashimie. – Wyszczерzył zęby, patrząc na dym unoszący się nad dau. – Przednia robota, szybka reakcja.

Rashim popatrzył na Liama, zauważył, że jego koszula jest zachlapaną krwią.

– Dobry Boże, Liamie! Czy ty jesteś ranny?

Chłopak spuścił wzrok na koszulę i ponuro pokręcił głową. Odsunął od siebie obraz tamtego chłopca: brązowych, świdrujących oczu. Miał je zapamiętać na zawsze, wspomnienie będzie go prześladowało do końca życia.

– To nie moja krew.

Teale poprawił kamizelkę, wcisnął trikorn z powrotem na głowę i podszedł do nich.

– Cudownie się spisaliście, chłopcy!

– Jeszcze nie siedzimy w chacie przy piecu, Teale – odburknął Tom i wskazał głową przed siebie, przekazując rudel sternikowi. Po obu stronach burty wyłaniały się dwa inne dau. Przez moment wyglądało na to, że „Clara Jane” zderzy się dziobem z okrętem napływającym z bakburty, ale ten odbił nieznacznie na wiatr, aby uniknąć kolizji. Chwilę później wpłynęli w wolną przestrzeń pomiędzy dwoma okrętami, trzy dzioby cięły fale w odległości zaledwie kilku metrów od siebie.

Na obu niskopokładowych okrętach rozbrzmiała salwa muszkietów, korsarze zbombardowali ich lawiną niemierzonych strzałów.

– Chować głowy, chłopcy! – ryknął Teale, który bardzo chciał być widziany i słyszany, żeby umocnić autorytet na pokładzie rufowym.

Kolejny odgłos wystrzału; Liam poczuł na lewym policzku pęd ciepłego powietrza, gdy śmignął obok niego strzał muszkietu.

– Jezu! – On i pozostali schylili się instynktownie.

„Celują w rumpel!” Liam nie zdążył przetrwać tej myśli, bo kolejny strzał przeszył powietrze i z tępym tąpnięciem utkwił w klatce piersiowej sternika. Mężczyzna odpadł od rumpla i zwałił się na pokład, martwy, zanim ciało dotknęło desek. „Clara Jane” natychmiast odbiła na bakburkę, koło sterowe zawirowało z terkotem szprosów.

Liam podskoczył do przodu, złapał je obiema dłońmi i naprężył mięśnie, żeby je odkręcić i wyrównać kurs statku. W powietrzu świsnęło kilka kolejnych strzałów, ale już bezpiecznie wysoko nad głową, bo wreszcie oddalili się od dwóch statków. Liam już miał odwrócić się i zawyc prowokująco, gdy z pawęża jednego ze dau przyleciał ostatni pocisk. Chwilę później Liam poczuł, jakby w jego skroń uderzył drewniany tłuczek. Niejasno poczuł, że kręci mu się w głowie, a chwilę później gapił się już na rozmazany pokład, który nagle zmaterializował się pod jego twarzą. Patrzył, jak kałuża jego własnej krwi barwi nieheblowane deski i wsiąka w nie. „No nie... znowu... głowa?”

Rozdział 23

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Tym razem przestrzeń chaosu śmignęła litościwie szybko. Podczas podróży Maddy mocno zacisnęła powieki i skoncentrowała się na bieżących sprawach. Straszna podróż przez bezmiar zdawała się trwać nie dłużej niż kilka uderzeń serca. Chyba właśnie znalazła metodę. Jeżeli skupiasz się na ohydnej, mlecznej bieli, próbujesz wyłowić z niej sens, masz wrażenie, że czas w niej spędzony ciągnie się jak makaron. Ale może nie chodzi wyłącznie o subiektywne wrażenia: może rzeczywiście wtedy przebywa się tam dłużej, jakby chaos sam ciekawie przyglądał się osobie, która poważyła się doń wtargnąć – przetrzymuje ją dłużej niż to konieczne, aż wreszcie, znudzony, wyrzuca podróżnika do prawdziwego świata.

Sznurowane buty Maddy z głuchym tąpnięciem uderzyły w twardą ziemię. Nie otwierając oczu, rozkoszowała się nagłym uczuciem ciepłych promieni na twarzy, przez zasłonę powiek przenikała różowa poświata słońca. Słyszała, że bezpośrednio nad nią ćwierkają nieznane, egzotyczne ptaki. Z lewej dobiegał cichy szum leniwie rozlewających się w pobliżu fal. I, nie tak znowu odległe, odgłosy codziennej krzątania osadników: łupnięcia topora robiącego drewno, metaliczne dzwonienie kowalskiego młota, melodia skrzypiec, skowyt kundla. Nawoływania brygadzysty i chór stęknień robotników dźwigających ciężary, a chwilę potem jęk ulgi. Słysząc było jeszcze niewyraźne trzaskanie i łopotanie flag, chorągiewek, żagli uderzanych podmuchem świeżego wiatru, stukot i szcęk lin i bloczków ocierających się o drewniane maszty.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i uświadomiła sobie, jak bardzo przywykła do londyńskiego obezwładniającego odoru palonego węgla i koksu. Tutaj nozdrza atakował zupełnie nowy bukiet zapachów. Szczypta soli – tak, morze, oczywiście. Dym drzewny – zawsze obecny, do którejkolwiek epoki by się nie udali. Ale ponad tymi dwoma zapachami unosił się też kwaśny, wyrazisty aromat smoły drzewnej, gotowanej w garncach gdzieś niedaleko.

– Maddy?

Głęboki głos Boba wyrwał ją z czarownego snu. Otworzyła oczy. Stali na małym, otoczonym kamiennym murem cmentarzu przy starym kościele w Port Royal. Ponad głowami niecierpliwie powiewały i szeleściły włókniste liście palmy.

– Tak, tak... wszystko gra. – Poprawiła zawiązane pod szczęką, irytujące sznurki przy czepku. – Którędy?

Bob wskazał przestrzeń za cmentarzykiem – kopce spalonej słońcem, pomarańczowej gleby znaczyły drewniane krzyże biedaków i wyrastające gdzieś tam palmy, pomiędzy którymi przeskakiwało barwne, ćwierkające ptactwo. – Trzysta trzydzieści jeden metrów w tamtym kierunku – odparł.

– Tak dokładnie?

– Sygnał jest wyraźny. – Wzruszył ramionami.

– Idź przodem, wielkoludzie.

Bob ruszył zamaszystym krokiem przez cmentarz i podszedł do spłowiałej od słońca drewnianej bramy; popchnięta konstrukcja skrzypnęła i otworzyła się prosto na główną ulicę Port Royal.

– Wow – jęknęła Maddy.

Po lewej zobaczyli przysadzistą bryłę kamiennego kościoła. Przed frontem, za wąskim pasem ziemi i suchej trawy, zaczynała się główna aleja Port Royal. Po obu stronach szerokiej, prostej i ubitej alei ciągnęły się szeregi drewnianych budynków, które zdawały się wzajemnie wydzierać sobie przestrzeń, by jeszcze mocniej pochylić się nad drogą. Przedstawiały sobą prawie taki sam obraz nędzy i rozpacz jak bieda-dzielnica nad Tamizą, dwupiętrowe drewniane kamienice, przechylone jak krzywe jedyunki

w spróchniałym użębieniu. Nie sposób było dostrzec pomiędzy nimi jakikolwiek kąta prostego. Wszystkie wyglądały koślawo, górne piętra sterczały ponad ulicą niczym bukszpryty hiszpańskich galeonów cumujących jeden przy drugim. Po bokach małych oprawnych w ołów okienek wisały szeroko rozwarte, pomalowane na zielono okiennice burzowe. Otwarto też wszystkie okna, aby wpuścić do środka jak najwięcej świeżego powietrza. Wiszące w nich zasłony i lniane firanki wpadały do domostw i wyfruwały niczym mielący język spomiędzy ust.

Ulica – choć ledwie zasługiwała na to miano – nie była wybrukowana. Wzdłuż niej biegło kilka głębokich, przypominających szyny tramwajowe kolein, wrytych przez koła wozów w dniu, w którym deszcz zamienił ulicę w trzęsawisko, a później słońce spiekło je i uczyniło twardymi jak beton. Tu i tam, spomiędzy szczelin w ziemi, wyrastały kępki zeschniętej trawy, a w odległości kilku metrów leżały rozjechane placki końskich odchodów. Panował spory ruch, po ulicy krzątali się piesi, przejeżdżały wozy handlowe, ciągnięte przez muły albo samych właścicieli. W górę i w dół alei konno przejeżdżali nieliczni zamożniej wyglądający obywatele.

Bob skinął głową w lewo.

– Sygnał płynie z tamtej strony.

Ruszyli na północny-zachód, w górę głównej ulicy. Maddy zauważyła, z niejaką ulgą, że w pobliżu widać sporo kobiet, może nie tyle, ile na ulicach Londynu, ale jednak dużo. Wiele nosiło spłowiałe suknie z kolorowych jedwabów i aksamitów. Miały upudrowane na biało twarze i policzki podkreślone nienaturalnym jak u lalek różem.

Nie sposób było nie odgadnąć, jakim zawodem się parają.

Po prawej minęli willę gubernatora. Podobnie jak stary kościół, i ten budynek wybudowano z kamienia. Pobielono wapnem, tak jasnym, że w promieniach popołudniowego słońca od patrzenia łzawiły oczy. Przed wielkim budynkiem znajdował się starannie uporządkowany, pielęgnowany dłońmi czarnoskórych niewolników ogród. Wzdłuż frontu biegł niski kamienny mur, zwieńczony na całej długości kutym żelazem. W jego centralnym punkcie znajdowała się brama. Bezpośrednio przed nią stało

dwóch topiących się w prażącym słońcu żołnierzy w karmazynowych bluzach i ciemnych filcowych kapeluszach z szerokimi rondami.

Z lewej minęli targ mięsny. Widzieli wzniesione na palach niskie drewniane szopy z pokrytymi trawą daszkami. Wokół wiszących pod nimi rzędów dziczych tusz brzęczały chmury owadów. Z wejścia do szopy, w której suszono i wędzono wszystkie rodzaje mięsa, unosiły się kłęby dymu. Wszechobecny zapach wrzącej smoły prawie całkowicie – choć nie do końca niestety – zabijał odór odchodów, rozkładających się w pozostawionym na słońcu wiadrze.

„Miło”. Maddy postanowiła oddychać tylko ustami.

Kawałek dalej w górę ulicy tętniąca życiem dzielnica targowa Port Royal zaczęła zmieniać postać. Nawoływania kupców i przekupek zastąpił gwarny jazgot przekrzykujących się głosów. Przeszli obok tawerny, której klientela wychodziła na ubitą ziemię głównej ulicy. Grubo ociosane długie ławy i stoły, czyli zaadaptowane duże beczki i mniejsze antałki, wyciągnięte z sieni i rozstawione wzdłuż ulicy, obsiedli mężczyźni z przekrwionymi od słońca oczami. Wszyscy rozciągnięci wygodnie brodacze trzymali w ustach długie gliniane fajki, wypuszczając niebiesko-szare kolumny dymu tytoniowego.

„Prawie w ogóle nie ma tu kobiet” – niewesoło skonstatowała Maddy.

Kilkaset metrów dalej ulica wyraźnie się zwężała, a po obu jej stronach wyrastały kolejne tawerny. Wylewająca się z nich klientela spotykała się na środku drogi, tworząc w efekcie jedną wielką tawernę pod chmurką, tamującą ruch zmierzających w obie strony przechodniów. Ludzie zmuszeni byli kluczyć przez labirynt pijaków i unikać sennie unoszących się chmur fajczanego dymu. Nagła prawda przygniotła świadomość Maddy niczym spadająca na głowę cegła.

„Otaczają mnie sami piraci”. Bo właśnie nimi byli ci wszyscy mężczyźni. Nie byli to wszakże kochający zabawę, pokrzykujący „ahoj!” kpiarze ani rubaszne grubaski, którzy przewijają się w filmach. Nie. Ci tutaj wyglądali jak zatwardziali kryminaliści, siedemnastowieczne wersje współczesnych najemników. Psychopatów o lodowatym spojrzeniu, którzy ciągną do tak

zapalnych miejsc, jak Bośnia, Irak czy Afganistan, aby zapewnić sobie dopływ adrenaliny i gotówki.

„Prawdziwi, zupełnie niefilmowi, piraci”.

Wtedy Maddy popełniła wielki błąd i nawiązała kontakt wzrokowy z jednym z nich.

Rozdział 24

Port Royal, Jamajka

rok 1667

– Hoj! Ty tam!

Maddy chciała przyspieszyć kroku i przebić się przez zablokowane przewężenie. Bob stał tuż obok; wielka, nieruchoma kupa mięśni. Przecinkę w zatorze pijaków zatamował zmierzający w przeciwnym kierunku mężczyzna, który ciągnął wózek ręczny wyładowany balami bawełny.

– Hoj! Ty! Panienczko! – Pirat poderwał zadek z żerdzi i ruszył w jej stronę, klucząc między kamratami. – Ino jedno słówko ci szepnę, kochanieńka!

„Idziemy. Idziemy!”

Maddy zacisnęła zęby i klepnęła Boba między łopatki.

– Bob! Rusz się! – syknęła do niego.

– Droga przed nami jest zablokowana – tubalnie rzucił przez ramię. – Pozwalam przejść temu handlarzowi, żeby oczyścić...

– Jezu! Chrzań tę kurtuazję! Idź!

– Panienko! – Poczowała, że na jej barku ciężko ląduje czyjaś łapa. Nie tylko ląduje, ale i mocno ją chwyta, obraca.

W twarz uderzył ją cuchnący powiew zjełczałego, trącącego rumem oddechu.

– Piękniutka z ciebie różyczka! – Wyszczerył się, ukazując brązowawe dziąsła i samotny poźółkły ząb, chwiejący się jak ostatni opój przed zamknięciem tawerny. – Co za piękna piękność, ja chromolę! – Ogorzała

twarz pijaka rozciągnęła się w jeszcze szerszym uśmiechu. – Kupić ci kufelek kill-devila, perło południowych mórz?

Maddy potrząsnęła głową.

– Nie, nie jestem spragniona, dziękuję.

Oczy korsarza zrobiły się szerokie jak spodeczki, gdy usłyszał jej akcent.

– Prawdziwa damulka, co? – Przesunął żelazny uścisk z barku na rękę i przyciągnął ją do siebie. – Chodź, szmaragdzie. Przedstawię cię chłopcom!

Maddy chwyciła go za dłoń i mocno wykręciła jeden z jego palców.

– Nie, dziękuję!

Roześmiał się, przez chwilę miała wrażenie, że na jej stanowczą i śmiałą odmowę odpowie pełnym szacunku skinieniem głowy oraz przeprosinami. Nic bardziej naiwnego. Pirat, nie przestając się śmiać, chwycił za wycięcie sukienki i mocno szarpnął. Guziki odpadły, eksponując drobny dekolt. Instynktownie jedną dłonią zakryła na wpół odsłoniętą klatkę piersiową, a drugą uderzyła go w twarz. To go tylko rozjuszyło. Włożył łapsko pod czepek Maddy i złapał w pięść garść jej włosów.

– Chodź mi tu, szmaragdzie! Chłopcy chcą cię poznać!

– BOB! – krzyknęła Maddy, wleczone przez pirata.

Jednostka pomocnicza obróciła się, słysząc piskliwy wrzask Mads.

– STOP! – ryknął Bob.

Rozbójnik zatrzymał się i zerknął przez ramię na Boba. Po raz drugi w ciągu minuty szeroko rozwarł oczy, tym razem zadziwiony gabarytami przeciwnika.

– Idź się chędożyć!

Bob przekrzywił głowę, szybko katalogując interesujący termin.

– Natychmiast ją puść!

Pirat szybkim, wyćwiczonym latami praktyki ruchem wydobył zza pasa długi kordelas i wymierzył w Boba.

– Wypuść ją albo spotka cię akt ekstremalnej przemocy – rzekł Bob, niemal przepraszająco.

Mężczyzna prychnął.

– Ekstremalnej przemocy, co?

– Potwierdzam.

Pogwar głosów ucichł, poczuli na sobie spojrzenia przechodniów i podchmielonych piratów, ciekawych, czym zakończy się nowa draka.

Maddy zgięła się w pół i zawyła z bólu. Pięść draba jeszcze mocniej zacisnęła się na włosach, jakby próbowała oderwać je od czaszki.

– Och, przyprawię ja ci, misiu, szpetną bliznę, jeśli zara nie obrócisz zada i stąd nie znikniesz!

– Zaprzeczam. – Bob zmrużył oczy. – Zostały ci trzy sekundy, później wybuchnie ekstremalna przemoc.

Pirat zarechotał, tym razem odrobinę nerwowo; dłoń prężyła się, palce układały na rękojeści kordelasa. Przeciwnik nie dawał mu wyboru, teraz oczywiście musiał zaatakować. Bardziej rozchodziło się o utratę reputacji niż o wierzgającą przy boku dziewczynę. Uznał, że przydadzą się obie dłonie, dlatego brutalnie popchnął Maddy na stół. Upadła na blat, strącając kufle z rumem na nieutwardzoną drogę.

– Chodźże, capie. Niech cię zjem!

Bob spokojnie postąpił krok do przodu. Kiedy jednostka znalazła się w zasięgu pchnięcia, pirat skoczył naprzód z ostrzem wycelowanym w jej przeponę. Klon zwinnie odskoczył w bok, poruszając się ze zręcznością i szybkością, której korsarz nie mógł spodziewać się po kimś tak wysokim i ciężkim. Bob chwycił wyciągniętą rękę napastnika w jedną ze swoich wielkich jak połeć szynki dłoni i mocno ją wykręcił. Dźwięk kruszących się kości wypełnił zamarłą w nagłej ciszy ulicę.

Drugą dłoń zacisnął na ramieniu i szarpnął w przeciwnym kierunku, jakby chciał zrobić piratowi pokrzywkę, i oderwał mu całą rękę poniżej łokcia. Zabijaka opadł na kolana i zawył, ściskając zakrwawiony kikut.

– Ostrzegalem – zadudnił Bob. Wzrokiem znalazł Maddy. Leżała rozciągnięta na stole, przytrzymywana przez kilku mężczyzn. Bob poraził ich wzrokiem. – Ja tak mogę dalej.

Skupieni wokół stołu piraci pokręcili głowami i natychmiast rozluźnili chwyt. Maddy zsunęła się z blatu i, potykając się, wróciła do Boba. Minęła zawodzącego pirata, który kołysał się w tę i we w tę, nieludzko wyjąc bólu. Kierowana impulsem kopnęła go butem prosto między żebra. Nawet tego nie zauważył. Zakrwawiony kikut wydawał się znacznie większym zmartwieniem.

– Idziemy, Bob – wydusiła przez zaciśnięte gardło, wszystkimi siłami powstrzymując cisnące się do oczu łzy. Za żadne skarby nie chciała się tutaj rozplakać. Nie teraz. Nie przy tych zwierzętach.

Bob objął ją opiekuńczo i wznowili marsz w górę głównej ulicy, choć tym razem nie musieli przebijać się przez tłum: teraz ludzie rozstępowali się przed nimi z respektem. – Sygnał dobiega z tej ulicy. – Skręcili. Maddy ulżyło, że nie czują już na plecach palącego wzroku przypadkowej publiki. Zaczerpnęła kilka głębokich, uspokajających oddechów, szczęśliwa i dumna, że powstrzymała płacz. Przycisnęła dłonie do odsłoniętej klatki piersiowej – dekolt nie był większy niż u portowych dziewczek eksponujących swoje atuty, ale odsłaniał dużo więcej ciała, niż pragnęłaby pokazać.

– Boże! – wydyszała. – Myślałam... myślałam, że zaraz zostanę zgwałcona...

– Zagrożenie zostało zneutralizowane. – Bob popatrzył na nią z niemal ojcowską czułością.

Złapała jedną z jego pięści, która prawie całkowicie przykryła jej dłoń.

– Dziękuję, Bob. – Ścisnęła jego palec wielkości banana. – Bez ciebie bylibyśmy niczym. Bandą niewydarzonych nastolatków.

Bob zastanowił się nad jej słowami.

– Chwalisz mnie? – W słowach Liama i Sal czasem wyczuwał płynącą z głębi serca wdzięczność. Ale w ustach Maddy pochwała brzmiała dziwnie. Przywykł raczej do zgryźliwych uwag, które nauczył się porządkować i katalogować pod etykietą [SARKAZM].

– Tak, głąbie. Dziękuję.

Skinął głową i pobrał stosowną odpowiedź.

– Nie ma za co, Maddy.

– Dobra – powiedziała, biorąc oddech, żeby odzyskać równowagę. – To w tę stronę, co?

– Potwierdzam. – Zweryfikował coś w bazie danych, po czym przyjrzał się wąskiej uliczce. Obrastały ją parterowe drewniane chałupy, które chyliły się ku sobie; ciasny zaułek niemal całkowicie tonął w cieniu.

– Sygnał dochodzi z tego budynku – powiedział, wskazując jedną z chałup po prawej, mniej więcej w połowie uliczki.

Maddy wstrzymała oddech i ruszyła z Bobem przed siebie. Mijali parujące placki ludzkich i zwierzęcych odchodów oraz kałuże stęchłej uryny; przeszli obok rozkładającego się, oblepionego chmurą brzęczących much zewłoku kota albo psa. Nie wiedzieć czemu, była przekonana, że nie usłyszą dziś dobrych wieści. Nie miała nadziei znaleźć Liama i Rashima wznoszących toasty za swą niesłychaną bystrość umysłu i przeżycie sześciu miesięcy w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

„Ale czy nie byłoby super?” Otworzyć skrzypiące drzwi i zobaczyć, jak obaj niecierpliwie czekają na ratunek. Cali opaleni i ogorzali po kilku miesiącach żeglowania po wielkich wodach. Liam wyhodował pewnie pod brodą coś ponad żaloszny mieszek włosków. Tak, uraczą ich wtedy setką historii, opowiedzą tysiące przygód.

„No, najwyższa pora, obiboki!”, powie pewnie Liam z tym swoim cwaniackim, krzywym uśmiechem w chwili, gdy skrzyżują się ich spojrzenia.

Byłoby super, ale miała podejrzenia graniczące z pewnością, że nic takiego się nie wydarzy. Jeden sygnał transpondera, tylko to zdołali namierzyć. Mogło to oczywiście oznaczać, że jeden z nich przepadł albo uległ awarii. Ale narastające w Maddy poczucie lęku kazało jej wierzyć, że któregoś z nich spotkało coś tragicznego.

Bob wreszcie stanął przed chałupą, którą wcześniej wskazał.

– Sygnał dobiega stąd – powiedział.

– Okej. – Niespokojnie oblizwała usta. – Lepiej rzućmy tam okiem.

Rozdział 25

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Maddy stuknęła kłykciami w drewniane drzwi.

– Halo? Jest tam kto?

Drzwi ze skrzypnięciem otwały się do wewnątrz. W środku panowała ciemność, unosił się smród i obłok brzęczących much. Zatkaną nos, fetor był nie do zniesienia, zawahała się i dopiero po sekundzie przekroczyła próg chałupy o niskiej powale.

– Halo-o?

Wewnątrz, kiedy jej wzrok przywykł już do bladego światła sączącego się przez otwarte drzwi, ujrzała klepisko porośnięte kępami sięgającej kostek trawy i chwastów. Panował zaduch nie do zniesienia: brakowało powietrza, które rozpędziłoby gęstniejący skwar. I zapach... wyczuła obezwładniający odór mocnego alkoholu, capięło jak gnijący pasztecik. Do tego stęchły pot. Ludzkie odchody.

– Feee – prawie wymiotowała. – Śmierdzi trupem. – Skrzywiła się na dźwięk własnych słów. Jakby wypowiedzenie czegoś na głos, czyniło to bardziej prawdopodobnym.

„Obym tylko nie znalazła tu Liama i Rashima”. Nagle odnalezienie przyjaciół stało się ostatnią rzeczą, której by Maddy pragnęła. Może to ten zapach...? Bez wątplenia mógł oznaczać tylko jedno.

Bob, precyzyjnie się obok niej, wszedł schylony do małej chałupy. Zmrużył oczy, próbując przebić wzrokiem panujący wewnątrz mrok.

W poprzek pokoju biegł strzępek zawieszony na luźnym sznurze zaplamionej i spłowiałej zasłony. Spojrzała na Boba porozumiewawczo, wiedząc, że odpowiedź kryje się za kawałkiem lnianego materiału. Kiedy sięgała po zasłonę, mózg wygenerował wizualizację prawdopodobnego scenariusza: gnijących zwłok Liama.

„Nie, tylko nie to, błagam”.

Odsunęła materiał na bok. W ukrytej części wisiał tylko hamak, rozciągnięty pomiędzy ścianami szopy. Ugiął się pod ciężarem martwego ciała. Mads, z kamiennym sercem, postąpiła do przodu, nie mając ochoty sprawdzać, co buja się w środku. Tyle tylko, że było to konieczne. Pochyliła się nad hamakiem i w przyciemnionym świetle dostrzegła ciemne rajtuzy i białą lnianą koszulę, która kiedyś, dawno temu, musiała być biała, lecz teraz wyglądała jak skórka cytryny pocętkowana tuzinem różnokolorowych plam. Wzięła się w garść. Spojrzała na twarz trupa.

I odetchnęła z ulgą. To nie Liam. Ani Rashim.

– Dzięki Bogu! – wymamrotała.

Na dźwięk jej głosu ciało niespodziewanie podskoczyło, hamak się zakołysał, cała drewniana konstrukcja szopy zatrzeszczała; ze słomianej powały spłynął tuman kurzu. Mężczyzna szeroko rozwarł oczy i usiadł, prostując się jak struna.

– Kto... do diabła...?

Maddy odsunęła się na krok.

– Przepraszam! Przepraszam! Myślałam, że nie żyjesz.

Mężczyzna zwiesił bosą stopę przez hamak, próbując powstrzymać bujanie i zejść, ale źle ocenił wysokość i runął na ziemię. Poczula smród stęchłego spirytusu, wymieszany z mdłym fetorem ciała i ubrań, które od dawna już nie widziały wody ani mydła. Podniósł się na łokciach i popatrzył na nią przez żółte, wyschnięte łodygi tęskniącej za słońcem trawy i chwastów. Potem zwymiotował. I zemdlął.

– Jest pijany w sztok – rzekła Maddy. Klękła nad nim, wciąż oddychając tylko przez usta. Bob uklęknął obok niej, przypatrując się twarzy opoja. –

Transponder jest gdzieś na nim. – Zaczął przetrząsać ubranie i kieszenie mężczyzny.

– Mój Boże! Patrz! Jest tutaj! – Sięgnęła za lewe ucho mężczyzny. Transponder zwisał z metalowej obręczy. – Nosi to jak jakiś przeklęty kolczyk!

Ponad godzinę zajęło im wybudzenie moczygęby z pijackiego snu. Bob wyszedł na główną ulicę i wrócił ze skórzanym czerpakiem wody pitnej, którą oblali ochlaptusa. Kiedy odzyskał przytomność, zaczął łapczywie pić, siorbał wodę z chochli zanurzonej w czerpaku, próbując pozbyć się syndromu wyschniętych ust i gardła. Był skrajnie odwodniony, nie tylko z powodu gorzały; gotował się od panującego w chacie upału. Musiał wypić kilka pint wody, zanim był jako tako gotowy, żeby porozmawiać z którymkolwiek z nich.

Podest przy chałupie okazał się przyjemniejszym miejscem do siedzenia niż jej cuchnące wnętrze, nawet jeśli różnica temperatur nie była wielka. Maddy uznała, że najwyższa pora uzyskać odpowiedzi. Pokazała mu spoczywający w dłoni transponder.

– Skąd to masz?

Zerknął, mrugając przekrwionymi, rozbieganymi oczkami.

– To ...oje – wybełkotał niewyraźnie i przetarł usta wierzchem drżącej dłoni.

– Nie, nie twoje. To własność mojego przyjaciela. Skąd to masz?

Popatrzył na nią wilkiem.

– To ...szystko, co mi zostało, pasiakrew. To ...oje... oddaj.

Mocno zawięła pięść na kołnierzu jego koszuli.

– Dostaniesz to z powrotem, ale najpierw powiesz mi, skąd to masz!

Podniósł na nią wzrok. Przedstawiał sobą żaloszny widok. Był wycieńczony i najwyraźniej nie jadł nic od kilku dni, jeśli nie tygodni. Pod rozczochraną brodą chowały się zapadnięte od niedożywienia policzki, a świdrujące ją szkliste, przekrwione źrenice osadzone głęboko w czarnych oczodołach lśniły niezdrowym blaskiem.

– Masz przy sobie coś na przepłukanie gardła, moja droga? – Uśmiechnął się żałośnie. – Nawet kropelka postawi mnie na nogi. – Jego dłońmi wstrząsały fale dreszczy.

– Co? Masz na myśli alkohol, taki jak rum?

– Tak! R-rum... tylko kropelka...

– Bob? – Popatrzyła na jednostkę pomocniczą. – Idź i kogoś zastraszc, dobra?

– Chcesz, żebym zdobył alkohol?

– Tak.

– Potwierdzam.

Popatrzyła za Bobem, który wybiegł z zaułka na główną ulicę.

– Dobra, skoro już tu tak czekamy, może wreszcie opowiesz mi, jak zdobyłeś ten kolczyk.

– No pewno, powiem ci. – Mężczyzna parsknął oschle, niewesoło. – Zdobyłem go od człowieka, którego zabiję gołymi rękami, jeśli Dobry Pan uzna za stosowne ponownie skrzyżować nasze ścieżki.

– Co to za człowiek?

– Zdradziecki, podstępny padalec. Zły. Diabeł wcielony, Bóg mi świadkiem. – Zacharczał i wypluł flegmę na ziemię obok miejsca, w którym siedział.

Maddy zaczynało to irytować.

– Opisz go.

– Czarny jak noc, a unosił się wokół niego siarczany smród piekielny.

– Czarny? Ciemnoskóry chcesz powiedzieć?

– Tak jest. – Zmrużył oczy. – Mawiają, że Dobry Pan kopci na czarno skórę grzeszników. Czyni ich skórę czarną jak noc, żeby napiętnować zło.

Nie miała cierpliwości do tych głupot.

– Wysoki? Szczupły?

Pokiwał głową.

– Tak... na moje oko wysoki.

Rashim? Najwyraźniej.

– Towarzyszył mu ktoś? Inny mężczyzna? Młody, biały?

– A tak, było ich dwóch. Przyjaciele diabła.

Maddy, czując że kamień spada jej serca, usiadła z powrotem. Liam. Czyli są razem. A to już coś. – Gdzie oni są? Wiesz? Żyją?

– Obrabowali mnie, zabrali wszystko, co miałem. Wszystko. – Mężczyzna skrzywił się jak dziecko, spod zapuchniętych powiek wyciekły łzy, spłynęły po wychudłych policzkach i zniknęły w zmierzwionym zaroście. – Obrócili się przeciwko mnie. Po tym jak im zaufałem... uratowałem ich.

Maddy usłyszała dochodzący z głównej ulicy chór podniesionych włosów, a potem huk i łupnięcie, odgłos przypominający zderzenie dwóch obiektów. Sekundę później ujrzała zarys niezgrabnej sylwetki Boba, który pojawił się w zaułku, dzierżąc w dłoni gliniany dzban.

Zastanawiała się, czy to rzeczywiście dobry pomysł pozwolić temu biednemu łajdakowi wrócić do stanu upojenia alkoholowego. Ale z drugiej strony widziała, że drży na całym ciele i wstrząsają nim dreszcze: cierpiał na objawy odstawienia substancji uzależniającej. Spotkali człowieka zdeterminowanego, by zapisać się na śmierć; kogoś, komu nie zostało nic, tylko pragnienie, by zmarnieć do cna; zniknąć z powierzchni ziemi w oparach spirytusu. Niech tak będzie.

Bob podszedł do nich i uklęknął przy Maddy.

– Uzyskałem wiarygodne informacje, że napój w tym pojemniku to rum.

Na dźwięk upragnionego słowa w oczach mężczyzny zatańczyły ogniki dziecięcej fascynacji. Wyciągnął dłoń. Zaciskał ją i rozwierał, domagając się, by od razu podano mu cały dzbanek. Maddy sama ujęła naczynie, podniosła pocięty blaszany kubek, przelała do niego odrobinę rumu i wręczyła mu nagrodę. Kapka wystarczy, żeby pozbył się drgawek, więcej nie trzeba. Na razie.

– Proszę... a teraz zacznij od początku.

Mężczyzna wychłptał cały napitek i z miejsca poczuł się odrobinę lepiej.

– Wpierw się przedstawię, nazywam się Jakub Cuthbert Teale. Chociaż

przez pewien czas, zanim te dwa demony odebrały mi statek, zwany byłem kapitanem Jackiem Teale z „Clary Jane”. Okręt mój, ma załoga... moja inwestycja. – Westchnął. – Sprawy przybrały zły obrót.

Rozdział 26

Na pokładzie „Clary Jane”, gdzieś przy zachodnim
wybrzeżu Afryki
rok 1667

Po raz drugi w ostatnich dniach odzyskującemu przytomność Liamowi w głowie świdrowało tak, jakby zagnieździł się w niej mały, złośliwy troll, zataczający w podkutyh butach perfidne pętle wewnątrz czaszki. Otworzył oczy i ujrzał pochylającego się nad nim Willa, który ocierał mu czoło mokrą gąbką. Twarz chłopca rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

– Panie Liamie, sir... jak się pan czuje?

Usta wyschły mu na wiór, spierzchły, lepiły się od śluzu.

– Jak w piekle. Masz wodę?

William skinął głową, zanurzył czerpak w wiadrze ustawionym obok hamaku i przystawił go do ust człowieka, który uratował mu życie. Liam chleptał wodę wielkimi łykami.

– Myśleliśmy, że pan umrze – szepnął Will. – Wyciekło z pana tyle krwi.

Liam ostrożnie podniósł dłoń i dotknął głowy. Potargane włosy lepiły się od zeschniętej krwi. Palcami wyczuł skraj odsłoniętej tkanki na czubku wielkiego guza i skrzywił się, gdy mocniej dotknął rany.

– Ałaja! – Pomyślał, że jeszcze kilka podobnych urazów głowy, a jego czaszka zacznie przypominać krzywego starego kartofla.

– Pan Rashim powiedział, że miał panicz niesamowite szczęście, sir. Że kula muszkietowa zadała tylko powierzchniową ranę.

Liam zasępił się. To bardzo możliwe. Ale z drugiej strony, może

wyposażono go w grubszą czaszkę, jak inne jednostki pomocnicze. Refleksja ta przyniosła kolejną, niepokojącą myśl, że może wewnątrz jego czaszka jest dokładnie taka jak u Boba: prawie sama pusta przestrzeń z małym guzkiem tkanki mózgowej podłączonym do skomplikowanego silikonowego procesora. Maddy też się wcześniej nad tym zastanawiała.

Usiadł w hamaku, prostując plecy. Zaskrzypiał pod jego ciężarem. Spojrzał na jedną z armat „Clary”, na ambrazurę i roztaczającą się za nią ciemność. Noc.

– Co... co się stało?

– Uciekliśmy tym Maurom – odpowiedział Will. – Chłopcy mówią, że pan Rashim postąpił mądrze i sprytnie, wzniecając ogień na ich statku.

„Odważnie? Sprytnie, tak. Ale odważnie?” Liam niejasno przypominał sobie, jak Rashim tuż przed walką trząśł portkami. Jeżeli któregokolwiek z nich można było nazwać odważnym, to bardziej jego, zdecydowanie. Przecież to on rzucił się w wir walki u boku pozostałych marynarzy „Clary”. Westchnął w myślach.

– Tak, Rashim to bardzo odważny mężczyzna.

– Pan Henry mówi, że mieliśmy pierońskie szczęście. Mówi, że to pewno byli handlarze niewolników. Gdyby nas dopadły te dwie pozostałe łajby, już byśmy byli nieżywi albo siedzielibyśmy spętani łańcuchami w drodze do Arabii.

– Jak długo leżałem nieprzytomny?

Will przekrzywił głowę.

– Nieprzytomny?

– No jak długo leżałem bez ducha?

– Tylko przez południe i wieczór, sir. Dopiero co godzina upłynęła jakiegoś ich z oczu stracili. – Will potrząsnął głową. – Okrutnieśmy przed nimi czmychali w morze, sir. Okrutnie.

Liam pokiwał głową,

– Potrafię to sobie wyobrazić. Gdzie Rashim?

Will wydawał się nieswój.

– O co chodzi? – dopytał Liam.

– Wszyscy się w kupie zebrali na pokładzie. – Will mówił szeptem. – Nie są zadowoleni z naszego kapitana.

Kapitan Teale patrzył przez otwarte drzwi swojej kajuty na stojących na zewnątrz Rashima i Starego Toma oraz pozostałych członków załogi, którzy z zakłopotaniem zgromadzili się na śródokręciu.

– O co się tu rozchodzi?

Rashim wyczuł w jego oddechu woń alkoholu.

– Chłopcy nie są zadowoleni – powiedział Tom. W głosie żeglarza pobrzmiwał przepraszający ton. Choć i on po cichu zrzędził na niekompetencję Teale’a, myśl o zakwestionowaniu naturalnej hierarchii na okręcie nie była mu w smak. Bunty nigdy nie przynosiły nic dobrego. Bo bunt to chaos. A chaos na okręcie pod żaglami to doskonała recepta na katastrofę.

– Niezadowoleni? – Teale popatrzył na nich pytająco. – I wysłali was dwóch w charakterze swoich reprezentantów, żebyście przekazali mi ich opinię, tak?

Rashim skinął głową.

– Chłopcy... cóż, bardzo zaniepokoiły ich niektóre z decyzji taktycznych, które pan podjął... sir.

Tom i Teale, obaj skonfundowani, zmarszczyli brwi, a Rashim połajał się w myśli za użycie tak nowoczesnego sformułowania. – Zaniepokoiło ich kilka pana decyzji.

Brwi Teale’a ułożyły się w groźnego marsa.

– Kto do czorta dał im prawo kwestionowania moich decyzji? To ja jestem kapitanem tego okrętu, ich przełożonym, a te darmozjady mają bez słowa skargi wykonywać moje rozkazy!

Stary Tom sposepniał i mocno zacisnął wargi.

– Chłopcy nie... – zaczął.

– Chłopcy „nie” co?

Tom niezręcznie zaszurał nogami.

– Chłopcy na to nie pójdą, sir.

Policzki Teale’a spurpurowiały ze złości.

– Zrobią do cholery wszystko, co im rozkażę. Bo jeśli nie, to każdego krnąbrnego łajdaka aresztuję za bunt i niesubordynację, klnę się na Boga! A jak wrócimy do Anglii, huncwot taki trafi pod sąd i zawisnie na stryczku jako buntownik!

– Obawiam się, że tym ludziom jest wszystko jedno – zauważył Rashim.

Wściekłość Teale’a zdawała się słabnąć.

– Według nich na tym okręcie nie obowiązują oceaniczne, morskie... ani żadne inne prawa.

Rashim zerknął przez ramię na milczącą załogę, która zgromadziła się na głównym pokładzie. W świetle trzymanyh przez kilku marynarzy lamp oliwnych odbijały się niespokojne błyski źrenic.

Teale wyczuł, że żadne wrzaski i ryki nie pomogą mu wybrnąć z sytuacji.

– Chciałbym zamienić z panem słówko na osobności, panie Anwar! – powiedział i grzecznie uśmiechnął się do Toma – Jeżeli oczywiście nie masz nic przeciwko, Tom.

Ta nagła manifestacja szacunku zbiła Starego Toma z tropu. Odchrząknął i zaszurał stopami.

– Oczywiście, sir. Jak pan sobie życzy.

Teale wrócił do kajuty i gestem zachęcił Rashima, aby postąpił za nim. Kiedy już znalazł się wewnątrz, Rashim delikatnie zamknął za sobą drzwi.

– Czuję się w obowiązku ostrzec cię, panie – zaczął. – Chłopcy bardzo się rozzłościли, że dałeś się złapać w pułapkę.

Groźny marsz kapitana Teale’a zniknął w jednej chwili.

– O Boże, zlituj się nade mną! – Postąpił cztery kroki i opadł na krzesło przy stoliku nawigacyjnym. – Mniemałem... mniemałem, że kapitanowanie statkowi to błahostka! Mniemałem... a niech mnie! – Zerknął na Rashima. –

Jużem ci wcześniej to wyznał... nie poważyłbym się przeprowadzić tego statku wszerz Atlantyku!

– Ale – naciskał Rashim – przecież to był twój pierwotny zamysł, panie, nieprawdaż? Popłynąć na Karaiby i zdobyć list kaperski.

– Tak! – wściekle odburknął Teale. – Tak. Niech cię szlag, ladaco... taki był mój zamysł, dobry Bóg mym świadkiem. Lecz ja... ja nie mogę tego uczynić!

– Dlaczego?

Teale sięgnął po kufel i wysiorbał zalegające na dnie resztki wina.

– Niech cię diabli porwą, Rashimie! Mamże ci to litera po literze wyznać? Boję się! Śmiertelny strach mnie ogarnia!

– Przed czym?

Kapitan odwrócił się na krześle i wyjrzał przez okienka na rufie. Na zewnątrz panowała ciemność, choć oko wykol.

– Przed lądem! A wyrażając się precyzyjniej, przed straceniem go z oczu!
– Walnął pięścią o stół. – Te przyrządy nawigacyjne jakąś czarną magią mi się jawią! Mapy i wykresy o ból głowy mnie przyprawiają! Acz nade wszystko... nie potrafię uporać się z myślą, że w zasięgu wzroku mógłbym mieć samo morze! – Na skórze Teale'a wystąpiły kropelki potu. – Popatrzże no tylko na mnie! Jestem pokonany! Wrak człowieka! – Ponownie zerknął na szybę, ale odbijała się w niej tylko ponura kabina, lampa oliwna i jego własna migocąca twarz. – Niebawem trzeba będzie zawrócić. Ku lądowi! Zanim wypłyniemy za daleko w morze!

– Ależ załoga na to nie przystanie. Nie zawrócą. Obawiają się piratów.

Teale zaczynał bujać się do przodu i do tyłu.

– Należy im powiedzieć! Musimy zawrócić!

– Chłopcy prawie na pewno podniosą bunt, jeśli wydasz taki rozkaz, panie! Ale to nie wszystko. Podejrzewam, że cię zabiją. Albo wyrzucą za burtę.

– Mój Boże, człowieku! Czy oni tego nie rozumieją? Czy ty nie rozumiesz? Możemy się zgubić i już nigdy nie zobaczyć lądu!

Rashim postąpił krok do przodu. Spojrzał na mapy i przyrządy

nawigacyjne. – Tego się obawiasz, panie? Że zaginiesz? Na zawsze?

– Tak! To gorsze niż wieczne potępienie w piekle! Wieczność na morzu! Dobry Boże, popatrz tylko ile miejsca na tych kartach pokrywa błękitny atrament, sir!

– Nie, nie rozumiesz, panie... ocean nie jest bezkresny – uspokoił go Rashim z uśmiechem. – W rzeczywistości nie jest tak wielki, jak ci się wydaje. Uwierz mi. – Przesunął palec w poprzek mapy. – Jeśli utrzymamy zachodni kurs, w końcu trafimy na ląd. Nie sposób przypadkiem ominąć Ameryk.

Teale pochylił się w krześle.

– Rashimie, prawieś wcześniej... że zdołasz nas tam doprowadzić. Naprawdę do potrafisz?

Wzruszył ramionami. Już udało mu się rozgryźć podstawy nawigacji. Opierała się w końcu na zwykłej arytmetyce. Ale wprawne odczytywanie współrzędnych na kołyszącej się łodzi... to już zupełnie inna para kaloszy.

– Wydaje mi się, że mógłbym doprowadzić statek w okolice, powiadam w okolice, Karaibów.

Teale złapał go za nadgarstek.

– Tedy to ty, panie... ty zostaniesz moim pierwszym oficerem. Zajmiesz się nawigacją! – Kiwnął głową, pokrzepiony na duchu tą myślą. – A i chłopcy się z tego ucieszą! Wszyscy oni darzą cię sympatią. Prawda?

– Nie jestem przekonany, czy „sympatia” to...

– Po dzisiejszych wyczynach... – Teale uśmiechnął się, odrobinę maniakalnie – ...na pewno obdarzą cię, panie, estymą i z radością powitają moim zastępcą!

Rozdział 27

Na pokładzie „Clary Jane”, gdzieś przy zachodnim
wybrzeżu Afryki
rok 1667

– Naprawdę nie rozumiem – powiedział Liam. – Nie rozumiem, dlaczego mu pomagasz. Ten człowiek to skończony osioł, nie inaczej.

Rashim oparł łokcie o reling na dziobie „Clary”, raźnie przetaczającej się przez grzbiet leniwej fali oceanicznej. Przytknął zmrużone oko do przeziernika przy horyzontalnej podziałce kwadrantu, rejestrując kolejny odczyt.

– Nie jest głupcem, Liamie. Choć – wzruszył ramionami – marynarz też z niego żaden.

– Ale to ty powinieneś być kapitanem tego okrętu. Nie ten pompatyczny przygłup.

Liam wiedział, jaki nastrój ogarnął załogę „Clary”. Teraz wszyscy ochoczo dzielili się z nim swoimi przemyśleniami. Na dobre był już jednym z nich – po walce z Maurami, toczonej ramię w ramię z towarzyszami podróży, zdobył ich szacunek i zaufanie.

– Już byli gotowi uczynić cię kapitanem w miejsce Teale’a. Tego chcieli. – Liam czule stuknął go w ramię. – Świąćcie wierzą, że nadajesz się na oficera marynarki.

Rashim westchnął. Kuksaniec go zdekoncentrował. Ponownie się schylił, oparł o reling i spróbował zarejestrować odczyt.

– Tak czy siak, potrzebujemy Teale’a – powiedział. – Tylko on ma

bezcenne powiązania rodzinne z ludźmi, którzy rządzą Jamajką.

Liam musiał przyznać Rashimowi rację. Brak Teale'a to brak listu kaperskiego... brak licencji korsarskich, a w momencie, gdy „Clara Jane” zaatakuje okręt handlowy, hiszpański albo pływający pod inną banderą, przyłgnie do nich łatka piratów i już na zawsze zostaną banitami. Na taki scenariusz nie pisał się żaden z członków załogi. I był to jedyny powód, dla którego wciąż tolerowali Teale'a jako swojego kapitana. Tę trudną sytuację ułatwiał fakt, że Teale zaszył się w kajucie, pozwalając Rashimowi nawigować, a Staremu Tomowi, jako kwatermistrzowi, zarządzać załogą. Przez większą część dnia, jak opowiadał Rashim, kapitan pił albo spał. Tak radził sobie z paraliżującym strachem przed pełnym morzem – nautyczną agorafobią: topił obawy w szklance rumu.

– Rashimie, gdybyś przejął dowodzenie, mógłbyś rozkazać załodze podpłynąć do najbliższego skrawka stałego lądu i zarzucić kotwicę. Zdarłbyś wreszcie z Teale'a swoją kamizelkę, a Maddy zyskałaby w ten sposób dużą szansę, żeby nas namierzyć i teleportować do domu.

Rashim utkwiał w nim przenikliwy wzrok.

– Sporo w twojej teorii gdybania, Liamie. Nie wiemy, czy transponder zaszyty w kamizelce wciąż działa, czy sygnał jest wystarczająco mocny i wyraźny, by mogła nas zlokalizować. – Zniżył głos. Stojący najbliżej marynarze byli zajęci oczyszczaniem bloczków olinowania z solnego osadu, który spadał na pokład, ale w chwili ciszy i spokoju podmuch wiatru mógł ponieść nieuważne słowo wzdłuż pokładu.

– Jeśli nawet na sekundę straciła nas z radaru – a przecież Teale wiozł nas zygzakiem od momentu, gdy odbiliśmy od brzegów Anglii – próba zlokalizowania nas będzie jak szukanie igły w stogu siana. Liamie, transpondery zaprojektowałem po to, żebyśmy mogli się odnaleźć na wypadek rozdzielenia przez tłum, a nie żeby monitorować czyjeś ruchy na bezmiarze oceanów. – Wyprostował się i dostosował przeziernik kwadrantu. – Pogódźmy się z myślą, że jesteśmy zdani na własne siły.

– Cudownie – westchnął Liam. – Ach, co tam... przecież nie pierwszy raz błądzę jak ślepiec.

– Błędzisz? To znaczy bez danych translokacyjnych? Punktu odbioru? Sygnatury czasowej?

– Tak, błędzę... kompletnie zagubiony w czasie.

– Mówisz o jednej z misji?

– Tak. Wszystko zaczęło się od prostego błędu, kolizji pól energetycznych. Maddy przypadkiem wysłała mnie i sporą grupę ludzi do ery dinozaurów. Cofnęliśmy się o sześćdziesiąt pięć milionów lat, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Podrapał się po kosmyku szarych włosów przy skroniach. – To pamiątka. Na taki stres mnie wtedy naraziła. – Zaśmiał się gorzko.

– Dobry Boże! Jakim cudem...?

– Jak nas znalazła?

Rashim pokiwał głową.

– Miałem ze sobą Beki. Inną „Beki”, wcześniejszą wersję. Potrafiła oszacować, „kiedy” wylądowaliśmy.

Rashim potrząsnął głową.

– To niemożliwe. Na pewno. Nie na podstawie samej obserwacji rzeczywistości. Czas geologiczny to zupełnie inna skala. Nie wiem, jakim sposobem zdołaliście ustalić precyzyjną datę, rok nawet.

– Obliczenia przeprowadziła na podstawie prędkości rozpadu cząstek tachionowych. I nie były one szczególnie precyzyjne. Wynik zawęziła do mniej więcej tysiąca lat.

– Nie, Liamie... nie, to piekielnie precyzyjny wynik. W perspektywie całej historii... milionów lat... zawężenie wyniku do tysiąca lat? To fantastyczne. – Skrzywił się. – Gdybyśmy tylko mieli przy sobie jedną z jednostek pomocniczych... – Odwrócił się do Liama. – Jesteś przekonany, że sam nie potrafisz dokonać takich kalkulacji?

Liam uniósł brew.

– Wiem, nie do końca jestem zwykłym człowiekiem, ale nie jestem też, na Boga, gadającym kalkulatorem!

– Przepraszam. – Rashim zrozumiał, że postąpił niedelikatnie. – Najmocniej przepraszam, Liamie. Gruboskórny prostak ze mnie.

Liam wzruszył ramionami.

– E tam... nie przejmuj się. Wiem, czym jestem i zdążyłem się już uporać z tą świadomością. – Wyszczrzył zęby. – Zresztą, przydałoby się mieć komputer włożony w głowę. Ale obawiam się, że cała wypchana jest tą normalną papką. Chyba zaprojektowano mnie tak, żebym myślał jak człowiek, nie jak maszyna. Bo to z kolei robota Boba, nie inaczej. Priorytety misji, bazy danych, odbieranie sygnałów i takie tam.

– Nieważne – przerwał Rashim – jeśli Maddy wciąż śledzi sygnał, to nic się nie dzieje, moja kamizelka wciąż płynie na tej samej łodzi co my i nie ma znaczenia, czy noszę ją ja, czy Teale. Bez nas nigdzie się nie wybierze.

Liam zacisnął usta.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego, jeśli nas śledzi, nie spróbuje otworzyć portalu.

– Jesteśmy teraz poruszającym się celem. To zbyt niebezpieczne. Zlepilibyśmy się z czymś albo powywracałyby się nam flaki w żołądku. – Rashim się uśmiechnął. – Chętnie tu sobie trochę poczekam.

Liam spojrzał w dół, na wzburzony błękit oceanu, przecinany ostrym dziobem okrętu. Przysłuchiwał się chlupotaniu fal o kadłub, na policzkach czuł lekką wilgoć bryzgającej wody. Z góry dobiegało brzdękanie napiętych fałów, łopotanie i szelest żagli. – Mogliśmy trafić do dużo gorszego miejsca niż to, Rashimie. – Wziął głęboki oddech. – Mógłbym do tego przywyknąć.

Rashim w zamyśleniu pokiwał głową.

– Nie chciałbym wrócić do moich czasów. Nawet, gdybym miał taki wybór.

– Naprawdę było aż tak źle?

Rashim przez chwilę, w milczeniu, zastanawiał się nad odpowiedzią. Wyrzwał na pokryte pianą morze, ciepłe turkusowe niebo. Piękne, nieskażone kolory zdawały się należeć do zupełnie innej planety.

– Dorastałem w świecie odliczającym swoje dni. Wszyscy zrozumieliśmy, że przekroczyliśmy próg terminalnej systematycznej zagłady. Wszystko, co nam zostało, to uporać się z własnym końcem. – Posłał mu lekko kpiący

uśmiech. – Świat zamienił się w jedną wielką halę odpraw ludzkości. Wszyscy czekaliśmy na nieuniknioną apokalipsę. – Wskazał przesuwając się pod nimi taflę wody. – Oceany zainfekowała warstwa toksyn, kwitnące algi zabiły życie w głębinach. Pamiętam holozdjęcia oceanów, Atlantyckiego i Indyjskiego, ich wody były rdzawoczerwone, nie takie jak dziś – cudownie błękitne. Czerwone od toksycznych glonów. – Smutno potrząsnął głową. – Wiesz, Liamie, w moich czasach po Oceanie Spokojnym pływała wielka skorupa plastiku. Prawdziwa wyspa o powierzchni pięciuset kilometrów i głębokości co najmniej kilkudziesięciu metrów, cała złożona z nagromadzonych warstw śmieci, zlepionych ze sobą przez fale pływowe Pacyfiku. Na środku warstwa śmieci była tak gruba, że ludzie mogli po niej chodzić. Rozkładać obozowiska. Była pomnikiem naszej głupoty. Sztuczna, wielka jak kraj, wyspa unoszących się śmieci – tak schrzaniiliśmy nasz świat.

Liam próbował wyobrazić to sobie, patrząc na horyzont: pływającą wyspę cuchnących śmieci. Chmary krzyczących mew i bzyczących much.

– Wspaniale.

– Wiem, przeszłość to barbarzyńskie miejsce. Wiedziałem to, gdy tworzyliśmy Projekt Exodus. Wybraliśmy starożytny Rzym i wiedzieliśmy, że uciekamy do okrutnej, pełnej przemocy, prymitywnej epoki. Ale wtedy wciąż jeszcze żyła w nas nadzieja. Nie tylko wtedy zresztą. Szansa istniała aż do wieku dwudziestego, do odkrycia ropy, rozwinięcia przemysłu na skalę masową, do eksplozji demograficznej... do tego czasu cieszyliśmy się nieskażoną ziemią, pełną nietkniętych zasobów, nieskończonego potencjału. Wiek dwudziesty i dwudziesty pierwszy, pod rządami gatunku mądrzejszego niż ludzie, byłby złotym okresem. W ciągu tych dwóch stuleci Ziemia stałaby się matecznikiem cywilizacji, która opuściła dom w poszukiwaniu innych światów. Być może zrobiłaby pierwszy, nieśmiały krok, poza Układ Słoneczny. Ale nie, my tylko zniszczyliśmy planetę. Zamieniliśmy w niegościnnie rumowisko.

Westchnął. Wreszcie uśmiechnął się do Liama.

– Ja też przywyknąłbym do życia w tej epoce.

Rozdział 28

Na pokładzie „Clary Jane”, Morze Karaibskie rok 1667

– Według moich obliczeń, kapitanie Teale – powiedział Rashim i jeszcze raz zweryfikował wynik, przesuwając linijkę wzdłuż mapy – zostało nam pięć, góra sześć dni drogi do Jamajki.

Teale skinął głową.

– Genialnie. Pierwszorzędną wykonujesz robotę, panie Anwar.

Tego popołudnia nawet nie bełkotał, a słowa nie niosły się ponad mapą w towarzystwie niestrawionego smrodu rumu. Dziś był trzeźwy jak niemowlę. Kiedy Rashim podniósł wzrok, zobaczył, że kapitan jest dziś wyjątkowo ożywiony.

– Nie przynieść kolejnej buteleczki spod pokładu, panie? Wciąż zostało sporo flasz.

Teale potrząsnął głową.

– Grhm... może później. – Nachylił się w krześle. – Rashimie?

– Tak?

– Ja... jak to najlepiej ująć? – Coś go najwyraźniej dręczyło. – Czy mogę zaryzykować stwierdzenie, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi?

Przyjaciółmi? Rashim nie był przekonany, czy użyłby takiego słowa. Kapitan był dość miły, gdy chciał, potrafił też być czarujący, no i bez wątpienia emanowała z niego charyzma showmana.

– Przyjaciółmi... tak... – Rashim posłał mu niepewny uśmiech.

– Czuję, że mogę ci zaufać, Rashimie... bardziej niż tym ciamajdom na

pokładzie. Czy mogę zwierzyć ci się z delikatnej materii?

Rashim uznał, że póki co rozsądniej udawać, że jest po jego stronie.

– Oczywiście.

– Sekret. Czy mogę powierzyć ci sekret?

Rashim pokiwał głową.

Teale mocno zacisnął wargi.

– Nie byłem do końca szczery.

– Co do czego?

Kapitan przywołał na twarz nonszalancki uśmiech.

– Co do jednej lub dwóch spraw. – Niespokojnie poruszył się na krześle. – Nie jestem tak dobrze ustosunkowany, jak to sugerowałem.

– To znaczy?

– Wyczuwam, żeś, tak jak i ja, człkiem wolnego ducha. Poszukiwaczem przygód. Awanturnikiem? Hmm? – Koleżeński rechot Teale’a brzmiał jak wymuszony. – Powiedz mi, czyż nie są to złote czasy dla ludzi żądnych przygód? Czyż nie żyjemy w czasach, w których człowiek pochodzący ze skromnego domu może zbić fortunę?

– Wspomniałeś panie coś o tym, że nie jesteś tak dobrze ustosunkowany?

Teale wyszczerzył zęby, postukał koniuszkami palców o krawędź stołu, jak pokerzysta, który za moment odsłoni kareta asów.

– Będę z tobą szczery. Rozpocząłem diabelsko inteligentną szaradę. Odważną grę, Rashimie. Widzisz, nie pochodzę ze szlacheckiego domu. Przyznaję, nie łączą mnie więzy rodzinne z nikim wartym wzmianki. Nawet z gubernatorem Jamajki.

Rashim gapił się na niego szeroko otwartymi oczami.

– Na tym polega sztuka oszustwa, przyjacielu. Ludzie bardzo szybko gotowi są uwierzyć w najbardziej nieprawdopodobne, niedorzeczne, ekstrawaganckie opowieści. I właśnie taką bajeczką uraczyłem naiwnych kupców z Londynu, którzy sami wyłożyli pieniądze na ten statek i prowiant! Na całe to przedsięwzięcie!

Twarz Teale'a rozpromienił szeroki uśmiech, jakby na zakończenie cudownie komicznej historii rzucił jeszcze porażająco zabawną puentę.

– Chwileczkę. Mówiłeś... twa opowieść, panie? Walka po stronie rojalistów, dowodzenie szwadronem kawalerii? Pochodzenie? Odziedziczony majątek...?

– Falbanki. Moim prawdziwym rzemiosłem, drogi przyjacielu, jest scena.
– Zdjął trikorn z głowy i przystawił kapelusz do piersi, gestem przypominającym fałszywie skromną reakcję na niepohamowany aplauz i owację wiwatującej publiki tanich teatrzyków za pensa. – Jestem aktorem.

Liam zmełł przekleństwo w ustach.

– Nie no, żarty sobie stroisz. Poważnie?

Rashim pokiwał głową.

– Nie żartuję. Wszystkie jego słowa były kłamstwem. Cały czas łął. Ten człowiek od samego początku wodził za nos załogę.

– Ale... ale na pewno ten dureń musiał przewidzieć, że gdy tylko dopłyniemy na Jamajkę, a on spróbuje wystarać się o licencję gubernatora...?

– Jego plan – z braku lepszego terminu – osadzał się na tym, żeby liczyć na łut szczęścia przed przybiciem do wybrzeży Jamajki. Miał nadzieję, że uda nam się ograbić jakiś statek, a zdobyte łupy przeznaczyć na hojną łapówkę, posmarować właściwe dłonie złotymi monetami.

– Jezu... co za obleśna, oślizgła...

– Zwykły kręt. Naciągacz.

– Tak – przyznał Liam i popatrzył Rashimowi prosto w oczy. Twarz chłopaka powoli rozpromieniał mimowolny uśmiech: poczuł, że zaczyna się śmiać.

– O co chodzi? Co cię tak, cholera, śmieszy?

– Nic, tylko... to zakrawa na ironię. Mogli nas porwać wszyscy piraci świata, ale nie, nas porywa farbowany pirat. – Śmiech przeszedł w kpiący uśmieszek. – I tak przez całe życie, w rzeczy samej. Jedna wielka, tłusta

blaga goni drugą. – Zmarszczył nos i znowu parsknął lekceważąco. – Śmiech ratuje mnie przed popadnięciem w obłąd.

– Hmm, dobrze wiedzieć, że traktujesz to ze śmiertelną powagą.

– Och, uwierz mi, traktuję albo będę traktował... za chwilę. – Liam przetarł szczeciniasty podbródek krawędzią dłoni i objął wzrokiem główny pokład, na którym wieczorem krzątało się równie dużo latających albo naprawiających coś marynarzy.

„Kiedy się wreszcie obudzę i zorientuję, że śniłem przedziwny sen? Kiedy na powrót będę zwykłym chłopcem z Corku... a cały ten świat okaże się skutkiem ubocznym zjedzenia zepsutego kawałka wieprzowiny tuż przed pójściem do łóżka?”

– Kiedy chłopcy się o tym dowiedzą, natychmiast zechcą poderżnąć mu gardło czymś, co akurat będą mieli pod ręką – odezwał się Liam. – Przesaną przypominać rubaszną kompanię drabów.

– Myślisz, że powinniśmy im powiedzieć?

Liam wzruszył ramionami.

– Jeśli Teale przestanie być użyteczny, możemy to wykorzystać. Chłopcy obwołają cię kapitanem, no i, rzecz jasna, odzyskamy kamizelkę z zaszytym transponderem.

Rashim zmrużył oczy.

– Tak, to prawda. Choć... nie chcę mieć na sumieniu śmierci tego oszusta.

– Ani ja. Właśnie dlatego musimy stąpać bardzo ostrożnie. Chłopcy wściekną się nie na żarty, w rzeczy samej.

Liam miał dobre przeczucia. Załoga zapragnęła głowy Teale'a.

– Stryczek to zbyt litość dla kłamliwego kundla! – ryknął Bartlett.

Pozostali aprobująco pokiwali głowami. Liam zwołał zebranie na pokładzie działowym, aby zapewnić im spokój i gwarancję, że nie zostaną podsłuchani przez Teale'a, który, jak mniemał, zdążył się upić albo, co bardziej prawdopodobne, chrapał na swojej pryczy. Ale ryk złości i wzburzenia niósł się ponad górny pokład. Być może zagłuszał go dźwięk

brzękających garnków i patelni Kuchcika, który płukał naczynia w beczce z wodą morską.

– Chłopcy, chłopcy... – Liam uniósł dłoń, żeby ich uciszyć. Odrobinę go zaskoczyło, jak szybko ucichli i zamienili się w słuch. Robili hałas pełen udawanej brawury, jak klasa nieopierzonych urwipołciów z podstawówki. Tak, byli wściekli. Ale przede wszystkim niespokojni, niezadowoleni... pozbawieni przywódcy, odrobinę przerażeni. – Chłopcy, w pierwszej kolejności powinniśmy wybrać nowego kapitana statku. I pozwolić mu, kimkolwiek on będzie, zdecydować o losie Teale'a.

– Dobrze gada – poparł go Stary Tom. – Statek potrzebuje kapitana, inaczej zamienimy się w gromadę morskich łazęg.

– Racja – zgodził się Liam.

– A zatem wysuwam swojom kandydature – powiedział Henry Bartlett, rozglądając się po pokładzie. – No, chłopcy, kto jest ze mną?

W powietrzu niepewnie zawisło kilka dłoni, może tuzin. Henry gniewnie popatrzył na pozostałych.

– Nikt więcej, co? – Splunął na pokład. – Służyłem w marynarce królewskiej. Piętnaście lat pływałem po morzach. Dłużej niż większość z was!

– A co z tobą, Tom? – ryknął jeden z mężczyzn. – Nie chcesz kapitanować?

Tom roześmiał się i potrząsnął głową.

– Tak, wiem gdzie i czemu pokład skrzypi, ale nawigator ze mnie marny. A i przedsiębiorca żaden. A właśnie kogoś takiego potrzebujemy, chłopcy, kogoś, kto potrafi zarabiać pieniądze. – Zerknął na Henry'ego i z szacunkiem skinął głową. – Henry... to zacny, solidny chłop, racja..., ale nie widzi mi się, żeby miał nas uczynić bogatymi paniczami.

Odwrócił się do Rashima.

– Ale ten tu gentleman, pan Anwar, to on wyznaczył nam kurs przez morze. Pewnie rzekniecie, że chuchro z niego miękkie i niewyrośnięte jak drożdże, że dłonie ma jak dziewczka delikutaśne. Racja, ale racja też, że żeglarz

to i nawigator zawołany.

Mężczyźni niepewnie popatrzyli na Rashima. Poparcie Starego Toma miało swoją wagę, ale bali się przekazywać dowództwo kolejnemu złotoustemu paniczekowi w jedwabiach, który mógł się okazać nieudolnym kabotyńcem podobnym Teale'owi.

– Popieram wysuniętą przez Toma kandydaturę – szybko powiedział Liam.
– Może nie pływał po morzach tyle lat co Henry, ale jest błyskotliwy, nie inaczej. – Liam zauważył, że znowu zaczyna wtrącać współczesne słowa. „Błyskotliwy”. Marynarze pewnie popatrzą na wiktoriańską, szytą na miarę, koszulę Rashima – teraz nieco brudną, lecz do niedawna błyszczącą – i zaczną zastanawiać się, jaki to ma do pierona ze wszystkim związek.

– Jest sprytny. Zmyślny.

– Tak jest – zgodził się Stary Tom. – Szczwany jak lis.

Wszyscy utkwili w Rashimie wzrok. Ten poruszył się z zażenowaniem.

– No nie wiem, czy...

– Tom ma rację – brutalnie przerwał mu Liam. Naprawdę nie pora na to, żeby Rashim demonstrował skromność i dystans do siebie. Ludzie potrzebowali przywódcy. – Rashim nas tu przywiódł. Nauczył się nawigacji w kilka dni i pozwolił nam bezpiecznie dopłynąć na Karaiby.

Liam dobrze wiedział, że nie była to tak wielka sztuka, jak zdawało się tym piratom, w większości analfabetom. Arytmetyka, zdrowy rozsądek, podstawowa znajomość geografii świata... oraz umiejętność czytania i pisanie. To wszystko. Ale oni nie musieli tego wiedzieć.

– Głosuję za Rashimem – powiedział Liam.

– Terminujesz u niego, jesteś jego służącym, nie? – powiedział Henry. – Lubię cię, chłopcze, naprawdę... ale skąd mamy wiedzieć, czy nie rozkazał ci na siebie zagłosować?

– Liam nie jest moim służącym – rzekł Rashim. – I nigdy nim nie był. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Prawda. Powierzyłbym mu swoje życie – dodał Liam, patrząc na towarzysza. „Ja też”, zdawał się odpowiadać. Dziwne. Od kiedy się znają?

Od kilku miesięcy?

Na dolnym pokładzie zapadła cisza. Załoga zgromadziła się wokół smętnie zwisającej z krokwi lampy naftowej, jedynym dźwiękiem było skrzypienie „Clary”, kołysanej spokojnymi falami tropikalnych wód, oraz pobrzękiwanie naczyń, które Kuchcik płukał na górnym pokładzie.

– Głosujmy zatem – ponaglił załogę Stary Tom. – Kto za panem Henrym Bartlettem... ręce w górę.

Tym razem w powietrze uniosło się jeszcze mniej rąk: dziewięć.

– Kto za panem Rashimem Anwarem?

Liam i Tom podnieśli dłonie, a za ich przykładem, nie bez oporów, poszło jeszcze kilku stojących obok marynarzy. Liam wyciągnął szyję, aby ponad grupką mężczyzn skupionych wokół lampy spojrzeć na resztę załogi, która tłoczyła się na całej długości wąskiego pokładu działowego. Dostrzegł trochę więcej uniesionych dłoni. Łącznie naliczył dwadzieścia. Nie było to jednogłośnie zwycięstwo, dużo do tego brakowało, ale i tak Rashim zdobył więcej głosów niż Henry. Większość marynarzy nie zagłosowała.

Wciąż nie mieli pewności co do Rashima.

– Kolejne imiona? – krzyknął Tom. – No już... najwyższa pora!

Cisza.

Tom spojrzał na Liama.

– W takim razie mamy nowego kapitana.

Liam z szerokim uśmiechem zaczął bić brawo. I szybko przestał, bo cała załoga patrzyła na niego, jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

– Ach... rozumiem. – Opuścił ręce i schował dłonie do kieszeni – My... hmm, nie pora na wiwatowanie? Niech wam będzie.

– Pierwsza rzecz, kapitanie – odezwał się Barlett. – Co zrobimy z Tealem?

Rashim odchrząknął.

– Dobrze. Hmm... niech pomyślę. Nie jestem pewien. A wy jak myślicie, chłopcy?

„Jezu. – Liam obrzucił Rashima pełnym niedowierzania spojrzeniem. –

Prawdziwie inspirujący początek charyzmatycznego przywództwa”.

Rozdział 29

Morze Karaibskie

rok 1667

Jakub Teale czuł, że najgorszą część nieszczęsnego koszmaru ma za sobą. Według Rashima pomyślnie przepłynęli ocean i wpłynęli na wody Morza Karaibskiego. Wszędzie wokół były wyspy. Wiedział to od napotkanych w londyńskich zajazdach i tawernach ogorzałych, opalonych wilków morskich. Można tu było nawigować na oko, przepływając z jednej zatoczki do drugiej, i zbijać majątek, nigdy nie wypuszczając się na granatowe wody oceanu, nigdy nie tracąc lądu z oczu.

Pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Człowiek taki jak on, złotousty, z naturalną charyzmą i postawą heroicznego przywódcy, mógł zbić na tych wodach fortunę. Wystarczyło nie topić pieniędzy i czasu w alkoholu. Poprzysiągł sobie, że od jutra nie weźmie do ust ani kropelki rumu czy innego grogu. Do Port Royal, stolicy Jamajki, przybiją już jutro, musi być zatem w optymalnej formie, gdy postawi stopę na lądzie. Teale miał pewne wątpliwości, czy gładkimi słówkami utoruje sobie drogę do rezydencji gubernatora i czy, o ile już się tam znajdzie, zdoła przekonać władcę Jamajki, że wydana na piśmie licencja na plądrowanie hiszpańskich statków jest jego boskim przywilejem i zapewni stały dopływ nielegalnego złota do kabzy.

Ale jego własna załoga była odrobinę chytrzejsza. Teale przeczuwał, że magnetyczny urok, którym ich oczarował, tracił moc. Popełnił kilka błędów... przez ostatnie kilka tygodni z pewnością nie pokazał swojej najmocniejszej strony, leżał w kabinie, dzień po dniu upijając się do nieprzytomności. W tym czasie Rashim i Stary Tom skutecznie we dwóch „kapitanowali” statkiem.

Przez chwilę martwił się, że Rashim może stanowić dla niego zagrożenie. Ale głos miał niemal kobiecy, był niepewny w obyciu, nieco zbyt pokorny. Ta zgraja typów spod ciemnej gwiazdy, drobnych złodziejasków i łajdaków, podporządkowywała się tylko niekwestionowanemu autorytetowi, reagowała tylko na głośne rozkazy człowieka pewnego siebie. Zresztą, teraz to nie miało znaczenia. Gdy tylko pomacha przed oczami tych ludzi parafowanym listem kaperskim, będą jego.

Teale układał się do snu na pryczy, zadowolony, że pomimo trudnych początków przygody sytuacja powoli zaczyna się klarować. Właśnie wtedy usłyszał stłumiony stukot wielu butów uderzających o schody wiodące na pokład rufowy. Chwilę później drzwi do jego kajuty rozwarły się na rozcież. Ktoś zapomniał grzecznie zapukać.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?! – warknął wściekle.

Do środka weszło dwóch mężczyzn trzymających lampę naftową. W migocącym świetle rozpoznał sylwetkę jednego z nich, młodego Irlandczyka – O’Connora chyba. Drugim z intruzów był...

– Rashim? – Usiadł na łóżku. – Niech cię szlag! Jakim prawem śmiesz wchodzić tutaj niczym...

– Wstawaj! – ostro powiedział Liam. – Natychmiast.

Teale szeroko rozwarł oczy. Wargi drżały z wściekłości.

– Niech Bóg ma mnie w swojej opiece! Jak śmiesz! Każę cię wychłostać za niesub....

– Na twoim miejscu, podniosłbym się z łóżka i robił, co rozkażemy – uciszył go Liam.

Teale rzeczywiście wstał.

– Ty łotrze... każę Tomowi zakuć cię w żelazo. – Przyłożył dłonie do ust. – Tom!

– Tak? – Stary Tom wyłonił się zza pleców buntowników.

Teale taksował wzrokiem trzech mężczyzn, którzy śmieli wtargnąć do jego prywatnej kajuty. Ponad ich głowami dostrzegł coś bardzo niepokojącego: na pokładzie rufowym pełno było zerkających do środka mężczyzn. – Tom? Co

to wszystko znaczy?

Tom uśmiechnął się, ukazując dziąsła i poczerwiałe zęby.

– W wyniku głosowania utraciłeś, panie, władzę na tym statku.

– Głosowania! Głosowania? – Charknął jakby chciał wypluć to słowo. – Co to niby jest? Zgromadzenie dziewic-hafciarek? Ta przeklęta łajba jest moja! Ja zorganizowałem ekspedycję! Ja...

– Załoga cię zdetronizowała, panie. – powtórzył Liam. – Zagłosowała na Rashima.

Teale przeniósł na Rashima wzrok, w którym czaiło się bezbrzeżne zdziwienie.

– Prawda to?

Irańczyk w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Grhm... tak, prawda.

Liam postąpił kilka kroków do przodu. Podszedł na tyle blisko, żeby zniżyć głos do szeptu.

– Chłopcy mają cholerną, cholerną chętkę, żeby poderznąć ci gardło i wywalić ciało za burtę. Ale Rashim – ponownie przeniósł na niego wzrok – kapitan Rashim wydał pierwszy rozkaz... kazał wsadzić cię w jedną z naszych ożaglowanych pinas, dać wiosła i trochę wody.

Na potwierdzenie tych słów Rashim skinął głową.

– Zgadza się. – Spróbował przybrać odrobinę bardziej władczy ton. – To rozkazałem.

– Na twoim miejscu – dodał Liam. – Nie traciłbym czasu na kłótnię. Chłopców ogarnął ponury nastrój. Im szybciej znikniesz z tego statku i wyruszysz w samotną podróż, tym lepiej dla ciebie.

Teale warknął pod nosem.

– Ludzie! Wy, tam, przed kajutą! – ryknął niespodziewanie. – Ci z was, którzy zaraz aresztują tych zdrajców, NIE zostaną uznani za współwinnych tego durnego buntu! Resztę z was każę wychłostać jak...

Liam potrząsnął głową i cmoknął.

– Teale, Teale, tylko pogarszasz swoją sytuację.

Pięć minut później przy burcie „Clary” podskakiwała już pinasa, przez reling przrzucono sznurowaną drabinkę, a załoga bardzo niechętnie opuściła na dno łódki beczkę z wodą pitną.

Teale złapał się za nadburcie.

– Pamiętajcie... jak tylko wyjdę na ląd, powiadomię o waszej działalności odpowiednie władze. Zostaniecie piratami! Bandytami! Buntownikami! – Odwrócił się i spojrzał na zgromadzonych żeglarzy. – Wystaram się o audiencję u gubernatora Modyforda! Wysłucha mnie i powierzy dowództwo nad flotą statków, a wówczas wszystkich was wytropię! Nie ustane w pościgu. Nie znajdziecie zatoczki, wyspy, portu ani innego miejsca, w którym moglibyście się bezpieczne schronić!

Liam zauważył, jakie wrażenie na ludziach wywierają słowa Teale’a. Donośny głos, ton niezbitą pewnością, że złożona obietnica na pewno się ziści. Gwizdy i drwiny sprzed kilku sekund ucichły, zapanowała niezręczna cisza.

– Zawieście na stryczku przez tych dwóch! – ryknął, utkwivszy płonący wzrok w Liamie i Rashimie. – Wszyscy, durnie, wszyscy co do jednego zadyndacie przez nich! Wasze trupy będą gniły na szubienicach jako ostrzeżenie dla innych!

– Jezu – mruknął pod nosem Liam.

„Trzeba go natychmiast wywalić za burtę”.

Chwycił Teale’a za ramię.

– Dobra... dość już tego gadania.

– Kamizelka! – sapnął Rashim. – Potrzebujemy jej.

– Ach tak – Liam zaczął ściągać z pirata odzienie.

Teale odepchnął go od siebie.

– Puszczaj, łotrze niemyty!

– Kapitan pragnie odzyskać swój kaftan – nalegał Liam.

Teale obojętnie potrząsnął głową.

– Nic mi po nim. – Rozpiął kamizelkę, zdjął z ramion, podał Irlandczykowi i roześmiał się na całe gardło. – Niebawem ściągnę ten bezrękawnik z twojego dyndającego trupa, Rashimie. Każę go oczywiście dobrze wyprać, zanim ponownie na siebie nałożę!

Liam chwycił mężczyznę za bary i popchnął w stronę relingu.

– Pora na ciebie, panie – syknął mu prosto do ucha. – Uciekaj, zanim coś w ciebie wypali. – Pozwolił Teale’owi spojrzeć na rękojeść zatkniętego za pas garłacza.

Teale zdobył się na drwiący uśmiech.

– Zdołałem wyłudzić fundusze na ten statek od kilkunastu bankierów i kupców... bez wątpienia uda mi się namówić jednego starego gubernatora wysepki, aby wydał na was edykt śmierci.

– Pozostaje mi życzyć ci powodzenia, panie. – Liam zdzielił Teale’a po plecach tak mocno, że ten był zmuszony przerzucić nogę nad relingiem.

Teale zawahał się jeszcze w rozkroku nad nadburciem.

– Ci dwaj głupcy przywiodą was do zguby! Zapamiętajcie moje słowa... ostatnią twarzą, którą ujrzycie w swym nędznym życiu, nie licząc facjat sędziego pokoju i kata, będzie moja twarz!

Liam wyciągnął pistolet zza pasa i wymierzył lufę w nos Teale’a.

– Idź.

– A na panu, panie O’Connor... osobiście wykonam wyrok!

– Nijak nie potrafisz wyczuć momentu, w którym należy zamilknąć, panie.
– Odciągnął kurek garłacza i Teale wreszcie zaczął powoli schodzić po sznurkowej drabince. Kiedy znalazł się na samym dole, klapnął na drewnianą ławkę w łodzi.

– Posłuchajcie mnie uważnie, panowie, nie upłynie rok... a wasze cielesne powłoki obrócą się w stertę kości i obrosną gnijącym mięsem! – ryknął do wyglądających przez burtę żeglarzy. – W tym oto momencie podpisaliście na siebie wyrok śmierci!

Liam wymierzył i pociągnął za spust pistoletu. Ciszę nocy rozerwało trzaśnięcie wystrzału, ławka, na której siedział Teale, eksplodowała

drzazgami. Aktor zrozumiał przesłanie. Pośpiesznie podniósł wiosła z dna łodzi i zaczął wiosłować.

Liam i Rashim patrzyli, jak łódź odplywa w ciemność, przysłuchiwali się pluskowi zanurzanych i podrywanych wiosł, aż płaska rufa pinasy zniknęła w mroku nocy.

– Mogło pójść lepiej – powiedział szeptem, naciągając na ramiona odzyskaną kamizelkę.

Reszta załogi ponuro wpatrywała się w ciemność. Nikt nie skakał z radości. Nikt nie wznosił toastów za nowego kapitana. W powietrzu zawisła ciężka cisza. Grobowa.

– Koniec. Teraz mamy wszystko za sobą.

Stojący obok Rashim poruszył się z niepokojem.

– Zniszczył mi kamizelkę, widzisz? Oberwał kilka guzików.

Stary Tom ryknął na ludzi:

– Wracajcie do koi, chłopcy! Jutro czeka nas pracowity dzień. – Wyznaczył nocne strażę, pogrążeni w ponurych nastrojach marynarze rozeszli się, zostawiając Liama i Rashima samych. Towarzysze stali na pokładzie statku, wpatrując się w ciemność.

– Faj... cuchnie alkoholem i potem – cmoknął Rashim.

– Transponder?

– Ach tak. – Uśmiechnął się płochliwie. – Kompletnie wyleciało mi to z głowy. – Rozpiął kamizelkę i wsunął pod nią dłoń, próbując wymacać niewidoczne rozcięcie i ukrytą za nim kieszonkę.

– Znalazłeś?

Rashim szukał dalej, przebiegając palcami po jedwabnej podszewce.

– Hmm... kieszeń jest otwarta. Ktoś ją rozpruł. – Liam przypomniał sobie, że tuż przed wyprawą do płonącego Londynu na wszelki wypadek zaszyli kieszonkę kilkoma szwami grubej nici.

– Co?

Rashim zaklął i wyciągnął dłoń. Pustą.

– Zniknął.

Liam powoli opuścił głowę, oparł czoło delikatnie o drewniane nadburcie.

– Świetnie. Po prostu wspaniale.

Rozdział 30

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Maddy spuściła na niego wzrok. Ponownie zemdłał. Rum pomógł mu wziąć się w garść, opowiedzieć całą historię. Teraz Jack Teale, ekskapitan i niedoszły awanturnik, na powrót zamienił się we wrak człowieka, upodabniając się do szeregu piratów, których zamroczone alkoholem cielska leżały w progach domów i na werandach niczym wyblakłe od słońca kadłuby rozbitych łodzi, wyrzuconych na plażę podczas przyływu.

Maddy patrzyła na chrapiącego mężczyznę.

„Długo nie pociągnie” – pomyślała. Umrze w wyniku niedożywienia albo – co bardziej prawdopodobne – w bójce, po nieudanej próbie kradzieży czyjegoś łupu, za który mógłby kupić ostatnią butelkę rumu.

Wstała i spojrzała na Boba, jej twarz rozpromieniła ulga.

– No... to teraz przynajmniej wiemy, że obaj żyją.

– I że są gdzieś w pobliżu.

– W pobliżu. To znaczy gdzieś na Karaibach?

– Potwierdzam. W okolicy.

– Cholernie spora to okolica do przeszukania.

Gdzieś na Karaibach. A przynajmniej tam byli, gdy wyrzucili Teale'a przez burtę. Zastanawiała się, ile upłynęło tygodni. Od tamtego czasu mogli wypłynąć na inne wody. Być może właśnie wracali przez Atlantyk do Holborn, do Londynu. Ale czy Jack Teale nie powiedział jej, że załoga statku chciała za wszelką cenę zbić fortunę na tych wodach? Jeżeli Liam i Rashim

przejęli władzę na okręcie, właśnie to musieli obiecać swojej załodze: że zostaną na Karaibach. Marynarze, wciąż w rebelianckich nastrojach, urządziliby kolejny bunt, gdyby dostali rozkaz powrotu do miejsca, z którego przyплыnęli.

– Tak się zastanawiam... dlaczego nie zeszli na brzeg tutaj, w Port Royal? Dlaczego nie postanowili poczekać, aż ich namierzymy i stąd zgarniemy?

– Nie dysponuję odpowiednimi informacjami, aby odpowiedzieć na to pytanie, Maddy.

– Tylko głośno myślałam. – Odpowiedziała nieobecny tonem. Przesunęła ręką po brodzie. Ciekawsze jest jednak, dlaczego dali transponder Jackowi Teale'owi? Tak powiedział. To był prezent. A przecież ten mały, mikroskopijny kawałek przewodów scalonych był dla nich jedynym ogniwem kontaktowym. Jedyną szansą na zlokalizowanie i odnalezienie.

„W jaką grę grają te dwa fanfarony?”

Wtedy Maddy uderzyła nagła myśl. Głęboko niepokojąca myśl. Być może w pewnym momencie na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy – miesięcy dla Liama, kilku godzin dla niej i Sal – przyjaciel uznał, że wszystkiego ma już po dziurki w nosie i postanowił się „zbuntować”. Przypomniała sobie, jak często z rozrzewnieniem i sentymentem wspominał pół roku spędzone w dwunastowiecznym Nottingham, gdzie udawał szeryfa: wielkiego pana, władcę wszystkich podległych mu ludzi.

„Boże, jakże mu się to wszystko podobało”. Miecze, zbroja... dowodzenie. Ileż razy powtarzał, że wróciłby tam bez chwili wahania, gdyby nie fakt, że jego robota polegała na ratowaniu przyszłości?

„Ale już nie mamy roboty do wykonania. Nie w tym sensie. Drepczemy w miejscu. Zwykli z nas turyści czasoprzestrzenni z wehikułem, który może nas zabrać dokądkolwiek zechcemy”.

Uśmiechnęła się smutno. Nie potrafiłaby mieć mu za złe, gdyby rzeczywiście tak postąpił. Gdyby oportunistycznie wykorzystał sytuację i prysnął z wiecznej pułapki czasu. Ostatecznie poznali już prawdę o własnej tożsamości: żadne z nich nie postanowiło dobrowolnie przystąpić do drużyny Jeźdźców w Czasie. Rzekomy wybór, cała historia rekrutacji – wszystko to

było zaprogramowanym wspomnieniem. „Wyboru” dokonał ktoś inny, bo już na pewno nie oni sami. Przypominali postaci stworzone przez autora, który wtłoczył im do głów słowa, myśli i uczucia. Czyniło to z nich zwykle pacynki.

„Może zatem tu leży pies pogrzebany? Czyż nie? Dokonał wyboru. Nie chce, żeby go znaleźć”.

Teale natomiast relacjonował wydarzenia ostatnich kilku miesięcy z goryczą i nienawiścią: opowiedział jej, jak uratował Liama i Rashima z pożaru, w jaki sposób zostali najlepszymi przyjaciółmi, a później niespodziewanie zwrócili się przeciwko niemu, wywołali bunt i zmusili do opuszczenia własnego statku. Rzeczywiście, brzmiało to tak, jakby i Liamowi, i Rashimowi spodobała się rola awanturniczych piratów sterujących własnym okrętem, własnym przeznaczeniem. Wiedziała, że taka perspektywa mogła być kusząca, szczególnie dla Liama: nieograniczony horyzont, morze przygód i wolność wyboru, dokąd pożeglować.

„Boże, to musi przemówić do wyobraźni”.

Maddy zazdrościła im tego i nagle sama zapragnęła znaleźć się na otwartym morzu, krzycząc razem z nimi „juu-huuu” i „a-hooj” z mieczem i garłaczem w dłoniach. Zazdrościła i zastanawiała się, czy po wszystkich wspólnie przeżytych przygodach, Liam rzeczywiście zdecydowałby się, ot tak, porzucić ją i Sal.

„Mnie się to prawie zdarzyło. Dwukrotnie”.

Doskonale pamiętała oba te przypadki: na zrujnowanym polu bitwy w Nowym Jorku, kiedy była przekonana, że ich drużyna na dobre straciła zdolność operacyjną. A później w Bostonie, gdy niewiele brakowało do odzyskania starego życia – a przynajmniej tak się wtedy łudziła.

Maddy spojrzała na transponder i uświadomiła sobie, z bolesnym ukłuciem, że to wreszcie koniec. Nadeszła pora rozstania.

Nieszczęsny pijus leżący u jej stóp nie miał oczywiście najmniejszego pojęcia, do czego służy to urządzone. W jego mniemaniu było błyszczącym, ładniutkim przedmiotem, który można przerobić na gustowny kolczyk. Rozumiała, dlaczego Liam podarował go Teale’owi. Podjął decyzję.

Podejrzewał zapewne, że jeśli Mads go odnajdzie, spróbuje namówić na wspólny powrót do Londynu, będzie apelowała do jego poczucia obowiązku, lojalności. Pozbywając się transpondera, próbował tego uniknąć. Uciec od problemu. Zerwać wszystkie więzy z Agencją – czymkolwiek ona była. Bez łaźnych pożegnań, kłótni. Po prostu. Wiedział, że Maddy zlokalizuje i zacznie monitorować sygnał emitowany przez transponder, aż wreszcie go uratuje. To właśnie usiłował jej przekazać.

„Proszę, Maddy, nie szukaj mnie. Nie zabieraj mnie stąd. Jestem tu szczęśliwy”.

To było jego ostateczne pożegnanie.

– Bob? – powiedziała z trudem. Odchrząknęła, usiłując nie poddać się emocjom. Nie, nie teraz, nie w tym zapomnianym przez Boga miejscu. A już na pewno nie przy tej durnowatej szafie mięsa.

– Słucham, Maddy.

– Nic tu po nas.

– Wracamy?

– Tak.

Zmarszczył czoło, po czym uniósł jedną z krzaczastych brwi.

– Bez Liama i Rashima?

– Zgadza się, bez Liama i Rashima.

To go wyraźnie zbiło z tropu.

– Wrócimy do Londynu i rozpoczniemy wyszukiwanie sygnału drugiego transpondera?

– Taaa... tak, chyba tak. – Odparła z roztargnieniem, choć z tyłu jej głowy wykwitła myśl, że może lepiej pogodzić się z tym, że to już koniec. Jeśli mieli kiedyś jakieś zadanie, przestało być aktualne, a oni zostali sami, zdani na własne siły. Może, choć tylko może, wróci po prostu do tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, wybierze miejsce, czas, w których chciałyby przeżyć resztę swoich dni, otworzy portal i pójdzie za przykładem Liama i Rashima: wypisze się z tego. Sal zrobi to samo, jeśli tylko zechce.

A Bob i Beki?

Zrobią to, co im podpowiedzą te ich zadaniowo zorientowane sztuczne mózdzki. Niech sobie siedzą w ciemnicy lochów przez resztę swych nienaturalnie długich żyć, wpatrując się w ekrany komputerów i porastając kurzem. W nosie ich ma.

– Chodź, Bob... nic tu po nas. Wracamy.

Rozdział 31

Morze Karaibskie

rok 1667

„Uważaj czego sobie życzysz... bo jeszcze się spełni”.

Tak myślał sobie Liam, patrząc jak kilku marynarzy z „Clary” oddala się od okrętu, wiosłując ku brzegowi. Panująca przez ostatnie dwa tygodnie burzowa aura i porywisty, nieustający północno-zachodni wiatr pognały okręt przez Atlantyk na południowo-wschodni kraniec Karaibów, niebezpiecznie blisko Nowej Hiszpanii. Zboczyli z kursu o sto albo i więcej mil. Umiejętności nawigacyjne Rashima okazały się bardzo amatorskie.

Wszystkie antałki były już puste albo zawierały zanieczyszczoną wodę pitną i trzeba je było napełnić ponownie. Liam i Rashim uznali, że ta mała, nieznaną wyspa z wysokimi, porośniętymi dżunglą szczytami i osłoniętą laguną to doskonałe miejsce na przystanek i uzupełnienie zapasów. Ale wyczerpała się nie tylko woda pitna, również zapasy jedzenia – wiktuałów, jak mawiał Stary Tom – skurczyły się niemal do zera. Przez ostatnie kilka dni Kuchcik przyrządzał lurowatą breję na bazie ostatnich zgniłych kartofli, zagęszczaną sproszkowanymi resztkami owsa.

Liam wziął Rashima na stronę i doradził mu, żeby dowództwo nad ekipą zwiadowczą objął Henry Bartlett. Wilk morski stawał się ciężarem. Wściekły z powodu przegłosowania go w wyborach na kapitana, zaczynał stwarzać problemy, rozsiewał wśród załogi ziarna niezadowolenia. Liam uznał, że najlepsze panaceum to obarczyć go robotą, bo i po co ma beczynnie siedzieć, narzekać i sączyć jad do uszu wszystkim gotowym słuchać.

Patrzyli, jak wyładowane pustymi beczkami łodzie z Henrym i tuzinem

innych marynarzy rozbryzgują wody płycizny i wreszcie są wciągane na plażę. Liam osobiście dobrał Bartlettowi załogę: chłopców, którzy nie sprzymierzyli się z Henrym, nie należeli do małej (choć rosnącej) bandy rozżalonych mąciwodów. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to kilka wspólnie spędzonych na lądzie dni, podczas których mogliby dowoli kwękać, szemrać i knuć.

– Średnio nam idzie, prawda? – spytał Rashim.

– Ciężko zadowolić tę zgraję – odparł Liam. Nie pomagał fakt, że w Londynie Teale wyprał mózgi wszystkim członkom załogi, obiecując, że na wodach Karaibów znajdą nieprzebrane zasoby złota i łatwego łupu. Że bogacenie się będzie proste jak zrywanie wiszących tuż nad głową owoców.

Ostatnie kilkanaście dni, a od pozbycia się Teale'a upłynęły niemal dwa tygodnie, przypominało pasmo niepowodzeń. Najpierw walczyli ze sztormem, który pojawił się znikąd, złamał reję wpół i poszarpał cały przywiązany do niej takielunek. Potem przypadkiem wybuchła beczka z prochem. Szczęśliwie, spory jego zapas przemókł podczas sztormu i nie zajął się ogniem. Ale i tak w wyniku eksplozji – wywołanej, jak podejrzewał Liam, przez jakiegoś głupca, który strzepnął popiół z fajki tam, gdzie nie powinien – zginął jeden z ludzi (prawdopodobnie idiota od fajki), a kilku innych odniosło poważne rany.

Wreszcie... osiedli na mieliźnie. Tkwili w miejscu przez kilka dni, aż wreszcie postanowili zrzucić z okrętu trochę ładunku, żeby odciążyć statek. Wszyscy zanurzeni po klatki piersiowe w wodzie, rozbujali szkuner i centymetr po centymetrze wypchnęli go na głębsze wody.

Rashim trafił w sedno, nie był to najlepszy początek. Szczerze mówiąc, znaleźli się w opłakanym stanie. Niektórzy uważali, że powinni skierować statek do najbliższego portu – a tam zapewne porzucić „Clare” i poszukać szczęścia na innej łajbie, najlepiej dowodzonej przez kogoś, kto zna się na rzeczy, może nawet posiada licencję na grabież hiszpańskich galeonów.

Ale nie mogli zawinąć do portu, nie mieli pieniędzy. Zupełnie. Liam podejrzewał, że za rzucenie kotwicy trzeba uiścić opłatę, zapłacić lokalny podatek albo wręczyć łapówkę, bo inaczej statek zostanie skonfiskowany na

poczet długu.

– Potrzebujemy zwycięstwa – powiedział Rashim. – Choćby niewielkiego.
– Odwrócił się do Liama. – Chłopcy powinni uwierzyć, że karta się odwróciła, idzie ku lepszemu.

– A może... – Liam wypowiedział głośno myśl, która nie zdążyła się wykryształizować.

– Może... co?

Wzruszył ramionami.

– Może powinniśmy się od tego wszystkiego uwolnić.

– Co masz na myśli?

– Rozumiesz... wpłynęlibyśmy do portu, wyszli na brzeg i zwyczajnie... sam nie wiem, porzucili tę łajbę. Pozwolili objąć dowództwo komu innemu. Niech Henry się tym zajmie, skoro tak się pali.

– A później?

Liam ściągnął usta.

– Nie wiem. Do tej pory improwizowałem.

– Utkwiliśmy tu, Liamie. Utkwiliśmy w tych czasach, a gdybyśmy zrobili to, co sugerujesz, całym naszym majątkiem byłyby własne ubrania. Zostalibyśmy żebrakami w miejscu, które nie obdarza litością nikogo.

– Racja. – „Clara”, choć podziurawiona i w opłakanym stanie, była ich jedynym atutem. Jedyłą kartą przetargową, którą się mogli posłużyć. A okręt stanowił ich „własność” tylko dzięki aktualnej aprobacie załogi. Jeszcze jeden cios od losu, a chłopcy wysadzą jego i Rashima za burtę i kogo innego wybiorą na dowodzącego statkiem.

– Potrzebujemy tylko jednej łatwej ofiary – powiedział Rashim. – Wtedy, za pozyskane fundusze, odmienimy zły los. Jestem przekonany.

Liam się uśmiechnął.

– Naprawdę ci się to podoba, co? Kapitanie Rashimie?

Rashim puścił prztyczek mimo uszu.

– Wpadłem na kilka pomysłów.

– Pomysłów?

– Tak. Wiem, jak zdobyć taktyczną przewagę nad innymi statkami. Przebudujemy okręt, uczynimy go niezniszczalnym. Uczynimy go... – Rashim zmrużył oczy, obejmując wzrokiem lagunę z wyciągniętymi na plażę łodziami. – Uczynimy ten statek legendą. Ale najpierw zgromadźmy fundusze.

– Legendą? – Liam uniósł brew. – Nie przesadzasz? Co ci chodzi po głowie?

– Tak, legendą, Liamie. Jesteśmy tu uwięzieni. Oba transpondery przepadły. Zresztą, nie mam nawet pewności, czy emitowany sygnał jest wystarczająco silny, by Maddy potrafiła nas wytropić. Niewykluczone, że skanuje całą długość Tamizy, próbując nas odnaleźć. Albo uznała, że przepadliśmy w pożarze. Martwi. – Odgarnął z twarzy wilgotny lok ciemnych, przetłuszczonych włosów. – Nie widzisz, że utkwiliśmy tu na dobre?

– Tak, póki co, chyba tak.

– A... pozostawienie po sobie znaku?

Zmiana historii. Oczywiście. Liam skinął głową. Przecież nie raz uciekał się do podobnej sztuczki. Kiedyś utworzył skamielinę, na której wyrył wiadomość „zabierz mnie stąd, do cholery”. Ale czy w tej tropikalnej dzicy ta metoda przyniosłaby podobny efekt? Mogli oczywiście wyryć wiadomość w drzewie palmowym, zakopać szkatułkę z listem i łudzić się, że tropiciel skarbów z przyszłość odnajdzie ją, a potem zanieśie pod dębowe drzwiczki poniżej Holborn Viaduct. Ale bez żartów. Czy to w ogóle prawdopodobne?

Liam wybuchnął śmiechem. Śmiał się z własnej głupoty. Zrozumiał, do czego zmierza Rashim. „Zostawić ślad”. Stworzyć legendę. Dostać się na karty książek historycznych. Książek, które pewnego dnia trafią w ręce Maddy i Sal. Kto wie, może wywołają falę czasu, którą spostrzeże Sal. Wyślą w ten sposób wskazówkę, że obaj żyją, dadzą im odczuć swoją obecność.

– Liamie, za pomocą kilku nowoczesnych... „udoskonaleń” okryjemy ten okręt złą sławą. Uczynimy go Nemezis oceanów. – Wypowiadając tę frazę, Rashim uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. – Ty i ja, Liamie...

zostaniemy królami piratów.

– Królami piratów, hmm. Pewien jesteś, że chodzi tylko o to, żeby odnalazła nas Maddy... a nie o przygody „Czarnobrodego” kapitana Rashima z rozrośniętym ego?

– Cel jest jeden. Maddy ma nas zauważyć. – Posłał Liamowi chełpliwe mrugnięcie. – Chociaż... hmm... „królowie piratów”? Ty i ja. To byłoby dopiero coś.

– Tak... byłoby.

Patrzyli na krzątających się po plaży ludzi: zdążyli się rozdzielić na kilka grup, które ruszyły w poszukiwaniu źródła wody pitnej.

– Na początek potrzebujemy jednej łatwej ofiary – powtórzył Rashim. – I trochę złota.

– Powiesz mi, co kombinujesz? Wiesz, żeby uczynić nas niezwycięzonymi?

Rashim podrapał się po nosie.

– Jeszcze nad tym pracuję. Niebawem ci powiem.

– Dobrze, to w międzyczasie podsunę sugestię.

– Jaka?

– Jeśli rzeczywiście chcemy okryć ten okręt sławą... albo raczej złą sławą... powinniśmy zmienić jego nazwę.

– Na jaką?

Liam z westchnieniem przewrócił oczami.

– Taką, która zatańczy Maddy przed okularami i trzaśnie ją w twarz.

Rashim wciąż nie wiedział, o czym mowa.

– Na „Pandorę”, oczywiście.

Rozdział 32

Morze Karaibskie

rok 1667

– Jest mocno poturbowany, kapitanie – rzekł Tom, przekazując lunetę Rashimowi i wskazując bladą kropkę żagla unoszącego się ponad płaskim morzem na horyzoncie.

Rashim przystawił zmrużone oko do lunety i po minucie podał ją Liamowi.

– Ma lepszy wzrok niż ja.

Liam wziął ją i skierował na smugę bielejących w oddali żagli. Okręt przybliżał się i oddalał w soczewce w takt kołyszących nim fal. Oparł się o reling i wyregulował ostrość lunety. Dostrzegł statek handlowy o wysokich burtach. Na niemrawo łopoczącej ponad bezanmasztem fladze dostrzegł żółć i czerwień.

– Hiszpański?

– To stara karaka – powiedział Tom. – Widzicie? Fokmaszt ponad reją jest złamany.

Liam skinął głową.

– Widzę, rzeczywiście ledwo płynie. – Obniżył lunetę. – Sztorm ją tak okaleczył, co?

– Pewnikiem – burknął Tom.

W zeszłym tygodniu nad Karaibami rozhulał się śmiertelny sztorm. Przyszedł niespodziewanie, bez ostrzeżenia. A potem szybko zniknął. Upłynęło kilka koszmarnych godzin, okręt to wzbijał się na pienne

wierzchołki, to spadał w otchłań. Wielkie fale przelewały się przez niską burtę i rozbijały o pokład. Być może dalej, na południowym zachodzie, przy wybrzeżu Nowej Hiszpanii huragan wiał jeszcze mocniej.

– Czy hiszpańskie okręty nie przemieszczają się we flotyllach? – spytał Rashim.

– Zazwyczaj. Ten musiał zmitrężyć. Za wolny był dla innych. Nie lubią kręcić się po tych wodach. Wolą prędko wypłynąć na Atlantyk.

Liam odwrócił się do Rashima.

– Po raz pierwszy uśmiechnęło się do nas szczęście. Zapowiada się łatwy łup.

– Rzeczywiście. – Rashim wziął głęboki wdech. – Czas pobrudzić rączki.

Tom wyszczerzył kły.

Po trzygodzinnym pościgu jedno z dział na lewej burcie wystrzeliło salwę ostrzegawczą, na dźwięk której załoga karaki czym prędzej zwinęła żagle. Teraz okręt podskakiwał ospale sto metrów dalej. Liam przekonał przyjaciela, że właśnie nadeszła doskonała sposobność, aby odegrać rolę nieustraszonego, awanturniczego przywódcy bandy żądnych krwi korsarzy. Rashim stanął więc na dziobie płynącej na czele pinasy i, próbując wczuć się w rolę, z arogancją oparł jedną stopę o górną krawędź nadburcia, a dłoń położył na rękojeści szabli zatkniętej za pas.

Kiedy podpłynęli do dziobu karaki, załoga zrzuciła im przez burtę sznurowaną drabinę. Po chwili wahania Rashim, popędzony nagłym spojrzeniem Liama, zabrał się za wspinanie. Kiedy znalazł się na szczycie, przerzucił nogi przez reling, przybierając swoją najbardziej władczą minę. Na śródokręciu zebrała się załoga karaki. Na odeskowaniu leżał schludnie ułożony kopczyk broni. Pięćdziesiąt par niespokojnych oczu utkwilo w nim wzrok.

Rashim zwalczył pragnienie grzecznego pomachania im ręką na powitanie i czekał, aż Liam wraz z resztą piratów wejdzie na pokład.

– No i co ja mam teraz niby zrobić? – mruknął pod nosem do Liama, który właśnie stanął obok.

– Nie wiem. Powinieneś zapytać, kto jest ich kapitanem.

– Racja. – Odchrząknął. – Kto tu dowodzi?

Jeden z członków załogi zebranej na pokładzie postąpił krok do przodu. Niski, krępy mężczyzna o długich czarnych włosach poprzetykanych srebrzystymi pasmami, z elegancko przyciętym wąsikiem. Szarmancko skinął głową i przedstawił się:

– Jestem kapitan Juan Lopez Marcos. – Wysunął z pochwy szpadę o niewyglądzonym, tępym ostrzu i podał rękojeść Rashimowi. – Oddaję ten okręt w pańskie ręce.

– Dobrze... świetnie.

Rashim usłyszał, jak reszta kaperskiej bandy przeskakuje przez reling na pokład. Kilku korsarzom wyrwał się z piersi okrzyki podekscytowania, zanim rozbiegli się po pokładzie i zaczęli przetrząsać kolbami dobytek załogi.

Hiszpański dowódca niepewnie podszedł do Rashima i odezwał się zniżonym głosem.

– Nie zamierzamy stawiać żadnego oporu, *señor*. Proszę tylko... by pańscy ludzie okazali powściągliwość.

– Tak... tak, słusznie. Oczywiście.

– Przewozimy wino, żywność, trochę monet. Uprzedzam jednak, że na pokładzie statku nie znajdziecie złota.

– To już sprawdzimy sami – odparł Rashim.

– *Señor?* – Hiszpański kapitan niespokojnie patrzył na Anglików, którzy w poszukiwaniu skarbu ochoczo pognali ku drabinkom prowadzącym do forkasztelu i kasztelu rufowego. – Na pokładzie wieziemy kobiety i dzieci...

Jego słowa przerwał głośny pisk, chwilę później z jednej z kajut na podwyższonym pokładzie rufowym wyszedł Henry Bartlett, wyprowadzając na światło dzienne szamoczącą się młodą dziewczynę.

– Patrzajcie no, co żem tu znalazł, chłopcy! – ryknął triumfalnie. Brutalnie chwycił młodkę za ramiona i popchnął ją w kierunku jednego z ludzi, po czym ponownie pogrzył się w mroku pomieszczenia i wyprowadził kolejną dziewczynę, która w blasku popołudniowego słońca zaczęła rozpaczliwe

szlochać ze strachu.

Na przeciwległym końcu statku do wtóru rozbrzmiały kolejne okrzyki radości, gdy jeden z piratów wyłonił się z kajuty, trzymając w uniesionych dłoniach dwie karafki wina o długiej szyi i gruszkowatym dnie.

– Leży tam tego skrzynia na skrzyni! – Włożył szyjkę butelki do ust, zębami oderwał korek i przechylił flaszę, z ust wylewały mu się strużki wina o intensywnie śliwkowej barwie, zalewając cały przód koszuli. Korsarze, którzy dokonali abordażu, skandowali i wykrzykiwali słowa zachęty, gdy ich komrat żarliwie grzdulił czerwony trunek.

– *Señor...* – Kapitan Marcos bezradnie rozłożył ręce i spróbował ubłagać Rashima. – Czy pana ludzie muszą to robić? Liczę na pana szlachetność... błagam.

Tom i Liam stanęli po obu stronach Rashima.

– Powinieneś pozwolić chłopakom zabawić się nieco, szyprze – ostrzegł Tom. – Czekali na to od dawna. Tego pragną.

Następna grupka piratów błyskawicznie wdrapała się po drabinie na podwyższony pokład forkasztla. Korsarze zniknęli za drzwiami kajuty tylko po to, by po chwili wyjść z kolejnymi flaszami w rękach. Zaczęli podawać sobie butelki, część od niechcienia zrzucili na śródokręcie, kilka rozbiło się o odeskowanie.

Liam nachylił się nad Rashimem.

– Ta hucpa może się wymknąć spod kontroli, jeśli nie zdławimy jej w zarodku.

– Wiem... wiem.

Na pokładzie rufowym Henry Bartlett odkorkował zębami rzuconą mu flaszę, wypłuł korek na pokład i uniósł gąsiorek, rozlewając bursztynowy płyn po ustach i całej twarzy.

– Pięęęęęknny trunek! – krzyknął, krztusząc się głośno. Po chwili wyciągnął łapę do jednej ze stojących obok niego dziewcząt i chwycił ją za ramię. – Chodźże no tu do mnie, hiszpańska klaczko! – ryknął. – Smagnij mnie tą karą grzywą.

Jego przyjaciele na głównym pokładzie zarechotali.

– Święte słowa, Liamie, czas to przerwać.

– Nie. – Tom powoli potrząsnął głową. – Pozwól im się wyhulać, szyprze. Wiem, co gadam, znów się nicponie pobuntują, gdy rozkażesz...

Dziewczyna zaczęła drzeć się w niebogłosy i wrywać, gdy Henry ciągnął ją w stronę otwartych drzwi kajuty.

– Rashimie! – syknął Liam. – Jezusie, zrób coś z tym!

Rashim skrzywił się.

– Ja... oni mnie nie...

– No na litość... – Liam zaklął pod nosem. Ruszył przez pokład i chwycił poręcz drabinki wiodącej na kasztel rufowy. – Henry!

Henry nie słuchał – szamotał się z dziewczyną. Ta uczepliła się framugi drzwi, a on próbował odczepić jej palce. Liam podciągnął się na drabince.

– Henry! HENRY!

Mężczyzna spojrział przez ramię na Liama.

– Co jest? – Bartlett wyszczerzył do niego zęby. – Chodź tu, chłopcze, to część naszego skarbu!

– Bartlett. – Głos Liama stwardniał. – Puść ją!

Pogodny uśmiech natychmiast opuścił twarz Henry’ego.

– No nie. Tak się nie mówi do dobrego przyjaciela.

– Rozkaz kapitana – odezwał się Liam. – Nie będziemy znęcać się nad tymi ludźmi. Poddali się. Statek jest nasz i ładunek jest nasz. Załoga i pasażerowie są...

Henry splunął na pokład i bluzgnął.

– Te dwie pięknie też są nasze, Liamie. Nie ma dyskusji.

– Puścisz ją natychmiast, Henry... – Liam położył dłoń na rękojeści zatkanego za pas garłacza. Gest nie zrobił większego wrażenia na piracie.

– Bo co?

Liam zauważył, że na całym statku zapadła głucha cisza. Hałasy, okrzyki ekscytacji, rozmowy, stukot butów, tupot gołych stóp na pokładzie,

skrzypienie podważanych skrzyń z drewna... nawet plusk i chlupot wina w przechylanych gąsiorach: wszystkie odgłosy zamarły. Wszystkie oczy skupiły się na nich, wszystkie uszy strzygły w ich kierunku.

– Nie róbmy z tego większego problemu, niż jest, Henry. Po prostu ją puść.

– Od kiedyś to jesteś kapitanem... chłystku?

– On... on dzia-działa z mojego rozkazu, panie Bartlett – ryknął Rashim. Liam skrzywił się w duchu na to niepewne vibrato w głosie Rashima. To ma być władcza postawa?

Henry puścił dziewczynę, ta odbiegła i wpadła w ramiona przyjaciółki, która próbowała pocieszyć chlipiące, drżące niebożę. Pirat odwrócił się i prowokująco podszedł do Liama.

– Widzisz, Liamie, chłopcze drogi... troszeczkę się ostatnio pozmieniało – powiedział. – Przez to, co żeśmy dziś rano učinili, jesteśmy banitami, ślepyś? Prawa ludzkie i boskie przestały nas obowiązywać. Ten twój przyjaciel, co trzęsie portkami na dole, jest kapitanem tylko dlatego, że to my pozwoliliśmy mu kapitanować.

Henry podniósł głos.

– Racja, chłopcy? Teraz to załoga podejmuje decyzje! Głosujemy!

Kilku piratów, tych, którzy opróżnili już lepszą część trzymanyh gąsiorków, ryknęło z aprobatą.

– No i zasłużyliśmy na ten łup, zasłużyliśmy jak cholera!

Z dolnego pokładu znów dobiegły okrzyki poparcia.

– No... wracaj skądś przyszedł i zostawże nas w spokoju. – Henry, jak w lustrzanym odbiciu, powtórzył gest Liama i położył dłoń na drewnianej rękojeści pistoletu.

Liam zrozumiał, że stąpa po linii cienkiej jak nić, po wąziutkiej granicy, za którą okaże się, kto przejmie niekwestionowane dowództwo nad statkiem. A Henry Bartlett właśnie z tupetem postawił buciska na tej granicy.

„To ten moment... teraz rzuci otwarte wyzwanie Rashimowi. Za późno, żeby się wycofać”.

– Henry...

– Liamie... – Bartlett wyszczerzył zęby.

Liam wyciągnął pistolet i przytrzymał go, na wpeł wymierzony. W powietrzu, między przeciwnikami, zawisa krótka lufa. – Oddaj mi broń i wracaj do łodzi!

Podjezwał, że Henry doszedł do takiego samego wniosku; to była idealna chwila. Gdyby teraz się wycofał, straciłby uznanie popleczników, których udało mu się zebrać przez ostatnie kilka tygodni.

– Prędeż mnie piorun trzaśnie, chmyzie! – rzekł głośno. I dodał ciszej: – Liamie... nie zmuszaj mnie do tego. Wiesz, że cię lubię.

– Też mi się to nie uśmiecha, Henry, ale... nie mogę tak stać i patrzeć, jak... – Zerknął na łkającą dziewczynę, rok może starszą od Sal. Na jej kruchą sylwetkę, czarne włosy, smagłą skórę... równie dobrze mogła to być jego przyjaciółka.

– Przybyliśmy tu rozkradać hiszpańskie skarby, zbić fortunę. To właśnie zrobimy. Nikt, kto nie stoi nam na drodze, nie musi ginąć. Jezu, Henry... – Westchnął. – Ten świat jest już wystarczająco zły, nie musimy dodawać swoich trzech groszy.

Henry Bartlett w zamyśleniu zacisnął wargi i spojrział na pokład. Sprawiał wrażenie głęboko zadumanego człowieka.

Panowała cisza, nie licząc poskrzypywania karaki, która kołysała się na niemrawych falach, szelestu i łopotania zrefowanych żagli. Popłakiwanie ucichło; obie dziewczyny wlepiły szeroko otwarte, czarne oczy w obu mężczyzn, których konfrontacja miała zadecydować o losie pasażerów.

– Racja – rzekł Henry ze smutkiem, potakując głową. – Okrutny to świat. – Niespodziewanie wyszarpał garłacz zza pasa.

Głuchą ciszę wypełniły trzask, syk i eksplozja. Upłynęło kilka długich sekund, zanim niebieskoszara chmura skłębionego dymu wreszcie odpłynęła.

Liam patrzył prosto w oczy Henry'ego Bartletta. Po klatce piersiowej pirata spłynęła gęsta struga czarnej krwi. Szeroko otwierał i zamykał usta niczym żółw kłapiący pyszczkiem. Wreszcie zachwiał się na stopach i runął

na pokład.

Z umysłu Liama odpłynęły wszelkie myśli. Pustka. Nie czuł żadnego przerażenia, szoku, nienawiści do samego siebie. Nic. Chciał, żeby przyszło to później. Bo jeśli nie... to co to będzie oznaczało? Że wreszcie zamienił się w maszynę do zabijania? W jednostkę pomocniczą?

„Chcę mieć wyrzuty sumienia. Bóg mi świadkiem... chcę tego żałować”.

Rozdział 33

Londyn

rok 1889

– Nie zrobiłby tego! – rzuciła Sal. – Nie zostawiłby nas ot tak, bez pożegnania.

– Ślepa jesteś? Właśnie to zrobił.

Sal potrząsnęła głową.

– Nie. To bzdura. Nie wiem, jak to możliwe, że ktoś inny wszedł w posiadanie transpondera, ale na pewno nie dlatego... że Liam próbuje się od nas odciąć.

– Tylko pomyśl, Sal. Jest poza domem od kilku miesięcy, nie od dwunastu godzin. Tyle czasu wystarczy, żeby przeanalizować trudne sprawy, zrozumieć, czego naprawdę oczekuje się od życia. – Maddy dopiero teraz zauważyła, że od kiedy uciekli z dwa tysiące pierwszego roku i osiedli tutaj, w Londynie, wciąż spędzali niemal całe dni na próbach przywrócenia choćby połowicznej sprawności operacyjnej. Kilka miesięcy na pokładzie jakiejś łajby? To musi otwierać przed Liamem nową perspektywę: wreszcie ma czas zastanowić się, jak naprawdę chce przeżyć resztę życia.

– Raz już spędził w przeszłości pół roku. I wrócił do nas, dlaczego teraz miałoby mu się odmienić?

– Bo tym razem, Sal, doskonale wie, czym naprawdę jest. – Maddy zaśmiała się gorzko. – Teraz wie, że w domu nie czeka na niego rodzina O’Connorów, której trzeba bronić przed czasoprzestrzenną kaszaną. Nie musi się martwić o mamusię i tatusia. O bliskich. Przepadło rodzinne miasto, do którego mógłby tęsknić... które chciałby zachować i chronić. Nie musi się

troszczyć o nic ani o nikogo. – Wzruszyła ramionami. – Zrozumiał, że jest wolny.

Usiadła w bujanym fotelu.

– I wiesz co? Nie potrafię go za to winić.

Sal rozsiadła się w fotelu obok.

– Czy... czy jesteś pewna?

– Nie, nie jestem pewna. Nigdy niczego nie jestem pewna! Właśnie to jest takie nieznośne: przewidywanie wszystkiego. Nigdy nie wiem niczego na pewno, zawsze muszę się bawić w zgaduj-zgadulę. – Westchnęła. – Ale wiemy, że podarował transponder temu pijakowi, Sal. Dał mu go w prezencie, do diabła! „Trzymaj to, bracie, weź na pamiątkę” – powiedziała, niezbyt wprawnie imitując akcent Liama. – Co według ciebie chciał nam przez to powiedzieć? Jak myślisz?

Sal w milczeniu przygryzła wargę. Potrząsnęła głową.

– Teraz sama nie wiem, może uległ wpływowi Rashima – ciągnęła Maddy.

– A może zawsze w skrytości ducha pragnął zostać piratem? Na dobrą sprawę równie dobrze ktoś mógł go zdzielić po głowie, przez co stracił pamięć, tożsamość i nie wie, czym w istocie był jego mały podarek. Bo z tej całej historii możemy z niezbitą pewnością wywnioskować tylko tyle, że świadomie pozbył się jednej... jedynej rzeczy, dzięki której mógł powrócić do domu.

– Ja po prostu... – Sal ponownie potrząsnęła głową. – Nie wierzę, że zrobił to, nie wysyłając nam żadnego sygnału.

Maddy rozłożyła ręce.

– Może próbował. Może napisał wiadomość. Może ukrył gdzieś ostrożnie zaszyfrowaną wiadomość, ale coś poszło źle, a liścik tkwi w małej zielonej butelce na dnie oceanu, czekając na szczęśliwego znalazcę.

Być może ktoś go zresztą odnalazł i zamienił w poźółkły, intrygujący, zaszyfrowany eksponat spoczywający w gablocie muzeum morskiego. Bez dostępu do Internetu i tak nie zdołają zarejestrować mikroskopijnych odchyień osi czasu.

– Według ciebie powinniśmy spisać ich na straty?

– Nie wiem, Sal. Nie przychodzą mi teraz do głowy żadne pomysły. Niech komputer-Bob skanuje dalej. Kto wie, może coś znajdzie.

– A w międzyczasie?

– W międzyczasie...? – Maddy poraziła ją wzrokiem, zirytowana. Wściekła. Naszła ją ochota zdzielić Sal po twarzy i wykrzyknąć, że nie ma innych propozycji. Że może najwyższa pora, by to Sal wpadła na jakiś genialny pomysł. Ale złość szybko wyparowała.

Cisza gęstniała. Wskazówki wiszącego w kącie zegara tykały irytująco głośno. Bob i Beki siedzieli sztywno jak sklepowe manekiny, bez słowa konwertując i porządkując pliki. SpongeBubba przeskakiwał z jednej kacznej stopy na drugą po przeciwległej stronie pomieszczenia. Oczka robota mrugały niespokojnie nad przyklejonym, sztucznie wyszczerzonym uśmiechem.

Wreszcie odezwała się Maddy.

– A w międzyczasie... – zaczęła – obie pomyślimy, co teraz chcemy zrobić.

Sal podniosła na nią zdziwiony wzrok.

– Chcesz... odejść? Jak Liam?

– To właśnie zasugerowałam. Tak. – Uśmiechnęła się z nadzieją. – Tylko jeśli, wiesz, tylko jeśli ci się tu nie podoba. Bo jak dla mnie to fajne miejsce. Ubrania... widoki, wszystko, co się teraz dzieje na świecie. To naprawdę fascynujące czasy, jeśli się nad tym zastanowić.

– A co z tropieniem ewentualnych kontaminacji? – Sal przekrzywiła głowę. – Nie powinniśmy przynajmniej pilnować tych większych, naprawiać ich?

Maddy pomyślała, że Sal tak mocno uczepiła się tej myśli, bo potrzebowała celu. Powodu do życia. To misja polegająca na ocaleniu ludzkości przed nią samą – bez względu na to, czy zasłużyła na ratunek i czy go potrzebowała – do tej pory spajała drużynę. Bez misji byli niczym. Być może w dalszym ciągu mogliby tak funkcjonować. „Zwerbować” albo,

mówiąc precyzyjniej, wyhodować nowego Liama. Gdyby dokumentnie przeszukała bazę danych komputera-Boba, może znalazłaby informacje, jak się za to zabrać. Nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że w jakimś magazynie leżą ich zapasowe wersje: małe zarodki zamrożone w próbkach. A jeśli w tamtej skrytce w San Francisco spoczywa dobrze ukryta skrzynka z klonami Liama, Sal i Maddy? Czy Foster nie mówił, że przed nimi istniała inna drużyna? Drużyna, którą spotkał straszny los? Zadrżała na wspomnienie słów Fostera, który opowiadał, jak „zostali rozerwani na strzępy”. Rozczłonkowani przez upiorną, ulotną mgiełkę, którą nazywał „szukaczem”.

„Inna wersja mnie, wersja Sal... porwana na strzępy”. Przypomniała sobie niewyraźny zarys tej zjawy, szybujący ku nim z przeciwległego krańca bazy pod arkadami. Wyczuwała wtedy, że coś ją do nich przyciąga, jakby dobrze ich znała. A to, z niewiadomego powodu, czyniło tę sytuację jeszcze bardziej przerażającą. Nigdy nikomu o tym nie mówiła, ale od tamtego czasu narastało w niej podejrzenie dotyczące tożsamości tej istoty. Czuła, że kiedyś była człowiekiem. Podróżnikiem w czasie, który wybrał się w o jedną podróż za dużo i zagubił w przestrzeni chaosu. Mogło to być nawet... jedno z nich. Poprzednie wcielenie któregoś z członków drużyny. Czy nie tym były duchy? Prawdziwym zjawiskiem fizycznym, ludźmi z innych epok, innych osi czasu, innych wymiarów, którzy zawiśli w tej ohydnej przestrzeni, próbując z niej uciec, przyciągane do światła przez materializujące się niekiedy tu i ówdzie portale.

– Maddy? Co teraz zrobimy? Co z naszą... misją?

– Misją – powtórzyła, niepotrzebnie bawiąc się okularami. Soczewki nie wymagały czyszczenia, ale zwyczajnie chciała czymś zająć ręce.

– Prowadzoną przez nas oraz Pana i Panią Mięsobotów?

Maddy zastanawiała się, czy nie kusiłyby losu bardziej niż to potrzebne. Tutaj przynajmniej nie zagrażał im Waldstein. Tutaj prawdopodobnie nigdy nie będzie ich szukał żaden przybysz z przyszłości. Obie żyły i dysponowały zasobami wystarczającymi do godziwej egzystencji. Wiedziały, co wydarzy się w przyszłości. Gdyby tylko chciały, mogłyby stać się bajecznie bogate.

No i dlaczego para młodych kobiet z neseserami pełnymi pieniędzy miała sobie odmawiać szampańskiej zabawy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku?

Chuchnęła kolejno na oba szkła, po czym przetrzała chmurkę pary, nasunęła okulary na nos i przesunęła za ucho luźny kosmyk włosów.

– Och, Sal, uważam, że wszystkie te misje i zadania to melodia przeszłości.

Rozdział 34

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Rashim poczuł na sobie wzrok wielu par oczu, kiedy zarzucali kotwicę na wodach oblewających północne nabrzeże, otoczone niską drewnianą palisadą Fortu James. Pięćdziesiąt metrów dalej zacumowała karaka; statki zgodnie unosiły się na falach, przeciwstawiając się łagodnemu prądowi, który napręzał liny kotwiczne. Stojący na rufie Rashim doskonale widział krzątanicę Port Royal: rozsiane wzdłuż nabrzeża grupki robotników ładujących i rozładowujących statki handlowe zacumowane do drewnianych pomostów; zbiorniki wodne, w których pluskały się zwierzęta przypominające gigantyczne żółwie i brodzących między nimi po łydki w wodzie mężczyźni.

Widział, jak ludzie ci osłaniają dłonią oczy, aby spojrzeć na dwa nowe statki ostrożnie kotwiczące w zatoczce.

– Podejmujemy ryzyko – mruknął Liam.

Rozmawiali o tym zeszłej nocy. Wspólnie doszli do wniosku, że to dla nich najlepsze rozwiązanie, ale teraz, gdy z bezpiecznej odległości obserwowało ich tyle par niespokojnych oczu, powzięta decyzja wydawała się dość zuchwała. Cumująca obok, porwana hiszpańska karaka stanowiła niepodważalny dowód korsarstwa. Zbrodni. Istniało ryzyko, że gdy tylko postawią nogę na lądzie, zostaną zaaresztowani i zakuci w żelazo.

Rashim patrzył na unoszącą się na wodzie, poturbowaną przez pogodę zdobycz.

– To nasz podarek.

Liam skinął głową.

– Pewnie, niesamowite, ile drzwi potrafi otworzyć tłuściutka łapówka. – Wyszczrzył zęby do Rashima. – Tylko pamiętaj, żeby nie wypowiadać na głos słowa „łapówka”.

Pół godziny później dwie pinasy przywiązano do pomostów w północnych dokach i grupka pasażerów ruszyła wzdłuż Queen Street prosto do rezydencji gubernatora: Liam, Rashim i Tom oraz hiszpański kapitan z dwiema młodymi pasażerkami. Za nimi jechał okryty płótnem wózek ręczny ciągnięty przez dwóch marynarzy; obok wozu siedł młody William, który pilnował transportu i baczył na zgromadzonych po obu stronach gapiów, aby przypadkiem nie zechcieli zajrzeć pod materiał.

Przed wielką kamienną rezydencją gubernatora długo i uważnie przyglądał im się kapitan straży, deliberując nad tym, jak ustosunkować się do prośby Rashima o audiencję u gubernatora.

– Zazwyczaj nie jada śniadania z pospolitymi rzezimieszkami – chłodno odparł młody oficer.

– Szepnij mu zatem, że zostanie hojnie obdarowany, jeśli zechce poświęcić nam ułamek swego cennego czasu – rzekł Liam, wskazując przykryty wóz.

Oficer przeniósł lodowaty wzrok na Liama, niezadowolony z impertynenckiej odzywki.

– Tak – powiedział Rashim. – Zgadza się... hojnie go obdarujemy... za poświęcony nam czas.

Oficer westchnął, przewrócił oczami.

– Doskonale. – Odwrócił się na pięcie i zniknął w chłodnym cieniu krużganków; zostawiając za sobą cichnące echo stukających o kamienny bruk oficerskich obcasów.

Kiedy tak czekali w prażącym słońcu, Rashim bawił się nowym odzieniem. Karaka przewoziła kilka osobistych przedmiotów kapitana Juana Marcosa, w tym szafę pełną wysmakowanej garderoby. Irańczyk wdział długi surdut z misternymi koronkowymi mankietami i krezą okalającą kark. Średnio praktyczny strój jak na tropiki. Czaszka przykryta trikornem

z pióropuszem strusich piór swędziała od drażniącego skwaru, kropelki potu już zrosiły jego czoło.

Liam wybrał mniej ekstrawagancki ubiór. Ostatecznie był tylko pierwszym oficerem. Człowiekiem niższym szarżą. Pozbył się wiktoriańskiej koszuli, kamizelki i idąc za przykładem Rashima, wdział dwurzędowy surdut, który rozpiął, żeby cieszyć się lekką bryzą, która poruszała liście rosnącej w pobliżu palmy. Nie dusiły go drapiące warstwy fantastycznych koronek ani oklapły kapelusz na głowie.

– Coś się zgrzałeś – odezwał się prowokująco. – I wymięłeś.

Rashim z irytacją pociągnął za sztywny kołnierz owinięty wokół karku.

– Bardzo.

Kapitan powrócił kilka minut później, rozdrażniony. Poprawił upudrowaną perukę.

– Gubernator przyjmie was... o ile rozmowa okaże się rzeczywiście opłacalna. – Oficer wyraźnie cytował odpowiedź gubernatora, słowo w słowo. Choć dezaprobata w głosie była już tylko jego. Skinął na Rashima, kapitana Marcosa i dwie kobiety. – Proszę za mną.

– Hej, chwileczkę, ja też idę z wami – o swoje dopomniął się Liam.

Oficer, poirytowany, uniósł brwi.

– Tak. To mój towarzysz – szybko powiedział Rashim. – Mój... hmm, mój współkapitan, jeśli pan woli.

– Współkapitan? A cóż to u diabła za funkcja?

Rashim potrząsnął głową; źle dobrał termin.

– To mój zastępca. Potrzebuję go do... chciałbym... go mieć przy sobie.

– Jak sobie życzysz. – Oficer spojrzał za kapitana Markosa i dwie dziewczyny, na wózek, dwóch ciągnących go marynarzy i Williama. – Ale te niedomyte patałachy zostają przed bramą. Doprowadziliby sir Tomasza do rozstroju żołądka.

– Zgoda – potwierdził Rashim.

Oficer powiódł ich przez chłodny, ocieniony mrok krużganków do holu

wejściowego; po szerokich marmurowych schodach weszli do westybulu i imponującego salonu o wysokim suficie, później wyszli na okryty markizą balkon, z którego roztaczał się widok na krużganki i sad owocowych drzewek, ożywiony trajkotaniem papug i aleksandrett.

Przy wielkim, okrągłym dębowym stole, zastawionym paterami soczystych, kolorowych owoców tropikalnych, siedział sir Tomasz Modyford, świeżo mianowany gubernator Jamajki – niedawno zdobytego dominium zamorskiego Wielkiej Brytanii. Był gruby, okrągły jak kula armatnia, nosił równiutko przyciętą bródkę i rozczesane na boki wąsiki à la Karol II. Na szerokie ramiona opadały puszyste, kręcone brązowe włosy. Włosy, które Liam brał za prawdziwe, dopóki sybaryta nie podrapał się po czaszce, a cała misterna peruka nie przesunęła się na bok.

Przetarł usta serwetką i rozsiadł się na krześle.

– Któż to postanowił zaszczyścić mnie swoją obecnością o tej dużo za wczesnej porze? – Pytanie skierował do Rashima.

– Grhm, Wasza... hmmm. Wasza Miłość, zechciej przedstawić sobie...

– Etykieta wymaga, abyś zwracał się pan do mnie per... Wasza Ekscelencjo.

– Przepraszam, Wasza Ekscelencjo. Nazywam się Rashim Anwar i jestem... grhm, kapitanem statku, który właśnie zacumował w twym porcie.

– Rashim wskazał głową za ogród, ponad nędzne dachy Port Royal, gdzieś w kierunku niskich fortyfikacji Fortu James i bezkresu turkusowych wód.

Sir Tomasz Modyford przechylił się na krześle i zmrużył oczy, oślepiiony ostrym światłem dnia.

– Ach, zaiste, już wcześniej spostrzegłem, jak nieporadnie cumowaliście w porcie. Czy ta karaka przypłynęła z wami?

– Tak, sir. To jest... Wasza Ekscelencjo.

Modyford, mrużąc oczy, przyglądał się obu statkom w oddali, po czym odwrócił się do gości. Otaksował wzrokiem Rashima i Liama, przeniósł wzrok na hiszpańskiego kapitana i dwie towarzyszące mu kobiety.

– Niech zgadnę... – Westchnął. – Przyszliście tu z kolejnej łodzi pełnej

pospolitych bandytów, rzezimieszków marzących o zbiciu fortuny na łupiestwie i bandyterce i oczekujecie ode mnie, że zalegalizuję waszą działalność, co?

– My... hmm... liczyliśmy raczej na otrzymanie listu kaperskiego, Wasza Ekscelencjo.

Modyford zaśmiał się sarkastycznie, pulchne cielsko pod jedwabną szatą zatrzęsło się jak galareta.

– Inni hultaje mówili to samo. Najwyraźniej wyrobiłem sobie reputację dobrotliwego wujka u recydywistów pijających szczyzny z rynsztoka. – Nonszalanckim ruchem zsunął perukę i rzucił ją lokajowi, który stał usłużnie za swoim panem. Głowę apodyktycznego grubaska porastał rzednący meszek siwych włosów, kruchych i mokrych od potu. Czaszkę znaczyły strupy i odparzenia. – Przez to swędzące pieroństwo drapię się jak ladacznica z tryprem – zagderał.

Liam powstrzymał chęć parsknięcia śmiechem.

– Ale do rzeczy, panowie. – Słowo „panowie” wypowiedział z cieniem niesmaku. – Nie wręczam listów byle Tomom, Dickom i Henrym, którzy mnie o to poproszą. We wszystkim bowiem należy wykazywać umiar. Od czasu nie tak znowu dawnej restauracji miłościwie panującego nam króla, jestem zmuszony zachowywać ostrożność. Pragnie on pokoju z królem Hiszpanii. Obaj uważają się przecież za dobrych katolików. – Przesunął dłonią po wilgotnej czaszce. – Nigdy nie rozmawiałem osobiście z tym bezbożnym prostaczyną, Cromwellem, ale on lepiej rozumiał drażliwą sytuację, jaka tu panuje. Wyspa ta, Jamajka, jest póki co naszym dominium... ale król Filip hiszpański ostrzy już sobie na nią pazurki. Ponieważ król Karol wyciąga do Hiszpanii dłoń w geście przyjaźni, publicznie potępił praktykę licencjonowanego piractwa i atakowania hiszpańskich galer handlowych. Dlatego... zmuszony jestem przestrzegać, w pewnym zakresie, wytycznych jego królewskiej mości.

– Ale gdyby Wasza Ekscelencja udzieliła nam...

Maddyford podniósł dłoń, żeby uciszyć Rashima.

– Ponieważ kolonia ta potrzebuje obrony, a król Karol zapomina wysłać

mi statków, żołnierzy, jesteśmy zdani na własne siły. A jedyne środki, którymi dysponuję, żeby utrzymać ten bastion dla Jego Królewskiej Mości, to garstka żołnierzy i kilka nieobsadzonych ludźmi fortów w lichej kondycji. Mam wszakże do dyspozycji barwną gromadę morskich rzezimieszków, korsarzy, którzy uważają Port Royal za dom. Nazywam ich „milicją”, z braku lepszego słowa. Żadnemu z tych przybłędów nie powierzyłbym sakiewki, ale mam przynajmniej pewność, iż żaden z nich nie chce, aby wyspa ta na powrót znalazła się w rękach Hiszpanów.

Pochylił się na krześle i sięgnął po grejpfruta.

– Muszę tylko uważać, komu przyznaję licencję. Bo po cóż król Karol ma widzieć w Port Royal przystań dla kryminalistów, siedlisko bezprawia. Nic nie może wskazywać na to, że sytuacja tutaj... wymknęła się spod kontroli. To delikatna materia.

Liam zrozumiał, do czego zmierza gubernator.

– Potrzebujesz gentlemanów, panie... a nie wędrownych band żądnych krwi oszustów.

Modyford najpierw spiorunował Liama wzrokiem za to, że odezwał się niepytany, a potem skinął głową.

– Bezspornie. Kaperstwo, panowie, utrzymuje tę kolonię przy życiu. Choć to cierń tkwiący w hiszpańskiej koronie i źródło zakłopotania dla naszego króla. Ale dopóki nie dopuszczamy się przesady, rażących nadużyć, które zmusiłyby króla Karola do położenia kresu tym... praktykom... możemy cieszyć się pewną dozą swobody.

– Właśnie dlatego przyprowadziliśmy ze sobą tego gentlemana – rzekł Rashim. Odwrócił się i gestem zachęcił mężczyznę do podejścia. – To *señor* Juan Lopez Marcos, kapitan statku, który... hmm... uratowaliśmy.

Hiszpan postąpił do przodu i złożył formalny ukłon.

– Witam, Wasza Ekscelencjo.

Modyford odpowiedział grzecznym skinieniem głowy. Odwrócił się do Rashima.

– A dlaczegoż to przyprowadziliście go do mnie?

Rashim już zbierał się do wyjaśnień, ale hiszpański kapitan przemówił pierwszy.

– Ci ludzie, Ekscelencjo, zaatakowali mój okręt, San Isidro. Ale... muszę to przyznać, okazali przy tym wielką łaskawość i szarmanckość.

Modyford ściągnął wargi.

– Naprawdę?

– Tak, Wasza Ekscelencjo. Ów człowiek – ruchem głowy wskazał Liama – ryzykował życiem, aby zapewnić bezpieczeństwo tych oto dam. Zabił człowieka... który groził, że... – Nie potrafił dobrać słowa, które zechciałoby przejść mu przez gardło.

Modyford uciszył go machnięciem dłoni.

– Rozumiem. – Z uznaniem popatrzył na Liama. – Zuch chłopak. – Potem odwrócił się do Rashima. – A ty, panie, twardo dowodzisz tą załogą?

– Tak. Wszyscy zaciągnęli się na pokład, przysięgając, że będą postępować prawowicie, w zgodzie z angielskim prawem morskim. Nie chcą, żeby nazywano ich piratami, Wasza Ekscelencjo.

– Hmm.... ten termin jest dość pojemny.

– To dobrzy ludzie. Solidni.

– Rozumiesz, panie, że wraz ze swoją załogą podejmujecie wariackie ryzyko, składając swój los w moje ręce? Napadliście na statek tego kapitana bez listu kaperskiego. To rażący akt korsarstwa. Zawsze gdy konfrontuje się mnie z tak niekwestionowanym przypadkiem wykroczenia... do którego właśnie przyznaliście się w obecności świadków... jestem zmuszony egzekwować politykę króla. Rozumiecie?

Liam i Rashim zgodnie potaknęli.

Modyford pionowo złożył dłonie, oparł obwisły policzek na koniuszku złączonych palców i pograżył się w zadumie. Po dogłębnym przemyśleniu suplikacji, odezwał się wreszcie.

– *Señor* Marcosie, pan i pozostające pod pańską opieką damy zostaniecie moimi gośćmi, dopóki nie znajdziemy pierwszego statku odpływającego do Hiszpanii. – Ciężko się podniósł, odpychając krzesło, na którym siedział, po

czym powoli odwrócił się do stojącego za plecami lokaja.

– Odprowadź tych państwa. Zapewne umierają z głodu... poczęstuj ich posiłkiem.

Lokaj skinął głową i obszedł stół, żeby odprowadzić nowych gości.

– Wasza Ekszelencjo – powiedział Marcos. – Pokornie upraszam cię, abyś okazał tym ludziom miłosierdzie, jakie i oni nam okazali.

– Zastanowię się – oschle odparł gubernator i ruchem głowy ponaglił służącego, żeby wreszcie wyprowadził Hiszpanów.

Kiedy wreszcie znaleźli się sami, Modyford spojrzał na Liama i Rashima.

– Zatem... cóż ja mam z wami począć?

– Oficerowi, który nas wprowadził, powiedzieliśmy, że za poświęcony nam czas Wasza Ekszelencja zostanie... – Liam przygryzł wargę, aby jak najostrożniej dobrać słowa. – Jak to dokładnie ujęliśmy, Rashimie?

– Że Wasza Ekszelencja zostanie hojnie wynagrodzony?

Wydawało się, że surowe oblicze Tomasza Modyforda spochmurniało jeszcze głębiej. Liam pomyślał, że być może srogo się przeliczyli. Czyżby nie tak znowu subtelna propozycja wręczenia łapówki właśnie ich pogrążyła?

Na szczęście prawie niezauważalnie uniesione kąciki ust Modyforda sugerowały coś odmiennego.

– Hmm... to rzeczywiście może wam pomóc.

Rozdział 35

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Liam wziął w płuca haust powietrza i rozkoszował się bukietem portowych aromatów. W nozdrza uderzył go ostry zapach smoły, której pracujący na całej długości przystani marynarze używali do uszczelniania kadłubów: nieustannego zabiegu polegającego na pokrywaniu szpar i szczelin w odeskowaniu kadłuba wodoszczelną warstwą. Wszechobecna woń soli przyklejała się do wszystkiego, co tylko dotknęło pokładu statku. Czuć było dym drzewny wydobywający się spiralnie z kominów Port Royal. I odrobinę mniej zachęcający odór gnijącego mięsa: prażące, popołudniowe słońce nie miało litości dla niesprzedanych półtuszy smętnie zwisających z rzeźniczych haków na targowisku.

Przypomniawszy sobie uczucie z chwili, która zdawała się być tak bardzo odległa: uczucie przynależności do właściwego miejsca, przynależności do właściwych czasów. Uśmiechnął się, ogarnęła go dokładnie ta sama refleksja, gdy patrzył z komnaty ponad dachami średniowiecznego Nottingham.

„No to wpadłem”.

– Hoj! Panie O’Connor, sir! – krzyczał Działko. Człowiek nazwiskiem Jakub Działko, który, dziwnym zbiegiem okoliczności, pełnił na statku funkcję głównego działowego i był ich jedynym wyszkolonym kanonierem, uwiesił się liny podczepionej do dziobu ich okrętu. – Jak się prezentuje?

Liam oderwał wzrok od nabrzeża i spojrzał w górę na mężczyznę trzymającego w jednej dłoni pędzel do uszczelniania, a w drugiej wiaderko z białą farbą. Nazwę „Clara Jane” zamalowano i zastąpiono nową nazwą

statku: „Pandora”.

Osłonił oczy przed słońcem i zachwycił się kunsztownymi zawijasami liter.

– Świetnie się prezentuje, Działko. Zaczyna robotę!

Marynarz w odpowiedzi zsalutował i w uśmiechu wyszczerzył zęby. Liam patrzył, jak energicznie wciąga się po linie w stronę relingu statku i wspina na pokład.

Nastrój załogi zdecydowanie się poprawił. Od kilku dni, od kiedy Sir Tomasz wystawił Rashimowi list kaperski, chłopcy ochoczo i gorliwie wypełniali rozkazy nie tylko Rashima, wybranego na szypra, ale i Liama, którego wszyscy uznawali za „współszypra”. I choć wcześniej żaden z nich nie słyszał tego słowa, często i chętnie go teraz używali.

List kaperski, co oczywiste, niebagatelnie wzmocnił morale załogi. Wydana licencja obwarowana była wszakże całą listą obostrzeń. Po pierwsze: jeżeli sir Tomasz będzie organizował obronę przeciwko hiszpańskiej inwazji, będą zmuszeni zarzucić kaperską działalność i przybyć na odsiecz. Po drugie: mają prawo atakować statki holenderskie i francuskie tak często, jak im się żywnie podoba, ale w wypadku abordażu na okręty hiszpańskie zobowiązani są przestrzegać pewnych norm postępowania. Na przykład: załódze, która dobrowolnie stanie w dryf i złoży broń należy okazać litość; po „skonfiskowaniu” przewożonego ładunku, okręt i załoga zostaną puszczeni wolno. Ta kurtuazja nie rozciąga się oczywiście na żadnych Negrów, bez względu na to, czy są członkami załogi, czy ładunkiem. W mniemaniu sir Tomasza Modyforda, stanowią część zagrabionego łupu, od którego przysługuje mu określony udział. I taki właśnie był kolejny warunek: z tytułu „podatku od bezpiecznej przystani” należy mu się jedna trzecia zdobytych łupów. Zapewnił ich, że to obowiązkowy zapis akceptowany przez wszystkich korsarzy cumujących w Port Royal.

Przyholowana karaka zdążyła już przejść na własność sir Tomasza – naprawiali ją majstrzy i cieśle okrętowi, aby mogła dołączyć do małej floty okrętów handlowych, które regularnie kursowały do Londynu z ładowniami wypełnionymi ziarnami kakaowca z jego plantacji. Karaka została

podarowana w geście dobrej woli. Jako zaliczka na poczet „podatku”. Nikt nigdy nie wypowiedział słowa „łapówka”.

W ich rękach pozostał natomiast ładunek karaki: flasze win, tkaniny, przyprawy i kilka skrzyń srebrnych monet. Znaleźli kupca, który odkupił od nich większą część łupu po skandalicznie niskiej cenie. Kilka godzin od zawarcia transakcji odkryli, że mogli uzyskać dwakroć lepszą stawkę od innego kupca, który robił interesy w tawernie tuż obok. Ale kobyłka u płotu, transakcja przyklepana, konfiskata przyniosła im wystarczającą sumkę pieniędzy, żeby wręczyć chłopcom długo wyczekiwaną wypłatę; zostało nawet trochę grosza na uzupełnienie zapasów i podreperowanie „Pandory”. I właśnie to aktualnie zajmowało Rashima: „gwintowanie” beczek i „uszlachetnianie” kul armatnich, jak sam wspomniał.

Liam tymczasem zajął się własnymi obowiązkami. Kilkunastu członków załogi wzięło swoją działkę i ulotniło się szukać lepszych okazji. W porcie cumowało wiele pirackich łajb, na których można było próbować szczęścia. Ludzie w tawernach rozpowiadali, że kapitan korsarski o nazwisku Henry Morgan szykuje wyprawę łupieżczą na Nową Hiszpanię, która, jak uświadomił sobie Liam, za kilka stuleci zostanie rozcłonkowana na szereg państweczek: Panamę, Kostarykę, Kolumbię, Nikaraguę. Krążyły pogłoski, że robinsonada może okazać się wyjątkowo lukratywna. Zresztą, w większości należeli do kliki malkontentów skupionych wokół Henry’ego Bartletta. Lepiej poradzą sobie bez nich.

Liam musiał więc uzupełnić wakaty, zwerbować nowych członków załogi i kazać im podpisać kartę okrętową. Pomagał mu w tym Stary Tom.

Rashim zadarł głowę i popatrzył na znak zwisający z haka zawieszonoego nad wąskimi drzwiami, oflankowanymi warsztatem szewskim z jednej i zakładem wytwórcy fajek z drugiej strony. Sprawdził adres zanotowany na skrawku papieru. To tutaj: SCHWARZMANN – RUSZNIKARZ. Popchnął drzwi i otrzepawszy piasek z butów, wszedł do pogrążonego w mroku wnętrza.

– Halo? Jest tam kto?

Tuż przed nim wyrastało wąskie przejście pomiędzy dwoma drewnianymi ścianami i niska powała zbudowana z ułożonych poprzecznie belek i desek. Zapaścił się w głąb korytarza, aż wreszcie wyszedł na otwarty podwórzec, który w połowie chował się w cieniu rzucanym przez drewniany daszek, a w połowie prażył na gorącym, przedpołudniowym słońcu. Rashim poczuł ohydny smród płonących węgla, który wdzierał mu się aż do gardła. Poczuł nieprzyjemny zapach kordytu i licznych barwników chemicznych. Z pieca w kuźni wystrzelił słup dymu. Mogłoby się zdawać, że w tym miejscu prowadzi się handel, gdyby nie fakt, że było całkowicie opuszczone.

– Zastaliśmy pana Pietera Schwarzmanna?

– Witam – z półmroku pod zadaszeniem dobiegł czyjś gardłowy głos. Na zalany słońcem plac, osłaniając oczy dłonią, wyczłapał krępy mężczyzna o gęstych, rudawych bokobrodach, ubrany w skórzany fartuch kowala. – To ja jezzdem Pieter Schwarzmann – odpowiedział z mocnym niemieckim akcentem: po angielsku mówił udźwiężniając głoski i wtrącając niemieckie wyrazy.

– Ż kim rozmawiam?

– Rashim Anwar. – Uniósł swój trikorn. – Grhm... to jest, kapitan Rashim Anwar.

– Kapitan, *ja*? – W zadumie pokiwał głową. – Na tej wyzpie wszyscy chcą, żeby ich zwano kapitanami. Kapitanem Takim, kapitanem Owakim.

Rashim wyszedł naprzeciw i podał mu w słońcu dłoń.

– Ja mam statek, jeśli to robi różnicę.

Schwarzmann zaśmiał się, potrząsając ramionami.

– Oczywiście, że robi! – Chwycił Rashima za dłoń i ścisnął jak w imadle. Rashim skrzywił się.

– Och... patrzcie tylko, jakież kobiece masz dłonie! Gładzutki jak dupcia *kinder*!

Rashim wyrwał dłoń z uścisku i jął rozmasowywać zmiażdżone kłykcie.

– Polecono mi twoje usługi.

– Ach! Jezdem najlepszym rusznikarzem na wyzpie. No, czym mogę

złużyć, *Kapitän* Anfar?

– Anwar.

Schwarzmann spochmurniał.

– Przedzież mówię.

– Ach... tak. Oczywiście. Sądziłem, że... to przez ten akcent zapewne...

– Jaki agjent? Mój angielski jezd perfekt!

Rashim rozejrzył się po podwórzu.

– Zatem... jesteś tu sam, panie?

– *Ja*. Dziż jeztem zam. Mój chłopak ma inny *arbeit*.

– Dobrze. Dobrze... bo, widzisz, panie, pragnę omówić pewną propozycję.

Poufną.

– Poufną?

– To ma być tajemnica. Chcę zlecić pewną pracę, ale szczegóły muszą pozostać między nami. Rozumiemy się?

Schwarzmann wzruszył ramionami.

– Pan jezt klientem. Proszę za mną... – Otarł czoło wierzchem dłoni. – Zdrasny skwar. Siądzmy w źrodku. – Poprowadził Rashima do zacienionego miejsca, wyciągnął stołek i postawił go koło warsztatu, a sam ciężko opadł na bujany fotel po przeciwległej stronie pokoju.

– No to możemy gadać. To co to za tajemniczy *geschäft*?

– Chcę zwiększyć zasięg i precyzję dział na moim okręcie.

Schwarzmann wyglądał na zaintrygowanego.

– Nie jestem dobry... – Chciał powiedzieć „Nie jestem dobry z historii”, ale uznał że ten Niemiec i tak ma go już za pomyłonego dziwaka. Faktem jednak było, że jego znajomość historii sprzed dwudziestego wieku była co najwyżej na poziomie pierwszoklasisty. Nie miał pewności, czy technologia, o której myślał, była już w tych czasach znana.

– Panie Schwarzmann, czy kiedykolwiek słyszałeś pan o obróbce zwanej „gwintowaniem”?

Mężczyzna skinął głową.

– *Ja, natürlich.* Jeszcze w domu, w Stuttgarcie, używałem jej dla *jäger* wielokrotnie.

– *Jäger?*

– To panowie, którzy polują. Myśliwi. Panowie z górą pieniędzy i pięknymi muszkietami, którzy życzyli też sobie miecz zdrzelbę. Proces gwintowania polegał na wyrzynaniu spiralnych rowków w wewnętrznej części lufy. Wyszczerbienia te nadawały kuli muszkietu pęd, zwiększając zasięg i celność ztrzału.

– Bardzo dobrze. Gwintowałeś pan muszkiety. A armaty?

Schwarzmann potrząsnął głową.

– To, *nein.* Macie na okręcie muszkiety, je wszystkie mogę dla was wygwintować. Ale *kanone?* – Uśmiechnął się. – Do tego podżębna wielka odlewnia.

Rashim pokiwał głową.

– Tak podejrzewałem. A gdyby do kuli armatniej dodać jakieś zagięte płetwy?

Schwarzmann już chciał się z wyższością roześmiać, ale zmrużył oczy i zamyślił nad propozycją.

– Hmm, tak jak lotka w *bolzen* do kuszy?

– Tak. Ale lekko odchylone, tak żeby opór powietrza w locie wprowadził kulę w wibracje.

Rusznikarz w zamyśleniu podrapał mięsisty podbródek.

– Te... płetwy... musiałyby ztanowić część odlewu kuli. Nie trzeba ich dodawać, trzeba je ztopić z kulą. Inaczej...

– Odpadną, właśnie, też o tym pomyślałem. Ale kuli przydałby się też inny kształt. Nie powinna być okrągła, ale wydłużona, jak nabój.

– Nabój?

Rashim wyciągnął kawałek pergaminu. Na drugiej stronie adresu naszkicował rysunek. Rozłożył pergamin na warsztacie. Szkic przedstawiał grubą raketę: jeden koniec był stożkowaty, drugi wieńczyły płetwy.

– To... *sehr interessante*... interesujące – rzekł Schwarzmann, przyglądając się mu i głaszcząc mięsisty podbródek. – Hmm, z takim kształtem... polecisz dużo dalej, chyba.

Rashim nachylił się.

– Potrafiłbyś, panie, odlać pocisk o takim kształcie?

Rusznikarz powoli skinął głową.

– To możliwe. *Ja*. Potrzebowałbym jednak dokładnej źrednicy otworu wylotowego waszych *konnonen*.

– Słusznie. – Rashim nie miał dostępu do jakiegokolwiek narzędzia pomiarowego, nawet zwykłej linijki. Ale obmyślił prostą metodę: przyłożył kawałek pergaminu do otworu wylotowego kilku armat i zaznaczył na papierze ich średnicę. – Te punkty wyznaczają wymiary naszych dział. To wystarczy?

– To jezd *exact*?

Rashim pokiwał głową.

– Przeprowadziłem też kilka obliczeń. Wiem, jaki rozmiar powinny mieć pociski oraz jaki powinien być stosunek długości płetw do korpusu. Widzisz, panie? – Wskazał nabazgrane w rogu kartki wymiary.

Twarz Schwarzmanna rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– *Ja*, takie potrafię zrobić.

Rozdział 36

Port Royal, Jamajka

rok 1667

– Następny!

Liam popatrzył na sporządzoną listę: widniały na niej nazwiska siedmiu mężczyzn, którzy w mniemaniu Starego Toma mieli odpowiednie doświadczenie i stanowili wartościowe uzupełnienie załogi. Dla Liama wszyscy wyglądali przekonująco groźnie: kolekcja barczystych byczków o spalonych słońcem twarzach okolonych krzywo przyciętymi brodami i włosami opadającymi na ramiona w długich, przetłuszczonych strąkach. Każdy ochoczo podpisał kartę okrętową „Pandory” – listę warunków, które Liam cierpliwie odczytał na głos każdemu mężczyźnie, bo żaden z nich nie przeliterowałby pewnie pojedynczego słowa.

– Panie?

Liam podniósł oczy na następnego pirata w kolejce. Wzrok Irlandczyka powędrował wzdłuż ściany pęczniejących mięśni – prawie rozpruwających napięte i postrzępione łachmany, które nie raz, nie dwa cerowano lichą nicią – doszedł do szczytu błyszczącej masy mięsa i zatrzymał się na twarzy, czarnej jak proch strzelniczy.

„Mój Boże, gigant”.

Prawie tak wielki jak Bob, choć brakowało niewiele.

– Hm.... – odchrząknął Liam. – A ty nazywasz się...?

– Jak się nazywać?

– Tak, mów.

– Ja mieć dwa imiona, panie.

Liam uśmiechnął się grzecznie.

– To tak jak każdy: imię i nazwisko.

– Mój pan nazwać mnie James Dawson.

– Ja jestem Liam O’Connor, a to jest Tom.

Tom szturchnął Liama.

– Ten się nie nada, sir. To niewolnik.

Czarnoskóry spojrzał na Toma.

– Ja już nie niewolnik, panie.

– Zbieg?

Człowiek wahał się odrobinę zbyt długo.

– Proszę. – Tom skinął głową. – Niewolnik. Lepiej nie zabierać zbiega na pokład. Nic dobrego to nie zapowiada, kłopoty jeno.

– Ja być dobra praca. Ciężka praca. I silny ja.

Liam nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– To akurat widzę. – Odwrócił się do Toma. – Dlaczego miałby sprawiać kłopoty?

– Bo jest czyjąś własnością. Jakiegoś plantatora pewnikiem. Jeśli go zaokrętujesz na „Pandorę”, a jego właściciel się o tym wywie... posądzą cię o kradzież niewolnika.

– Ale przecież nie stanie się w ten sposób moją własnością. Więc gdzie tu mowa o kradzieży?

– Nieważne. Płazem tu tego nie puszczają. Jak złapią jakiegoś zbiegłego niewolnika, to nie ma przeprosić, hop i na stryczek z takim. A za udzielanie im pomocy też można pójść do piachu.

Wśród załóg schodzących na brzeg Liam widział kilku czarnoskórych mężczyzn, oni również odwiedzali tawerny. Ludzie ci traktowani byli prawie na równi, mogli swobodnie zmieniać statki, oferować usługi komukolwiek, kto im się spodobał. Nie rozumiał, dlaczego ten tutaj nie mógłby być jednym z takich ludzi. Wystarczyłoby go tylko przebrać w lepsze odzienie niż te

łachmany. Ale może Tom miał rację: jeśli go zaokrętują, zaproszą na statek kłopoty, których nie potrzebowali.

Podniósł wzrok na giganta.

– James... przykro mi, ale...

– Ja pracować dla ciebie, panie. Brać połowę mniej monet niż inni. Ja pracować jak muł.

Liam w to nie wątpił. A co ważniejsze, człek wyglądał jak wcielenie diabła. Wystarczyłoby włożyć mu w wielkie łąpska kordelas, a przeraziłby załogę każdej hiszpańskiej galery handlowej i zniechęcił do jakiegokolwiek walki. Przyszła mu do głowy inna myśl. I nie chodziło o to, że Liam postanowił nagle rozdzielić dobro od zła; nie miał na to ani czasu, ani szczególnej ochoty. Przecież, gdyby kierowała nim potrzeba sprawiedliwości, już parę razy odmieniłby historię świata. Ale – bacznie przestudiował twarz Negra – czy Liam nie znajdował się w podobnej sytuacji?

Czy nie był produktem? Czyjaś genetycznie zmodyfikowaną własnością? W dodatku był takim samym uciekinierem jak stojący przed nim człowiek.

Liam rozejrzał się po tawernie – gigant stał ostatni w kolejce. Szmer zainteresowania, który przebiegł, gdy on i Tom otworzyli swój „punkt rekrutacyjny”, przeniósł się teraz w inne miejsce. Po drugiej stronie tawerny dwaj marynarze gotowali się do bitki. Rozbrzmiały pijackie nawoływania, wokół zgromadzili się gapie, szcując na siebie przeciwników. Wbrew rosnącemu rozgardiaszowi Liam odrobinę zniżył głos.

– Zabierzemy cię, a jeśli zauważę choć cień problemu, powiem, że zapewniłeś mnie, żeś wolny. Żeś nas okłamał.

– Powieszą cię za takie łgarstwo – dodał Tom. – Rozumiesz, chłopie?

– Ja być wolny – powtórzył James z mocą. – To wszystko, co ja powiedzieć.

Liam bacznie wpatrywał się w twarz Negra. Wykutą w rysach żelazną determinację. Pogodził się z tym, że ryzyko zawiśnięcia na stryczku to uczciwa cena za szansę ucieczki z dożywotniej niewoli.

– Dobrze więc. Mówiłeś, że masz inne imię. Od dzisiaj będziemy go

używać.

Mężczyzna skinął głową.

– Urodziłem się jako Kwami. Kwami Okembo.

Liam nie zamierzał nawet pytać, czy człek potrafi czytać. Od razu odczytał na głos warunki spisane w karcie okrętowej. Tymczasem wreszcie rozpoczęła się bójka. Pierścień ludzi otaczających arenę walki zaczął rytmicznie skandować. Brudny pojedynek dobiegł końca, a jeden z walczących zamienił się w trupa, jeszcze zanim Liam skończył odczytywać kodeks honorowy „Pandory”, a Kwami złożył podpis – duże, koślawe X – na dole dokumentu.

Liam podał mężczyźnie dłoń.

– Witaj na pokładzie, Kwami. „Pandora” to trzeci w kolejności statek zacumowany w północnym porcie. Szkuner. Lepiej, żebyś się zaokrętował i został na pokładzie, z dala od wścibskich oczu, do czasu, aż postawimy żagle.

Kwami zakrył dłoń Liama swoją wielką dłonią i mocno nią potrząsnął.

– Dziękuję, pan Liam! Dziękuję, pan Liam!

– Nie ma za co. Ach... jeszcze jedno, Kwami. Od teraz jesteś członkiem załogi, powinieneś zwracać się do mnie per sir albo współszyprze. Rozumiesz?

– Współszyprze? – Zmarszczył brwi. – Nigdy wcześniej nie słyszeć to słowo.

Liam wzruszył ramionami.

– To nowe stanowisko. Na pokładzie „Pandory” wszystko jest trochę inne.

Rozdział 37

Na wschód Port Royal, Jamajka rok 1667

Marynarze – prawie w komplecie – zgromadzili się wokół działa, tłocząc się i kuląc na niskiej przestrzeni pokładu działowego. Działko wetknął suchy wycior do lufy armaty, przekręcił kilkakrotnie, aby dokładnie ją przeczyszczyć, a później wyciągnął.

Jeden z pomocników podał mu odmierzoną ilość prochu w ładownicy, którą włożył do wylotu lufy, uważając, by ani krztyny nie wysypać na pokład. Potem użył drugiego czystego ubijaka, żeby wepchnąć proch w dół lufy, po czym kilka razy mocno uderzył wyciorem i sprasował wszystko na jej końcu.

Liam rozejrzał się po wyczekujących twarzach załogi. Rashim wyjaśnił im, że będą świadkami eksperymentu polegającego na zastosowaniu kuli armatniej o unikatowym kształcie. Chłopcy dotychczas nigdy nic takiego nie widzieli. Na pokładzie, przykryte metrowym kawałkiem zatłuszczonej plandeki, leżały trzy odlewy próbne. Nad nimi stał niemiecki rusznikarz, Schwarzmann, łypiący spod oka, żeby przypadkiem żaden z nich nie ważył się podnieść brezentu i pod niego zerknąć.

Działko ostrożnie wpychał garść przybitki, aby zetknęła się z ładunkiem prochu.

Liam zastanawiał się, co mężczyźni pomyślą o tym dziwnym, przypominającym nabój kształcie. Mrugnął do Rashima, który zrewanżował mu się niespokojnym półuśmiechem; najwyraźniej chciał mieć już za sobą próbną kanonadę, przekonać się, czy jego projekt okaże się skuteczny.

Działko szybko oczyścił wnętrze lufy, pozbywając się nadmiaru niepotrzebnych pakuł i prochu.

– Dobrze. Gotowa do strzału, szyprze.

Rashim odwrócił się do Schwarzmanna.

– Nadszedł czas, żebyś zademonstrował swoje dzieło.

Niemiec uklęknął i chwycił za róg płachty; marynarze pochylili się z ciekawością; ci z tyłu stanęli na palcach, żeby widzieć lepiej. Liam dostrzegł na końcu gigantyczną sylwetkę Kwamiego, który wyciągał głowę i przechylał się to w jedną, to w drugą stronę, żeby cokolwiek dostrzec.

– To, *Meine Herren* – zaczął Schwarzmann podniesionym, uroczystym tonem – to przyżłóddz marynarki wojennej. Teatralnym gestem odsłonił brezent.

Przez pokład przebiegł szmer zaskoczenia, a załoga zaczęła analizować trzy baryłkowate, ciemne kształty leżące na pokładzie: ołowiane, wysokie na trzydzieści centymetrów szyszki zakończone szpiczastym czubkiem. Wszystkie miały płaską podstawę i przypominały Liamowi współczesne pociski artyleryjskie, nie licząc faktu, że z każdej wyrastały po trzy niewielkie płetwy. Nie były idealnie proste, wyginały się z boku cylindra, jakby zostały przyczepione nieuważnie albo zniszczone i wygięte podczas transportu.

Stękając z wysiłku, rusznikarz podniósł jedną z kul armatnich i wręczył ją Działku.

– Hmm... którą stroną to wchodzi do armaty, sir?

Schwarzmann przewrócił oczami i westchnął.

– Płazkim końdzem do przodu.

Kanonier włożył kartacz do lufy, a marynarze, ogarnięci rosnącą ekscytacją, wstrzymali oddech, gdy wbijał go wyciorem w dół komory, aż zagnieździł się w poduszce przybitki na dnie.

– Po co kartaczowi takie rybie płetwy, kapitanie? – spytał jeden z marynarzy w tłumie.

– Żeby pocisk obracał się wokół swojej osi wzłużnej – odparł Rashim. –

Zauważyliście, że płetwy nie są proste, a odrobinę zakrzywione; właśnie po to, żeby nadać profilowi właściwości aerodynamicznych, wywołać ruch obrotowy. – Lekko wzruszył ramionami. – Teoretycznie.

Liam podejrzewał, że żaden pirat nie pojął ani słowa z wywodu Rashima, choć kilku zaczęło refleksyjnie potakiwać.

– Gotowe do wystrzału, sir – powiedział Działko.

„Pandora” zakołysała się lekko w osłoniętej zatoczce. Znajdowali się kilkanaście mil na wschód od wybrzeża Port Royal; płynęli wzdłuż linii brzegowej, aż znaleźli tę opuszczoną, osłoniętą lagunę. Kilkaset metrów dalej, na spokojnej turkusowej wodzie, unosiła się pinasa z małym masztem, podskakując cierpliwie w oczekiwaniu na zagładę.

– Gdy będziesz gotowy, Działko – powiedział Rashim – wyceluj, jak umiesz najlepiej.

– Tak jest, sir. – Obszedł armatę i uniósł tłący się kawałek osmołowanej liny. Złożył dłonie i dmuchał na końcówkę sznura, aż rozżarzył się na matowy pomarańcz. Machnięciem dłoni odgonił mężczyzn zgromadzonych z tyłu działa. Choć nie było to konieczne: wszyscy doskonale wiedzieli, jaki jest odrzut armaty – prawie metr. Klęknął obok otworu i zbliżył zmrużone oczy do zapalu, mierząc przez ambrazurę w lekko podskakujący na wodach w oddali cel; oceniając subtelne ruchy statku, wsłuchując się w jego rytm.

– Uważaj! – ryknął, wszyscy tłoczący się na pokładzie działowym marynarze jak jeden mąż zasłonili uszy, gdy przyłożył tłący się lont do zapalu armaty.

Iskra, nagły syk, działo huknęło, odskoczyło do tyłu, wypluwając dwumetrowy jęzor ognia. Rashim i Schwarzmann wraz z kilkoma marynarzami błyskawicznie podskoczyli do sąsiadującej furty działowej i wyjrzeli, aby prześledzić trajektorię pocisku. Ale w nagrodę ujrzeli tylko szereg gejzerów eksplodujących w przestrzeni pomiędzy „Pandorą” a celem. Schwarzmann zaklął pod nosem.

– I jak? – krzyknął ktoś z tyłu.

– Kartacz... chyba się rozpadł – odpowiedział Rashim, znacząco

spoglądając na rusznikarza.

– Cóż, ten zrobiłem z większymi płetwami – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Egzberymentowałem z rozmiarami.

– Spróbujemy z następnym.

Działko skinął głową i zabrał się do szorowania lufy i ładowania kolejnego kartacza. Korsarze znowu wstrzymali oddech, kiedy klęknął z uniesionym nad zapałem lontem, wsłuchując się w rytm delikatnie kołyszącego się okrętu.

– Uważaj! – Przystawił lont. Ponownie nastąpił syk i ogłuszający huk armaty, która odskoczyła przez pokład działowy.

Liam klęczał już przy ambrazurze, przez którą złowił wzrokiem cień kartacza prującego nad wodą. Pół sekundy później pinasa eksplodowała deszczem drzazg i poszczerbionych desek. Na pokładzie działowym wybuchły wiwaty, niemal tak samo ogłuszające, jak wystrzał armaty sprzed kilku sekund.

– W samą dziesiątkę! – krzyknął ktoś.

Liam zauważył, że pocisk przepołowił łódź. Dwie części pinasy przez kilka minut niezależnie podskakiwały, a potem zaczęły tonąć wśród chaosu pływających drewniaków.

– Do stu piorunów! Bóg mi świadkiem, poszedł prosto i gładko jak strzała!
– Działko popatrzył na Rashima i resztę załogi. – Nigdy nie widział tak latającej kuli!

Schwarzmann z wyższością pokiwał głową.

– *Natürlich*, tego zię spodziewałem.

Rashim pogłaskał się po podbródku, wpatrując się w tonące resztki pinasy.

– Na pewno się kręciła. Widziałem rotację. – Mrużąc oczy, patrzył na oddaloną o kilkaset metrów linię brzegową. Spomiędzy kołyszących się palm przezierały kruszejące ruiny iglicy kościelnej, choć równie dobrze mogły to być pozostałości po hiszpańskiej strażnicy.

– Czemu by nie spróbować rozwalić tamtego? – spytał.

– Nasza armata tam nie sięgnie, kapitanie. Kula wryje się najdalej w piasek

plaży. Jak się poszczęści.

Rashim zerknął na Schwarzmanna, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czemu nie?”.

– Spróbujemy i tak – rzekł Rashim. – Zobaczymy, jak daleko polecą.

Kanonier znów zabrał się za czyszczenie i ładowanie kuli do armaty, ostatniego z trzech próbnych pocisków. Ponownie zapadała cisza, wszyscy w oczekiwaniu wstrzymali oddech. Działko zmrużył oczy, uważnie wpatrując się w żelazny przewód lufy.

– Do budynku nie doleci na pewno – mruknął, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

– Uważaj! – Przyłożył płonący lont.

Bateria ponownie huknęła, wypełniając pokład kłębam brunatnego dymu, mężczyźni znowu stłoczyli się przy furtach działowych. Liam, wciąż przyklejony do tego samego punktu obserwacyjnego, dostrzegł ślad po kuli przelatującej nad dryfującymi resztkami pinasy – pocisk pędził w linii prostej, ale w pewnym momencie zaczął odbijać delikatnie w prawo, kiedy siła strzału zaczęła wygasać.

Ruiny budynku eksplodowały chmurą kurzu; rachityczna wieża przechyliła się i roztrzaskała o ziemię. Na nieboskłonie nad palmami rozmigotała tęcza kolorów, gdy spłoszone wielobarwne ptactwo poderwało się do lotu.

Korsarze ryczeli jak gawiedź obserwująca egzekucję na rynku miejskim.

– *Meinn Gott!* – wydyszał Schwarzmann.

Działko, wychylający się przez tę samą ambrazurę co Liam, gapił się z szeroko otwartymi ustami, łykając kłęby dymu. Powoli potrząsnął głową.

– To niemożliwe. Za skarby Jamajki!

– Na jaką odległość według ciebie poleciała? – ryknął Rashim, przekrzykując rozwrzeszczaną załogę. – Czteryścieś... pięćset metrów?

– Dalej. – Działko zakotłosał się na zadku. – Dalej, sir. Będzie bliżej ośmiuset metrów.

– To niezamowite – powiedział Schwarzmann. Podniósł się i podszedł do Rashima. Odezwał się ściszym głosem. – Z odpowiednią ilością tych

kardaczy, kapitanie Anwar, twój zdatek zdanie się niemal...

– Niezwyciężony?

– *Ja*. Kto wie. – Schwarzmann wzruszył ramionami.

– Pomówimy o pańskim wynagrodzeniu, panie Schwarzmann. I o tym, ile takich kartaczy zdoła pan dla nas wyprodukować.

Liam podniósł się z pokładu i dołączył do nich z uśmiechem na ustach. Poklepał Rashima po plecach.

– Je-zu, chłopie, pocisk werznął się w budynek niczym rozżarzony nóż w masło!

– Wynagrodzenie? – powtórzył Schwarzmann. – *Geschäft* proponuję omówić na górnym pokładzie, na zewnątrz.

Rashim skinął głową i ruszył przodem; uważając, by nie zahaczyć głową o niską powalę, wszyscy trzej doszli do drabinki. Wspięli się po stopniach i wyszli na światło dzienne; pokład omiatały ożywcze podmuchy rzeńskiej, kapryśnej bryzy. Cudowna odmiana od panującego na pokładzie działowym zaduchu.

– Zpytam z ciekawości, panowie – powiedział Niemiec, muskając czoło rąbkiem mankietu. – Jakże ważą plany?

– Plany? – Liam wzruszył ramionami. – Gubernator przyznał nam licencję kaperską. Planujemy więc zdobyć trochę pieniędzy, to oczywiste.

– Dużo pieniędzy – dodał Rashim.

Liam pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Zamierzamy też uczynić ten statek, „Pandorę”, legendą Karaibów. Legendą znaną na wszystkich morzach, powtarzaną przez wszystkich marynarzy. – Spojrzał z ukosa na Rashima. – Racja?

Rashim pokiwał głową.

– Panie Schwarzmann, sir... – ciągnął Liam – pragniemy mieć pewność, że za kilkaset lat, nazwę „Pandora” będą znali wszyscy chłopcy marzący o życiu pirata i awanturczego korsarza, takiego jak... Czarnobrody albo... „Długi John” Silver!

Żaden z tych przydomków nic nie mówił Niemcowi. Nic dziwnego zresztą. A mimo to Schwarzmann powoli pokiwał głową, doceniając ambitne zamiary. Spojrzał na nich z lekkim odcieniem zazdrości i szacunku.

– Wierzę, że wy dwaj jeździecie zdolni coś takiego oziągnąć.

– Zatem... – Rashim postanowił przejść do rzeczy. – Pańskie wynagrodzenie...? Powinniśmy to przedyskować...

– Uznałem, panowie, że nie wezmę od was zapłaty z góry. Wolę udział w łupach, które będziecie zwozić do Port Royal. Prozent.

– Procent? – Rashim spojrzał na Liama. – Co ty na to?

Liam ściągnął usta.

– Aktualnie nie mamy wielu pieniędzy. To ma sens. – Odwrócił się do Schwarzmanna. – Jeśli oczywiście gotów jest pan nam zaufać.

Schwarzmann wydał wargi.

– Nie ufam nikomu. Ale będzie tak – jeśli nie będziecie zplacać ustalonego procent, ja przestanę robić wam te *wunder* krzywe kule. *Alles klar?*

Rashim skinął głową; właśnie zawarli umowę. Podał mu dłoń.

– To teraz omówmy wysokość procent.

Rodział 38

Londyn
rok 1889

– Teraz widać, ile warte były słowa Liama: „Cała nasza trójka musi się trzymać razem. Żeby pozostać prawdziwą drużyną” – wyszeptała Sal. Czy to nie jego słowa? Czy nie to jej powiedział, gdy huścili się na tym wietrznym placu zabaw przy porzuconej szkole w Harcourt, w stanie Ohio?

A teraz co? Skorzystał z pierwszej sposobności, żeby się urwać, zmyć i zacząć nowe życie. Podniosła długopis.

Teraz dylemat, przed którym stoimy ja i Maddy, nie polega na tym, czy w dalszym ciągu będziemy funkcjonować jako drużyna, ale w jaki sposób chcemy przeżyć resztę naszych dni. A kto wie, ile lat życia przed nami zostało? Może, tak jak Liam, szybko się zestarzeję i przedwcześnie zostanę starą kobietą. Być może będę żyła sto lat. Kto wie, jaką żywotność mają nasze ciała?

Jednego jestem natomiast pewna. Nie chcę tu zostać. Ten loch to żaden dom. Podejrzewam też, że gdybym jeszcze w Nowym Jorku wiedziała, kim jestem, bazy pod arkadami też nie traktowałabym jako domu. To klatka. Więzienie.

Podniosła wzrok znad dziennika. Maddy spała na jednym z zaimprovizowanych łóżek, chrapiąc, jak to ona. Prawie zawsze zapadała w mocny, głęboki, dobry sen. Jednostki pomocnicze siedziały na dwóch stykających się skrzyniach, wyprostowane, ale pogrążone w swoim

„pólsnie”, transie, podczas którego procesory komputerowe cichutko porządkowały przestrzeń roboczą: kompresowały, udostępniały i archiwizowały dane. Sal miała ochotę z kimś porozmawiać.

Odwróciła się w lewo, w stronę płaskiej powierzchni, z której Maddy zrobiła stolik do kawy.

– Hej, SpongeBubba? Żyjesz czy jesteś wyłączony?

Pudełkowata sylwetka SpongeBubby przekręciła się w jej stronę.

– Hej, Sal! – Stojący na jego płaskiej łepetynie kubek poruszył się, wyleciały z niego zimne fusy. Sal zdjęła go i odłożyła na podłogę.

– Dziendoberek, dzień dziś fanta-nomenalny!

Ciężko jej przychodziło dziś tolerowanie głupawej wesołkowatości.

– To musi być cudownie cieszyć się tak przez całe życie jak głupi do sera.

SpongeBubba przewrócił oczami.

– Jestem jednostką laboratoryjną. Kod programowania napisany przez skipkę nakazuje mi być szczęśliwym. Nie rozumiem natomiast koncepcji „szczęścia”.

– Zaczynam czuć to samo. Hej, SpongeBubba?

– Tak!

– Co zrobisz, jeśli Rashim już nie wróci?

Jednostka wysunęła dolną plastikową wargę.

– Gdyby skippa zniknął?

– Tak. Gdybyś wiedział, że przepadł na dobre, może zginął, czy to zmieniłoby twój kod programowania?

– Nie, Sal. Nie, ktoś musiałby mnie zmodyfikować. Istnieje możliwość przywrócenia ustawień fabrycznych mojej sztucznej inteligencji. – Z wyrzutem podniósł na nią wzrok. – Tyle że wtedy na powrót zamieniłbym się w nudną, starą jednostkę laboratoryjną.

– Bez piszczącego głosu. To by było coś!

– Nie byłbym już SpongeBubbą.

Sal przypomniała sobie, że Rashim zmodyfikował jednostkę tak, aby

przypominała postać z kreskówki z początku stulecia. Sama też niejasno pamiętała tę bajkę. Bohater tak naprawdę nie nazywał się „SpongeBubba”, choć za żadne skarby nie potrafiła sobie przypomnieć, jakie było prawdziwe imię tej głupiej, żółtawej istoty morskiej.

– Wiesz, że nie jesteś prawdziwym SpongeBubbą? Jesteś zwykłą imitacją.

– Wiem. – Posłał jej koślawy uśmiech. – Ale różnię się od pozostałych jednostek laboratoryjnych, a to czyni mnie specjalnym!

– SpongeBubba, gdybyś mógł mieszkać w dowolnym miejscu na świecie, w dowolnym punkcie historii... gdzie postanowiłbyś się wybrać?

Zmarszczył brwi.

– Pojechałbym tam, gdzie kazałby skippa.

Bez sensu pytać o takie rzeczy robota laboratoryjnego, uznała Sal.

– Ale skippa pokazał mi kiedyś western. Lubię kowbojów i Indian. Niiieeżli są!

Uśmiechnęła się do jednostki. Nawet nie wie, co znaczy „lubić”. Ale najwidoczniej została zhakowana przez Rashima tak, aby sprawiać wrażenie żywo zainteresowanej światem. Słodkie. Urocze wręcz.

– Kowboje i Indianie, co? – Sal rozumiała tę fascynację. Otwarte prerie, czyste błękitne niebo i górzysty horyzont. Nieodkryty dziki zachód, pełen przygód i nieograniczonych możliwości. – Piękna myśl. Też mi się podoba.

– Dzięki!

Wpadło jej do głowy to imię. Przypomniała sobie! Przyszło jej do głowy od tak, znikąd,

– SpongeBob! – powiedziała.

SpongeBubba uniósł brew.

– Co to jest?

– SpongeBob Kanciastoporty... to imię postaci, do której próbował upodobnić cię Rashim!

SpongeBubba spiorunował ją wzrokiem.

– Wolę SpongeBubba! Imię, o którym właśnie wspomniałaś brzmi „guuu-

pio”. I jest za długie. Tyle znaków nie zmieści się w wierszu polecenia. – Guu-pie, guu-pie, guu-pie...

Ale Sal nie słuchała jego gadania. Myślami błądziła gdzie indziej. Daleko stąd. Oczyma wyobraźni patrzyła na mały apartament. Podłogę z imitowanego drewna, zimną w dotyku. Ekran fleksowy, wiszący na ścianie pomiędzy wizerunkami Brahmy, Wisznu i Sziwy. Czowała zapach kolendry, kurkumy, gotującego się ryżu: upajający aromat indyjskiej kuchni. Widziała szklane, rozsuwane drzwi prowadzące na skromny balkonik, na którym stała suszarka na ubrania. Przypięte do niej jaskrawe sari i turbany powiewały podrywane wiatrem, który buszował na żelbetowych wysokościach. Dalej, za ścianą siarczanego smogu zanieczyszczeń, wyrastały, niczym cedrowe pnie z pokrywy śniegu, inne drapacze chmur.

Kryształowo czyste wspomnienie Mumbaju. Wspomnienie dziecka. Bo oto i ona: leży na zimnej posadzce, wpatrując się w ekran fleksowy, na którym leci powtórka starej kreskówki o nazwie SpongeBob Kanciastoporty. Jakże wyraźne wspomnienie wyzwolone dyskusją o robocie, którego imię ledwo sobie przypomniwała.

Boże.

Żaden inżynier sztucznej inteligencji nie mógł przewidzieć, że Sal przeprowadzi taką właśnie rozmowę. Rozmowę na temat niepopularnej, niedorzecznej kreskówki z początku wieku. A co za tym idzie – mózg Sal pracował na najwyższych obrotach – żaden inżynier nie mógł powiedzieć: „Chwileczkę, chwileczkę! Lepiej wdrukujmy w świadomość tej jednostki pomocniczej wspomnienie SpongeBoba Kanciastoportego... rozumiecie... tylko na wypadek, gdyby taki temat wypłynął”.

– Boże – wyszeptała.

Być może jej pamięć nie składała się jedynie z kalejdoskopu zmyślonych elementów mających przekonać jednostkę, że wcześniej miała prawdziwe życie. Istniała szansa, maleńka, że raz żyła sobie prawdziwa dziewczynka, po której Sal odziedziczyła wspomnienia.

Prawdziwa Saleena Vikram.

Sal doskonale wiedziała już, gdzie pragnie się udać.

Rozdział 39

Morze Karaibskie

rok 1667

Dwa tygodnie później podnieśli kotwicę i opuścili północny port. Kadłub „Pandory” łapał rwący prąd wypływający z przystani, żagle łopotały, wypełniając się świeżą, wschodnią bryzą. Kierowali się na południe, okręt pochylił się na sterburtę, reje obróciły się w prawo na żelaznych obręczach, odciąganych przez boczny wiatr.

Kiedy pokład przechylił się, a szkuner zaczął nabierać rozpędu, Liam musiał się zaprzeć o reling; dziób werżnął się w gładkie lustro wody osłoniętego portu, a dwadzieścia minut później, po wypłynięciu na otwarte morze, jął pruć żwawe fale, które uderzały i bryzgały o kadłub. Wiatr wiał regularnie, czasami tylko dął mocniej, szarpiąc żagle i ustawiając statek pod ostrzejszym kątem.

Przy każdym przechyle na sterburtę uśmiech Liama robił się jeszcze szerszy. Po kilku tygodniach cumowania w cuchnącym zaduchu Port Royal chłodny powiew wiatru zstępujący od grotżagla zdawał się cudownie orzeźwiający. Powolne kolebanie statku pod stopami było rozweselające, stromy spad pokładu... zwyczajnie zabawny.

– Nie znoszę, gdy statek tak mocno się przechyla – niewesoło mruknął Rashim. Zaciśnięte na relingu ręce zbieleły z wysiłku. – Mam wrażenie, że zaraz się przewróci.

– To niemożliwe. Musiałby się złamać maszt, zanim wiatr przewróciłby jednostkę takich rozmiarów.

– Racja. – Rashim skinął głową. – Bardzo pocieszające. – Prawie całą

podróż na zachód Atlantyku przepłynęli z wiatrem wiejącym od rufy – bez pochylania się.

Teraz obrali kurs na południe od Jamajki, płynęli w dół, do Puerto Bello, gdzie zwiężający się pas Ameryki Środkowej stykał się z samym czubkiem Ameryki Południowej i gdzie pewnego dnia człowiek z wizją wykopie Kanał Panamski. Przedsięwzięcie – jak to przedstawili załodze – zapowiadało się bardzo prosto.

Pogłoski okazały się prawdziwe. Korsarski kapitan Henry Morgan, bliski przyjaciel gubernatora, planował napaść na zajętą przez Hiszpanów Kubę. Zebrał flotę dziesięciu statków gotowych przyłączyć się do wyprawy, a wraz z nimi około czterystu mężczyzn, którzy złożyli podpisy na jego karcie pokładowej. Miała to być wielka ekspedycja i wieści o przygotowaniach bez wątpienia dotarły już do uszu hiszpańskich władz. A to znaczyło, że flota hiszpańska skupi się wokół Kuby. Na południu natomiast, w okolicach Puerto Bello, regularny ruch transatlantyckich statków handlowych powinien odbywać się w poczuciu bezpieczeństwa, bo większość piratów w regionie miała przebywać sześćset albo siedemset mil dalej na północ i uczestniczyć w ataku na Kubę.

Przy odrobinie szczęścia statki, na które po drodze się natkną, okażą się łatwymi łupami, choć pewnie nie tak łatwymi jak poturbowana przez sztorm karaka, którą zdobyli wcześniej. Wszystkim chłopcom dopisywał dobry humor, pragnęli położyć łapska na hiszpańskich łupach, najchętniej na stercie lichy wybitych escudos albo dublonów, jak na nie mawiali. Ten nastrój, przekonanie, że wyprawa zakończy się wielkim zwycięstwem, należało przypisać, jak sądził Liam, „cudownemu strzałowi” Rashima. Bo tak między sobą o tym wydarzeniu mówili chłopcy. Zastanawiał się, na ile rzeczywiście przyda się tych trzydzieści sześć kartaczy, szpiczastych jak rakiety, jeśli przypadkiem wpadną na całą flotę hiszpańskich galeonów.

Ale najważniejsze było morale załogi. A także straszna reputacja, jaką wśród hiszpańskich statków cieszyli się piraci z Port Royal. Z historii opowiadanych w tawernach Liam wiedział, że dość często ataki szybko kończyły się sukcesem. Błyskawiczna groźba natarcia, dzikie okrzyki

i grzmot baterii armatnich oraz przerażający widok jakiejś setki uzbrojonych po zęby zbirów z reguły wystarczały, aby przekonać załogę samotnego statku kupieckiego do rezygnacji z walki.

Kątem oka dostrzegł, że młody William uczy Kwamiego, jak splatać końce sznurów. Gdyby tylko odpowiednio przyodziać tego giganta: wokół byczej szyi zawiesić sznur z małżowinami usznymi i wstążkę z garłaczami, a w obie dłonie włożyć wymaczany we krwi miecz i kazać głośno ryknąć...

Jezu... istny potwór z koszmarów sennych.

– Chyba zaraz zwymiotuję – mruknął Rashim.

– Na litość boską, jeśli już musisz, to zrób to w kabinie... a nie tutaj, nie na oczach całej załogi! – Wreszcie zdobyli zaufanie i szacunek korsarzy. Widok Rashima o zbielełej jak kreda twarzy, wymiotujące na pokład rufowy niestrawione jedzenie, pewnie nie wzmocniły ich autorytetu.

– Masz rację – beknął i przystawił pięść do ust. – Ja... tylko...

Liam skinął głową.

– Zobaczmy się potem. – Patrzył jak Rashim, powłócząc nogami, odchodzi po pochyłym pokładzie do drzwi kajuty, otwiera je i znika wewnątrz. Odwrócił się i spojrzał przez reling na główny pokład znajdujący się poniżej, głębokie morze, kołyszący się horyzont, wydymające się żagle, usłyszał szarpaną melodię skrzypiec i akompaniujący im bodhran.

– Ahoj, perełki – mruknął pod nosem, wydobywając z płuc swoje najlepsze pirackie warknięcie. – Aggrhhhh! Rozstąpić się przed postrachem mórza, kapitanem O’Connorem... aggrhhhh. – Liam zadławił się własną flegmą. – Ahagrrrrhhh!

– Nic się nie stało, sir? – spytał Josh Culper, sternik. Liam prawie zapomniał, że mały człowieczek o lisiej twarzy stoi tuż obok.

– Grhm... nie... nic mi nie jest. Ja, hmm... połknąłem robaka, to wszystko.

Rozdział 40

Morze Karaibskie

rok 1667

– To nawet całkiem niezłe – mruknął Rashim z pełnymi ustami.

Liam skinął głową, przeżuując w ustach żylasty kawałek baraniny.

– Kuchcik znalazł przyprawy na targowisku. Strasznie ostre, pali w gardle.

– Trochę mi przypomina kuchnię mojej mamy. Gotowała cudowną pathię z kurczaka, ostrą jak diabli. Oczywiście na bazie sojowoproteinowych substytutów i sztucznie hodowanego ryżu, ale przyprawy były prawdziwe. – Wziął kolejną łyżkę z miski i z uznaniem skinął głową. – Przyprawy to sekret dobrej kuchni.

– Zgoda. Tyle że Kuchcik postanowił wrzucić do środka dosłownie wszystkie.

– Liamie, czy to prawdziwe nazwisko naszego kucharza?

– Kuchcika? Tak. Nazywa się Jeremiasz Kuchcik.

Rashim parsknął śmiechem.

– Nasz główny kanonier nazywa się Działko, a kucharz Kuchcik. – Potrząsnął głową. – Teale musiał mieć niezły ubaw, kiedy przyjmował ludzi na statek. Wolę nie pytać o nazwisko biedaka, który splata nam liny.

– Lepiej nie. – Liam się zaśmiał.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu. Z głównego pokładu za drzwiami kajuty dobiegał brzęk naczyń, odgłosy skrobania; Kuchcik serwował reszcie załogi ostry bulion z baraniny.

– Ciekawe, co się z nim stało – zamyślił się Liam. – Jakub Teale. Wciąż

dręczą mnie lekkie wyrzuty sumienia, że zostawiliśmy go dryfującego w łodzi na pełnym morzu.

– A ja nie. Ten człowiek to oszust. Kłamca. Czarus i blagier. – Rashim potrząsnął głową. – A na dokładkę idiota. Nieważne, jestem przekonany, że dobił do lądu i wziął się za wyłudzenie oszczędności od naiwnych kupców.

– Racja.

Wtedy usłyszeli stukot butów o drabinę i pokład rufowy, stłumiony bas Starego Toma, który miotał wściekle bluzgi. Podniesione, protestujące głosy, a wreszcie nieśmiałe puknięcie w drzwi kajuty.

– Wejść! – powiedział Rashim.

W szparze pomiędzy uchylonymi drzwiami pojawiła się twarz Toma.

– Najmocniej panów przepraszam, mówiłem tym bezbożnym łotrom, że spożywacie kolację. Ale nalegali... mówią, że chcom wyrazić rozczarowanie.

– Rozczarowanie? Czym?

– Kartą okrętową, kapitanie.

Wszystkim ludziom na głos odczytano nowe prawa i obowiązki, zanim podpisali kartę i zaciągnęli się na pokład. Nawet najemnicy zatrudnieni przez Teale'a musieli złożyć swój podpis. Nowy kapitan, nowe przedsięwzięcie... nowa karta.

– Przystali na te warunki – z irytacją powiedział Rashim. – Odpraw ich, niech nam nie przeszkadzają.

– Rashimie – wtrącił się Liam. – Hmm... zgodnie z naszymi kodeksem chłopcy mają prawo zapukać do drzwi i powiedzieć, co im leży na sercu.

Rashim zacisnął szczęki.

– Cholera, tak, masz słuszność. – Skinął na Toma. – Dobrze, wpuść ich.

Tom odsunął się i pozwolił trzem piratom przejść przez niskie drzwi. Ostrożnie, z szacunkiem zdjęli czapki, dobry znak.

– Hej, Działko – powiedział Liam. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy. Obok kanoniera stał jeden z jego pomocników, Lenny, a także Jamieson, jeden z nowych rekrutów zaokrętowanych w Port Royal.

- Dobry wieczór, panowie – przywitał się Działko.
- Tom twierdzi, że są panowie niezadowoleni – ponaglił Rashim.
- Tak jest, chodzi... grhm, chodzi o kilka zapisów w karcie pokładowej, sir.
- O które?
- Cóż... grog, panie. Zero alkoholu na statku. – Działko wzruszył ramionami. – Wszystkim nam zdaje się to odrobinę zbyt surowa kara.
- Okej, słuchaj, Jakubie – rzekł Liam – istnieją ku temu zasadne powody. Ty przede wszystkim powinieneś to rozumieć. Pamiętasz, co stało się w zeszłym miesiącu? Ten głupiec, Cobbler, wysadził się w powietrze, bo był pijany.
- Zgoda, ale... no, bo to przez to, że Cobbler musiał czasem zmoczyć gębę, choćby nie wiem co. – Działko poparł swoją tezę naiwnym, niepewnym wzruszeniem ramion.
- Na mej ostatniej łajbie nie obowiązywało tak głupie prawo – rzekł Jamieson.
- To już mnie nie interesuje – upierał się Rashim. – Obawiam się, że na tym statku obowiązuje.
- To nie w porządku oczekiwać od nas, że będziemy tydzień w tydzień harować bez kropli grogu. Ja i prawie wszyscy chłopcy się na to nie godzimy!
- Liam szybko zerknął na Rashima. Ten człowiek otwarcie kwestionował ich autorytet.
- Chyba powinienem wyjaśnić – cierpliwie odparł Rashim. – Na pokładzie tego statku, zbudowanego w całości z drewna, smoły, lin przewozimy sześć beczek prochu strzelniczego i stertę antałów z łatwopalną naftą do lamp...
- Chrzanić to! – Mężczyzna splunął. – Wśród nas są sami doświadczeni marynarze. Nie chłopcy! Wiemy, jak obchodzić się ze statkiem! Ta głupia zasada, że nie wolno nam...
- Stul jadaczkę! – warknął Stary Tom. – Jak śmiesz odzywać się tak do swoich kapitanów!

Liam powoli się podniósł.

– Podpisałeś kartę, a my działamy zgodnie z jej postanowieniami, aż do powrotu do Port Royal. To nie podlega dyskusji.

„Bądź stanowczy, Liamie. – Spojrzał na Rashima. – Jeden z nas musi być”.

– Załoga tego okrętu pozostanie trzeźwa do momentu... do momentu wykonania zadania. Później, jeśli tylko zechcesz, Jamieson, weźmiesz swoją dolę i uchlaz się do nieprzytomności, tyle nas to obchodzi. Ale na tym pokładzie wszyscy mają być trzeźwi, koniec gadania!

Rashim posłał im pojednawczy uśmiech.

– Pomyślcie trochę, w każdej chwili możemy natknąć się na statek. Załoga, my wszyscy, musimy być stale gotowi na taką ewentualność. Nie pijani.

Liam widział, że Działku i Lenny’emu odeszła ochota na dalsze kwestionowanie problematycznego zapisu. Jasno postawili sprawę, a do tego przedstawili ją dość rozsądnie.

– To nie po naszymu! – brnął za to Jamieson. – Wszyscy chłopcy się ze mną zgadzają.

– Słuchaj – spokojnie zaczął Rashim. – Wymaga tego zdrowy rozsądek...

– Chcemy zmiany karty! Albo...

– Bo co zrobisz? – „Jezu, Rashimie... trzeba twardo bronić swoich racji”. – Liam stanął centymetr przed mężczyzną. – Bo co zrobisz?

– Ja – w poszukiwaniu wsparcia spojrział na Działko i jego towarzysza – my podejmiemy odpowiednie kroki.

Liam poczuł, że drży. A niech to, nie pozwoli, żeby w jego głosie pojawił się ton niepewności.

– Powiem ci, co zrobisz – próbował wydobyć z płuc głębszy, bardziej rozkazujący ton. – Zaakceptujesz tę zasadę, Jamieson, albo zakujemy cię w żelazo i odbierzemy twój udział po powrocie do Port Royal! – Liam, pragnąc wzbudzić w przeciwniku trwogę, przysunął się do niego jeszcze bliżej. – Czy to jasne?

Ku jego zaskoczeniu i uldze mężczyzna wbił wyzywające spojrzenie w podłogę.

– Spytałem... czy to jasne?

– Tak jest – wymamrotał. – Chyba.

– Tak jest... SIR!

– Sir.

Spojrzał na Działko.

– A drugie zażalenie? Wspominaliście, że jesteście niezadowoleni z kilku spraw.

Działko niespokojnie zaszurał nogami.

– Cóż... niektórym chłopcom niezbyt się widzi murzyński niewolnik na pokładzie.

– Racja – rzekł Jamieson. – To skandal, że Negr dostaje taką samą dolę jak reszta z nas...

– Je-zu! – Liam potrząsnął głową. Potem poczuł ukłucie nagłej złości. – WYNOCHA! – warknął. – WON!

Tom chwycił Jamiesona za ramię.

– Wynocha, łotry, słyszeliście, co powiedział współszyper. Won stąd. – Wyszli, schylając się, przez niskie drzwi. Działko przepaszająco skinął jeszcze głową i w geście pożegnania przystawił palce do czoła, zanim zdążyły się za nimi zamknąć drzwi kajuty.

Liam poczuł, że drży od mieszaniny nerwów i... tak, wściekłości. Odwrócił się. Rashim wpatrywał się weń szeroko rozwartymi oczyma.

– To był... hmm... imponujący pokaz testosteronu.

– Pewne sprawy... agrhhh! Pewne sprawy naprawdę mnie wpieniają. – Wziął głęboki oddech. – A to jedna z nich.

– Rasizm?

– niesprawiedliwość. – Z powrotem usiadł przy stole i spojrzał na stygnącą miskę z rosółem. – Zwykła... najzwyklejsza niesprawiedliwość... – Westchnął. – Wszyscy ci mężczyźni stoją przed takim samym ryzykiem

utruty życia. Dlaczego więc życie jednych miałoby mieć mniejszą wartość niż życie innych? Każdego z nas może trafić kula muszkietu!

– To inne czasy – rzekł Rashim, wzruszając ramionami. – Inne wartości.

– To żadna wymówka! Ludzie w tej epoce wiedzą, że to złe, tak jak ty i ja. Jestem przekonany. Ale to zbyt wygodne, co? Jakże łatwo wskazać niewolnika w łachmanach i powiedzieć: „Jest inny niż my”. W taki sposób jedna grupa ludzi zniewala inną, wmawiając sobie, że ich przeciwnicy to ktoś gorszy, nawet nie człowiek. To wymówka! – Liam podniósł łyżkę i w zamyśleniu zamieszał rosół. – Wpienia mnie ta niesprawiedliwość, w rzeczy samej.

W kajucie zapadła długa, niezręczna dla Rashima cisza. Ale było coś jeszcze. Czuł, że powinien to powiedzieć.

– Ciekawe... – Nachylił się nad stołem i delikatnie potarł o blat kłykciami palców, tuż przy ręce Liama. – Wreszcie ujrzałem twoją drugą twarz.

Liam podniósł na niego wzrok.

– Czyli jaką?

– Chyba... twarz Pana Dojrzałego – powiedział, szczerząc zęby.

– Co? Nabijasz się ze mnie?

– Nie. – Rashim potrząsnął głową. – Nie, za żadne skarby. Wręcz przeciwnie. Tylko... właśnie uświadomiłem sobie, że jesteś bardziej skomplikowany, niż sądziłem. Kierujesz się ideami. – Uśmiechnął się refleksyjnie. – W przyszłości, w moich czasach, prawie nikt w nie nie wierzy. Tak jak w wiele innych rzeczy... wiara w ideały to towar deficytowy.

Rashim w milczeniu przyglądał się towarzyszowi.

– Może i jesteś robotem, produktem organicznym, przyjacielu, ale więcej w tobie człowieka niż w większości ludzi, których poznałem.

Rozdział 41

Morze Karaibskie

rok 1667

Alarm wybuchł następnego ranka, gdy Kuchcik i William smażyli na patelni stertę świeżo ugotowanych, przyprawionych słodkich ziemniaków na śniadanie. Kuchcik flegmatycznie łajał chłopca, nie wyjmując z ust cybucha fajki.

– No i prosie... następny wspaniały posiłek psu na budę.

Liam i Rashim wyplątali się ze swoich hamaków, wciągnęli bryczesy, założyli buty i dołączyli do Starego Toma, który wrzaskiem mobilizował załogę do działania.

– Warta dostrzegła kilka żagli, dziesięć stopni na lewo od dziobu, panowie.

Rashim zjechał po drabinie na główny pokład, przebiegł przezeń i wspiął się na dziób, Liam podążał krok za nim. Irańczyk oparł się o reling na samym dziobie statku, wyciągnął lunetę, rozsunął ją i przystawił oko do soczewki.

– Nie widzę... achhh....

– Widzisz ich?

Rashim mocniej zmrużył oko, jego wargi bezgłośnie się poruszały. Liczył.

– No i? – Liam niecierpliwie zaszurał nogami. – Hiszpański?

– Hmm... na szczycie jednego z masztów widzę żółć i czerwień. To barwy Hiszpanii, tak?

– Tak. Ile ich jest? Dwa? Trzy?

Rashim obniżył lunetę.

– Siedem. – Niespokojnie spojrzął na Liama. – To... tyłu nie damy rady

pokonać.

Liam odebrał mu teleskop i sam dokonał szybkich oględzin.

– Ja widzę sześć. W środku płynie tylko jeden statek.... – Wyregulował ostrość. – To trójmasztowiec. Większy niż inne. To nie karaka.

Podszedł do nich Tom, pozbawiony tchu od pokrzykiwania na piratów. Liam podał mu lunetę.

– Ten statek w środku, Tom, co to za łódź?

Teraz to na Toma przysłała kolej, aby przystawić oko do lunety.

– Pięć spasionych owieczek i jeden pies pasterski. – Opuścił instrument i oddał go Liamowi. – Dwa żagle z osprzętem rejowym, dwa łacińskie żagle na rufie, potężny forkasztel. Galeon.

– To dobrze czy źle? – spytał Rashim.

Tom wyszczerzył się w bezzębnym uśmiechu.

– To znaczy, że dziś rano będziecie mieli szansę spróbować tych waszych wymyślnych kartaczy, panowie. To okręt wojenny. Czeka nas prawdziwa bitwa.

Rashim nieznacznie pobladł.

– Sześć do jednego... nie ryzykujemy zbyttnio?

Tom się oburzył.

– To tylko jeden okręt wojenny... reszta pewnie da dyla, jak usłyszą pierwszy wystrzał. Najpierw trza posłać na dno galeon, szyprze, resztę wyłapiemy jak płotki.

– Proszę, sam słyszysz – rzekł Liam, szeroko się uśmiechając.

– Dobra. No to... właśnie. – Rashim złowrogo łypnął okiem, najgroźniej jak potrafił. Wyszedł mdły grymas. – Zająć pozycje bojowe... czy jak tam się na to mówi.

Tom odwrócił się i jał wykrzykiwać rozkazy. W ciągu minuty wszystkie żagle rozpostarły się niczym skrzydła kruka; wiatr tego ranka wiał od rufy, każdy metr kwadratowy płótna naprężył się jak poszycie bębna. Dziób „Pandory” werznął się w morze, statek pod pełnymi żaglami ruszył w pościg

za oddalonym o milę galeonem.

Hiszpański okręt wojenny zmienił kurs, zatoczył wielki łuk w ich kierunku, halsując na wiatr.

Liam spojrzał na Rashima.

– Wszystko w porządku? Jesteś na to gotowy?

Potrząsnął głową.

– Dobrze mnie znasz. Nie sprawdzam się szczególnie dobrze w takich konfrontacjach. Więc, nie... nie do końca. – Wziął głęboki, uspokajający oddech. – Ale nic mi nie będzie.

– Przejmę dowodzenie nad kompanią abordażową.

Rashim uśmiechnął się z wdzięcznością.

Dystans między okrętami zmniejszył się błyskawicznie. Liam zdążył zejść na główny pokład, osobiście wyselekcjonować dwa tuziny piratów i uzbroić ich po zęby. Dodatkowo sześciu marynarzy otrzymało muszkiety wygwintowane przez Schwarzmanna. Dzień wcześniej Liam urządził wśród załogi zawody w posługiwaniu się bronią, aby wyznaczyć najlepszych strzelców. Ogólny poziom umiejętności strzeleckich korsarzy nie powalał, ale jeden z nowych, francuski myśliwy nazwiskiem Pasquinel, zdecydowanie się wyróżniał. Liam rozkazał, żeby wspiał się na bocianie gniazdo „Pandory” i zestrzelił sternika galeonu, gdy zbliżą się na wystarczającą odległość.

W tym samym czasie Rashim zszedł na pokład działowy, by zagrzać do bitwy Działko i jego pomocników. Przy każdej burcie „Pandory” stało dwanaście dział. Niewiele myśląc, rozkazał załadować stożkowate kule do wszystkich dwudziestu czterech armat: głupia decyzja, przecież mogły wysunąć się na chybotliwym, bujającym się statku. Na szczęście Działko postukał się w czoło i z uśmiechem zignorował rozkaz – te „cudowne pociski” nie mogą się ot tak turlać.

Pół godziny po tym, jak ujrzeli na horyzoncie wrogi okręt, zagrały pierwsze baterie galeonu. Najwyraźniej pociski wystrzelono jako sygnał ostrzegawczy, bo nieszkodliwie wpadły do morza, sto metrów od „Pandory”, eksplodując pióropuszcami spienionej wody.

Rashim stał już na pokładzie rufowym, obok sternika, czekając aż statek przepłynie przez coraz mniej wzburzone morze w miejscu wybuchu wodnych gejzerów i o połowę skróci dystans do wrogiej jednostki. Już teraz dzieliła ich od galeonu mniejsza odległość niż od pinasy, którą zatopili kilka dni temu.

– Uwaga... teraz.

– Tak jest, szyprze. – Sternik zakręcił kołem w prawo. „Pandora” odbiła na sterburty, prezentując hiszpańskiemu okrętowi tuzin naładowanych armat bakburty. Rashim wyszarpał garłacz z za pasa i wypalił w powietrze: sygnał dla Działka, aby strzelał bez komendy. Chwilę później ryknęła pierwsza armata, potem, w odstępie kilku sekund, huknęły kolejne, jedna po drugiej; seria eksplozji wstrząsnęła burtą niczym meksykańska fala.

Rashim kątem oka złowił rozmazany, pędzący kształt: pociski śmignęły nad wodą, jeden z nich rozerwał się w powietrzu w połowie drogi. Potem ujrzał smugę od kuli. Forkasztel galeonu eksplodował chmurą drzazg i odłamków. Kolejne dwa obłoki zawirowały wokół burty okrętu. W grotzagli środkowego masztu wykwitła poszarpana dziura. Ponad niskim śródokręciem nieszkodliwie śmignęły dwie kule, ale ostatni strzał w salwie idealnie trafił w cel. Niski fokmaszt zadrżał, od podstawy odprysła spirala drzazg, a potem słup przechylił się do przodu i opadł na forkasztel niczym ścięte drzewo. Rashim zorientował się, że na ich pokładzie działowym też coś huknęło: chór wiwatów.

– A teraz poczęstujmy ich drugą burtą! – wrzasnął Rashim.

– Mocno na bakburty! – ryknął Tom.

Sternik odbił kołem w przeciwnym kierunku, wprowadzając „Pandorę” w ostry zakręt. Kadłub obrócił się o prawie pełne sto osiemdziesiąt stopni, ukazując gotowe do kanonady baterie sterburty.

Byli już bardzo blisko. I znowu jak grzmot poszła salwa całą burtą: łup, łup, łup, łup... Kadłub zionął pionowymi grzybiastymi jęzorami brunatnego dymu, każdy donośny ryk raził Rashima w splot słoneczny, każdy wystrzał wprawiał cały statek w wibracje i kołysanie. Galeonem wstrząsały dotkliwsze eksplozje; pełno było drzazg i odłamków. Szczupły maszt na rufie z jednym

z łańskich żagli oderwał się od pokładu i wypadł za burtę, zamieniając się w płataninę lin i płótna, która ciągnęła się za statkiem.

Rashim ryknął w zachwycie.

– Tak!

Ale galeon, poturbowany jak niedźwiedź z przetrąconą łapą, nie zamierzał się poddać. Niezdarnie, niemrawo taplał się w oceanie, próbując obrócić się na bakburtę i odpowiedzieć kanonadą. Liam wraz z dwoma tuzinami mężczyzn na pokładzie ryczeli w ekscytacji. Ale współszyper widział, na co się zanosi. Byli zbyt blisko hiszpańskich armat. Jeśli okręt zdoła się obrócić, wyrządzi im spore szkody. Podniósł wzrok na Pasquinela, aby posłał kulkę w sternika. Jednak nie było takiej potrzeby.

Z góry, z bocianiego gniazda, dobiegł strzał muszkietu. Francuski myśliwy nie czekał na komendę. Liam patrzył, jak mężczyzna przy rumplu opada na kolana i wali się na odeskowanie. Ster dziko zawirował, buntując się przeciwko niepewnemu manewrowi.

„Je-zu. Niemożliwe, że idzie nam tak łatwo”.

Galeon wytracił pęd i niemrawo podskakiwał na wodzie. Po raz kolejny „Pandora” zaczęła się obracać, tym razem na sterburtę: ten ostateczny ślizg miał ustawić ich równolegle do głównego pokładu galeonu, stycznie, wystarczająco blisko, aby mogli przerzucić haki abordażowe i wskoczyć na pokład.

– Szykujcie się, chłopcy! – krzyknął.

Marynarze ryknęli coś chórem. Może „hurrra”. Albo rubaszne, żeglarskie, pirackie „achrrrr”, nie miał pewności.

Za relingiem – byli już wystarczająco blisko – widział hiszpańskich żeglarzy, tabun żołnierzy przygotowujących się na abordaż. Widział też, jakie szkody wyrządziły ich działa: poszarpane, postrzępione wióry świeżo odkrytego drewna, plamy jasnego karmazynu rozchłapane na żaglach, które teraz łopotwały niepowstrzymanie. Dziób „Pandory” wysunął się za dziób znajdującego się po prawej galeonu – dzieliło je tylko dwadzieścia metrów. Na forkasztelu ujrzał mężczyznę w lśniącym kirysie. Hiszpan wymachiwał

szpada, zagrzewając ludzi do walki.

„Teraz”. Liam znów złapał się na tym, że nie drży ze strachu przed walką. Uczucie, które w przeszłości mocno go prześladowało, odpłynęło, został spokój. Lodowaty spokój zabójcy. To ulga nie czuć wywracającego się żołądka, nie chcieć wymiotować ze strachu, nie odczuwać natychmiastowej potrzeby wypróżnienia... Ale to...? Taki spokój?

„Kim ja do diabła jestem? Psychopata?”

– Szykujcie haki, chłopcy! – krzyknął.

Nad relingiem ujrzał twarze hiszpańskich żeglarzy, uzbrojonych w muszkiety i miecze, z osmalonych prochem twarzy biła żelazna determinacja. Przegrali pierwszy akt potyczki, ale daleko im było do złożenia broni. Zastanawiał się, czy tak samo gotowi do walki w ścisiku byliby jego ludzie, gdyby otwarta wymiana ognia potoczyła się inaczej.

Właśnie wtedy pokład pod stopami wierzgnął, zawyły działa. „Pandora” szarpnęło, bo armaty rozgrzmiały zsynchronizowaną salwą, a nie, jak wcześniej, narastającą kanonadą. Wszyscy mężczyźni zachwiali się, szukając oparcia dla stóp.

Dokładnie w punkt. Niewątpliwie niszczycielsko. Wąską przestrzeń pomiędzy statkami błyskawicznie wypełnił gęsty cumulus prochu strzelniczego, z którego wyleciał deszcz odprysków drewna, ostrych jak grad. Na pokładzie tuż obok niego z delikatnym plaśnięciem wylądowała dłoń, jak ochłap mięsa przypadkiem zrzucony z paki rzeźnickiego wozu.

Wtedy dym zaczął opadać.

Rozdział 42

Morze Karaibskie

rok 1667

Po odpaleniu salwy „Pandora” odbijała na bakburtę – ostatni akt ostrego skrętu, który miał ustawić ich równolegle do galeonu – z lufami skierowanymi pod kątem czterdziestu pięciu stopni w górę. Bezpośrednia kanonada wyrwała dwanaście ziejących dziur; kule przeszły przez górną część kadłuba i śródokręcie, rozrywając reling i żołnierzy szykujących się do odparcia ataku. Dwanaście szarpanych nakłuc wzdłuż kadłuba odsłoniło siatkę pokładów i grodzi.

Za opadającymi kłębam dymu Liam zauważył kostnicę rozczłonkowanych kończyn, groteskowo wykrzywionych ciał zaplątanych w postrzępione kawałki drewna.

– ...sir?

Liam poczuł uderzenie w ramię. Odwrócił się i ujrzał Starego Toma, który coś bezgłośnie powtarzał, głos żeglarza zagłuszało dzwonięcie w uszach. Powoli odzyskiwał słuch.

– Rozkaz? – Korsarz spróbował ponownie. – Do abordażu, sir?

Liam skinął głową.

– IDZIEMY!

Rozkaz popłynął wzdłuż relingu. Chłopcy, przy akompaniamencie dzikich skowytów i ryków, zaczęli wskakiwać na nadburcie, kilku od razu przeskoczyło wąską przestrzeń pomiędzy statkami, kilku innych uczepliło się want. Liam też wdrapał się na reling. Od poszarpanej krawędzi rozłupanego

pokładu galeonu dzieliły go dwa metry. Skoczył. Przeleciał ponad odmętami bryzgającej wody i wylądował na poszyciu pokładu, który wygiął się i zatrzeszczał pod jego ciężarem. Odskoczył w prawo, na bardziej stabilne odeskowanie, akurat gdy włókna pękły, a deski wpadły w czarną topiel pomiędzy statkami.

Słyszał, że gdzieś na lewo wybuchła potyczka, ale nic nie widział. Dym wciąż gęstniał, dziób hiszpańskiego okrętu zamienił się w prawdziwą rupieciarnię. Pokład przypominał krwawą ślizgawkę, rumowisko; takielunek powalonego masztu oblepił wszystko pajęczą siecią nisko zwisających lin i strzępów ożaglowania. Przedarłszy się przez ten galimatias, Liam zanurkował pod złamanym nokiem rei, tylko po to, by zderzyć się głową z kimś nadchodzącym z naprzeciwka.

– Auć!

Nieznajomy jęknął. Popatrzył na Liama i potarł obolałe czoło. Obu rozbawiła wzajemna niezdarność. Jednocześnie pomyśleli, że gdy nic nie widzisz, spacer z wyciągniętą dłonią to mądrzejsza strategia niż nacieranie gołym czołem do przodu.

– To było głupie – mruknął Liam.

Mężczyzna zrozumiał, uśmiechnął się, skinął głową.

– *Si... somos burros torpes.*

Upłynęła chwila. Hiszpan, człek o baryłkowatej budowie w czerwonym kaszkiecie, zwieńczonym pękiem opadających na policzek postrzępionych, złotych frędzli, wyciągnął szpadę i wymierzył żelazo w Liama.

Liam odbił je koniuszkiem kordelasa.

– Słuchaj... – powiedział spokojnie – dlaczego nie pozwolimy sobie wzajemnie przejść?

Mężczyzna odpowiedział coś, po czym wyprowadził niespodziewany cios w brzuch. Liam cofnął się i mocno sparował uderzenie: wywinął kordelasem, sprawnie odbił ostrze przeciwnika i wytrącił mu broń. Przypadkiem potknął się na jakimś porzuconym przedmiocie i upadł na plecy. Mężczyzna opadł na niego, całkowicie pozbawiając go tchu.

Poczuł uścisk silnej ręki na gardle, zacisnęła się jak imadło, tak mocno, że grdyka zdawała się trzeszczeć, pękać, kruszeć. Druga ręka napastnika zniknęła z pola widzenia, próbowała coś wymacać. Wtedy to zobaczył, małe ostrze. Liam opuścił kordelas – teraz bezużyteczny, znaleźli się w zbyt bliskim starciu, by go użyć – i złapał za nadgarstek napastnika, który próbował wrazić żelazo w jego szyję. Pomiedzy twarzami błysnął nóż, krótkie owalne ostrze; Liam próbował utrzymać je w bezpiecznej odległości, ale czuł, że jego czubek drażni skórę za lewym uchem.

„Nie... nie... nie... nie...”.

Hiszpan wykorzystywał swoją wagę i napierał ramieniem na ostrze. Zacisnął usta, uciszał Liama, namawiając, żeby podarował sobie szybszą śmierć.

– Nie... proszę... – zbulgotał Liam.

– Cii... cii...

Wykręcił drugą dłoń, usiłując zdjąć z gardła żelazny chwyt mężczyzny. Szybko zrezygnował i sięgnął do twarzy przeciwnika. Włożył kciuk w prawe oko Hiszpana i nacisnął. Poczuł, jak paznokiec wrzyna się głęboko w gałkę oczną przeciwnika. Mężczyzna szaleńczo potrząsnął głową, próbując strzepnąć z twarzy dłoń Liama. To wystarczyło: zapomniał o ostrzu.

Liam zakołysał się w prawo, potem rzucił ciałem w lewo i strząsnął z siebie przeciwnika, teraz to on był na szczycie. Szala się przechyliła, zyskał przewagę. Wyjął palec z oka Hiszpana i błyskawicznie przeniósł wolną rękę w okolice rękojęści noża, aby skierować ostrze prosto w kark mężczyzny. Spotkali się wzrokiem. Liam zobaczył to w oczach przeciwnika. Mężczyzna wiedział, co go czeka.

– Ciiii... tak?

Czubek ostrza wślizgnął się w szyję żeglarza. Jakże łatwo było go teraz wepchnąć do końca, po samą rękojęść. W końcu nie robił tego po raz pierwszy ani drugi. Ani nawet trzeci. Zabijanie... często powtarzana czynność powszednieje. Zbyt powszednieje. Mężczyzna charknął rozpaczliwie, oczy rozszerzyły się ze strachu. Liam obnażył zęby i zaklął. Obrócił ostrze i bezsensownie zdzielił mężczyznę twardym końcem rękojęści. Szybko

zeskoczył z nieprzytomnego przeciwnika.

Przez rzednące opary dymu słyszał odległy brzęk ostrzy, skowyt, podekscytowane okrzyki chłopców, żalosne jęki i płacze nieszczęsnych marynarzy, którzy ucierpieli w kanonadzie.

Przecisnął się przez płataninę zwisających lin i powiewających żagli, aż w końcu wyszedł na wolną przestrzeń, na pokład główny, na którym ostała się tylko garstka hiszpańskiej załogi, mniej niż tuzin zdolnych do walki mężczyzn, w większości zakrwawionych i okaleczonych... choć wciąż z determinacją odpierających atak. Zostali wypchnięci pod przeciwległe nadburcie, gdzie bronili rannych towarzyszy, których zdołali odciągnąć po masakrze wyrządzonej przez działa.

Otoczyli ich ludzie Liama, markując uderzenia, robiąc wypady i kłując niczym myśliwskie psy drażniące zaszczutą zwierzynę.

Liam przecisnął się do przodu.

– Pardon! Dajcie im pardon! – ryknął ponad krzykami i wrzaskami, brzękami i zgrzytami ostrzy. Jego głos utonął we wszechobecnej kakofonii. Widział, jak znane twarze wykrzywia zastygły grymas krwiożerczości, rozemocjonowania, przerażenia. Nawet ich giganta, Kwamiego – którego dotychczas uważał za wrażliwego, nieśmiałego wielkoluda – ogarnął berserkerski szal: wymachiwał toporem na lewo i prawo, wybałuszając oczy i dziko wrzeszcząc. Przerażony hiszpański marynarz, o połowę mniejszy od niego, desperacko parował opadające ciosy kolbą złamanego muszkietu.

– Je-zu.

Liam wyciągnął tromblon z za pasa, odkorkował go i wypalił w powietrze.

– Stop! – krzyknął. – Stop! WYSTARCZY!

Chłopcy wreszcie go usłyszeli, zaczęli odstępować od ataku, wycofywać się. Z dalszych części pokładu dochodziły odgłosy innych, pomniejszych potyczek, ale tutaj, rozgrywająca się na jego oczach bitwa przeszła w stan uśpienia... wszyscy wbili w niego pełen wyczekiwania wzrok.

Postąpił do przodu, zatykając pistolet z powrotem za pas. Wyciągnął ręce, pokazując, że nie trzyma żadnej broni.

– Koniec! – odezwał się do Hiszpanów. – Wystarczy! – spojrzał na wrogów, w większości żeglarzy. Dwóch z nich nosiło kirysy ze stalowej blachy i szamerowane tuniki. Żołnierze. Żaden z nich nie był jednak oficerem. Żaden prawdopodobnie nie mówił po angielsku.

„No to trzeba się będzie nagestykulować”.

Liam podszedł do nich powoli i z braku lepszego pomysłu zasalutował, przystawiając palce do czoła.

– Nie wyrządzimy wam żadnej krzywdy, obiecuję. Chcemy uniknąć rzezi – powiedział do stojącego najbliżej Hiszpana. Mężczyzna drżał, wybałuszył oczy, w napęczniałej dłoni trzymał rapier.

Liam sięgnął do pasa po flaszę z wodą pitną. Odkorkował gąsiorek i podał żeglarzowi.

– Po wszystkim, skończone – rzekł uspokajająco. – Przegraliście. Dlaczego nie rzucicie broni? Co?

Mężczyzna pojął do czego zmierza pirat, nawet jeśli nie rozumiał znaczenia samych słów. Powoli pokiwał głową. Potem zwolnił uchwyt i upuścił broń na pokład. Pozostali Hiszpanie poszli za jego przykładem. Liam podał mu flaszę, po czym odwrócił się do jego towarzyszy.

– Statek jest nasz, chłopcy. – Westchnął, wziął kilka głębokich oddechów i powtórzył: – Statek jest nasz.

Rashim i Liam odnaleźli się kilka minut później. Rozmawiali ponad wolną przestrzenią pomiędzy dwoma statkami, kadłuby zderzały się i trzeszczały upiornie.

– Mój Boże, Liamie! – Twarz Rashima błyszczała od potu. – Mój Boże, to było... to było niesamowite!

Niesamowite? Nie. Tylko ciężkie. O pewnych scenach chciałby jak najszybciej zapomnieć. Były godne dzikusów, jaskiniowców. Ale już po wszystkim.

– Gdzie pozostałe okręty?

– Dwa z nich są tutaj. – Rashim wskazał dziób statku. – Spuścili żagle! Nawet nie próbują uciekać!

Liam wyciągnął szyję, aby przekonać się na własne oczy. Zgadza się. Ciemny zarys kadłubów majaczył w odległości mili. Żagle były spuszczone, nieprzywiązane, beużytecznie powiewały na wietrze.

– A pozostałe?

– Nie odpłynęły daleko. – Brodata twarz Rashima rozciągnęła się w uśmiechu. – Dopadnę je!

– Nie wiem... czy to rozsądnie się tak rozdzielać?

– Zostań z galeonem, my wrócimy!

– Nie! Czekaj! Słuchaj, te wystarczą. – Liam wskazał głową dryfujące karaki. – Całkiem niezły łup jak na jeden dzień.

Rashim potrząsnął głową.

– Dobry Boże, Liamie! Gdzie twoja żądza przygody?

Przygody?

– Słuchaj, Rashimie. Odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo. Wystarczy!

Rashim roześmiał się w głos.

– Bzdura... tam czeka na nas jeszcze większa nagroda. Wystarczy po nią sięgnąć. – Odwrócił się od nadburcia i zawołał Starego Toma, rozkazując mu natychmiast postawić żagle i szykować się do pościgu.

– Czekaj! Hej! Rashimie! – Ale krzyczał już do pleców przyjaciela. – Rashimie!

Baryton Toma popłynął echem wzdłuż pokładu i załoga „Pandory” zaczęła wdrapywać się po olinowaniu do najniższej rei.

– Niech cię szlag! Rashimie!

„Pandora” powoli ruszyła do przodu, odrywając się od galeonu. Liam zauważył jeszcze, jak Rashim wbiega po drabinie na pokład rufowy i staje obok sternika.

– Rashimie!

Przyjaciel spojrział w jego stronę. Liam dostrzegł błysk szerokiego uśmiechu na twarzy. Odmachał Liamowi, po czym przyłożył dłonie do ust. Pokład rufowy przesunął się przed jego oczami, „Pandora” odpływała.

Rashim krzyknął coś przez wzburzone morze, ale jego głos utonął w zgiełku rozkazów przekazywanych wzdłuż statku, słychać było syk kadłuba prującego fale oraz żwawe podmuchy i trzaskanie żagli szukających wiatru.

Liam zaklął, obserwując, jak wysoka rufa szkunera stopniowo się od nich oddala.

– A mieliśmy być drużyną – mruknął. – Jasny gwint... drużyną. – Przeklął swojego awanturniczego przyjaciela za traktowanie wszystkiego jak gry.

Nad tylnym relingiem niknącego statku majaczyła postać Rashima, który po raz ostatni radośnie machnął na pożegnanie. Liam odgadł wreszcie, co krzyczy przyjaciel.

„Ale frajda!”

Rozdział 43

Londyn
rok 1889

Sal chciała mieć to z głowy. Wolała wyjść, zanim Maddy i jednostka pomocnicza wrócą z targu. Nie miała zamiaru wdawać się z nią w wielką kłótnię. Nie chciała, żeby Maddy próbowała przekonać ją do swojego sposobu myślenia – a wiedziała, że zrobi to z łatwością. Gdyby krzyki nie pomogły, ubłagałaby Sal, żeby została, bo przecież teraz mają tylko siebie. A nawet gdyby rozmowa nie zamieniła się w kłótnię, skończyłoby się czymś gorszym: łzawym pożegnaniem.

„Nie mam na to siły”.

Wybrała metodę tchórza. Całą noc pisała liścik pożegnalny. Chciała tyle przekazać, ale przenoszone na papier słowa zupełnie nie oddawały jej uczuć.

Kocham cię, Maddy, jak starszą siostrę, której nigdy nie miałam. Kocham też Liama. Kiedyś, zdaje się, że było to wieki temu, miałam wrażenie, że jesteście rodziną, cała nasza trójka...

Cały list utrzymany był w tym tonie – kilka stron emocjonalnej wiwisekcji. Kilka ostatnich stron pamiętnika wypełnił strumień nieposkładanych, nieuczesanych myśli. Efekt był jednak spójniejszy niż jakiegokolwiek wyznanie twarzą w twarz.

– Przepraszam, Maddy – mruknęła, zostawiając otwarty pamiętnik na łóżku, tak żeby po powrocie łatwo go mogła odnaleźć. Teraz musiała jednak uporać się z komputerem-Bobem, który zrzędził jak stara babina.

> Sal, czy Maddy zatwierdziła to żądanie sygnatury czasowej?

Spojrzała w oko kamerki.

– Tak, Bob. Uzgodniłyśmy to wcześniej.

> Jaki charakter ma cel tej misji?

– Badawczy. Jadę... jadę zebrać użyteczne informacje.

> Jakie użyteczne informacje?

„Uparty osioł”.

– Na tym etapie nie musisz tego wiedzieć.

> Autoryzacja Maddy jest niezbędna. To naruszenie standardowego protokołu.

– Bob, słuchaj, protokoły już nie istnieją. Procedury też. Już od jakiegoś czasu improwizujemy na poczekaniu, nie zauważyłeś?

Kursor migał w oknie dialogowym, gdy Bob formułował odpowiedź. Wreszcie...

> Sal, wyczuwam niezgodę w drużynie.

Skinęła głową.

– Święte słowa.

> Jesteś zasmucona. Płaczesz.

Z zażenowaniem otarła policzki.

– Tak... tak, gratuluję. Chyba zauważyłeś, że wcale nam się tak świetnie ostatnio nie układa.

> Niepokoi mnie to. Dlaczego pragniesz odwiedzić lokalizację opatrzoną taką sygnaturą czasową?

Roześmiała się. Jakże łatwo nie docenić inteligencji komputera-Boba. Sztuczna inteligencja osadzona wewnątrz jego ludzkiej powłoki wydawała się już całkiem ludzka, może tylko odrobinę oschła i pozbawiona poczucia humoru. Ale emanacje tej samej inteligencji na wyświetlaczu monitora, skurczone do tekstu okna dialogowego, sprawiały złudne wrażenie, że jest tylko dość bystrą, przyjazną ludzom wersją systemu operacyjnego.

– Chcę wiedzieć, kim jestem, Bob. – Dotknęła zaczerwienionych oczu. – Muszę wiedzieć, kim jestem.

> Wybrałaś lokalizację i czas ze wspomnień dotyczących twojego

życia sprzed działalności Agencji.

– Tak... pamiętam, że tam byłam. Dokładnie w tamtym okresie. Jestem pewna.

> **Sal, planujesz spotkać się ze swoim sobowtórem?**

Nie, takie spotkanie wywołałoby burzę czasoprzestrzennych problemów przyczynowo-skutkowych. Nie. Spotkałaby się z kimś innym. Ze swoim protoplastą. Dziewczynką, z której została skopiowana. Jej pierwowzorem.

– Pamiętam, że tam byłam, Bob. A przynajmniej pamiętam, że była tam Saleena Vikram. Po prostu chcę ją zobaczyć. Sprawdzić, czy wygląda dokładnie jak ja. Czy mówi jak ja. Chciałabym z nią porozmawiać.

Maddy wyruszyła do jej rzekomego domu w Bostonie, licząc na to, że odnajdzie to samo. I co odkryła? Że mieszka tam obca rodzina. „Ale może w moim przypadku będzie inaczej?” – Sal była przekonana, że jej wspomnienia nie są patchworkiem pożyczonych scenek. To, co sobie przypominała wyglądało jak prawdziwe życie. Kompletny życiorys prawdziwej osoby.

> **W czym ci to pomoże?**

– Uchroni przed popadnięciem w zupełne wariactwo, Bob. To już coś, nie?

Kursor ponownie niespiesznie zamigał. Ciekawe, które pętle kodu teraz pracują – zastanowiła się Sal. Co takiego tkwiło w tych powiązanych płytkach elektronicznych, że pozwalało mu właściwie, w wartościowy sposób ocenić stan jej umysłu?

– Bob... muszę wiedzieć, czy kiedyś byłam prawdziwą osobą. – Czowała, że do oczu napływają świeże łzy. – Gdybym tylko mogła to mieć, wiedzieć, że kiedyś wiodłam prawdziwe życie, wtedy... – Potrząsnęła głową, niepewna, co dokładnie by to dla niej oznaczało. – Pomogłoby mi to. Czy to w ogóle ma sens? Jakikolwiek sens?

> **Nie potrafię udzielić właściwej odpowiedzi, Sal. Znajduje zbyt wiele niepoliczalnych zmiennych.**

Zacisnęła wargi. Oczywiście. Jak u diabła mogła pomyśleć, że nagle zaczął rozumieć jej uczucia? Sama nie była w stanie ich pojąć. Tkwiło w niej jakies desperackie uczucie nadziei. Nadziei na co? Kiedy już stanie naprzeciwko

prawdziwej Sal Vikram, to co wtedy?

– Bob, proszę... puść mnie ten jeden raz. Muszę iść.

> Zawieszę normalną procedurę.

– Zrobisz to?

> Potwierdzam. Loguję sygnaturę czasową i inicjalizuję wehikul translokacyjny.

Stłumiła szloch.

– Dlaczego?

> Martwię się o ciebie, Sal. Doświadczasz zaburzeń emocjonalnych. Taka wycieczka może złagodzić objawy.

Ponownie spojrzała w kamerkę. „Zaniepokojony”? Odpowiedź ta, choć sucha, kliniczna, była najbardziej ludzką ze wszystkich odpowiedzi, jakich kiedykolwiek udzielił. „Zaniepokojony”... Sal naszała ochota, żeby go przytulić. Ale co tu tulić? Myszkę? Klawiaturę? Monitor? Gdyby zamieszkiwał cielesną, organiczną powłokę, mogłaby przynajmniej owinać wokół niej ręce – o ile starczyłoby jej zasięgu – i ucałować policzek, twardy jak granit.

– Dziękuję, Bob.

> Czy ustawić normalną procedurę powrotną?

Potrząsnęła głową.

– Ja... ja nie wiem.

> Nie zamierzasz wracać?

– Nie wiem, co zamierzam. Być może... – Wzruszyła ramionami. – Jeszcze nie wiem. Rozsądnie zorganizować plan powrotny na wypadek... tak, lepiej skonfiguruj jakąś sygnaturę.

> W takim razie wprowadzę dwugodzinny interwał powrotny. Dwudziestoczworogodzinny interwał. Tygodniowy interwał. Czy to dogodny dla ciebie harmonogram?

– Tak, pasuje mi.

> Informacja: powiadomię Maddy o twojej lokalizacji, gdy wróci.

Sal skinęła głową.

– Dzięki. – Spojrzała na leżący na łóżku otwarty pamiętnik. – Wie, gdzie

jadę i po co.

> **Wehikuł translokacyjny jest już w pełni naładowany.**

Podniosła się ze stołka i delikatnie musnęła ekran.

– Wiesz co? Jesteś debeściak, Bob.

Drgający kursor przeskoczył w prawo.

> **Informacja: potwierdzam.**

Rozdział 44

Port Royal, Jamajka

rok 1667

– Ile?! – Schwarzmann wybałuszył oczy.

Rashim usiadł na krześle i podrapał gęstą, czarną szczecinę obrastającą podbródek.

– Siedem tysięcy dublonów.

– Ziedem *tausend!*

Liam pochylił się i przebiegł palcami po rejestrze.

– Siedem tysięcy trzysta siedemdziesiąt kawałków z ośmiu, mówiąc precyzyjnie. – Podniósł wzrok na rusznikarza. – To twój trzydziestopięcioprocentowy udział, zgodnie z umową, panie Schwarzmann. Ani pensa więcej, sir.

– *Mein Gott!* – Potrząsnął głową i zaczerpnął kilka długich, świszczących oddechów. – Ja się nie skarżę, Herr O’Connor! To... jezzd... jezd... *fantastiche!*

– Liamie? Zechciej czynić honory, stary druhu, i wręcz temu gentlemanowi jego uczciwie zarobiony łup – rzekł Rashim, bełkotliwie połykając słowa. Popołudnie spędził w King’s Head, tawernie, która służyła im teraz za nieformalne biuro. Uporali się z rachunkami i wypłacili udział każdemu członkowi załogi. Rum lał się strumieniami. Rashim, pomimo złożonej Liamowi obietnicy, że nie tknie ani kropli napitku, dopóki nie rozliczy wynagrodzeń, ostatecznie zapomniał o przyrzeczeniu i właśnie opróżniał drugi kubek.

Dziewięćdziesięciu trzech mężczyzn. Każdy dostał wypchany trzos monet, ponad osiemset dublonów; każdy zdejmował czapkę, dotykał czoła i pokornie się wycofywał z szerokim uśmiechem na ustach. Siedmiu korsarzy zginęło, ich działki wróciły do wspólnej puli. Trzynastu rannych członków załogi otrzymało dodatkowe wynagrodzenie w ramach rekompensaty za odniesione rany. Pięćset sztuk dostał mężczyzna, który utracił ramię. Odszedł w szampańskim nastroju, machając beżużytecznym, obandażowanym kikutem. Inny człek wpadł w podobną ekstazę po otrzymaniu dwustu dolarów hiszpańskich, tak zwanych kawałków z ośmiu, które należały mu się za utracone oko; drugie wybałuszyło się jak u Cyklopa, gdy odebrał trzosik i entuzjastycznie uściskał ich dłonie.

Słowem, dość satysfakcjonujące popołudnie spędzone w karnawałowej atmosferze. Wieści, jakżeby inaczej, rozeszły się po Port Royal niedługo po tym jak „Pandora” i uszkodzony galeon, „Santa Maria”, zacumowały w porcie. Wszystkie nierządnicę, wszyscy kupcy, wszyscy domokrażcy, wszyscy rzemieślnicy w mieście, zeszli pod tawernę, gdy załoga cierpliwie czekała na wypłatę; kolejka biegła pod niską drewnianą powalą i wychodziła na prażące słońce Queen Street. Nagle, zupełnie z niczego, przed tawerną wyrosło prawdziwe targowisko, które zatamowało uliczkę. Kupcy oferowali pijanym korsarzom balującym w popołudniowym słońcu jedwabie, alkohole, fajczany tytoń, wędzone mięso dzika; wszystko po dwukrotnie albo i trzykrotnie zawyżonych cenach.

Rashim wziął kolejny haust rumu i postawił kufel na zrobionym z beczki stoliku.

– Czy zechcesz pan zawrzeć z nami kolejną umowę, panie Schwarzmann?

– *Natürlich!*

– Szczegóły umowy... pozostaną wyłącznie między nami? – dodał Liam.

Niemiec stanowczo pokiwał głową. Rozejrzał się, zniżył głos.

– Otrzymacie wyłączność na ważą *wunder* broń. Ile jej wam dżeba?

Rashim odwrócił się do przyjaciela.

– Liamie?

Po raz kolejny spojrzął w rejestr.

– Łącznie wykorzystaliśmy czterdzieści dwa. Prawie wszystkie. Ale siedem kul się rozpadło.

– W takim razie zrób nam pan dwakroć tyle! – powiedział Rashim. – Mam pewne sugestie dotyczące udoskonalenia projektu, ale – wzruszył ramionami – teraz jestem na lekkim rauszu. Przedyskutujemy to jutro.

Schwarzmann uśmiechnął się i wykonał kurtuazyjny półukłon.

– Jutro, sir. Wedle życzenia!

Popatrzyli, jak odchodzi, klucząc w tawernianym ścisku spoconych ciał. Nie licząc ostatniej należności do uregulowania – „podatku” dla sir Tomasza Modyforda – wreszcie uporali się z rachunkami przewidzianymi na to popołudnie.

Liam spuścił wzrok na rejestr.

– Jeśli odliczymy koszt artykułów, które trzeba uzupełnić – koniuszek pióra zawisnął nad pergaminem, gdy Liam dokonywał szybkich kalkulacji – to okaże się, że ekspedycja przyniosła nam siedem tysięcy sztuk na czysto.

– Cudownie! – Rashim uśmiechnął się do niego szeroko.

Liam wyjrzał przez małe okienko. Rozstawione na ulicy kramy tworzyły coś w rodzaju targowiska, minifestiwalu. Działko i jego pomocnicy, złączeni w nieregularnym okręgu, tańczyli nierówno w takt melodii wygrywanej przez skrzypce i bodhran. Ich mikry sternik, Cuper, chwiejąc się wpółkatatonicznie, zawisł na ramionach dwóch wypindrzonych pańienek, chichoczących z jego pijackiego mamrotania. Kwami przymierzał kolejne jaskrawe koszule i bluzy podawane przez krawca, który podtrzymywał wielkie lustro dla swojego wielkiego klienta. Liam uśmiechnął się pod nosem. Kwami wyglądał teraz jak majątny człowiek, ktoś ważny. Nie był to już zgarbiony, łajzowaty wielkolud wbijający wzrok w ziemię, lecz wyprostowany, dumny mężczyzna.

– Czy to nie wspaniałe, jak bardzo kilka metrów jedwabiu może odmienić człowieka?

– Że co?

– Rashimie – rzekł Liam, wzdychając. – Jesteś pijany. O ile mnie pamięć nie myli, mieliśmy odłożyć zabawę do...

– Och, błagam... kim ty jesteś? Moją matką?

– Mówię tylko... że obaj zgodziliśmy się trzymać pion.

W odpowiedzi Rashim machnął dłonią, jakby opędzał się od pierdnięcia.

– Pff... uważam, że zasłużyliśmy na moment odprężenia, może nie? – Pochylił się do przodu i poklepał Liama po ramieniu. – Dajże spokój, panie O’Connor... pomyślałem, że nam obu przydałaby się odrobina dobrej zabawy! – Skupił na nim uważne spojrzenie brązowych oczu. – Czy to nie cholernie cudowne? Ty i ja, współnicy w zbrodni. – Pogłaskał się po brodzie. – Wspólnicy w czasie?

Liam przyjrzał mu się z bliska.

– Rashimie? Nie! Czy ty używasz konturówki do oczu?

– Taak. – Wzruszył ramionami. – A czemu by nie? Tego używają gentlemani na urlopie.

– Panowie?

Obaj podnieśli wzrok i ujrzeli Starego Toma. Obok wilka morskiego stał kapitan gwardii Modyforda, tak samo ponury jak ostatnio, gdy go widzieli.

Postąpił krok do przodu.

– Szanowni panowie – jakimś sposobem wypowiedział te słowa takim tonem, że zabrzmiały jak nieudolnie skrywana obelga – Sir Tomasz zaprasza pana, kapitanie Anwar, na kolację, która odbędzie się dziś wieczorem w jego rezydencji na plantacji.

Rashim w zamyśleniu wydał wargi, potem się uśmiechnął.

– Cudownie. Czemuż by nie? – Wskazał głową Liama. – Zakładam, że mój najlepszy przyjaciel też jest zaproszony?

Oficer z zażenowaniem potrząsnął głową, słysząc bełkot Rashima. Odwrócił się do Liama i posłał mu tylko odrobinę mniej pogardliwe spojrzenie.

– Oczywiście... nierozłączna z was para, nieprawdaż? – Westchnął. – Tak,

obaj otrzymaliście zaproszenie. Powóz przybędzie po szóstym uderzeniu dzwonu.

– Wspaniale! Przyjęcie!

– Pod jaki adres powóz ma zajechać... panowie? – Pytanie skierował do Liama, trzeźwiejszego z nich dwóch. – Kazać woźnicy przyjechać tutaj czy pod wasz okręt?

Rashim wzruszył ramionami, cedując na Liama konieczność ustalenia szczegółów. Tymczasem zwlókł się z krzesła, chwycił pusty kufel i klucząc, podszedł do tawernianego szynkwasu.

– W możliwej do przewidzenia przyszłości będziemy tu wynajmować pokoje.

– Doskonale. – Oficer zbierał się już do odejścia, ale w ostatniej chwili się zawahał. Odwrócił się. – Proszę się postarać, aby pański przyjaciel wytrzeźwiał przed przybyciem do domu gubernatora.

Liam pokiwał głową.

– Och, proszę być o to spokojnym.

– Jeśli tylko dysponuje pan strojem bardziej... stosownym na wieczór w rezydencji gubernatora, sugeruję, żeby go pan wdział.

Liam spuścił wzrok na przepoconą bawełnianą koszulę. I choć energicznie wyszorował ją w wiadrze wody morskiej, wciąż widniało na niej kilka plam krwi w kolorze ciemnej ochry.

– Tak... oczywiście, tak.

Rozdział 45

Port Royal, Jamajka

rok 1667

– Ble... Ble, Boże – jęknął Rashim, chowając twarz w dłoniach. – Zaraz się porzygam.

– Nie, nie zwymiotujesz. Poprawi ci się.

– Nie... poważnie, ja chyba... – Rashim niespodziewanie się poderwał, sięgnął do drzwiczek powozu, mocno pociągnął za klamkę i wystawił głowę. Liam przysłuchiwał się, jak wymiotuje – żalosne odgłosy przypominały kwiczenie upolowanego dzika. Uznał, że prędko to się nie skończy i stuknął w dach powozu, dając woźnicy znak, aby wstrzymał konie.

Kołysanie i podskakiwanie na drodze ustało, a Rashim wypadł na spieczony słońcem grunt i skończył opróżniać zawartość żołądka w gęstwinie wysuszonych trzcin na poboczu. Wyprostował się, przetarł brodę wierzchem dłoni i wspiał się do kolasy.

– Lepiej?

– Lepiej... chociaż głowa mi pęka, jakby wewnątrz wirował grawitacyjny separator. Odgarnął z czoła długie kosmyki przepoconych włosów i rozmasował skronie. – Co za toksyczne środki dodają tutaj do alkoholu?

– Chyba wolałbyś nie wiedzieć. Ale widzę, że dobrze ci służą.

Podróż zajęła im półtorej godziny, wiodła pod górę przez gęsty młodnik strzelistych drzew mahoniowych i cedrów, pod którymi rosły gęste trzciny. Przejechali przez kilka plantacji kakaowych. Słońce zdążyło już zająć, niebo zamieniło się w oceaniczny błękit doprawiany od zachodu krztyną

brzoskwiniowego zmierzchu, ale tuziny niewolników wciąż zbierały ziarna kakaowców. Liam widział ich: postacie w ciemnych szatach poruszały się wśród rzędów niskich, krzewiastych drzewek, zrywając żółte strączki kakao z wiszących tuż nad ziemią gałęzi i przerzucając je przez ramiona do dużych trzciniowych koszy dźwiganych na plecach.

Powóz zajechał na plantację sir Tomasza Modyforda przed ósmą trzydzieści wieczorem, kręta droga gruntowa przeszła w długą, prostą, szeroką aleję, która wiodła przez sady drzew mango i pomarańczowych. Na końcu zamieniała się w żwirowy podjazd otaczający małą rabatkę pełną wypielęgnowanych róż, rosnących przed imponującym, jednopiętrowym budynkiem. Na placu stały inne powozy, odwiązane konie tłoczyły się zad przy zadzie pod osłoniętą werandą, z głowami zanurzonymi w długich korytach z wodą.

Drzwiczki powozu otworzył im czarny niewolnik w białej, upudrowanej peruce, bryczesach, białych pończochach i krótkiej kamizelce.

– Dziękuję – powiedział Liam. Niewolnik wzdrygnął się i poraził go zaszokowanym spojrzeniem. Trwało to chwilę. Zreflektowawszy się, wbił wzrok z powrotem w ziemię.

Jeden ze sług Modyforda powitał ich rażnym ukłonem i przez portyk rezydencji wprowadził do holu wyłożonego zimną kamienną posadzką. Odszedł, oznajmiwszy, że musi powiadomić sir Tomasza o przyjeździe gości. Kiedy czekali, Liam rozkoszował się muskającym twarz, ożywczym strumieniem powietrza spływającego z góry; podniósł wzrok na wielki wiatrak z trzciny, wirujący jak rumpel statku. W ruch wprawiał go siedzący po turecku na podłodze niewolnik, który pociągał za długie liny.

Słyszeli podniesione głosy rozmowy, wesołe odgłosy już toczącego się przyjęcia. Rashim nerwowo spojrzał na Liama.

– Muszę przyznać, że czuję się tu odrobinę nie na miejscu.

Liam skinął głową. Czuł dokładnie to samo, jakby byli hochsztaplerami, oszustami, którzy zaraz zostaną zdemaskowani przez kpiącą publiczność.

– Hmm... zatem, Liamie, podpowiesz mi, jak się zachowywać na siedemnastowiecznym koktajlu?

– Jasne, naprawdę myślisz, że kiedykolwiek uczestniczyłem w takim przyjęciu?

Rashim obdarzył go ufnym spojrzeniem.

– Przecież jesteś doświadczonym podróżnikiem w czasie, czyż nie?

– Nie aż tak doświadczonym. – Wzruszył ramionami. – Chyba musimy grać swoją rolę, udawać awanturnicznych korsarzy. Ale być mili. – Podarował Rashimowi łagodnego kuksańca. – I nie spić się za mocno. – Rashim był błady jak ściana. – Nie będziesz znowu rzygał, co?

Potrząsnął głową i zdusił wymiotne beknięcie.

– Nie chcę nawet patrzeć na kolejnego drinka – mruknął nieszczęśliwie. – No, chyba że byłby to dehydrogenazowy koktajl.

Służący powrócił i skinięciem głowy zachęcił, aby weszli za nim do głównej sali.

– Jego ekscelencja przyjmie was teraz.

Podążyli za nim i przez otwarte na rozcież podwójne mahoniowe drzwi weszli do wielkiego pokoju o długich ścianach pokrytych miętowno-zielonym tynkiem, usianych olejnymi obrazami i portretami – jak podejrzewał Liam – członków rodu Modyford. W żyrandolach i na biegnących wzdłuż ścian kredensach błyszczwały świece, tuziny łożówek, które okrywały pomieszczenie gęstą, bursztynową poświatą. Wysokie rolety okienne rozsunięto, aby wpuścić do dusznego salonu przynajmniej lekki strumień powietrza i odsłonić widok na łagodne zbocza plantacji sir Tomasza.

Pokój wypełniali goście: damy w eleganckich toaletach, ubrane w ciasno sznurowane gorsety i zwiewne, przyozdobione brokatem satynowe suknie. Liam podejrzewał, że gdyby przy jego boku stała Maddy, oszalałaby na punkcie tego przepychu. Ale więcej niż dam było tu gentlemanów, z których większość nosiła bujne, sięgające ramion peruki. Od czasu do czasu Liam widział, jak dyskretnie wpełzają pod nie palce drapiące czaszki. Stłumił nerwowy chichot: gdyby w pokoju zawiął silniejszy wiatr, ujrzałby kręgielnię ogolonych głów – konwent mnichów z Shaolin.

Sir Tomasz Modyford zarzucił konwersację z kilkoma grubymi jak beki,

bajecznie bogatymi plantatorami i ruszył w ich kierunku.

– Ach! Oto i on we własnej osobie, bohater Port Royal, kapitan Anwar! – Wyciągnął dłoń, którą w wiotki uścisk ujął Rashim.

– Tak, witam... a to mój współkapitan

Modyford skinął głową, odrobinę lekceważąco.

– Ach tak, pańskie nazwisko to O'Connor, zgadza się?

Liam skinął głową.

– Tak jest, sir, dokładnie tak.

Modyford przeniósł zainteresowanie na Rashima.

– Słyszałem, że wasza korsarska ekspedycja zakończyła się niebywałym sukcesem. – Odrobinę zniżył głos. – Powiadają, żeście przywieźli imponujący łup.

Zamiast odpowiedzieć, Rashim skinął jedynie głową.

– Dobrze, później przedyskutujemy kwestię należnego podatku... lecz teraz, opowiedzcie mi o wyprawie.

– Mieliliśmy niebywałe szczęście, Wasza Ekscelencjo.

Modyford machnął dłonią, opędzając się od formalnej tytulatury jak od intruza.

– Sir Tomasz wystarczy, dobry człowieku. Po kilku pucharach z osobami, które uznaję za wesołych towarzyszy, chętnie pozbywam się też zwrotu „sir”.

– Skinął na Rashima, aby mówił dalej.

– Wzięliśmy z zaskoczenia konwój statków przewożących towary i złoto z Kuby. Najwidoczniej Hiszpanie dowiedzieli się o przygotowywanej wyprawie Henry'ego Morgana.

– Kapitan Morgan to arogancki głupiec. Ma wygórowane mniemanie o sobie. Jest też zbyt ambitny i za wolno myśli. Słyszałem, że zabrał na Kubę flotę dziesięciu statków i pięciuset ludzi. I co zdobyli? Ochłapy jakieś. Jego inwestorzy fortuny potopili w tej żalostnej wyprawie! – Ale ty, panie – uśmiechnął się z podziwem – ty, z jednym tylko statkiem i małą załogą, jak imaginuję, nieustraszonych i krwiożerczych diabłów, stoczyłeś batalię...

z iloma to? Tuzinem hiszpańskich galeonów i zmusiłeś je wszystkie do otworzenia ładowni? – Modyford poklepał Rashima po ramieniu i zaśmiał się. – Prawdziwy z ciebie cudotwórca, sir!

Liam nie wiedział, czy nie powinien się wtrącić i poprawić gubernatora; powiedzieć, że napotkali jedynie sześć statków, z czego tylko jeden okręt wojenny, ale uprzedził go Rashim.

– Stoczyliśmy zażartą potyczkę, sir Tomaszu – odparł, wzruszając ramionami z fałszywą skromnością – ale, musisz, panie, wiedzieć, że mieliśmy wiatr za plecami i przewagę w postaci elementu zaskoczenia.

– Daj pokój, Anwar, obaj wiemy, że zwycięstwo wymagało czegoś więcej. Hmm? – Jowialny sposób bycia Modyforda odmienił się nagle. Podejrzliwie zmrużył wzrok i bacznie przyjrzał się Rashimowi, jakby samym spojrzeniem potrafił wyłuskać wszystkie nieścisłości historii. – Och, najmocniej przepraszam, kapitanie Anwar – poprawił się sucho. – Jestem pewien, że nie jest pan ze mną całkiem szczery, myślę się? Czy jakaś mała drobnostka nie przechyliła szali zwycięstwa na waszą stronę?

Rashim otworzył usta i zamknął je bezradnie. Zerknął na Liama, szukając podpowiedzi, czegoś użytecznego do powiedzenia. Ale Liam sam był w kropce. Obaj zgodzili się, że nowatorski projekt kuli armatniej zachowują w tajemnicy.

– Uch... ja... nieszczery? Sir Tomaszu? Errr... o czym pan...

Twarz Modyforda nagle pociemniała. Zaśmiał się i zdzielił Rashima po ramieniu.

– O odwadze, chłopie! Mówię o dzikiej odwadze i duchu walki, sir! Imaginuję, żeście wyfrunęli na tych Hiszpanów z rozwiniętymi żaglami jak nietoperz z piekielnych otchłani, jak sam diabeł. Wystraszyliście tę ich zgraję!

– Ja... – Liam niemal niezauważalnie skinął Rashimowi głową, aby pozwolił Modyfordowi w to wierzyć. – Cóż, wydaje mi się, że dość szybko dogoniliśmy ten konwój. Jak mówiłem, mieliśmy po naszej stronie element zaskoczenia.

– Odbieracie sobie połowę zasług, sir! – ryknął i potrząsnął głową. – Dobry Boże! Większość tak zwanych „kapitanów” płaczących się po tej wyspie to zwykle zbiry i łobuzy wybrane przez swoich ludzi na dowódców. Tałatajstwo. Pijacy i złodzieje, którzy mają podstawową albo i żadną wiedzę na temat strategii morskiej, nawigacji, żeglarstwa. Morgan, dajmy na to. Tylko pitolić potrafi. Pętał kosztował mnie... grhm, niech wam wystarczy, że głupiec kosztował mnie małą fortunkę. Ale pan, panie Anwar, pan wydaje się być człowiekiem, którego powinienem wesprzeć. Człowiekiem, który pomoże mi trzymać Hiszpanów na dystans. Który sprawi, że będą opływali Port Royal szerokim łukiem. – Modyford wzruszył ramionami. – Sam król Karol zdecydowanie nie pochwała pozyskiwania ludzi pańskiego pokroju. To kwestia reputacji, rozumiesz, panie. Wszystko rozbija się o reputację. Ale dopóki wy, piraci... pardon... korsarze wzbudzacie w Hiszpanach paraliżujący strach, nie będą mieli *cojones*, aby nas najechać. Nie zrobią tego, dopóki tacy jak wy gotowi są stawić się na każde nasze wezwanie i bronić Port Royal.

– Uch... tak, sir Tomaszu.

– Nieważne. Na Boga, dość już tej polityki. Zabawcie się, panowie! To przyjęcie urządziłem na waszą cześć! Jesteście bohaterami Port Royal! Niepokonanymi herosami! – Z donośnym plaśnięciem klasnął w dłonie i ryknął ponad głowami gości: – Niech ktoś przyniesie temu spragnionemu gentlemanowi coś do zwilżenia gardła! – Ponownie wbił wzrok w Rashima. – Twarz masz bladą i ziemistą jak słodkowodny piskorz, panie. Trunek, sir, tego panu teraz trzeba!

Rashim uśmiechnął się mdło.

– Cudownie. Tak. Trunek. Dziękuję.

Rozdział 46

Nowy Jork

rok 2025

Kiedy Sal poczuła, jak jej stopy łagodnie stykają się z ziemią, błyskawicznie otworzyła oczy.

Znowu Times Square. Całe jej życie zdawało się obracać wokół tego miejskiego krajobrazu. To charakterystyczne skrzyżowanie widziała w tak wielu przebraniach: napromieniowanych ruin, monumentalnych budowli postawionych w hołdzie faszystowskiemu dyktatorowi, wielkiej dżungli zaludnionej przez gadzie hominidy, sennego nadmorskiego francuskiego miasteczka, gęstego cedrowego lasu zamieszkałego przez rdzennych Amerykanów.

To Times Square wyglądało znajomo. Choć nie tak znajomo jak skrzyżowanie, które zdążyła tak dobrze poznać w dwa tysiące pierwszym roku. Właśnie tak je sobie wyobrażała – nie – tak je zapamiętała. To było wspomnienie. To tutaj ojciec zabrał ją na wycieczkę służbową w dwa tysiące dwudziestym piątym roku. I właśnie tak je zapamiętała. Jako miasto wciąż nieświadome swojej powolnej agonii.

Tam jest kino. Tam wisi wyświetlacz z paskiem informacyjnym. Tam stoi kasa biletowa przy Times Square, tam budynek Paramount. No i ulice są dość zatłoczone – może nie tak gwarne jak w dwa tysiące pierwszym, ale wciąż ruchliwe. Zauważyła autobusy Greyhounda, nowe hybrydowe żółte taksówki, ciężarówki i autobusy, a także elektrorowery. Setki. Tysiące. Przypomniała sobie, że pełno ich było na każdej ulicy w każdym mieście. A już na pewno w Mumbaju.

Podniosła wzrok i zauważyła, że z nachylających się ze wszystkich stron drapaczy chmur wystają setki turbin wiatrowych: tradycyjnych wiatraczków i nowszych modeli w kształcie trzepaczki do jajek, a także gęsty las lśniących paneli słonecznych.

„Tak, oczywiście”. Światem zdążył już wstrząsnąć pierwszy z największych kryzysów naftowych. Sal przypomniała sobie historię. Olbrzymie zasoby ropy naftowej w Arabii Saudyjskiej nagle, w dwudziestym trzecim roku, wyschły. Największy światowy wydobywca ropy naftowej, bez ostrzeżenia, wycofał się z międzynarodowej sieci dostaw z zamiarem zachowania resztek surowca na własny użytek. W przeciągu kilku tygodni od tamtego dnia benzyna, olej napędowy – paliwo, jak mawiali Brytyjczycy – zamieniło się w towar ściśle reglamentowany. Pół litra kosztowało tyle, ile płacono się za najdroższy napój alkoholowy. A samochody zaparkowane przed domami wszystkich obywateli niemal z dnia na dzień zamieniły się w bezwartościowe, półtonowe wraki czekające na utylizację. Sal rozejrzała się wokół. Wszystko wyglądało tak znajomo.

Po zmianie świateł ruszyła chmara dzwoniących łańcuchami elektrorowerów, które walczyły o wolny skrawek jezdni. Śmignęły obok niej niczym chmura insektów, każdy z małym elektrycznym silniczkiem, bzyczącym jak pszczoła miodna w zamkniętym słoiczku.

– Na pewno już tu kiedyś byłam – wyszeptała.

„Nie, nie ty” – przypomniał jej nienawistny, dokuczliwy głosik w głowie. – Prawdziwa Saleena Vikram. Ale nie ty”.

Szybko zignorowała złośliwy wewnętrzny głos, bo miała do załatwienia dużo ważniejsze sprawy. Musiała coś zrobić. Musiała udać się w jedno miejsce. Spojrzała na zegarek. Już po 11:30 rano. A to oznaczało, że do Central Parku zostało jej jeszcze pół godziny drogi.

Właśnie tam zabrał ją ojciec, papaji. Żeby zobaczyła gigantyczny sterowiec, który zbiera z parku kolejną porcję szmelcu.

– Przylatują tu codziennie po południu, Saleeno. Słyszałem, że to wspaniały widok. Pokażę ci. – powiedział wtedy jej ojciec.

Prześlizgnęła się na drugą stronę jezdni, klucząc pomiędzy

pobrzękującymi, bzyczącymi elektrorowerami, i ruszyła na północ, wzdłuż Siódmej Alei, do Central Parku. Czuła gęsią skórę na rękach, mrowienie ekscytacji biegnące od karku do kręgosłupa.

„Mój ojciec... i ja. Gdzieś tam jesteśmy. – Spojrzała w górę Siódmej Alei, na tłok przechodniów. – Gdzieś przede mną”.

Rozdział 47

Port Royal, Jamajka

rok 1667

– Drugi statek?

– Tak – odparł Rashim. – Sir Tomasz oznajmił, że da nam taki, jeśli zechcemy. A ty byłbyś jego kapitanem, Liamie. Jak ci się podoba melodia tej frazy: kapitan O’Connor?

– Ale czy nie jest pan już kapitanem O’Connorem? – zatrajkotał Will.

– Współkapitanem, Will – poprawił go Liam, po czym spojrzał na Rashima. – A w rzeczywistości pierwszym oficerem.

– Nonsens – wykrzyknął Rashim. – Ty i ja, obaj jesteśmy partnerami, Liamie. Równymi, równorzędnymi towarzyszami zbrodni.

– Niektórzy zdają się równiejsi niż inni – mruknął Liam, po czym podszedł do stolika, przy którym na taborecie siedział Will. Chłopak ćwiczył pisanie alfabetu: maczał pióro w kałamarzu i zapisywał rozwinięty zwój pergaminu. Liam kiwał głową, patrząc, jak chłopiec kopiuje litery alfabetu. – Dobrze, bardzo dobrze, chłopcze. Dużo lepiej. A teraz... jeszcze raz.

Will bazgrał i skrobał, a Liam nieobecny wzrokiem wyglądał przez małe okienko tawerny King’s Head na Queen Street, pełną handlarzy i kupców.

– Po co nam właściwie drugi statek? Ostatnim razem świetnie poradziliśmy sobie z jednym.

– Gdybyśmy mieli drugi statek, przechwycilibyśmy cały ten konwój i nie pozwolili wymknąć się dwóm karakom.

Rashim powrócił z pościgu za karakami pod zdobyty galeon sześć godzin

później, o zmierzchu. Był wyraźnie oszołomiony ilością złota, którą zdołali splądrować, ale zgrzytał zębami, bo mogli zdobyć dużo więcej. Chociaż wszystkie jednostki wroga stanęły w dryf – i cierpliwie czekały na rabunek – Rashimowi i jego ludziom tak dużo czasu zajęło dotarcie do nich, że dwóm statkom znudziło się czekanie i wykradły się w przygasającym świetle dnia.

– Gdybyśmy mieli dwa statki, moglibyśmy niczym psy pasterskie zapędzić je wszystkie z powrotem do Port Royal.

– Dwa statki, Rashimie, oznaczają konieczność przyjęcia na pokład nowych członków załogi, pozyskania dodatkowych zapasów, uporania się ze stertą papierkowej roboty.

– No więc...

– No więc to oznacza więcej roboty... głównie dla mnie. Poza tym – stawiając stopy na trzeszczącej drewnianej podłodze podszedł do łóżka Rashima – rzecz nie w tym, żebyśmy obaj zbudowali tu pirackie imperium. Rzecz w tym, żeby nazwa „Pandora” dostała się na karty podręczników historii albo na witrynę Wikipedii!

Rashim znacząco przeniósł wzrok na młodego Willa. Chłopiec koncentrował się na kaligrafowaniu, zresztą nawet gdyby przypadkiem usłyszał coś niewłaściwego albo celowo przysłuchiwał się rozmowie, kłótnia nie miałaby dla niego większego sensu. Ale Rashim mimo wszystko zniżył głos.

– Strona Wikipedii? Liamie, twoje przyjaciółki zostały w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Jeśli wywołamy falę czasu, która zmieni treść Wikipedii w przyszłości, one nigdy się o tym nie dowiedzą.

– No dobra, podałem zły przykład. Chodziło mi bardziej o... nie wiem, artykuł w gazecie albo sławną książkę, jak *Wyspa Skarbów*, w której pojawiłaby się nazwa „Pandora”.

– Liamie, czy ci się to podoba czy nie, na dobre tu utknęliśmy. Myślałem o tym. Istnieje możliwość... ewentualność... nikła ewentualność, że Maddy i Sal dowiedzą się o naszych działaniach tutaj. W dwa tysiące pierwszym, z Internetem, miałyby na to większe szanse. Ale w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku? Mają ze sobą wyłącznie podstawową

bazę danych. Ponieważ nie istnieje żadne pole ochrony translokacyjnej, baza danych rzeczywiście jest podatna na zmiany wywołane falą czasu... przy czym modyfikacji uległyby wyłącznie istniejące dane. Nie zostałyby do niej dodane żadne nowe artykuły. A zatem jeśli ich baza danych nie zawiera dużego, obszernego artykułu o korsarstwie na Karaibach w XVII wieku... to tkwimy tu na amen. – Rashim rozwalił się na łożku. – Dlaczego więc nie wykorzystać sytuacji do maksimum? Jeśli tylko zechcemy, zostaniemy bogaczami, Liamie. Właścicielami plantacji, a pewnego dnia samymi gubernatorami! – Podniósł się na łokciu. – Obaj dysponujemy tak uprzywilejowaną wiedzą na temat biegu historii, przyszłych technologii. – Rashim wyszczerzył zęby. – Słuchaj... w wieku kilkunastu lat miałem całą chemię w małym paluszku. Potrafię wyprodukować proch strzelniczy o jeszcze większej sile rażenia i bez żadnego dymu. Pomyśl, jak taka wiedza może odmienić bieg wojen, losy narodów? To będzie następna innowacja, która da naszym statkom przewagę. – Liamie... – Rashim usiadł. – Ja chyba... chyba nie chcę być uratowany. Popatrz! – Wskazał okienka i wpadające przez nie ostre promienie słońca. – Popatrz na to wszystko! W takim świecie mógłbym być szczęśliwy. Obaj, ja i ty, będziemy bajecznie bogatymi, potężnymi możnowładcami. Właścicielami Jamajki. Tylko pomyśl! Mieć cały kraj na własność!

Liam odwrócił się i spojrzał na Willa, który wciąż skrobał po pergaminie. Wsłuchał się w głosy niesione z zatłoczonej, wąskiej ulicy. Wiele z tego, co opowiadał Rashim, rezonowało z jego pragnieniami. Boże, tak! Być królem, królem piratów. Uwolnić się od troski o linie czasu, związki przyczynowo-skutkowe, kontaminacje. Po prostu odejść i wyjść naprzeciw przygodzie.

„Jezuuu, nad czym się tu jeszcze zastanawiać?”

– A dwa statki, Liamie? Zgadnij, co to oznacza.

Odwrócił się.

– Co?

– Teoretycznie to już flota. Ludzie musieliby nazywać mnie admirałem Anwarem. – Rashim zachichotał.

Właśnie wtedy usłyszeli mocne pukanie do drzwi.

– Kto tam? – krzyknął Liam.

– Tom, sir!

– Wejść! – ryknął Rashim.

Zza drzwi wyłoniła się twarz Starego Toma.

– Uch, panowie, najmocniej przepraszam, ale muszą panowie pofatygować się na dół.

Rozdział 48

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Liam i Rashim po wąziutkich schodach zeszli do głównej sali tawerny, gdzie czekał już na nich nadąsany gospodarz.

– Nie pozwolę na to, panowie. Nie pozwolę, żebyście zamienili moją własność w miejsce spotkań dla takiej hołoty!

– O co chodzi?

Właściciel tawerny poprowadził ich w stronę zaplecza, zwykłej szopy z drewna postawionej na tyłach przybytku. To tutaj – albo na zewnątrz – jego stali klienci mogli przyprowadzać swoje „nocne motylki”. – Pociągnął za dębowe drzwi i otworzył je na rozcież. – Powiedzcie im, że to nie przytułek dla Kakaowców.

Liam przyzwyczał wzrok do ciemnej, pozbawionej okien przestrzeni; przez drewniane dachówki i wiązki luźno plecionej trzciny ułożonej na pochyłym dachu wpadały promienie słońca.

– Wpuściłem ich tu, ale oni uparli się, że nie wyjdą, dopóki nie zobaczą się z pańskim przyjacielem. No to pogadaj z nimi panie, a potem niech się stąd wynoszą. – Karczmarz obrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

Na klepisku, cierpliwie czekając, siedziało tuzin albo i więcej niewolników. Ich ciemna skóra lśniła od potu w wilgotnej i cuchnącej szopie. Nosili umorusane, spłowiałe od słońca szmaty, postrzępione i wytarte, obuci byli w prymitywne drewniaki – tylko jeden z nich miał na stopach parę prawdziwych butów. I właśnie on, ich rzecznik, teraz powstał.

– Ty nie być Czarnobrody. Gdzie on?

Liam westchnął.

– Ach tak, chcecie widzieć się z kapitanem Anwarem.

Oczy Negra rozbłysły. Uśmiechnął się i gorliwie skinął głową.

– An-wah! Wielki kapitan An-wah!

Liam odsunął się w bok od drzwi, pozwalając Rashimowi wejść do środka.

Rashim grzecznie skinął głową.

– Dzień dobry.

Niewolnicy, jak jeden mąż, zerwali się na równe nogi i wyrwali do przodu, zgodnie dysząc. Ich rzecznik odwrócił się do nich i warknął coś ze złością w gardłowym języku. Wyciągnął ręce, aby powstrzymać ich napór na Rashima, uciszył, po czym wreszcie odwrócił się do białych.

– Słyszeliśmy, żeś wziął niewolnika na statek. Teraz on być wolny. Pracować dla cię?

– Kwami – odgadł Liam. – Mówi o Kwamim.

– Wielu to wie. Dobry z pan człek, statku kapitan An-wah. Dobhry człek.

Rashim pogłaskał lekki zarost na brodzie.

– Uch... cóż, co do tego nie jestem pewien, ale hmm, tak, na naszym pokładzie rzeczywiście pracuje czarny gentleman, którego wpisaliśmy na listę płac.

Rzecznik zmrużył oczy, analizując usłyszane zdanie.

– Negr – mruknął Liam. – „Czarnymi” nazywają ich właściciele plantacji.

– Co? – Rashim popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem. – Negr to kulturalny termin? – wyszeptał.

– Tak jest. W tych czasach.

– My pracować ciężko, kapitanie statku. My pracować dla ciebie bardzo ciężko. Też weźmiesz nas na pokład?

Rashim przez sekundę w zamyśleniu przygryzał wargę, po czym mocno zacisnął usta.

– Szczerze mówiąc, szukamy marynarzy. Ludzi morza. Rozumiecie?

Ludzi, którzy naprawdę wiedzą, jak pracować na statku. A zatem...

Mężczyzna energicznie skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

– Praca! Tak! Statek!

Liam zastanawiał się, ile tak naprawdę rozumieją.

– Dlatego naprawdę mi przykro... rozumiecie? Nie możemy zabrać was na...

– My pracować. My pracownicy. Ludzie morza! – Rzecznik chwycił dłoń Rashima, położył ją na swoim ramieniu i napiął mięśnie. – Widzi? – Zachęcił Rashima, aby ścisnął jego biceps niczym piekarz sprawdzający świeżo upieczony bochen chleba.

Zrobił to niechętnie, po czym uśmiechnął się do mężczyzny.

– Tak, wspaniale. Piękne mięśnie, ale...

Rzecznik wyszczerzył zęby.

– Dobry pracownik. My wszyscy. Ciężko pracować.

– To Kakaowcy, sir – rzekł Stary Tom. – Zbiegli niewolnicy. Przyniosą nam same kłopoty, sir, mówię najszczerzą prawdę.

– Hmm... – Rashim w zamyśleniu pokiwał głową. – Kłopoty, których powinniśmy unikać.

– Rashimie? – odezwał się Liam. – Słówko na osobności?

Wyszli na ubitą ziemię podwórza na tyłach tawerny, z gruntu, niczym odkopane kości, wyrastały poskręcane korzenie drzew, wszędzie zalegały kruche brązowe liście palmowe i porzucone, potłuczone gliniane dzbanki. Budynek tawerny tłumił odgłosy dochodzące z Queen Street. Nad nimi, na nisko zawieszonych gałęziach drzewa chlebowego, hałaśliwie dokazywała aleksandretta.

– Tom ma słuszość, to zbiegli niewolnicy – rzekł Rashim. – To czyjaś własność, ktoś niebawem zapragnie ich zwrotu.

– Rashimie, ludzie będą gadać. Wszyscy widzieli, jak tu przyszli. Od razu widać, że to niewolnicy. Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim usłyszysz o tym właściciel tej czy innej plantacji, z której zbiegli?

– Nie wiem. Niedużo?

– Niedużo. Zgadza się. A wtedy zostaną tam zabrani i Bóg jeden wie, co stanie się z tymi biedakami.

– Widzisz, to... – Rashim westchnął. – Widzisz, tak już jest, Liamie. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale ty sam rozumiesz to lepiej niż ja – przeszłość to świat pełen ignorancji i niesprawiedliwości. Nie musimy powielać tych schematów, ale to nie znaczy, że musimy naprawiać rzeczywistość.

– Rozumiesz, że oni prawdopodobnie zawisną? Wszyscy ci ludzie? Ktokolwiek jest ich właścicielem, powiesi ich dla przykładu.

Rashim kopnął butem w ziemię.

– Czyli po prostu się ich pozbędziemy, tak? Oddamy ich pierwszemu, który się napatoczy? Kim w takim razie będziemy?

– Co masz na myśli?

– No wiesz... tylko niewinnymi obserwatorami? Czy takimi samymi złoczyńcami jak właściciele niewolników?

– Nie czyni nas to złoczyńcami. Ani ty, ani ja ich nie zniewoliliśmy. – Spojrzał na Liama. – I nie próbuj na siłę tego upraszczać. Niewolnicy... chcesz wiedzieć, kto zniewolił ich pierwszy? Najprawdopodobniej wrogie afrykańskie plemię, które za cenę kilku paciorków odsprzedało ich białym handlarzom niewolników. Ciekawy jestem więc, kto wygrywa w kategorii arcyłotra. Plemienny watażka gotów zniewolić i odsprzedać własnych ludzi czy ja, człowiek odmawiający zajęcia moralnego stanowiska?

Liam pochylił się i usiadł na wyblakłej od słońca porzuconej drewnianej beczulce.

– Nie próbuję nikogo na siłę uszczęśliwić, Rashimie. Nie jestem niczym bohaterem. Nawet nie jestem pewien, czym jestem. Ale... – przerwał, szukając w głowie odpowiedzi, jak skończyć tę myśl. – Ale rozumiem chyba, jakie to uczucie być produktem. Okej, nie niewolnikiem... ale, tak, produktem.

– Nie jesteś produktem, Liamie. Jesteś osobą, człowiekiem. Moim

przyjacielem.

– Człowiekiem? Bo ja, Maddy i Sal, nie wiem, w jakiś sposób przerwaliśmy nasz kod programowania, staliśmy się czymś więcej niż narzędziami, którymi pierwotnie mieliśmy być?

Rashim pokiwał głową.

– Właśnie.

– Uciekliśmy, Rashimie. Uciekliśmy od naszego pana. Tylko dzięki temu staliśmy się wolni.

– Ach, a więc taki jest twój punkt widzenia, tak? Tak chcesz mnie podejść? Zrównując siebie i dziewczyny z tymi niewolnikami? Twierdząc, że to podobna sytuacja? – Potrząsnął głową. – Pfff, to szantaż moralny.

Liam spuścił wzrok, patrzył na piasek pomiędzy butami.

– Kwami to dobry pracownik. Pozostali niewolnicy okażą się równie dobrzy, będą pracować równie ciężko. Poza tym Hiszpanie boją się wyzwoleńców. Sam widziałeś. Będą dobrymi członkami załogi.

– Nie, nie można ich... rzecz w tym, że nie mam prawa ot tak ich zatrudniać!

– Miałbyś, gdybyśmy ich wykupili.

Rashim zmarszczył brwi.

– Proszę, teraz każesz mi wyrzucać wszystkie zarobione pieniądze na działalność dobroczynną?

– Dobrze, potraktujmy to zatem jako inwestycję. Uczynimy ich naszymi dłużnikami. Odplacą nam swoim udziałem w łupie. Po ostatniej wyprawie Kwami zdołałby spłacić kwotę wykupu; nawet jeśli nie całą, to dużą jej część.

Rashim wybuchnął śmiechem.

– Chcesz zamienić nasz statek w pływający bank? Towarzystwo bankowe dla niewolników, którzy zdecydowaliby się wykupić wolność?

Liam nie myślał aż tak perspektywicznie, ale z grubsza do tego to się sprowadzało.

– Tak. Towarzystwo Bankowe dla Niewolnych „Pandora”. – Wzruszył ramionami. – To dopiero slogan, który przyciągnie uwagę Maddy.

– Jesteś idiotą.

Rozdział 49

Londyn
rok 1889

Maddy powoli zamknęła pamiętnik i podniosła głowę. Bob i Beki wyczekująco na nią patrzyli.

– Sal nas opuściła... – odezwała się wreszcie.

– Czy Saleena nie jest już częścią drużyny? – spytała Beki.

– Nie. – Maddy rzuciła pamiętnik z powrotem na łóżko. – Nic już nie zostało z drużyny.

– Gdzie odeszła Sal? – spytał Bob.

– Nie powiedziała dokładnie, ale nie sposób się nie domyślić. – Przeszła przez loch i usiadła naprzeciwko monitora komputerowego. – Komputerze-Bob?

> **Słucham, Maddy.**

– Wysłałeś Sal z powrotem do Mumbaju, co?

> **Zaprzeczam. Podała inną sygnaturę czasową: Nowy Jork, rok 2025.**

– Ha? – Tego się nie spodziewała. W swoim pożegnalnym liście – a był to wzruszający list, nad którym, jak podejrzewała Maddy, musiała myśleć przez długi czas – Sal napisała, że chce powrócić do dawnego życia, ponownie zobaczyć rodziców. Maddy nie obwiniała jej za te pragnienia. Przecież sama zrobiła coś podobnego w Bostonie. Była jednak prawie przekonana, że wyprawa zakończy się łzami bezradności. „Dom” Maddy okazał się należeć do kogoś innego.

Nie znalazła ani śladu swoich rodziców. Rodziców, którzy

prawdopodobnie nigdy naprawdę nie istnieli, a nawet jeśli, to blaknące wspomnienie o nich – o Jane i Robinie Carter: kierownikach średniego szczebla w firmie programistycznej, rozsądnych, miłych, wykształconych ludziach z klasy średniej – dotyczyło rodziców innej osoby. Pożyczone, blaknące wspomnienie.

– Nowy Jork?

> Tak, Maddy. Oto podana przez nią sygnatura czasowa: Times Square, Nowy Jork, 11:30 rano, 7 kwietnia 2025 roku.

– Dlaczego akurat to miejsce i ten czas?

> Nie posiadam takich informacji, Maddy.

Wtedy sobie przypomniała. Sal opowiadała jej raz, gdy jadły smaczne hot dogi w słonecznym Central Parku, że kiedyś zabrał ją tam ojciec. Maddy zapamiętała rok... dwa tysiące dwudziesty piąty, bo wydało jej się dziwne, że Nowy Jork tak szybko zmieni się nie do poznania. Przyjaciółka opowiadała o wyrosłych w parku górach żelastwa, o rozstawianych wokół Manhattanu gigantycznych groblach, które miały powstrzymać wzbierający Atlantyk. O ulicach bez samochodów.

„Nowy Jork bez samochodów? Jaja sobie robisz”, przypomniała sobie swoje własne słowa.

Mówiła, że było to w dwa tysiące dwudziestym piątym roku.

– Rozumiem – krzyknęła Maddy. – Wybrała się do Nowego Jorku, aby odnaleźć ojca. Odnaleźć siebie.

– To nielogiczne – rzekła Beki.

– Nie... chyba nie. Ale wiem, dlaczego uznała, że warto zaryzykować. – Odwróciła się do jednostek pomocniczych, które stały obok jak podpórki na książki. – Przez chwilę myślałam to samo, że wszystko, co pamiętam z poprzedniego życia, przejęłam od kogoś obcego. Pełen pakiet wspomnień innej osoby.

Myśl ta, nie wiedzieć czemu, była dziwnie krzepiąca. Trudno, niechaj będą to pożyczone wspomnienia. Przecież opowiadają pełną, spójną historię życia – nawet jeśli tragicznie przerwał je wypadek lub choroba – którą można dla siebie zatrzymać.

Ale Maddy była teraz niemal pewna, że wszystkie rzeczy, które pamiętała, to pospiesznie pozlepiany przez kogoś kolaż elementów i fragmencików. Wspomnienie z pracy: fotografia zagraconego biurka jakiegoś projektanta gier. Jedno lub dwa wspomnienia z dzieciństwa. Żaden problem... nakręcone domową kamerą filmiki z pojedynkiem na pistolety wodne w gorące, letnie popołudnie. Albo obraz dziecka zdmuchującego świeczki z ciasta urodzinowego. Jezusie, takie nagrania można sobie ściągnąć z YouTube'a albo setek innych stron z archiwum plików wideo.

Maddy była prawie przekonana, że nigdy nie istniała „prawdziwa” Maddy Carter. Jej wspomnienia przypominały pulpę fragmencików, dowodów sądowych zebranych ze sceny zbrodni: spakowanych, otagowanych, wgranych do mózgu. Do głowy wtłoczono jej wystarczająco dużo elementów, aby podświadomość połączyła kropki i utworzyła narrację z życia, które kiedyś przeżyła. Wystarczająco dużo wspomnień zdolnych przekonać ją, że kiedyś faktycznie miała życie.

– Musi to zrobić... rozumiem – powiedziała Maddy. – Ale czekają ją same łzy.

– Wyjaśnij proszę – rzekła Beki.

– Nie odnajdzie ojca w Nowym Jorku. Nie odnajdzie siebie. – Maddy wzruszyła ramionami. – Odnajdzie co najwyżej jakiegoś turystę nagrywającego film, który pewnego dnia pojawi się w jej głowie. Film, który uważa za prawdziwe wspomnienie.

„To ją załamie”.

Maddy zapragnęła skorzystać z tej samej sygnatury czasowej i wyruszyć po przyjaciółkę, przekonać, żeby dała sobie spokój. Zrozumiała jednak, że podążywszy tak daleko, Sal ochno nie wróci do domu. Musiałaby chyba wytargać ją za ucho, wierzgającą i krzyczącą. A później co? Sal spróbowałaby szczęścia po raz drugi, gdyby tylko Maddy odwróciła wzrok.

„Sama musi się przekonać”.

A później...? Maddy nie miała pewności. Ekran logowania wskazywał, że komputer-Bob skonfigurował okna powrotne dla Sal. Nie było natomiast pewne, czy poprosiła o to sama, czy też Bob przeprowadził rutynowy

protokół translokacyjny i sam zaprogramował portal powrotny. Jeśli wróci, to wróci.

„A jeżeli nie?”

W takim razie, zgadywała Maddy, postanowiła pójść za przykładem Liama. Ale dlaczego, do diabła, ze wszystkich dostępnych wybrała akurat ten czas? Ten, czyli dwa tysiące dwudziesty piąty rok. W przeciągu dziesięciu lat recesja wywołana krachem naftowym da ludziom porządnie w kość. Konflikty, które w ostatecznym rozrachunku doprowadziły do wojen naftowych na Bliskim Wschodzie, już się tliły. Ale to nie wszystko, nadchodziła epoka kryzysów ekologicznych i jej zwiastuny: wzrost poziomu mórz, pierwsze toksyczne algi, deficyty żywności... z roku na rok pogarszały się warunki życia ziemskiej populacji.

„Wstecz... taki kierunek należy obrać, to oczywiste. Wstecz, dziewczyno. Nie naprzód”.

Rozdział 50

Port Royal, Jamajka rok 1667

– Na pokład którego statku mam wwieźć ten prowiant, panie? – spytał robotnik.

Liam wyciągnął szyję, żeby zerknąć na piętrzący się w wózku ręcznym ładunek: worki gruboziarnistego owsa. „Pandora” była już po brzegi wyładowana zapasem suchych produktów.

– Ten idzie tam. – Pokazał wąską, niskopokładową brygantynę, która cumowała tuż obok.

Mężczyzna zmrużył oczy, próbując odczytać nazwę łodzi, świeżo wymalowaną na burcie białą farbą.

– „Maddy Carter”? – Zmarszczył nos. – Dziwna nazwa jak na statek.

– Doskonała nazwa – odparł Liam mimochodem, przebiegając wzrokiem listę zapasów i odhaczając poszczególne artykuły. Odprowadził wzrokiem robotnika, który wraz ze swoim pomocnikiem i ciągnącym trzeszczący wózek mułem odeszli kilkanaście metrów wzdłuż nabrzeża i dotarli do trapu załadowczego. Połączona z niskim pokładem słupa długa na kilka metrów kładka chwiała się nad wodą. Niedługo później Stary Tom ustawił w rzędzie kilku członków nowej załogi – marynarze zaczęli energicznie podawać sobie z rąk do rąk kolejne worki owsa; towary wędrowały wzdłuż drewnianego trapu, ponad relingiem, i lądowały prosto na pokładzie.

Liam przysłuchiwał się pieśni – melodyjnej przyśpiewce – śpiewanej przez czarnoskórych mężczyzn, balladzie z odległej, zapomnianej niemal ojczyzny. Tom potrząsał głową i mruczał szyderczo, ale jednocześnie pomagał ładować

worki.

Właśnie wtedy uwagę Liama przykuł coraz bliższy stukot kół wozu i kopyt. Odwrócił się. U wylotu Queen Street pojawił się powóz, skręcił w lewo i podjechał po wyboistym nabrzeżu, podskakując na kamieniach. Woźnica wstrzymał konie tuż przed przywiązaną do pomostu „Pandorą”. Drzwiczki wystrzeliły na rozcież, zanim prowadzący zdążył położyć dłonie na klamce. Z kolasy wyszedł sir Tomasz, mrużąc oczy przed słońcem i wyzywając nieszczęsnego człeka od ospałych staruchów.

Przypatrywał się panującej wokół krzątaninie: „Pandora” przyjmowała na pokład beczki z wodą pitną: antałki ostrożnie toczono w górę trapu i przekazywano czekającym na szczycie marynarzom, którzy przenosili je na pokład. Wreszcie dostrzegł Liama i podszedł do niego.

– Pysznie! Pysznie! Dobrze widzieć, że nie szczędzicie wysiłków, panowie. – Rozejrzał się wokół. – A gdzież to bywa mój dobry przyjaciel? Gdzież człowiek, który przyniesie mi gigantyczny zwrot z inwestycji?

– Rashim jest na pokładzie „Pandor...” – Liam kątem oka zauważył, jak zsuwa się on po drabinie na główny pokład, schodzi po trapie, omijając wtaczane beczułki, i wychodzi na przystań.

– Sir Tomaszu! – krzyknął, podchodząc bliżej. – Cóż za miła niespodzianka! Nie spodziewaliśmy się ciebie tutaj, sir.

„Nie, nie spodziewaliśmy się” – pomyślał Liam. Gdyby tak było, kazałby niewolnikom zejść pod pokład i na dobre zniknąć z pola widzenia.

– Widzę, że przechrzciliście słupa, którego wam podarowałem – rzekł Modyford. – Nie podobała wam się „Charlotte”? Cudne imię – rzekł z nutką urazy w głosie.

– Ach... cóż... – Rashim spojrzał na Liama.

– To kwestia przesądu, sir Tomaszu. Drugi statek we flocie zawsze powinien nosić inicjały M.C.

Gubernator wyglądał na zaskoczonego.

– Naprawdę?

– Ach tak – rzekł Liam, kiwając głową. – To stary morski zwyczaj, tak

mówią. – Odbił piłeczkę do Rashima. – Racja?

– Co? Ach tak... wiele statków nosi takie... takie... inicjały. Um... „Marie Celeste”, um... „Marie Curie”... albo „Miley Cyrus”...

– Muszę przyznać, że nigdy o żadnym z tych statków nie słyszałem – mruknął Modyford. – Dziwnymi przesadami wy, żeglarze, się kierujecie! – Ponownie przyjrzał się krzątaninie na obu statkach. – Gotowi znowu postawić żagle?

– Wypływamy jutro rano, sir Tomaszu.

– Wspaniale! Po co zwlekać. Hiszpanie niecierpliwie czekają na kolejny konwój srebra z Puerto Bello. Imaginuję, że tym razem płynie więcej okrętów. – Paciorkowate oczy gubernatora spoczęły na sznurku mężczyzn przerzucających worki owsa wzdłuż mostku.

– Do kogo należą te Negry? – Osłonił oczy dłonią. – Kilku wygląda mi dość znajomo.

– Do nas – bez wahania odparł Liam. – To nasza własność, sir Tomaszu.

Modyford podniósł wzrok na olinowanie „Maddy Carter”, na którym zauważył kolejną parę czarnych, którzy smołowali wanty.

– Niewolnicy na pokładzie statku? – Spojrzał na Liama. – Nadają się tylko na stały ład, tak słyszałem. Boją się wody. Jak konie. Gdzie ich kupiliście?

– To, hmm... część naszego ostatniego łupu, sir Tomaszu – rzekł Rashim. – To hiszpańscy niewolnicy... podejrzewam, że wyuczili ich, jak spokojnie zachowywać się na morzu.

Modyford refleksyjnie pokiwał głową.

– Kilka tygodni temu z plantacji sir Hunnyforda zbiegła grupa niewolników. – Przepraszająco wzruszył ramionami. – Tylko dlatego pytałem, jakiś miejscowy oszust mógł ich pojmać i zamiast zwrócić prawowitemu właścicielowi, odsprzedać wam.

Liam potrząsnął głową.

– Nie, sir Tomaszu, z całą pewnością nie są to lokalni niewolnicy.

– Dobrze. Bo gdyby to byli Kakaowcy Hunnyforda, musiałbym ich zabrać z powrotem na jego plantację, wychłostać, pobić i powiesić na oczach innych

niewolników. – Stanowczo pokiwał głową. – Zbiegów trzeba karać szybko i bezwzględnie, obawiam się. Trzeba dawać dobry przykład. Nawet jeśli śmierć wiąże się z utratą wszystkich zainwestowanych pieniędzy. W przeciwnym razie pomysł ucieczki do dżungli rozprzestrzeni się wśród nich niczym niekontrolowany ogień. Wypowiedzą posłuszeństwo. A wtedy oczywiście musielibyśmy wszystkich powybijać, postarać się o nowy transport i zaczynać wszystko od nowa. Ogromne koszty. Ogromne problemy.

– Dość ostra polityka – rzekł Rashim.

Modyford zerknął nań z niedowierzaniem.

– Musisz zrozumieć, dobry człowieku, że koncepcja wolności to rodzaj zarazy, której strzec się musi każdy odpowiedzialny właściciel plantacji. Bo w rzeczy samej jest to infekcja: taka, która się rozprzestrzenia, demoralizuje. I zanim się pan obejrzy, choroba atakuje, a dzikusy uciekają w dzicz. Chaos. Losy całej kolonii opierają się na moich surowych wyrokach, jak raczył pan to określić. Bo każdy niewolnik wie, uznaje za murowany pewnik, że jeśli ucieknie i zostanie złapany... na pewno zawisnie na stryczku. – Spojrzał na Liama. – Nie mam słuszności?

Liam skinął głową.

– Oczywiście, święte słowa.

Modyford nie odrywał wzroku od niewolników jeszcze przez chwilę, po czym spojrzał na Rashima.

– A zatem zamierzacie zdobyć Puerto Bello?

– W rzeczy samej. Wieść niesie, że zgromadzili tam zapasy srebra i czekają na nowy konwój statków.

Modyford skinął głową.

– Wzmogli czujność w obliczu nieporadnej wyprawie Morgana przy wybrzeżach Nowej Hiszpanii i po waszej ostatniej pomyślnej ekspedycji. Statki handlowe pływają w obstawie większej liczby okrętów wojennych. Niewykluczone, że obsadzą garnizony portowe nowymi żołnierzami.

– Właśnie dlatego przeprowadzimy błyskawiczny desant na wybrzeże –

rzekł Rashim. – Zanim dotrą do nich posiłki.

– Bardzo chytrze, przyjacielu. – Ponownie rozejrzał się z uznaniem. – Czyli to już jutro wypływacie w morze?

– Z nastaniem świtu.

– Doskonale. – Okrągła twarz Modyforda rozciągnęła się w uśmiechu. – Kapitanie Anwar, nie mogę się już doczekać, jakie owoce ma inwestycja przyniesie tym razem. Pomyślnych wiatrów i obfitych łowów. – Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do powozu.

Rozdział 51

Na wodach przy Port Royal, Jamajka rok 1667

– Przykro mi, Jamesey, nie mamy już więcej ostrej baraniny – rzekł Kuchcik. – Skończyła się. Został bulion. I chleb.

Jamieson nachylił się i zajrzał do gara. W świetle lekko kołyszącej się lampy oliwnej, zawieszanej na haku przy belce powały, zobaczył, że na dnie ostała się tylko mulista papka parującej, gęstej potrawki.

– Psiamać! Cały dzień nic tylko wiązałem liny i odkuwałem sól. Żreć mi się chce!

– Przykro mi, przyjacielu. Ale słuchaj, Jamesey, cały bulion przesiąkł baraniną. Też ci posmakuje.

– Chcę pieprzonego mięcha! – Jamieson spojrzał na stojących za nim w kolejce mężczyzn, trzymających puste drewniane miski. – Chcemy baraniny, Kuchcik! W dupę se wsadź ten przeklęty kleik!

– Przykro mi, chłopcy. Nic nie zostało. – Powtórzył i zwrócił się bezpośrednio do Jamiesona: – Jutro wieczorem spróbuj znaleźć się na początku kolejki, dobra?

Jamieson spiorunował go wzrokiem, potem odwrócił się i popatrzył na pirata, który właśnie dostał kilka ostatnich tłustych kawałków mięsa. Szczęściarz siedział już i łakomie zanurzał łyżkę w gęstej, ostrej polewce.

– To nie w porządku, Kuchciku – mruknął. – Nie w porządku. Pracowałem dziś dwa razy ciężiej niż reszta darmożjadów. Raz po raz sznurowałem liny, bo te ciołki źle to zrobiły za pierwszym razem. A na dodatek, niech mnie

cholera weźmie, ja jużem służył na tej łajbie. Nie jestem świeżakiem. – Zanurkował pod zwisającą wantą, przemaszerował przez główny pokład i stanął nad mężczyzną, który dostał resztkę mięsa. Siedział na ziemi, a zdjęte z nóg drewniaki leżały równiutko ustawione obok niego.

– No i co się tak szczerzysz, Negrusie?

Jamieson popatrzył na innych zbiegów, wszystkich dwunastu siedziało ramię przy ramieniu, dokładnie w taki sam sposób, i niespokojnie uśmiechało się do niego małymi białymi zębami świeącymi w czarnych jak noc twarzach. – Śmiejecie się ze mnie, niewolnicy?

– Moje imię... John – powiedział ten z sabotami. – Nie Neg-rus.

– Nieprawda. Twoje prawdziwe imię to głupi Diji-Bungo-Bongo, dzikusie.

– Moje imię John. John Bucik. Ja nie być już niewolnikiem. Ja być ludziem morza, jak ty. – Odparł, nie przestając się grzecznie uśmiechać, co jeszcze bardziej rozzłościło Jamiesona.

– Nie, nie jesteś! Żaden z ciebie marynarz. Żaden! Balast jesteś! Wszyscy jesteście zawszonymi Kakaowcami z plantacji. Nie potraficie zawiązać zwykłej wyblinki. Przynieś, podaj, pozamiataj, do tego się tylko nadajecie. Do niczego więcej!

Uśmiech Johna Bucika szybko zgasł.

– My się uczyć. My pracować.

– Nic się nie nauczycie. Ty i tobie podobni głupi jesteście jak muły. Nie powinno was w ogóle być na tym statku. – Jamieson pochylił się i podniósł jeden z jego drewnianych sabotów.

John Bucik upuścił miskę na odeskowanie i złapał za drugiego.

– Mój! Mój but!

Jamieson przytrzymał zniszczonego chodaka i potrząsnął głową, wyraźnie rozbawiony.

– Co? Ten rupieć jest dla ciebie aż tak cenny, że nazwałeś się po nim? Pan Bucik! – Roześmiał się. – Ach wy, Negrzy! Wiem, co zrobicie ze swoimi pieniędzmi! Kupicie takich więcej. Ha ha!

– Daj mi but!

– Ach, chcesz go z powrotem? Przynieś! – Rzucił go przez reling. Chodak zniknął w ciemności, chwilę później coś cicho plusnęło.

– Jamie-son!

Jamieson odwrócił się i zobaczył Kwamiego, który stał po drugiej stronie pokładu.

– Ty przynieś.

– Ach, proszę... zaczyna się! – odpowiedział Jamieson, podnosząc głos, tak żeby każdy mógł go usłyszeć. – Sami widzicie, panowie! A więc tak wygląda Kakaowiec, co niuchnął trochę złota. Przebierze się taki i udaje wielkiego pana!

Kwami przeszedł przez pokład i zatrzymał się o krok przed nim. Spuścił wzrok na własne odzienie, szykowniejsze niż ubrania większości piratów. Wokół byczej szyi nosił zawiązany jedwabny szalik.

– Lepsza taka rzecz... lepsza niż ino chłanie!

– Co? Ach, myślisz, że te fatałaszki cię odmienią? Ha? Uczynią lepszym ode mnie? Lepszym od marynarza, co służył siedem lat na morzu? Co przeżył setki szkwałów i huraganów, co nosi blizny, co walczył z psami Hiszpanami! – Potrząsnął głową. – Widzisz? Ja zasłużyłem sobie na miano żeglarza! Ale ty? Wszystko, co masz, to kawałek luksusowego jedwabiu.

– Jestem marynarzem.

– Ach, czyżby? Naprawdę? To teraz jesteśmy równi?

– Za dużo chłasz, Jamie-son.

Jamieson mocno zacisnął wargi; drżał z wściekłości. Wyciągnął kordzik zza pasa.

– Hoj! Jamesey, drabie – ryknął Działko. – A może byś tak to odłożył? Jutro znowu będzie baranina.

– Stul mordę, Działko! – Odwrócił się do Kwamiego, wyciągnął nóż na długość ramienia, koniuszek ostrza błysnął i zatańczył w przestrzeni pomiędzy nimi. – Wydziergam ci bliznę, może wtedy zaczniesz przypominać prawdziwego...

Nagle z mroku wyłoniła się dłoń i zacisnęła wokół nadgarstka Jamiesona.

– Huh?

Liam mocno wykręcił przegub pirata i ostrze wypadło na pokład. Druga ręka wplotła się w dready Jamiesona i brutalnie je szarpnęła. Liam skrzywił się, w twarz uderzył go cuchnący oddech.

– Tak, Rashimie, znowu pił.

Rashima oświetlał strumień światła rzucany przez lampę oliwną, zawieszoną nad garem Kuchcika.

– Picie. Pierwsze naruszenie kontraktu. – Podszedł kilka kroków, schylił się, podniósł nóż. – Walka z członkiem załogi? Kolejne naruszenie kontraktu. – Gestem nakazał Liamowi podprowadzić winowajcę do relingu. Liam bez pardonu pociągnął go za włosy.

– A niech cię szlag, puszczaj mnie, chłoptasiu!

– Achh – odezwał się Rashim – teraz mamy niesubordynację. Kolejne wykroczenie. Trzecie.

– To nie w porządku! – warknął Jamieson. – NIE W PORZĄDKU!

– Poważnie?

– Przeklęte Negry! To łajzy! To strata...

– Każdy człowiek na pokładzie dostanie szansę, żeby udowodnić swoją wartość, Jamieson. Tak to działa, rozumiesz? Łajzy? To uciekaj stąd i znajdź robotę gdzie indziej.

– Kakaowcy to same kłopoty! Sami się przekonacie, Bóg mi świadkiem!

– Cóż, o tym przekonamy się już sami, prawda?

Rashim spojrzał w ciemność. Po drugiej stronie płytkiego portu, na spokojnej wodzie, migały niewyraźne refleksy ognisk palonych przez nocne straże na całej długości północnego nabrzeża. Pięć minut wpław do brzegu, nie dłużej. Skinął głową na Liama.

– Przysparzasz więcej zmartwień niż pożytku – mruknął Liam Jamiesonowi prosto do ucha. – Żegnaj zatem. – Mocne uderzenie w klatkę piersiową wystarczyło, żeby ten przeleciał przez burtę. Mąciwoda zniknął w ciemności, a chwilę po pluśnięciu usłyszeli miarowy odgłos uderzeń o tafelę wody, kiedy zaczął płynąć do brzegu.

– Ach, a jeśli przypadkiem natkniesz się na unoszący się but...! – krzyknął Liam. – Bądź tak miły i wrzuć go z powrotem na pokład, co?

Rashim stanął pod kołyszącą się lampą.

– Panowie, wyjaśnię wam to jak chłopu na miedzy. Wszyscy podpisaliście kartę pokładową. Dlatego nie życzę sobie żadnego picia, żadnych bójek, aż do wykonania zadania. – Poglaskał się po brodzie. – Później róbta, co chceta. – Już miał odejść, lecz zatrzymał się w pół obrotu i dodał: – Właściwie, jeszcze jedno. Jamieson miał rację co do jednego. Każdy, kto wykona swoją robotę, dostanie udział. W innym razie go straci. Nie będzie pobłażania dla nikogo.

Rozdział 52

Przy wybrzeżu Puerto Bello

rok 1667

– Nie, nie, nie! – Działko niecierpliwie potrząsnął głową. – Źle, wszystko źle! – Wyrwał szmatę z rąk młodego czarnoskórego mężczyzny. – Jak ci na imię?

– David – mruknął, wbijając wzrok w pokład.

– Masz to przekręcać przy wpychaniu, jasne? Przekręcać? Rozumiesz? – Działko pokazał jak należy wykonać czynność, wyjął wycior z lufy armaty i oddał chłopakowi. – Teraz ty.

Młodzieniec opornie odsłonił przykrytą szmatką końcówkę i jał ostrożnie przekręcać żerdź, powoli obracając ją w dłoniach. Szeroko rozwartymi oczami patrzył na armatę, jakby właśnie naiwnie trącał kijem chrapiącego wielkoluda.

– Szybciej! Musisz to robić szybciej, chłopcze! – Popatrzył na pozostałych czeladników, wszyscy ustawili się w bezpiecznej odległości od armaty. Pierwsze pokazowe czyszczenie i ładowanie przeprowadził sam, a potem wystrzelił przybitkę. Huk tak przeraził nowych pomocników kanoniera, że stłoczyli się w panice po drugiej stronie pokładu działowego. Potem przez dziesięć minut przekonywał, że mogą bezpiecznie wrócić do wciąż dymiącego działa. Usiadł nawet okrakiem na rozgrzanej lufie, aby pokazać im, że to nie potwór, który go pożre i wypluje kostki.

Po skończeniu czyszczenia wyjął wycior i gestem przywołał kolejnego ochotnika.

– Ruszać się, kto następny?

Niepewnie zaszurali nogami.

– No chodźże który, to nie gryzie.

Wreszcie jeden wystąpił do przodu. Działko się uśmiechnął.

– No, byku... jak cię zwać?

– Simon, szefie.

– Działko wystarczy. Dobra... masz, weź to. – Wręczył mu mały worek prochu. – Na to musisz uważać. – Klepnął pierścień wylotowy armaty. – Nie na tę staruszkę. Bez prochu, to tylko wielka kupa starego żelastwa. Dobra... Simon... ładunek miotający wkładamy jej do paszczy, a później wbijamy wyciorem do końca. Tak jak ostatnim razem, widziałeś?

Mężczyzna skinął głową. Włożył tobolek z prochem do lufy, później wziął wycior od Działka i ostrożnie wepchnął wszystko aż do zapłonu.

– A teraz kilka mocnych przyklepień. – Działko uważnie obserwował chłopaka. – Pięknie. Dobra... teraz trza wepchać trochę przybitki. – Działko wziął garść konopnych pakuł i wsunął je głęboko do lufy. – Dobra, Simon, wepchnij to do samego końca i przyklep parę razy.

Zrobione, skinął głową.

– Gdybyśmy walczyli w bitwie, trzeba by teraz wsunąć kulę armatnią, ale... nie ma co ich dzisiaj marnować. Jeszcze raz wystrzelimy przybitką. – Działko wyszczerzył zęby. – No to który chce być kanonierem i odpalić tę piękniś?

Terminatorzy popatrzyli nań nerwowo.

– Słuchajcie, chłopcy, to naprawdę nie...

– Ja to zrobić – odezwał się John Bucik.

– Dobry chłop. Chodź tu... ten koniec działa. – Wskazał małą dziurkę na szczycie tylnego końca armaty. – Tutaj, John, to tutaj budzi się potwora. Zapał. – Działko wyciągnął długi na metr metalowy pręt z zaostrzonym końcem i wepchnął go do otworu. – Odblokuj i zrób dziurę w worku z prochem.

– Ładunek miotający.

Działko z zadowoleniem pokiwał głową.

– Zgadza się. Zapamiętałeś. A później... wsypimy odrobinę więcej prochu do zapłonu. To się nazywa podsypka.

John pokiwał głową, na stężalej twarzy wykwitły bruzdy koncentracji.

– Podsypka.

– Dobra, przyjacielu. – Wyciągnął lontownicę z przyczepionym doń tłącym się kawałkiem liny – Możemy strzelać. – Spojrzał na Johna. – Gotowy?

John nerwowo oblizał wargi i szybko skinął głową.

– Tak jest, szefie.

– Schyl się nisko, popatrz wzdłuż lufy... właśnie. Widzisz naszą „Maddy Carter”? To nasz cel. Musimy trafić prosto w jej kadłub. Poczuj, jak delikatnie się bujamy, a ona to się unosi, to opada w takt naszego kołysania.

John skinął głową.

– Trzeba wycelować tuż nad kadłubem. Należy skierować działo o cal nad statkiem, bo pocisk opadnie w locie. Rozumiesz?

– Tak, szefie.

– Ale zapal musimy podpalić około dwie sekundy przed wystrzałem. Bo tak długo pali się podsypka, zanim płomień dotrze do ładunku miotającego. Zatem, kanonier musi ocenić częstotliwość przechyłu, a gdy jest gotowy, ryknąć ostrzeżenie: „Uważaj”.

– Uważaj?

– Właśnie, to znak, żeby wszyscy odeszli od działła i zasłonili uszy.

John skinął głową. Tłący się knot zadrgał na czubku lontownicy.

– Nie bój się, drabie. – Działko położył dłoń na jego ramieniu. – Wszystko będzie dobrze. – Odsunął się na krok. – Zatem... gdy będziesz gotowy, John... po prostu dotknij tego otworu.

Działko spojrzał na pozostałych czeladników. Wszystkie twarze wykrzywił grymas strachliwego oczekiwania.

– Teraz nie uciekamy, rozumiemy się? – Uklęknął i wyjrzał przez

iluminator obok drugiego działa. Czekał.

John pochylił się. Podbródek niemal dotykał lufy. Zmrużył oczy i spojrzał przez otwór zapałowy działa na kołyszący się horyzont i niskopokładowy słup płynący dwieście metrów przed nimi. Patrzył, jak spokojnie podnosi się i opada. Wreszcie...

– Uważaj! – Przyłożył knot do otworu i żwawo odskoczył, gdy podsypka zaczęła iskrzyć i syczeć. Armata huknęła i szarpnęła do tyłu.

Działko patrzył, jak pakuły fruną nad wodą i rozpadają się pięćdziesiąt metrów dalej, po czym spadają do wody, zostawiając w powietrzu półokręgi dymu. Odwrócił się do czeladników, spodziewając się, że znowu znikną. Ale oni wciąż tam byli, stali wśród kłębow dymu, przyciskając dłonie do uszu.

Strzał był w punkt. Doskonale wymierzony. Dokładnie wtedy, gdy John Bucik przyłożył ogień, Działko mimowolnie dotknął kciukiem uda.

Pokiwał głową.

– Dobra robota, chłopcy! Coś mi się zdaje, że zrobimy z was kanonierów.

Pokład działowy rozbrzmiał echem radosnych okrzyków, zabarwionych krztyną ulgi, piskliwymi skowytami i rykami. Przeniósłszy nogę nad zwojem liny, podszedł do Johna i potężnie klepnął go po ramieniu.

– A pan, sir, pan ma zadatki na zawołanego kanoniera.

John Bucik uśmiechnął się rozkosznie.

– Dziękować, szefie!

– Działko, jasne? Tak mnie nazywaj. – Odwrócił się do pozostałych, wciąż ryczących z ekscytacji mężczyzn. – Okej! Jeszcze raz.

Liam patrzył, jak za „Pandorą” unosi się pióropusz dymu. Przez cały ranek nic tylko buchały działa odpalane podczas musztry kanonierskiej. A do tego, z głównego pokładu „Maddy Carter” dobiegał trzask muszkietów, bo francuski strzelec wyborowy, Pasquinel, zorganizował lekcje ładowania i strzelania dla grupy nowych rekrutów. Tak jak w wypadku musztry kanonierskiej, postarali się, aby i w strzeleckiej zaprawie uczestniczyło kilku

zbiegów. Im szybciej reszta załogi zobaczy, że czarnoskórzy potrafią nosić broń i posługiwać się nią tak samo wprawnie, tym szybciej ustaną wszystkie narzekania.

Oślonił oczy i objął wzrokiem pokład rufowy „Pandory”. Tak wypatrzył charakterystyczną sylwetkę Rashima, który znów za pomocą kwadrantu mierzył wysokość słońca nad horyzontem. Czerpał nerdowską przyjemność z gmerania przy przyrządzie, stale weryfikował pozycję z coraz większą precyzją i przypominał Liamowi, jakie to wszystko łatwe. W tych czasach sztukę nawigacji i jej akolitów traktowano z tak samo czołobitnym podziwem i szacunkiem, jak fizyków kwantowych w dwudziestym pierwszym wieku. Jakby posiadli jakąś tajemną wiedzę, dostępną tylko nielicznym wybrańcom, dysponującym niezemską niemal inteligencją, która pozwoliła im pojąć sekrety niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

Podejrzewał, że przez większą część dnia Rashim wdzięczy się tylko i pozuje. Skrycie rozkoszując się świadomością, że połowa załogi w milczeniu obserwuje tajemnicze machinacje z kwadrantem, i chętnie wsłuchując się w ich uwagi i szepty: „Tak, widzicie go tam? Prawdziwy geniusz”.

Liam uśmiechnął się w duchu. Zapewne za tym Rashim, uwięziony w przeszłości, tęsknił najbardziej: możliwością popisywania się kujoństwem, budzącą respekt, specjalistyczną wiedzą. A kwadrant dawał mu do tego bezcenną sposobność w tym świecie bez komputerów, gdzie szczyt techniki stanowił mechaniczny model układu słonecznego lub słoik pijawek, którymi leczono wszystkie choroby.

Pogoń za chwałą i próżność Rashima sprawiły, że skusił się na sugestię Modyforda i podjął próbę zaatakowania samego Puerto Bello. Na pierwszy rzut oka był to raczej dość wariacki scenariusz. Mała osada znajdowała się na końcu wąskiej zatoki chronionej przez dwa forty: San Felipe z dwunastoma działami oraz Castillo Santiago z kolejnymi trzydziestoma dwoma kolubrynymi. Nad samą osadą wzniesiono trzeci fort, San Geronimo, obsadzony stałym garnizonem żołnierzy w liczbie całego pułku.

Początkowo przedsięwzięcie pachniało młodzieńczą brawurą, ale... Puerto

Bello pełniło funkcję portu przeładunkowego dla całego złota kradzionego z Peru i wywożonego do Hiszpanii. Kruszec gromadzono w fortecy, hałda za hałdą, aż do nadpłynięcia konwoju hiszpańskich statków handlowych. Potem pospiesznie ładowano go na pokład i okręty zawracały, licząc na pomyślne wiatry, które pozwoliłyby im jak najszybciej dotrzeć do Hiszpanii. Najryzykowniejszy był pierwszy odcinek podróży, przez Karaiby, bo łatwo można się tam było natknąć na piratów.

Modyford spekulował, że ze względu na istny exodus kosztowności z Kuby, wywołany słabo skrywanymi, a wręcz głośno rozpowiadany, przygotowaniami Morgana do wyprawy, zasoby złota w Puerto Bello mogą być większe niż zazwyczaj.

Zatoka, rozrysowana na pergaminie przez jednego ze szpiegów Modyforda, wyglądała odstręczająco i niegościnnie: była długa i wąska, górowały nad nią potężne fortyfikacje. Ale wszystko zmieniało się przy bliższym spojrzeniu na detale, które z łatwością dostrzegłby skromny rybak, zapuściwszy się na te wody. W garnizonach brakowało żołnierzy. San Felipe powinno mieć ich stu, ale broniło go mniej niż pięćdziesiąt osób. Załoga Castillo Santiago, głównej fortyfikacji, powinna liczyć dwustu ludzi, ale zostało około sześćdziesięciu, w większości niewyszkolonych kanonierów. Budowy San Geronimo, cytadeli w mieście, jeszcze nie ukończono, a mieszkał w niej inżynier wojskowy wraz z siedmioma pomocnikami i tuzinem mułów.

Łatwe łupy. Poznawszy te szczegóły, Liam zapalił się do pomysłu zdobycia portu prawie tak samo jak Rashim. Być może za dwa dni wyruszą w drogę powrotną na Jamajkę z większą ilością złota w ładowniach swoich dwóch statków niż liczy majątek samego gubernatora wyspy.

Wszystko jest kwestią szybkości i sprytu; nie mogą pokazać, jak niewielu ich jest... muszą przekonać hiszpańskich żołnierzy, że atakują pod osłoną nocy ze zdecydowanie większą siłą desantową.

Liam uśmiechnął się. Przygotowali prosty, ale pomysłowy plan.

Rozdział 53

San Felipe, Puerto Bello

rok 1667

Sprawę załatwił pojedynczy wystrzał z muszkietu. Po minucie Liam ujrzał parę nieśmiało migocących lamp oliwnych, których płomienie podskakiwały wzdłuż kamiennego muru San Felipe, oraz odcinające się od bursztynowej poświaty głowy kilku mężczyzn wpatrujących się w mrok, w kierunku, z którego dobiegł trzask.

– Dobrze, Will... rozpal je, młody! – szepnął.

Will skrzesał iskrę, podpalił pochodnię, po czym ruszył wzdłuż rzędu mężczyzn, dotykając nią żagwi pozostałych marynarzy. Niebawem trzydziestu mężczyzn z oddziału desantowego Liama z płonącymi pochodniami w rękach zaczęło podpalać pozostałe łuczywa wbite w ziemię obok kilku tuzinów prymitywnie zbitych „strachów na wróble”: półtora i dwumetrowych pali drewna z przywiązanyymi w poprzek belkami, kilkoma zawieszonymi szmatami i zwieńczeniem w postaci wełnianych czapek. Szybko rozbłysło trochę ponad sto pochodni. Żagwie jaśniały w długiej, nierównej linii opadającej sto metrów w dół fortowego zbocza.

Od zacumowania w pobliskiej zatoczce upłynęło prawie siedem godzin. Na obu statkach znajdowała się tylko resztkę załogi; pozostali wsiedli w łódzie, dobili do brzegu i w bladym świetle księżyca i gwiazd przeszli szmat nierównego terenu. Oddział Liama liczył trzydziestu ludzi. Rashim poprowadził resztę, stu siedmiu mężczyzn, którzy powiosłowali na drugą stronę zatoki, aby powielić ten sam fortel przed drugim fortem na lądzie, Castillo Santiago.

Teraz Liam ujrzał błysk tuzina pochodni wzdłuż murów i usłyszał niewyraźne nawoływania Hiszpanów.

– Świetnie... a zatem przykuliśmy ich uwagę.

Sięgnął po białą flagę i odebrał Willowi pochodnię.

– Zostajesz tutaj, Will.

– Pan na siebie uważa, sir.

– Och, nie inaczej.

Liam ruszył pod usiane głazami wzgórze, w stronę południowego muru fortu. Machał przed sobą flagą, modląc się w duchu, aby światło migocącej pochodni, którą trzymał w drugiej ręce, wyraźnie padało na płótno. Kiedy znalazł się pięćdziesiąt metrów bliżej, usłyszał samotny trzask muszkietu i ujrzał jęzor wystrzału. Kula osmalila mu włosy.

– Hej! Rozejm!

Na murze rozbrzmiał władczy głos; Liam miał tylko nadzieję, że to rozkaz wstrzymania ognia.

– Chcę mówić z komendantem! – ryknął. Przeszedł jeszcze kilka metrów, strome podejście wreszcie ustąpiło miejsca równiejszemu gruntowi. U podstawy muru otwarły się małe drewniane drzwi, zza których wyszło trzech mężczyzn. Jeden z nich trzymał uniesiony kaganek.

– Chcę rozmawiać z waszym komendantem! – ponownie zawołał Liam.

– Anglik? – zawołał ktoś z mocnym akcentem.

„Właściwie Irlandczyk”, odpowiedź sama cisnęła się na język. Ale uświadomił sobie, że to też byłoby kłamstwo.

– Tak! Anglik!

Jeden z mężczyzn postąpił do przodu, zostawiając dwóch innych za sobą. Liam i samotny Hiszpan podeszli do siebie na odległość kilku metrów.

– Mówisz po angielsku?

Mężczyzna, młody i szczupły, wciąż mrugający z niewyspania, przekrzywił głowę i wzruszył ramionami, zapinając ostatnie guziki bluzy.

– Trochę angielski. *Si*. Tak.

– Jesteś komendantem tego fortu?

– *Si*, kapitan Mendoza. Tak. Co... to... ma znaczyć?

– To atak, sir. Jesteście otoczeni. Prowadzę dwa regimenty ludzi. W pana i w pańskich żołnierzy mierzy teraz dwieście muszkietów, sir. A w zatoce czeka... pięć statków gotowych zbombardować ten fort na mój rozkaz. – Liam postąpił kolejny krok do przodu. – Nie chcemy urządzić tu rzeźni, kapitanie. Z całego serca radzę, żebyście się poddali.

Młody oficer przeniósł wzrok za Liama, na rząd migocących łuczyw, tańczące refleksy pobłyskujące na lufach muszkietów. Liam zauważył, że porusza ustami, próbując je zliczyć.

– Pana ludzie nie ucierpią, sir. Rozbroimy ich i zamkniemy, ale nie skrzywdzimy. Masz pan moje słowo.

Oficer parsknął z oburzeniem.

– Posiłki... ludzie... szybko tu przyjsć z Puerto Bello. Oni zobaczą ogień... i przyjdą.

Liam potrząsnął głową i uśmiechnął się dobrotliwie.

– Wiemy, ilu żołnierzy tu macie. W tym forcie nie ma nawet pięćdziesięciu. Wiemy, że garnizon Castillo Santiago nie ma nawet stu ludzi. Nikt nie przybędzie wam na odsiecz. Kapitanie, powinniście się poddać.

– Moi ludzie... będą walczyć.

– Wiesz, co to dla was oznacza, panie? Wszyscy zginą. – Liam odwrócił się i pokazał linię jaśniejących w dole zbocza pochodni. – To nie żołnierze, widzi pan. To piraci. Nie znają honoru, nie wiedzą, czym jest dyscyplina. Teraz rozmawiasz z gentlemanem, sir, ale tamci? To zwierzęta. Korsarze. Kakaowcy. Dzikusy. Kiedy rozgorzeje walka, nie otrzymacie pardonu. My nie bierzemy jeńców. A co do pana, sir... zrobię wszystko, byś ocalił pan życie, ale... nic obiecać nie mogę.

Oficerowi chwilę zajęło przetrwanie tego, co usłyszał.

– Poddać. Moi ludzie... nie zostaną skrzywdzeni?

– Masz moje słowo, sir. Proszę zrozumieć, że lepiej dla pana, aby ten konflikt nie przerodził się w walkę.

Kapitan Mendoza zastanawiał się jeszcze chwilę, zanim wreszcie skinął głową.

– Co mam zrobić?

– Rozkaż swoim ludziom, aby złożyli muszkiety przed bramą. Przeliczę je i chcę zobaczyć nie mniej niż pięćdziesiąt. Rozumiesz, sir?

– Si.

– Proszę nie zapomnieć o prochu armatnim. Amunicję też musicie wystawić przed bramy. Kiedy się z tym uporacie, rozkażesz pan swoim ludziom, aby wrócili do baraków, zostaną w nich pod strażą. Aż odbierzemy swoją nagrodę.

– Nagrodę, *señor*?

– Złoto Puerto Bello. Nic więcej. Nie splądrujemy miasta. Nie skrzywdzimy cywili.

– Może pan to obiecać? A pańscy barbarzyńcy... dzikusy?

– Otrzymają rozkazy. Są mi posłuszni... większość z nich. – Liam wzruszył ramionami. – Proszę mi pomóc, kapitanie Mendoza. Lepiej ich nie rozwścieczać, mogą się wymknąć spod kontroli i na wzgórzu wybuchnie niepotrzebna walka. Co pan na to?

Oficer zmrużył oczy i po raz kolejny spojrział na migające pochodnie, błyszczące w świetle łuczyw ostrza kordelasów i lufy muszkietów. Słyszał echa pokrzykiwań, jazgot podnieconych głosów, które niosły się w górę wzgórza, ku niemu. Mroząc krew w żyłach. Odgłosy wydawane przez żadnych łupu dzikich, którzy jeśli nie dostaną swej nagrody, w odwecie zedrą z głów Hiszpanów skalpy.

Wreszcie skinął głową.

– *Si...* zgoda.

– Świetnie. W takim razie masz, panie, godzinę, aby wystawić arsenał broni na zewnątrz. Rozumiesz, sir? Gdy będziecie gotowi, czekam na wiadomość.

– *Si, señor.*

– Czas goni.

Oficer skłonił głowę, szybko salutując, po czym odwrócił się i dołączył do towarzyszących mu żołnierzy. Liam odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i wypuścił długie, szarpane westchnienie ulgi.

„Do stu piorunów. To było łatwiejsze, niż mi się wydawało”.

Rozdział 54

Castillo Santiago, Puerto Bello

rok 1667

Świt już prawie wstał, kiedy Rashim wraz z jego liczniejszym oddziałem znaleźli się na miejscu. Plan zakładał przeprowadzenie tego samego fortelu co w Castillo Santiago – zamarkowanie natarcia dużo większą siłą pod osłoną nocy. Ale przy coraz bledszym niebie i słońcu wpełzającym na horyzont trzeba było zmodyfikować wcześniejsze zamiary. Jeśli wierzyć w doniesienia szpiegów Modyforda, mieli przewagę liczebną: stu siedmiu piratów przeciwko sześćdziesięciu żołnierzom.

Niemal dwukrotnie przewyższali ich siłą. Lecz przewaga byłaby tylko pozorna, gdyby rzeczywiście musieli szturmować i zdobywać fort. Bastylę z trzech stron otaczała otwarta przestrzeń. Teren oczyszczono z drzew i poszycia, aby zapewnić obrońcom wolną linię strzału. Robiło się coraz widniej, odpływały ostatnie barwy nocy. Straże od razu zauważą jakąkolwiek próbę ataku. Znajdą się pod ostrzałem ognia muszkietów oraz w promieniu rażenia przynajmniej dwóch rozstawionych na skrzydłach fortu armat.

– Cudownie – mruknął.

Sytuacja była jasna. Fort trzeba zdobyć od razu. Cytadelę wybudowano w strategicznym miejscu: strzegła wejścia do zatoki, a dodatkowo górowała nad niewielkim osiedlem Puerto Bello. Gdyby próbowali obejść bastion i uderzyć na miasto i trzecią – nieukończoną – fortecę, Geronimo, armaty Castillo Santiago wystrzelałyby ich jak kaczki. Poza tym musieli wprowadzić dwa statki do zatoki i zacumować w porcie, żeby swobodnie przenieść skarby do ładowni. A statki też byłyby narażone na kanonadę.

Rashim musiał zdobyć ten przeklęty fort.

– *Monsieur* Anwar – rzekł Pasquinel. – Pańskie rozkazy? – Francuz stanął obok i ocenił sytuację, opierając się o długą lufę strzelby myśliwskiej, a brodaty podbródek kładąc na jej wylocie. – Masz pan problem, *je pense*, mylę się?

– Mam, ten przeklęty fort to mój problem. – Rashim się rozejrzał. Po lewej stronie cytadeli, kilkaset metrów dalej, zauważył małe wzgórze porośnięte kilkoma samotnymi drzewami kapokowymi. – Jak precyzyjny strzał potrafisz oddać?

Pasquinel wskazał to samo wzgórze, zmrużył oczy i cichutkim świstem wciągnął powietrze. Schylił się, zebrał garść suchej jak proszek ziemi, podrzucił i spojrział jak chmura kurzu opada mu na stopy.

– Nie ma wiatru. *Parfaitement*. – Ponownie zerknął na wzgórze. – Stamtąd? – Powoli pokiwał głową. – *Oui*, potrafię być precyzyjny.

– Jak precyzyjny?

Pasquinel przystawił palec do skroni i przekręcił go kilkakrotnie.

– Głowa, może.

– Będziesz poza zasięgiem ich muszkietów?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnął się. – Ale nie ich armaty.

Pagórek wznosił się wystarczająco wysoko ponad fortem. Poza tym mógł zyskać kilka dodatkowych metrów, wspinając się na jedno z drzew.

– Hmm, może skoro oni wszyscy wciąż smacznie chrapią... uda ci się tam przedostać niepostrzeżenie?

– *Oui*.

– A – w głowie Rashima rodziły się pierwsze przebłyski awaryjnego planu – gdybym tak wyznaczył ci konkretny cel, jeśli będziesz mnie z tamtej pozycji bardzo dobrze widział?

– *Pardon?* – Uniósł brwi.

Rashim wprowadził go w niedopracowany, mglisty jeszcze plan. Nawet nie plan, ale pomysł, który mógł dawać szansę... Gdy mówił, na twarzy

Francuza wykwitł uśmiech chytrego lisa.

Pułkownik Fernandez patrzył, jak smagły mężczyzna ubrany w surdut z fantazyjnymi, koronkowymi mankietami i trikorn z wetkniętym weń strusim piórem kroczy przez porośnięte chwastami pole w stronę jego cytadeli. Nad głową trzymał białą flagę. I właśnie to najpierw zaniepokoiło Fernandeza. Drugim źródłem obaw był widok kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn kręcących się przy skraju lasu.

Kilkudziesięciu? Z tego, co widział, równie dobrze mogły to być setki.

– *Madre de Dios...* czy to inwazja?

Ostrzegał miejscowego gubernatora, że Puerto Bello będzie najpewniej kolejnym celem coraz bardziej rozzuchwalonych i chciwych angielskich piratów. Fernandez raz po raz sygnalizował, że system fortyfikacyjny zatoki był skandalicznie słaby, nieprzygotowany na odparcie ataku z lądu. Ostrzegał, że piraci niebawem przeniosą strategię napaści lądowych z Kuby na te ziemie. Wszystko wskazywało na to, że ten dzień właśnie nadszedł.

Bębniarz garnizonowy wybijał sygnał alarmowy, nawołujący żołnierzy z pułku do zajęcia pozycji przy murach. Ale ciężko tu było mówić o pułku, jako że oddział w przytłaczającej ilości składał się z ludzi starych, takich, co to woleliby opowiadać bajeczki wnukom, i młodych chłopców o gładkich twarzach, których nigdy nie tknęła brzytwa.

Patrzył, jak obcy niepewnie podchodzi do muru, kryjąc twarz pod łopoczącą flagą rozjemczą, aż wreszcie się zatrzymuje.

– Dzień dobry! – krzyknął mężczyzna w trikornie. – Mam przyjemność z komendantem?

„Anglik. A zatem to piraci”.

Fernandez pokiwał głową.

– Pułkownik Fernandez. Z kim rozmawiam?

– Kapitan Rashim Anwar, licencjonowany korsarz przybywający z Port Royal z polecenia gubernatora. – Zdjął przyozdobiony piórkiem trikorn

i złożył teatralny ukłon. – Przybyliśmy ukraść całe wasze złoto! – dodał, uśmiechając się jak sam szatan.

– Przyszedłeś wymusić na nas złożenie broni, jak mniemam.

– Chciałbym przedyskutować z panem warunki złożenia broni, pułkownika.

Fernandez pogłaskał srebrnoszare końcówki woskowanych wąsików, przyglądając się piratom w oddali, kołującym niespokojnie w cieniu drzew niczym stado wygłodniałych wilków. Nie zaszkodzi usłyszeć, co ten oliwkowoskóry mężczyzna ma do powiedzenia. Niewykluczone, że przy okazji kapitan piratów zdradzi kluczowe szczegóły własnego planu.

– Wysłucham pana warunków, kapitanie, ale proszę się nie łudzić, nie poddam panu tego fortu.

Dębowe bramy bastylji otworzyły się z trzaskiem przed Rashimem. Strażnicy popędzili go do środka i szybko poprowadzili w górę kamiennych schodów. Na szczycie spotkał pułkownika, stojącego na stanowisku działowym nad bramą.

Rashim znalazł się twarzą w twarz z człowiekiem, którego sylwetkę widział kilka minut temu nad krenelażem: niskim, wąsatym jegomościem z pięćdziesiątką na karku i wystającym brzuszyskiem, podkreślonym przez wysoką talię białych bryczesów. Towarzyszył mu młodszy, trzydziestoletni, oficer, który z pobladłą twarzą wpatrywał się w postaci poruszające się pomiędzy drzewami. Obok stał też inny, starszy wojskowy o gęstych bokobrodach. Nosił mundur oficera artylerii.

– *Señor* Fernandez? – upewnił się Rashim.

– Pułkownik Fernandez – odparł chłodno. – A teraz mów pan, co masz do powiedzenia.

Rashim skinął głową, po czym szybko zerknął ponad krenelaż na blednące niebo i poblask słońca wschodzącego ponad wierzchołkiem pobliskiego wzgórza.

– Moja flota czeka kilka mil za wybrzeżem. – Flota? Mówiąc precyzyjnie „flota”... dwóch statków. – Nasi szpiedzy poinformowali, że wasz garnizon

na gwałt potrzebuje uzupełnień. Donieśli, jak niewielkimi siłami dysponujecie, w jak złym stanie są wasze fortyfikacje, jak niewiele waszych armat działa...

– To dowodzi tylko jednego. Nie możecie polegać na waszych szpiegach. Garnizon jest obsadzony pełną załogą. A działa są sprawne. Ten oto gentleman – Fernandez kiwnął głową, wskazując stojącego po lewej mężczyznę prezentującego gęste bokobrody – mój dowódca artylerii, sierżant Vasquez, to osławiony kanonier. Zniszczy wasze okręty, zanim zdążą wpłynąć do zatoki.

Rashim zerknął na mężczyznę. Pod gęstymi szarymi brwiami, wywiniętymi jak skrzydła ważki, żarzyły się piorunujące go, czarne jak węgielki oczy. Wcześniej uznał, że celem musi być pułkownik. Chociaż, z drugiej strony, sierżant artylerii wydawał się równie ważną albo nawet ważniejszą osobą.

– Moje okręty najpierw zbombardują ten fort kulami, a dopiero później wpłyną do zatoki, pułkowniku. Mam, hmm... pięć... sześć okrętów, każdy wiezie dwadzieścia dział. Sto dwadzieścia moich armat przeciwko dwunastu twoim.

Fernandez uśmiechnął się, wyczuwając ewidentny bluff. Rashim przeklął w duchu swoją nieumiejętność opowiadania gładkich kłamstewek. Zawsze musiał się jąkać albo zbyt otwarcie drapać po grzbiecie nosa.

– Doskonale, piracie – rzekł Fernandez – a zatem wpłyn do zatoki z całą swoją armadą.

Poblądły młodszy oficer powiedział coś szybko po hiszpańsku do swojego pułkownika. Ten odburknął gniewnie, prawie warknął. Uciszył go. Po raz kolejny nerwowo spojrzął na mężczyzn zgrupowanych na skraju lasu.

– Twój zastępca zdaje się mniej pewien zwycięstwa niż pan, pułkowniku.

– Bo młody i nieopierzony – odparł opryskliwie.

Rashim uśmiechnął się do młodzieńca.

– Słusznie jesteś przerażony. Moi ludzie to najpodlejsi...

– Kapitanie Anwar – przerwał Fernandez – jeśli chcesz się pan układać, to

przedstaw swoje warunki. W przeciwnym razie – rozłożył ręce – koniec pertraktacji.

Rashim właśnie zrozumiał, że negocjacje dobiegły końca. Pułkownik nie zamierzał się poddać, bez względu na to, jakie warunki zaproponuje. Próby podejmowania rozmowy były płonne. Zresztą, już uzyskał to, po co przyszedł. Informacje.

– Rozumiem, pułkowniku, jesteś odważnym żołnierzem. Złożenie broni nie wchodzi w rachubę. Zatem – Rashim grzecznie schylił głowę – pozwól mi życzyć sobie szczęścia. – Wyciągnął do Fernandesa rękę. Pułkownik spojrzał na nią niechętnie, a potem mocno uścisnął. Wtedy Rashim poczuł delikatne ukłucie żalu.

Irańczyk puścił jego rękę i odwrócił się do sierżanta artylerii.

– I tobie, sir, powodzenia. Niechaj twoje działa... hmm... nie chybiają... a twe kule latają... no, cokolwiek. – Pułkownik Fernandez przełożył to na hiszpański. Mars sierżanta pogłębił się, ale przyjął dziwne życzenia, chwytając Rashima za dłoń i mocno nią potrząsając.

Rashim uniósł trikorn i ukłonił się teatralnie.

– Żegnam, panowie – powiedział i jął się wycofywać.

– Piracie!

Rashim obrócił się na pięcie. Krzyknął do niego młody oficer. Na policzki mężczyzny wystąpiły rumieńce gniewu, a może płonęły ze wstydu, że go tak zignorowano.

– Piracie, czemuż to nie uściśniesz i mej dłoni? – Wyciągnął prawicę, czekając na uścisk Rashima.

– Ja... ja, hmm...

Musiał odejść. Natychmiast. Powinien już schodzić w dół do bramy, dać się przez nią przeprowadzić i wracać do swoich. Teraz. Po raz kolejny zerknął na wzgórze ponad blankami, na rozłożyste drzewo guango na jego grani i zdało mu się, że dostrzega cień ruchu między gałęziami, błysk broni. Miał szczerą nadzieję, że jasno wyłuszczył Francuzowi, żeby poczekał, aż Rashim na dobre oddali się od fortu, zanim zdejmie cele.

Ale wtedy zobaczył błysk ognia; kłęb dymu wypływający spomiędzy gałęzi drzewa. Pół sekundy później spory kawał potylicy pułkownika Fernandesa eksplodował i oficer powoli, bez życia, opadł na kolana – dopiero wtedy z oddali przywędrował trzask wystrzału.

Rozdział 55

Castillo Santiago, Puerto Bello

rok 1667

Pasquinel wiedział, że strzał nie chybił celu; nie musiał czekać, aż dym opadnie, by przekonać się na własne oczy. Od razu zaczął przesypywać miarkę prochu z rogu do długiej lufy, balansując na gałęzi. Oparł się plecami o pień, aby utrzymać równowagę. Do nabicia broni potrzebował dwóch dłoni.

Niski, okrągłutki Hiszpan padł, to widział. Pozostali mężczyźni stojący na platformie wyglądali na zszokowanych. Wciąż próbowali zrozumieć, co się wydarzyło. Doskonale.

Załadował drugą kulę i szybko wepchał wyciorem do lufy razem z przybitką, aż ta zetknęła się z mocno ubitym prochem.

Wciąż tam stali. Jeden z Hiszpanów się wiercił, ten krępy. A to był jego drugi cel. Bo i jego rękę uściskał kapitan Anwar. Przycisnął kolbę do barku, lufę oparł w rozwidleniu gałęzi tuż przed nim i zmrużył oczy, patrząc wzdłuż długiej lufy broni, szorstki policzek dotykał rozgrzanego metalu.

Pasquinel dostrzegł grubego jegomościa. Klęczał obok trupa. Zrozumiał, odwrócił się, żeby spojrzeć przez blanki na jałową okolicę. Teraz patrzył prosto na niego albo przynajmniej na drzewo, na które się wdrapał. Uświadomił sobie, że strzał dobiegł właśnie stamtąd.

Pasquinel odrobinę przesunął ramię: na dwa palce w górę, aby pozwolić kuli swobodnie opaść – dystans był spory – i trzy palce w lewo, biorąc poprawkę na zachodnią bryzę dmącą dziś cały ranek. Pociągnął za spust i stracił z pola widzenia obraz wyłupiastych oczu mężczyzny, ciemnych bokobrodów, zastygłej pozy drugiego Hiszpana i kapitana Rashima,

zatrwożonego tak mocno jak niedoszła ofiara. Cała scena nagle zniknęła pod kłębiącą się chmurą wirującego dymu strzelniczego.

Zapłatawszy się w ciało pułkownika, oficer artylerii złapał się za gardło. Opadł na pułkownika, rżąc i wydając bulgocące dźwięki, gdy wreszcie rozbrzmiał cichy trzask drugiego strzału. Młody oficer poderwał się, zrozumiał wreszcie, że obaj mężczyźni wypluwają z siebie krew i migdałki nie bez powodu. Skoczył przez podest i mocno chwycił Rashima za ramię.

– *Madre de Dios!*

Oficer szybko zablokował mu rękę w pómelsonie i obrócił, zasłaniając się nim jak żywą tarczą. Rashim modlił się tylko, by Pasquinel nie próbował teraz oddać trzeciego strzału, próbując go „uratować”.

– Oszukałeś nas! – wydyszał mężczyzna. Drugą rękę zacisnął na gardle Rashima. – Wystawiłeś nas swoim ludziom!

– Mają... – Usiłował coś powiedzieć, ale głos wiązał mu w gardle. – Dostali rozkaz, żeby najpierw mierzyć w oficerów. Jesteś następny.

Mężczyzna błędził wzrokiem pomiędzy wzgórzem, lasem, dachami, a iglicą pobliskiego kościoła w Puerto Bello.

– Pokkдай się – zachrypiał Rashim. – Ratuj... ratuj swoich ludzi. Ratuj siebie.

Młody oficer wyglądał na osobę, która już powzięła decyzję. Gdy przeciągał Rashima z jednej strony na drugą, Irańczyk kątem oka zauważył niskie kamienne mury San Felipe na przeciwnym brzegu zatoki. Hiszpański sztandar nie łopotał już nad cytadelą. Zamiast niego wysoko nad strażnicą powiewała ich bandera.

– Paa...! – zdołał wydusić Rashim przez ściśniętą tchawicę. Pokazał przeciwny brzeg zatoki. – Paa...! Tam!

Młody człowiek popatrzył we wskazanym kierunku, wtedy i on zauważył, że barwy na forcie się zmieniły.

– Och... *Dios mio...*

– To khooniec – wykrztusił Rashim. Wyrwał się, żeby zwolnić żelazny

uścisk mężczyzny na gardle. – To koniec. San Felipe padło. Widzisz?

Uchwyt na szyi Rashima zelżał. Wykręcił się i wyswobodził, przez dłuższą chwilę próbując złapać oddech.

– Zatem... grh... czemu nie ułatwić sobie życia? – zachrypiał wreszcie Rashim. – I poddać się?

Rozdział 56

Nowy Jork

rok 2025

Central Park wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętała. Jezioro osuszono, została jedynie wielka betonowa niecka, i to właśnie w niej zaczęto gromadzić napędzane benzyną samochody, autobusy, autokary, ciężarówki. Obok wysuszonego jeziora rozstawiono wielkie maszyny przemysłowe – zgniatarki samochodów – które dzień i noc wgryzały się w auta, przeżuwały karoserie i wypluwały poszarpane kostki sprasowanego metalu i plastiku.

Lecz do Central Parku codziennie przybywały nowe karawany lawet z samochodami. Zgniatarki nie nadążały z produkcją kostek. Pojazdy, piętrzące się przypadkowo jedne na drugich niczym porzucone, rdzewiejące zabawki, wylewały się poza jezioro. Władze zmuszone były ogrodzić siatką obszar obejmujący większą część centrum, w tym Ramble, Strawberry Fields, Bethesda Fountain.

Place zabaw dla dzieci, wszystkie piaskownice i karuzele, huśtawki, sceny i ławki, duże stoliki do gry w szachy i stoiska z kawą i bajglami, wszystko ginęło pod lasem wysokich na sześć, siedem pięter rdzewiejących wież beużytecznych pojazdów, czekających na swój czas jak więźniowie w celi śmierci, na sprasowanie do postaci metalowej kostki i utylizację.

Sal patrzyła, jak gigantyczny statek wciąga ostatnie palety sprasowanego metalu do czarnych trzewi kadłuba. Wisiał niczym ogromna chmura burzowa oblewająca cały park cieniem.

Spóźniła się. Chciała tu przybyć w południe, bo tak to zapamiętała. Stała z ojcem w tym miejscu, albo w pobliżu, gapiąc się na gigantyczny statek

powietrzny, ostrożnie nawigujący pomiędzy strzelistymi wieżami na horyzoncie miasta, a potem opadający ponad wolną przestrzeń nad parkiem. Południe, wtedy tu stali. Patrzyli, jak statek przylatuje i rozpoczyna załadunek.

Już dwadzieścia minut po czasie. Na Broadwayu przydarzyła się lekka stłuczka i autobus (elektryczny oczywiście), w który postanowiła wsiąść, utknął w korku. Próbowwała ubłagać kierowcę, aby pozwolił jej wysiąść i odejść, ale najpierw trzy razy grzecznie odmówił, a później zamknął plastikowe okienko, żeby ją uciszyć.

Sal spóźniła się pięć minut. Jeszcze pięć minut temu oboje, papaji i Saleena, stali w tym miejscu. Ta myśl spadła na nią znienacka. Po raz pierwszy pomyślała o dziewczynie jak o obcej osobie. Nie ojciec i ja... a ojciec i Saleena.

Dziwna sprawa. Dziwne uczucie, postrzegać osobę, którą się „było” jak inną osobę. Obcą, nieznaną dziewczynkę, która stała z tatą...

„Zamiast mnie”.

Za sprawą tych dwóch słów coś zaczęło klarować się w jej umyśle. Na pierwszy plan świadomości właśnie wypłynęła myśl, która przyczaiła się w tle niczym upiorna zjawa uwięziona na zakurzonej poddaszu.

Patrzyła, jak szeroka na pięćdziesiąt metrów paleta z kostkami złomu wędruje ku niebu, delikatnie bujając się przy tym na linach z włókna węglowego i łańcuchach. Po raz wtóry przyjrzała się gapiom. Trzydziestu, czterdziestu osobom: kilku turystom oraz pstrej gromadzie alkoholików i przybłędów, którzy zamienili park w noclegownię. W zimniejsze noce porzucone samochody z nienaruszonymi przednimi i bocznymi szybami, gwarantowały przynajmniej jako taką ochronę przed żywiołami.

A pana Vikrama i jego dwunastoletniej córki nie widać.

Sal zaklęła. Łamała sobie głowę, próbując odtworzyć w pamięci trasę wycieczki. Później było muzeum? Nie. Właśnie je zamykano. Gdzie jeszcze mogli pójść? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Jedyne wspomnienie z tamtego dnia dotyczyło tego spektakularnego widoku. Wiedziała jednak, gdzie tata zarezerwował nocleg. Pamiętała nazwę hotelu. Pamiętała tamtą

zapuszczoną dzielnicę. Pamiętała, jak ojciec ją przeproszał, gdy się zameldowali. Mówił, że miejsce wyglądało ładniej, gdy rezerwował pokój online.

– W czym mogę pomóc?

Hotel zdecydowanie nie należał do najdroższych. Znajdował się na południowym końcu Broadwayu, na dolnym Manhattanie, u zbiegu Little Italy, Chinatown i Soho. Niegdyś, jak opowiadał ojciec, było to wspaniałe miejsce do życia. Miejsce, w którym spotykali się artyści i poeci, kelnerzy marzący o karierze aktorskiej mijali się tu z urzędnikami marzącymi o karierze scenarzystów, omawiając scenariusze, które, jak wierzyli, pewnego dnia zostaną wystawione na Broadwayu.

„Bohema” – takiego słowa użył jej ojciec.

Teraz wyglądało to jak miejsce, w którym decydowali się mieszkać tylko niepublikowani pisarze, niedoceniani artyści. Okna i drzwi wszystkich sklepów, nielicznych, które się ostały, zakratowano. Kasy zabezpieczano kolejnymi kratami, które miały gwarantować bezpieczeństwo słabo opłacanym kasjerkom o ponurym spojrzeniu.

– Panienko?

Sal podniosła wzrok na recepcjonistę. Mężczyzna siedział na stołku za własną kratą ochronną, bardziej przejęty puszczaną w cyfrokanałe komedią retro niż swoim gościem. Na ekranie jakiś tyczkowaty młodzieniec o mlecznobiałej skórze wydurniał się w basenie z kolorowymi kulkami, z niewiadomego powodu wykrzykując słowo „Bazinga!”. Recepcjonista uważał to za zabawne.

– Ja... ja zgubiłam klucz do pokoju.

– Zgubiłaś kartę magnetyczną? To niemądrze z twojej strony. – Westchnął.
– Będę musiał ci wyrobić nową. Który numer pokoju?

– Ja... hmm... nie pamiętam dokładnie.

Z oporami oderwał wzrok od fleksoekranu migającego na przeciwległej

ścianie foyer.

– Naprawdę?

– Przyjechałam tu z tatą. On pamięta takie rzeczy. Przykro mi.

Kolejne westchnienie. Recepcjonista nachylił się i dotknął utyłanego, staromodnego terminala z ekranem dotykowym.

– A nazywa się...?

– Vikram. Pan Sanjay Vikram. Pokój dwuosobowy.

Recepcjonista stuknął w ekran, przeciągnął palcem i stuknął raz jeszcze, a później podniósł na nią wzrok.

– Przykro mi. Żaden pan Vikram u nas nie mieszka.

– Co?

– Powiedziałem, że nie ma tu żadnego pana Vikrama.

– Ale... ale... – Sal zmarszczyła brwi. To niemożliwe. Zatrzymali się tu. Naprawdę. Hotel Douglas. Pamiętała nazwę. Była pewna. Szczegóły. Miała głowę do szczegółów. Takich choćby jak nazwy przeklętych hoteli.

– Mieszkaliśmy... – Chrząknęła i poprawiła się: – Mieszkamy tutaj!

– Może po prostu pomyliłaś hotele, skarbie. – Uraczył ją zdawkowym półuśmiechem. – W pobliżu jest szereg podobnych miejsc. Nie zatrzymaliście się przypadkiem w jednym z nich?

– Czy mógłby pan sprawdzić ponownie?

Wzruszył ramionami, ale usłuchał.

– Przykro mi. Nic. Żadnego pana Vikrama.

Sal nawet się nie poruszyła, czekała, łudząc się, że nagle się zreflektuje i powie: „Nie, chwilkę! Panienska poczeka... musiałem źle wpisać nazwisko. O, proszę, jest...”. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Mężczyzna wrócił tylko do oglądania kanału ze starymi komediami, a ona stała tam, gdzie stała: na porysowanym, wyblakłym parkiecie małego foyer hotelowego.

– To Hotel Douglas?

Mężczyzna westchnął poirytowany i wskazał drzwi, ulicę i identycznie odrapany hotelik po drugiej stronie.

– To jest Hotel Douglas.

– Ach – powiedziała i uśmiechnęła się przeprasząco. – Czasem jeszcze myli mi się prawa strona z lewą.

Ale on już ją ignorował, szczerząc zęby do starego sitcomu.

– Okej, dziękuję – powiedziała wreszcie i wyszła przez wzmocnione kratownicą podwójne drzwi. Pokonała trzy stopnie, mijając parę starszków sączących coś z butelek owiniętych papierowymi torbami i wyszła na chodnik.

Spojrzała na drugą stronę jezdni, na stojący naprzeciwko hotel, przygotowując się psychicznie na podobną rozmowę z kolejnym zniecierpliwionym i znudzonym recepcjonistą.

Zła strona. Przeszła na złą stronę. Powoli zaczynała kwestionować własne wspomnienia. Wątpić w nie.

„Nigdy tu nie byli, Sal!” – podszeptał napastliwy głosik. – A nie mówiłem?”

„A jeśli naprawdę jesteś jak Maddy? Co? Nawet nie kopią prawdziwej osoby? Zmysleniem? Fantazją? Biblioteką poplątanych wspomnień? Potworem Frankensteina?”

– Zamknij się! – wyszeptała.

„Tak, przejdź przez tę jezdnię, wejdź do właściwego hotelu, przekonaj się, że nie mieszka w nim żaden pan Sanjay Vikram ani jego córka”.

– Zamknij się!

„Tak będzie lepiej, naprawdę chcesz to zrobić? Co? Potrafisz to zrobić?”

Sal nie zastanawiała się szczegółowo nad swoimi planami. Ale zaświtała jej nieśmiała myśl, że tak jak w tej starej książce, *Księżę i żebrak*, zamieni się miejscami z prawdziwą dziewczynką.

„Nie żartuj. Zamienisz się miejscami? I niby prawdziwa Saleena na to pójdzie? Oczywiście, że nie. Musisz się jej pozbyć... wiesz, o czym mówię, prawda? Musisz się jej pozbyć, Sal”.

Nagle zrobiło jej się niedobrze, poczuła zawroty głowy. Tak, właśnie to podświadomie planowała. Zabić się. Wejść w rolę sobowtóra. Przywłaszczyć

sobie czyjeś życie.

Zatrzymała się na krawędzi chodnika. Przeniosła wzrok ponad stojące w korku rowery i riksze, na hotel po drugiej stronie ulicy. Być może lepiej, że nie przeszła przez jezdnię i nie próbowała się zameldować we właściwym hotelu. Prawdopodobnie nigdy się tam nie zatrzymali. Saleeny Vikram też pewnie nigdy, przenigdy tam nie było. No bo dlaczego miałyby się różnić od Maddy?

– Ja też jestem dziewczynką Frankensteina – mruknęła cicho. Dręczący głos miał rację. To był beznadziejnie głupi pomysł.

A potem jej oczy zadały kłam tym słowom. Zobaczyła Hindusa w średnim wieku, który wyszedł z hotelu po drugiej stronie ulicy i zszedł po schodkach na chodnik. Przez cały ten czas trzymał za dłoń małą dziewczynkę. Dziewuszka, ożywiona i podekscytowana, gaworzyła rezolutnie, machając dłonią taty. Roześmiał się do niej. Szczerym, troskliwym śmiechem ojca dumnego z własnej córki.

– Mój Boże... – Zakołysała się na piętach. – Shadd-yah.

Rozdział 57

Puerto Bello

rok 1667

Liam i jego oddział przepłynęli zatokę w trzech pinasach. Wylądowali na mulistej, żwirowej plaży pod osiedlem Puerto Bello, wznoszącym się na niskim wzgórzu. Szli w górę głównej ulicy osady: porytej koleinami drogi gruntowej biegnącej ze wschodu na zachód, od Castillo Santiago do Puerto Bello i małego ryneczku miejskiego, nad którym wznosił się jedyny w osadzie kościół. I właśnie wtedy Liam zobaczył Rashima, który dumnie maszerował w jego stronę wzdłuż gościńca na czele małej armii pirackich zabijaków i stracenców.

Dostrzegł Liama i posłał mu promienny uśmiech.

– Liamie! Dobry Boże! To jak odbieranie cukierka śpiącemu dziecku! – Położyli sobie dłonie na ramionach i uścisnęli się po męsku.

– Jezu! – roześmiał się Liam. – Nie oddaliśmy ani jednego strzału! Myśleli, że dokonujemy prawdziwego desantu i się zwyczajnie poddali! Niesamowite! – Spojrzał w górę nieutwardzonej drogi, na niskie mury Castillo Santiago. – A wy? Słyszałem kilka wystrzałów.

– Nasz francuski snajper zjął kilku ich oficerów. – Rashim wzruszył ramionami z lekkim poczuciem winy – gdy, hmm... gdy negocjowaliśmy warunki. Nie jestem z tego szczególnie dumny. Ale to było niezbędne – dodał szybko. – Po co komu wielki rozlew krwi.

Prowadzili swoje oddziały w stronę rynku – piraci szybko złali się w jedną kolumnę wiwatujących, paplających, podekscytowanych żeglarzy. Gdy przechodzili obok parterowych domów, tynkowanych gliną i pokrytych białą,

łuszczącą się farbą, okiennice szybko zatrzaskiwały się z hukiem. Jadący przed nimi na ośle stary, kudłaty mężczyzna pociągnął za lejce i zmusił oporne zwierzę do skrętu, byle szybciej zniknąć im z pola widzenia.

– Miejsce wygląda na opuszczone – rzekł Liam.

– A skąd, są tutaj... chowają się po domach. – Rashim zerknął na ich łajdaczą armię. – Całkiem słusznie.

– Nie inaczej.

Gościniec wychodził na mały plac przed miejscowym kościołem: niewielki płachetek porytego koleinami, spieczonego słońcem podwórka, pełen kurczaków i kogutów, z kamiennym okręgiem studni w centralnym miejscu. Bukanierzy rozbiegli się po placu, przeczesując go w poszukiwaniu towarów, które mogliby ukraść. Liam usłyszał piśnięcie kurczaka i zobaczył Kuchcika, który trzymał w dłoniach machające skrzydełkami stworzonko. Pisk urwał się, gdy Kuchcik ukreślił ptakowi łepkę i wrzucił ciało do przewieszanej przez ramię torby.

„Musimy utrzymać dyscyplinę wśród ludzi”.

Piraci rozproszyli się, wbiegali w uliczki, penetrowali zaułki pomiędzy chałupami, wtykali głowy między otwarte, nierozbite okna. Szukali łupów. Albo gorzej. Nie sposób było dyskutować z faktami: zdobyli osadę Puerto Bello, co z tego, że wystarczyło do tego tylko kilka wystrzałów. Korsarze poczuli się pogromcami, zdobywcami... dlatego całą uwagę skupili na poszukiwaniu tego, co im się słusznie należało – owoców zwycięstwa.

– Rashimie?

On też to zrozumiał. Osłonił dłońmi usta i krzyknął:

– Panowie! To nie miasto stanowi nagrodę. Nic tu nie ma!

Wszystkie głowy gwałtownie odwróciły się w jego stronę, poczuł na sobie pałający wzrok ludzi, zobaczył otwierające się usta, gotowe wykrzyknąć grad obelg.

– Nagroda, panowie, jest tam! – oznajmił, wskazując miejsce za placem, na końcu drogi wiodącej na przeciwległy kraniec osady, na szczyt łagodnego zbocza, gdzie majaczył niewielki plac budowy. Sterty kamiennych bloków

wykutych z pobliskich raf koralowych, worki piasku i bele drewna, zarys drewnianego rusztowania biegnącego wzdłuż odcinka, na którym wyrastał wysoki mur.

– Ostatni fort, San Geronimo... to tam zgromadzono wszystkie zapasy złota, srebra. Leżą w skarbcu. Czekaają, aż je wyjmemy. – Sto głów obróciło się jednocześnie, by spojrzeć na pagórek. – A zatem... na co jeszcze czekamy... bracia?

Bukanierzy ryknęli w zachwycie, wielu obojętnie rzuciło na ziemię mało wartościowe przedmioty, które chcieli zagrabić i rażno pomaszrowali z rynku ku wzgórzom San Geronimo.

Rashim spojrzał na Liama i mrugnął.

– Chyba zaczynam chwytać, jak to się robi.

Dziesięć minut później, kiedy wspinali się łagodnym zboczem, brodząc w sięgającej kolan trawie, przypiekani promieniami mocno prażącego tego ranka słońca, rozbrzmiała salwa ognia muszkietowego.

Liam usłyszał pszczeli szum śmigających kul, łagodny perkusyjny trzask, gdy kilka z nich sięgnęło celu.

– PADNIJ! – ryknął. Wszyscy rzucili się na ziemię, w brzęku szabel, kordelasów, muszkietów i garłaczy rozbrzmiało kilka przekleństw.

Liam odwrócił się do Rashima.

– Według szpiega Modyforda miało tam nikogo nie być, tak?

Mrużąc powieki, przebijali wysoką trawę, próbując dostrzec szczegóły nieukończonyj przedniej ściany cytadeli. Pomiedzy belkami podporowymi rusztowania i stosami kamieni koralu migaly jasnoniebieskie mundury z zolnymi mankietami i kołnierzami.

Rashim przygryzl warge.

– Hmm... to by bylo na tyle, jezli idzie o „inzyniera wojskowego i siedmiu pomocnikow”.

– Zolnierze... nie moze byc ich tam duzo. – Liam zmruyl oczy, przywolujac w pamieci obraz nierownego, nieukozonego muru, na ktory patryl, zanim rzucil sie na ziemie: kilkanaście pióropuszy dymu, na pewno

nie więcej niż osiemnaście. – Mniej niż dwadzieścia – powiedział szybko. – Teraz możemy ich pogonić... zanim skończą przeładowywać!

Rashim w zamyśleniu podrapał podbródek.

– Teraz, Rashimie... nie za pół minuty. Teraz!

– Dobrze... tak.. okej, my...

Liam nie tracił czasu. Poderwał się na równe nogi.

– Na nich, chłopcy! – Ruszył biegiem, próbując pokonać ostatnie dwadzieścia metrów wzgórza. – NA NICH!

Kołysząca się trawa eksplodowała rykiem, wyskakiwały z niej kolejne głowy i ramiona, ludzie podrywali się na równe nogi, wrzeszcząc i wyjąc radośnie, jak klasa znudzonych uczniów wypuszczonych na słoneczne podwórko po całym ranku nudnych lekcji.

Rashim niechętnie podniósł się na klęczki, zastanawiając się, dlaczego ci ludzie tak ochoczo, z dziecięcą radością, popędzili prosto na wroga, skoro jedna rana – jedno skaleczenie! – mogło w tych czasach wywołać zakażenie i powolną śmierć w gorączce i agonii... „Z czego tu się cieszyć?”

Na czele dostrzegł Liama, z kordelasem w ręku wywijającego nad głową zamaszyste pętle i szeroko otwierającego usta, by krzykiem dodać otuchy kompanom. Zazdrościł mu. Zazdrościł młodzieńcowi tej niedawno odkrytej nieustraszoneści. Boże, jak on mu tego zazdrościł!

Rozdział 58

Port Royal, Jamajka

rok 1667

Sir Tomasz uważniej popatrzył na stojącego przed nim łachmaniarza.

– A zatem, mówiłeś, że nazywasz się Jamieson?

Jamieson, przestępując z nogi na nogę, uśmiechnął się nerwowo.

– Tak jest, wasza lordowska mość. Jamesey, tak mnie wołają chłopcy.

Gubernator dokładnie oblizał palce z soku mango i oparł na nich podbródek.

– I jesteś absolutnie przekonany? Mówisz prawdę?

– Ależ oczywiście, Wasza Miłość. Te Negry ze statku należą do ciebie, panie. Na rękach mają odbity pański znak. Widziałem na własne oczy.

– Muszę mieć pewność, że to moja własność, Jamieson. Opisz ten znak.

Jamieson przymknął oczy i skupił się. Widział go wiele razy. Negrzy starali się ukryć znamię wypalone na ramieniu, obwijali je szmatami, ale praca na pokładzie statku i całkowity brak prywatności sprawiały, że każdy cal kwadratowy ciała był od czasu do czasu odsłaniany.

– Była to pierwsza litera twego nazwiska, panie, „M”. Z doprawioną koroną. Na szczycie litery.

Sir Tomasz powoli skinął głową. „M” w koronie to jego osobisty projekt, z którego był dość dumny: litera „M” pochodziła od nazwiska rodowego, korona symbolizowała oczywiście lojalność wobec króla. Prosty, charakterystyczny wzór; wypukłe linie przepalanej i zabliźnionej tkanki doskonale odznaczały się na czarnej skórze niewolników. Łatwo było

zauważyć niewolnika Modyforda.

– I twierdzisz, że na pokładzie „Pandory” jest ich tuzin?

– Tuzin? Tak, wasza lordowskość. Podzielony na dwa statki. „Maddy Carter” i „Pandorę”.

„Tuzin. To by się zgadzało”.

Tylko przez ostatni miesiąc czternastu jego niewolników zbiegło: po prostu zniknęli z plantacji w otaczającej ją dżungli. Ścigający ich zarządcy natknęli się wreszcie na jednego z nich, wyczerpanego i umierającego z głodu, ale reszta dołączyła do rosnącej bandy dzikusów, Kakaowców, zamieszkujących dżunglę Jamajki. Stali się problemem, który należało rozwiązać. Regularnie napadali na wozy dostawcze jeżdżące po drogach łączących plantacje z osiedlami rozsianymi po całej wyspie, zabijając przy okazji woźniców. W przeszłości napaści takie zdarzały się na tyle rzadko, że traktowano je jak okazjonalne niedogodności, ale ostatnio zamieniły się w rosnący problem.

Opowiadano mrozące krew w żyłach historie, że na wyspie Hispaniola wybuchały powstania niewolników, którzy zabijali swoich zarządców i panów. Coś podobnego mogło wydarzyć się i tutaj, gdyby tylko wszyscy niewolnicy urządzili bunt. Dzicy Kakaowcy byli nie tylko zwykłymi rzezimieszkami, ale i potencjalnym źródłem inspiracji dla pozostałych Murzynów harujących w polu. Coś trzeba z nimi zrobić, uznał sir Tomasz. Urządzić obławę i wybić jak wściekłe psy.

Wręczył obdartemu żeglarzowi monetę w nagrodę za cenną opowieść i odprawił. Bez wątpienia miał do wyrównania rachunki z kapitanem Anwarem – podany przez Jamiesona opis piętna nie pozostawiał wątpliwości. Opowieść pirata potwierdzały doniesienia o grupie niepilnowanych, „dziko wyglądających” Negrów, którzy wałęsali się po Port Royal przez kilka dni, jeszcze przed wypłynięciem Anwara z portu.

Sir Tomasz ze złością zagryzł zęby. Jak można przyjmować na pokład niewolników?!

– Mój Boże, co za głupiec, co za błazen! – wyszeptał. Jeśli coś mogło skłonić jego niewolników i Murzynów z innych plantacji na wyspie do

chwycenia za broń i wzniesienia rewolty, to właśnie świadomość, że jakiś nierozważny głupiec, kapitan korsarski rekrutuje Negrów do załogi. Tych Kakaowców ukarze się dla przykładu. Kapitana Anwara i jego irlandzkiego przyjaciela też. Cała zgraja zadynda na stryczku.

A jeśli teraz, pod ich nieobecność, unieważni ich list kaperski, napaść na Puerto Bello zostanie uznana za jawny akt piractwa. A ich łup zostanie w całości skonfiskowany.

Sir Tomasz Modyford uśmiechnął się.

– Innymi słowy... cały będzie mój – mruknął.

Sięgnął po kałamarz i pióro. Jeden, pośpiesznie skreślony dekret pozwalał mu w świetle prawa ukarać pirata i ponownie pokazać, że Negrzy nadają się tylko do pracy w polu: że to dwunożne bestie, które wolno ciemnić. Byłby to ważny sygnał wysłany nie tylko niewolnikom, ale i wszystkim bezkarnym przestępcom, którzy uważali się za morską brać, z ich śmiesznymi liberalnymi poglądami, wybieraniem kapitanów i równością wobec Boga.

Mało tego, pokazałby tym samym królowi Karolowi II, że naprawdę coś robi, aby ukrócić rozpasane korsarstwo na Karaibach.

I oczywiście, co było nie bez znaczenia, wszystkie skarby Puerto Bello – a ekspedycja na pewno przyniesie ich krocie – będą tylko jego.

Rozdział 59

San Geronimo, Puerto Bello

rok 1667

– Co jest z tymi ludźmi? – mruknął Rashim, padając na ziemię obok Liama. – Dlaczego do diabła nie chcą się poddać?

Liama zaprzętała własna ręka. Odłamek kuli muszkietowej rozpruł mu przedramię. Oderwał kawałek materiału z rozdartej koszuli i owinął nim ranę. Krew zastygła już w gęstą skorupę.

– Jak ręka? – spytał Rashim.

– Dobrze. Do wesela się zagoi.

– Podejrzewam, że twoją krew podlano mocnym koktajlem antybiotyków. Rana, którą zadano ci w Rzymie zagoiła się samoczynnie, prawda?

– Tak. Choć piekła jak cholera – odpowiedział Liam, ponownie zaciskając bandaż. Rashim rzucił okiem na rannych, rząd kilkunastu skręcających się w długiej trawie jęczących i skomlaących mężczyzn. Powyżej leżał jeszcze z tuzin martwych. Ranni, w większości od ognia muszkietowego, prawdopodobnie nie przeżyją obrażeń. Przybitki, które latały w pakiecie z kulami muszkietowymi, utkwily głęboko w ich mięsie, a pakuły w połączeniu z bakteriami każdą ranę zamieniają w gnijące, śmiertelne zakażenia. Obrażenia zadane mieczem dla odmiany, choć wyglądały bardziej przerażająco niż mała rozszarpana dziura rany wlotowej, dawały większą szansę przeżycia.

– Co za masakra – powiedział Rashim. – A byłem pewien, że odwaliliśmy już całą brudną robotę.

Liam skinął głową. Potyczka utknęła w martwym punkcie. Po trzech nieudanych szarżach na nieukończone fortyfikacje na wzgórzu, ranek zakończył się patem. Panowała cisza, nie licząc pojękiwania rannych i samotnych trzasków towarzyszących oddawanym z rzadka strzałom.

– Wygląda na to, że nie mamy wyboru – powiedział Liam – trzeba to zrobić.

Rashim westchnął. Odwrócił się w dół wzgórza, objął wzrokiem Puerto Bello i zatokę. Oba statki były mniej więcej we właściwym miejscu, stały zacumowane obok płycizny w zasięgu armat San Geronimo.

Była to ostatnia deska ratunku, z której Rashim nie chciał korzystać. Bombardowanie fortu przypominałoby próbę rozbicia orzeszka laskowego dwuręcznym młotem. – Bóg jeden wie, ile bezcennych kosztowności w tym skarbcu rozprysłoby się przy okazji na kawałeczki.

– To w większości złote i srebrne monety. Przetrwają bombardowanie.

– Skarby Inków, kunsztowne złote posążki, biżuteria. Kto wie, jakie dobra przywieźli z Peru?

Liam wskazał głową mężczyzn klęczących obok, wśród wysokiej trawy i głazów.

– Sądzę, że nasi ludzie nie będą aż tak wybredni, Rashimie. Jeśli znajdą tam złoto i srebro, to ucieszą się nawet z samorodków.

– Hmm... – Sięgnął po flagę rozjemczą, leżącą na ziemi tuż obok. Białą szmatę przedziurawiło kilka kul: zdawało się, że obrońcy są bardziej spragnieni walki niż pertraktacji. – Spróbuję raz jeszcze – powiedział z westchnieniem. Ruchem głowy wskazał okręty, zacumowane w zatoce, burta przy burcie, z dwoma tuzinami dział wymierzonych w cytadelę. – Może ci uparci idioci nie zdążyli jeszcze zauważyć statków.

Pięć minut później Rashim i Liam stali już pod placem budowy w cieniu powiewającej flagi, czekając, aż ktoś wyłoni się spomiędzy cegieł i rusztowania i z nimi porozmawia. Wreszcie pojawiła się czyjaś głowa. Niskiego człowieka w znoszonym, okrwawionym mundurze. Czoło i jedno oko miał owinięte bandażem. Przykuśtykał w ich kierunku, używając

muszkietu jako kuli; jedną z nóg miał owiniętą zakrwawionymi szmatami.

– Jezusie – wyszeptał Liam – nie wierzę, że temu człowiekowi jeszcze się chce.

Wreszcie podszedł do nich, dysząc z wysiłku. Gdy znalazł się bliżej, Liama uderzył jego doskonale przeciętny wygląd: był to wychudły mężczyzna w średnim wieku z nierówno przyciętym wąsikiem i łysiejącą głową poznaczoną siatką zadrapań i skaleczeń. Bez munduru i obrażeń wyglądających jakby przed chwilą wyszedł przez bramy piekieł, można by go było wziąć za zwykłego kasjera w banku, skromnego szewca z zakładem w bocznej uliczce, portiera hotelowego, pucybuta. Nie wyróżniało go nic szczególnego, co wskazywałoby na to, że dobry zeń materiał na oficera.

Rashim przemówił pierwszy.

– Rozumiesz po angielsku?

Mężczyzna skinął głową.

– Tak, mówię dobry angielski.

– Kapitan Rashim Anwar. A to mój partner, kapitan Liam O’Connor.

Hiszpan grzecznie pokiwał głową.

– Kapitan Raoul García.

– Proszę posłuchać, panie García – rzekł Liam. – To wszystko trwa już wystarczająco długo. Pan i pana ludzie walczyliście honorowo. – Popatrzył za siebie, na odległy zarys fortów po obu stronach zatoki. – Dużo bardziej honorowo, ośmielę się dodać, niż tamci oficerowie i żołnierze.

García się uśmiechnął.

– Nie jestem żołnierzem. Jestem inżynierem. – Skromnym gestem skulił ramiona. – Tytułu „kapitan” używam tymczasowo, na potrzeby budowy tego fortu.

– W takim razie zawstydził pan prawdziwych oficerów. – Liam postąpił krok do przodu. – Dlaczego się nie poddacie, sir? – spytał. – Dziś rano poległo wystarczająco dużo ludzi, po waszej i naszej stronie.

– Mam w obowiązku strzec własności mojego króla.

– Widzisz pan tamte statki w zatoce, panie García? – Rashim odsunął się o krok na bok. – Pański fort znajduje się teraz w ich zasięgu.

– Tak – skinął głową. – Już je widziałem.

– My, hmm... naprawdę wolelibyśmy tego uniknąć, ale jeśli się nie poddacie wydam rozkaz ostrzału San Geronimo. Zbombardują was. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem.

– Cytadela zostanie zrównana z ziemią... pan, pańscy ludzie, wszyscy zginiecie.

– Rozumiem... ale moi ludzie i ja jesteśmy na służbie.

– Proszę posłuchać – rzekł Liam – dlaczego nie rozmówi się pan ze swoimi żołnierzami? Damy wam dziesięć minut. Niech mają wybór. – Liam spojrzał na Rashima, który skinął głową. – Jeśli się poddacie, nie skrzywdzimy ani nie oddamy w niewolę żadnego z pańskich podopiecznych. Właściwie – Liam podrapał się po opatunku na przedramieniu – wszystkich, którzy zechcą do nas dołączyć... w tym i pana, kapitanie García, powitamy z radością i podzielimy się częścią łupu. – Uśmiechnął się. – Wszyscy jesteście odważnymi ludźmi, dobrymi wojownikami, już to udowodniliście.

Inżynier grzecznie skinął głową.

– Dziękuję, ale jestem zmuszony odrzucić waszą ofertę. Przekażę ją jednak moim ludziom.

– Wystrzał z garłacza to znak, że czas na naradę dobiegł końca – rzekł Rashim.

– Rozumiem. – Odwrócił się i kuśtykając, ruszył o kulach pod górę, do fortu. Odprowadzili go wzrokiem, aż zniknął z pola widzenia wśród sterty materiałów budowlanych.

– To dopiero odwaga – rzekł Liam. – Prawdziwy hart ducha.

Rashim skinął głową.

– Śmierć na służbie... w moich czasach uważano to za głupią, staromodną pozę. – Wyciągnął skórzany bukłak, odkorkował go i napił się wody. Od drugiej połowy dwudziestego wieku wojna, Liamie, stała się czymś bardzo...

odległym. Żołnierze kwaterowali w komfortowych, klimatyzowanych centrach dowodzenia, zdalnie sterując dronami, wyznaczając trasy i cele dla oddziałów bojowych klonów. Jak w symulacji. Zupełnie jakby grali w komputerową grę wojenną dla dzieci. – Podał bukłak Liamowi. Ten wziął go i wciągnął kilka głębszych łyków.

– W moich czasach żołnierka nie była honorowym zajęciem, Liamie. Nie wiązała się z odwagą ani honorem. Sprowadzała się do wyznaczania celów i odsetka trafień.

Liam oddał bukłak Rashimowi.

– Chciałbym, żeby się poddał. Nie jestem pewien, czy się do tego zmuszę.

– Nie mamy wielkiego wyboru. Nasi ludzie nie zaatakują ponownie fortu... i nie zawahaliby się nas zlinczować, gdybyśmy teraz odeszli z pustymi rękami.

Dziesięć minut ciągnęło się jak godzina. Wreszcie czas pertraktacji dobiegł końca, ale z fortu nie dobiegały żadne odgłosy. Rashim wyjął wciśnięty za pas pistolet, wsypał do lufy odmierzoną miarkę i ubił ją. Odciągnął kurek.

– Oby to wszystko okazało się tego warte – mruknął i wystrzelił w powietrze.

Echo wystrzału rozniosło się po całym wzgórzu, jęzor dymu, pchany przez ospały wietrzyk, popłynął ponad łagodnie kołyszącą się trawą. Liam żywił rozpaczliwą nadzieję, że odgłos wystrzału okaże się nieodwołalnym bodźcem, który ostatecznie skłoni przeciwników do wyjścia z rękami uniesionymi w powietrzu. Zamiast tego ujrzał przebłysk jasnyniebieskiej bluzy wśród białych koralowych kamieni; ktoś zajmował pozycję, przygotowywał się do ostatecznej rozgrywki.

– Jezu, Rashimie... czy my to naprawdę zrobimy?

– Nie pozostawili nam wielkiego wyboru. – Włożył pistolet z powrotem za pas, odwrócił się w dół zbocza, ku zacumowanym w zatoce statkom i zamachał rękami. Stary Tom miał wszystko obserwować przez lunetę.

Czekali. Na pokładzie „Pandory” Liam dostrzegał jedynie pojedyncze kolorowe plamki, bluzy nielicznej załogi pozostawionej na statku. Zdawało

się, że panuje na nim krzątanina. Rashim po raz kolejny zamachał rękami.

– Daj spokój – mruknął Rashim. – Obudź się, ty...

Z dzioba statku eksplodował pióropusz białego dymu, a za nim następny, i kolejny – pierwszy grzmot dotarł ich uszu sekundy później. Liam usłyszał świst przechodzącego ponad głową wystrzału, świst, który brzmiał jak brzęk wirującego śmigła. Później uderzenie. I kolejne grzmotnięcie w nieukończony mur, w powietrze wzbił się deszcz koralowych odłamków i drewnianych drzazg.

Zanurkowali w długą trawę, gdy ostre jak brzytwa kawałki koralowych kamieni oderwały się i poleciały w ich stronę, a niskie mury cytadeli zniknęły pod gęstniejącą mgłą spienionego kurzu i odłamków. Pierwsza salwa dwóch tuzinów kolubryn ustała. W pełnej oczekiwania ciszy czekali, aż działa zostaną przeładowane i patrzyli, jak powoli opada pył; Liam wciąż miał nadzieję, że pierwsza salwa ostatecznie przekona Garcíę i jego ludzi do wyjścia na zewnątrz.

Rozdział 60

Nowy Jork

rok 2025

Szła za nimi na północ przez Greenwich Village, wzdłuż Broadwayu i z powrotem w kierunku Times Square. Papaji i Saleena Vikram chłonęły odgłosy i zapachy Nowego Jorku. Wspólny dzień ojca i córki. Popołudnie odpływało, zamieniając się w wieczór; Sal patrzyła, jak wchodzi na kolację do lokalu jednej z fastfoodowych sieci. Stała na ulicy wśród przepychających się przechodniów i pobrzękujących dzwonekami rowerów, w rojnym gwarze pojazdów z napędem elektrycznym, otoczona refleksami pulsujących świateł ulicznych, wpatrując się przez brudną szybę na znajomą parę.

Widziała, jak rozsiadają się na przytulnych kanapach obok okna, podnoszą menu i zastanawiają się, co zjeść. Saleena wskazała zdjęcie potrawy i zapytała o coś tatę. Ponownie się uśmiechnął i roześmiał. Podeszła do nich zaganiana kelnerka i szybko przyjęła zamówienie.

Sal poczuła, że po jej policzku spływa łza.

– Chcę być tobą – mruknęła, patrząc jak Saleena Vikram rozmawia ze swoim ojcem, jak wyciąga i ogląda rzeczy, które kupili dziś popołudniu w różnych sklepikach. Jaskrawe ubrania i plastikowe bransolety. Flexizestaw Pikodu, który rozjaśnił jej twarz, gdy odsłoniła pokrywę, włączyła wyświetlacz i zaczęła układać łatwy zestaw puzzli.

Po jakimś czasie znów podeszła do nich kelnerka, tym razem z tacą wrapów z kurczaka, frytek i wysokich tekturowych kubków Pepsi. Sal patrzyła, jak oboje z apetytem biorą się za pałaszowanie śmieciowego jedzenia. Dwoje prawdziwych ludzi w prawdziwym świecie. Żadne tam

potwory, mutanty, dinozaury, hominidy, naziści czy eugeniki. Żadne fale czasu, skłębione fronty burzowe nieskończonych możliwości. Żadna przestrzeń chaosu nawiedzana przez nadpływające zjawy. Nic z tych rzeczy.

Po prostu autentyczna, zwykła scenka rodzinna: kochający ojciec i zadowolone dziecko.

„Są przeszczęśliwi, widzisz, Sal?”

Skinęła głową. Widziała. I chociaż ten świat był skazany na nieuniknioną zagładę, choć toczyła go postępująca choroba, tę dziewczynkę i jej rodziców wciąż czekała dekada lub dwie relatywnej normalności. Zwykłego, rodzinnego życia. Ponieważ... a Sal była co do tego święcie przekonana... jedynym fałszywym wspomnieniem, które tkwiło w jej głowie i nie pasowało do całej reszty, było wspomnienie jej śmierci. Wyglądało to tak, jakby ostatni moment jej życia został wtłoczony do pełnej pamięci trzynastoletniej dziewczynki.

Może Saleena Vikram nie zginie za rok w pożarze, pod gruzami zawalonego budynku? Mogło się to nigdy nie wydarzyć. Może czeka ją kolejne czterdzieści, pięćdziesiąt lat życia... i dopiero wtedy umrze jako stara kobieta podczas pandemii wirusa, jak wszyscy inni.

„O, już nie chcesz uczynić tego, co planowałeś”.

Dręczący głos miał rację. Teraz wiedziała, że nie potrafiłaby się na to zdobyć. Nie potrafiłaby zrobić tego, co konieczne, aby zastąpić dziewczynkę. A nawet gdyby – papaji zorientowałby się, że z jego córeczką coś jest nie w porządku, że się zmieniała. Sal nigdy nie umiałaby być tak szczęśliwa, tak beztroska. Udawałaby. Oszukiwała. Wszystko, co przydarzyło się jej w zeszłym roku – bo wszystko się na to składało – czyniło ją całkowicie inną osobą.

Sal naciągnęła kaptur: wieczór robił się chłodny.

„Saleena to osoba, którą powinnaś być... ale którą nie jesteś, Sal. Jesteś uszkodzonym towarem. Pomyśl o wszystkim, co widziałaś, o swojej wiedzy na temat przyszłości. Czy naprawdę uważasz, że potrafiłabyś zamienić się w beztroską i szczęśliwą dziewczynkę? Nie sądzę. Przecież ty nie jesteś nawet prawdziwym człowiekiem. Nie możesz nią być”.

Te słowa bolały. Ale były prawdziwe.

„Nigdy nie będziesz tą dziewczynką, Sal”.

Otarła łzy spływające po policzkach. Teraz to wiedziała. Nie wymagało powtarzania.

„Ale możesz coś zrobić”.

– Co?

„Dopilnuj, aby Saleena Vikram, jej papaji i mamaji wiedli normalne życie”.

Sal zmarszczyła brwi, próbując się w tym wszystkim połapać.

„Skoro nie możesz żyć jej życiem, dopilnuj, aby jej się to udało, Sal. Czy to nie byłoby coś? Wiedzieć, że gdzieś jakaś wersja ciebie ma wszystko, czego ty sama pragnęłaś. Rodzinę. Normalne życie”.

Rozdział 61

San Geronimo, Puerto Bello

rok 1667

Ruszyli w kierunku mgły: Liam, Rashim i pozostali sprawni piraci z oddziału grabieżczego. Liam zakrył usta i nos apaszką, aby osłonić się przed gryzącym koralowym pyłem, który wirował wokół.

Drewniana konstrukcja rusztowania zamieniła się w stertę połamanego drewna: ziemię pokryła warstwa bieli, jakby nad wzgórzem przeszła śnieżycą. Torowali sobie drogę przez gruzowisko roztrzaskanych bloków kruchego koralu, którego ostre krawędzie kaleczyły kostki i golenie.

Frontowa ściana została unicestwiona, zastąpił ją zagon białych kulek i lśniących kryształków przypominających kruszejącą lodową grań cofającego się lodowca. Wśród idealnej bieli – to tu, to tam – błyskały niepasujące zacieki szkarłatu i blade, spowite pyłem fragmenty rozerwanych ciał, przemielonych przez mrowie wirujących brzytw koralu.

Gdy Rashim przez rzadniejące chmury pyłu wprowadzał piratów na główny dziedziniec cytadeli, w stronę budynku o niskim dachu, Liam klęczał wśród rumowiska. Spomiędzy kamieni u jego stóp wystawały głowa i ramiona kapitana Garcíi. Martwego. Liam starł z twarzy inżyniera kredowobiałą warstwę prochu.

– Głupiec – wyszeptał cicho i zdmuchnął pył z przeszkłonych, rozwartych oczu. – Głupiec.

Heroiczna, kompletnie bezwartościowa śmierć, która nigdy nie zostanie uwieczniona w przypisach podręczników historii, nie mówiąc już o tekście głównym. Nie. Wzmianki tego typu są zarezerwowane dla królów, książąt,

diuków, lordów; głupich arystokratów śniących próżne sny o chwale i skazujących anonimowe masy na niepotrzebną śmierć.

– Po co, kapitanie García? – Potrząsnął głową. – Po to? Tylko po to, żeby chronić rezerwy złota bogatego króla Hiszpanii? – Poza tym było to kradzione złoto i srebro. Nie należało do króla Filipa. Nie do końca. Zostało odebrane setkom pomniejszych inkaskich wodzów. Łup europejskiego monarchy.

Właśnie wtedy Liam usłyszał nawołujące głosy. Ktoś zawył jak wilk. Jeden z piratów zaintonował rubaszną piosnkę, szybko zawtórowali mu inni.

– Panie O’Connor, sir! – dobiegł czyjś krzyk. – Powinien pan to zobaczyć, sir!

– Liamie! Mój Boże! Tutaj! – rozbrzmiał głos Rashima.

Liam wstał i po gruzach wyszedł na podwórze. Po drugiej stronie w łukowatych drzwiach parterowego budynku, pod częściowo zawalonym daszkiem z terakotowych płytek, które opadły na ziemię i się roztrzaskały, stał Rashim. Dwa skrzydła grubych, dębowych drzwi wzmocnionych żelaznymi obejmami wisiały rozwarte na rozcież, wpuszczając do pozbawionego okien, pograżonego w mroku wnętrza popołudniowe promienie słońca. Liam podszedł i stanął tuż przed wejściem.

– Skarbiec?

Szeroki uśmiech Rashima był dziś dla niego nie do zniesienia. Chichotał jak mały urwis, jak łasy na słodczyce obżartuch, który właśnie znalazł skrzynię pełną czekolady.

– Ach tak... och dobry Boże, tak? Wejdz tu, Liamie... wejdz i zerknij!

Po przekroczeniu progu ciemnego wnętrza usłyszał chrobotanie i donośne metaliczne pobrzękiwanie przesypywanych w dłoniach monet, stłumione westchnięcia i zduszone okrzyki przerażenia i radości. Kiedy oczy przywykły do szarzyzny pomieszczenia, wreszcie mógł wyłowić więcej szczegółów. Znalazł się w długiej, wąskiej sali. Po obu stronach ciągnęły się szeregi dębowych i żelaznych szkatuł, kilka już zostało otwartych. Podszedł do jednej z nich. Stał już przy niej Kwami, patrząc szeroko rozwartymi oczami

na lśniącą górę dublonów. Tylko w tej jednej szkatule spoczywała co najmniej tona inkaskiego srebra, stopionego i odlanego do postaci szerokich hiszpańskich krążków. Odbijające się od monet kształty gburowatego, ponurego profilu Filipa IV Hiszpańskiego kłuły Liama w oczy.

Dołączył do niego Rashim.

– Zdaje mi się, że trafiliśmy na prawdziwą kopalnię króla Salomona, Liamie. – Przyjacielskim gestem położył dłoń na ramieniu towarzysza. – No to jesteśmy bogatsi niż sam gubernator Jamajki!

Rozdział 62

Port Royal, Jamajka

rok 1667

– Wygląda, żeś się dorobił komitetu powitalnego – rzekł Stary Tom, wskazując na północne nabrzeże Port Royal.

Rashim wyciągnął lunetę, rozłożył ją i przystawił do oka. W soczewce nierówno zatańczył powiększony obraz portu. „Pandora” zakołysała się łagodnie, gdy przepłynęli ze spienionych wód otwartego oceanu na spokojniejsze wody przystani Port Royal, osłoniętej przez tombolo Palisadoes.

W luncie przemknęło odbicie kilku zacumowanych statków kupieckich, na których trwał załadunek bądź rozładunek bel towaru, tuż nad wodą mignęły gromadki w połowie zanurzonych żółwi, potem w soczewce znów pojawiły się grube jak pnie drzew filary pomostu, a wreszcie refleks krwistego szkarłatu i śnieżnej bieli. Na kładce w dwóch równych rzędach stali na baczność żołnierze. Obok nich dostrzegł powóz sir Tomasza, otwarte drzwi i zarys łydki w pończosze, oświetlonej wpadającymi do środka promieniami słońca.

– Ktoś nas zauważył – rzekł Rashim. – Czeka na nas Modyford ze swoją gwardią honorową.

– Sam zobacz. – Rashim podał Liamowi lunetę.

– Ach, to dopiero... leniwy gnojek! Pozwala ludziom gnić na słońcu, a sam leniuchuje w cieniu.

– Przywilej władzy. – Rashim poprawił mankiety. – Sam bym tak zrobił.

– Mimo wszystko... – Liam oddał lunetę. – Mógłby się choć trochę wysilić, moim zdaniem.

– Panowie? Nie trza nam zachować ostrożności...?

Rashim i Liam spojrzeli na Starego Toma.

– O co chodzi?

– Czy nie lepiej schować Negrów pod pokład?

Liam odwrócił się, żeby spojrzeć na śródokręcie.

John Bucik, Kwami i inni czarnoskórzy żeglarze mocno wyróżniali się na tle pozostałych wiwatujących i wymachujących czapkami i rękoma piratów, którzy tłoczyli się na całej długości relingu.

– Tom ma rację, Rashimie. Powinniśmy popędzić ich pod pokład. – Liam spodziewał się, że partner szybko i zgodnie skinie głową; ostatecznie konfrontacja, upieranie się przy swoim w imię zasad moralnych nigdy nie były jego mocną stroną.

– Nie – odpowiedział. – Pozwólmy im zostać.

– Ha?

– Pozwolimy im zostać. Niech Modyford ich zobaczy.

– Co? Wścieknie się! To jego niewolnicy.

– W takim razie odkupimy ich od niego. – Rashim uśmiechnął się szeroko, szelmowsko. – Stać nas na wykupienie całego portu, Liamie.

– Tak, tak, pewnie nas stać, ale...

– Jesteśmy bogaci, Liamie. Absurdalnie bogaci. A to czyni nas potężnymi i...

– Jesteśmy bogaci, tylko dopóki wszystkie te srebrne i złote monety są w naszej ładowni.

Rashim spojrział nań uważnie. Nie sposób odmówić słuszności temu rozumowaniu. Teraz łup należał do nich, ale gdyby sir Tomasz zechciał rozkazać gwardii, aby weszła na pokład i skonfiskowała ładunek, któż mógłby go powstrzymać?

– Hmm. W takim razie powinniśmy zachować ostrożność – rzekł Rashim.

– Tom?

– Szyprze?

– Wyślij kogoś w łodzi na „Maddy Carter”, niech im powie, żeby czekali w przystani aż do odwołania.

– Doskonale, sir!

Łup – niemal pół miliona sztuk z ośmiu – rozdzielili na dwa statki, w razie gdyby jeden z nich wpadł w kłopoty. Paranoja Rashima okazała się w tym przypadku pomocna.

– Co zatem planujesz? – spytał Liam.

– Poczekamy i chyba, hmm... poruszymy kwestię niewolników. – Wysunął okolony zarostem podbródek. – W żadnym razie nie zamierzam ich oddawać. W moim odczuciu są równoprawnymi członkami załogi. To teraz moi ludzie. Nie jego bydło.

– Doprawdy, godne podziwu. – Liam po raz kolejny spojrzał na coraz bliższe nabrzeże, żołnierzy, około trzydziestu stojących na baczność ludzi. – Ale na pewno nie bez powodu zabrał ze sobą żołnierzy, Rashimie. Chyba mamy problem.

– Spokojnie. Rozmówię się z nim. Dostanie za swoich niewolników odpowiednią cenę i piękny, dwudziestoprocentowy udział w łupie. – Białe zęby Rashimia błysnęły w ciemnej szczecinie zarastającej podbródek. – Dziś rankiem będzie bardzo szczęśliwym gentlemanem.

– Dobrze, ale chłopcy i tak powinni przygotować się do bójki... na wszelki wypadek.

– Nie, wszystko pod kontrolą.

Liam spojrzał na niego.

– Nie żartuj... Rashimie, każmy chłopcom nabić i przygotować muszkiety. Na wszelki wypadek.

Przez moment, ulotną chwilę, Liam widział, że twarz towarzysza rozjaśnia błysk irytacji, może nawet gniewu.

– Przypomnij mi. Kto tu jest kapitanem?

– My, Rashimie. Obaj. Pamiętasz?

– Hmm... no więc oficjalnie kapitanem jestem ja. Ludzie wybrali mnie, Liamie, nie ciebie, na dowódcę tego...

– Rashimie, to chyba nie jest najlepszy moment, aby kłócić się o to, który z nas jest szefem wszystkich szefów, co? Radzę tylko, żebyśmy się przygotowali. Na każdą ewentualność!

Irytacja błąkała się na twarzy Rashima odrobinę dłużej, po czym rozplynęła się i zastąpił ją smutny uśmiech.

– Tak, tak... może masz rację. – Skinął głową, niemal przeprasząco. – Zajmiesz się tym w takim razie?

– Tak jest – Liam odwrócił się i zsunął po drabinie na główny pokład, aby dopatrzeć załadunku i dyskretnej, potajemnej, ale szybkiej dystrybucji muszkietów. Byłoby lepiej, gdyby Pasquinel znajdował się na pokładzie tego statku. Niestety został na „Maddy Carter”. W dalszym ciągu na „Pandorze” znajdowało się co najmniej siedmiu mężczyzn, którzy byli w najgorszym razie przyzwoitymi strzelcami potrafiącymi zachować zimną krew w krytycznej chwili. Wyławiał ich spośród wiwatującego tłumu tłoczących się na całej długości kadłuba piratów, delikatnie klepiąc po ramieniu i szybko wyjaśniając, że triumfalny powrót do domu może okazać się kapkę skomplikowany.

Żagle „Pandory” opadły, ale statek siłą rozpędu pokonał jeszcze blisko pół mili i zatrzymał się kilkanaście metrów od drewnianego nabrzeża. Wtedy z dziobu i rufy na brzeg rzucono liny. Chwyciły za nie dwa zespoły robotników portowych i wykrzykując zgodne „ahoj”, przyciągnęły statek do brzegu. Na tyle blisko, aby podnieść z nabrzeża długi trap okrętowy, oprzeć go o reling niskopokładowej „Pandory”, a następnie dobrze przywiązać.

W momencie gdy skończono mocować trap, Liam wydał ostatni naładowany muszkiet.

– Nie afiszujcie się z tym – szeptał kolejno chłopcom. – Czekać na rozkaz, jasne?

– Sir Tomaszu! – Krzyknął Rashim z pokładu rufowego. – Ucieszy pana

wiadomość, że atak na Puerto Bello zakończył się spektakularnym zwycięstwem.

Modyford wreszcie wyszedł z kolasy na słońce. Poprawił perukę i zmrużywszy oczy, spojrział na reling statku, potem burknął coś do kapitana gwardii. Następnie zwrócił się do Rashima.

– Kapitanie Anwar! – krzyknął. – Jak dobrze widzieć pana z powrotem.

Liam wychwycił lodowaty ton w głosie mężczyzny.

– Jakże to? Czemuż nikt nie zaprosi mnie do wejścia na pokład?

– Ach... tak, ta, oczywiście! Proszę. Zechciej wejść, sir.

– Ależ dziękuję! – Modyford kurtuazyjnie skinął głową. – Proszę przodem, poruczniku Hamshaw.

– Tak jest, sir. – Ponury oficer wydał rozkazy ludziom. Ci szybko wbiegli po trapie i przez reling statku wskoczyli na śródokręcie, tworząc ochronny, skierowany do zewnątrz pierścień muszkietów, które wraz z załadowanymi bagnetami unieśli na wysokość biodra.

Sir Tomasz Modyford powoli wszedł po mostku i podał dłoń porucznikowi Hamshawowi, który pomógł mu przy nieporadnym schodzeniu na pokład.

Rashim zsunął się po drabinie i niepewnie podszedł do żołnierzy.

– Hmm, sir Tomaszu, czy to... yrrr... naprawdę konieczne? – Próbował wykrzesać odrobinę nonszalancji w głosie. – Ostatecznie jesteśmy partnerami handlowymi, czyż nie?

Modyford najeżył się na tę poufałość.

– Ja, drogi panie, nie mam w zwyczaju utrzymywania relacji handlowych z pospolitymi złodziejami, kłamcami i łotrami.

Liam i Rashim spotkali się wzrokiem. „Uważaj, stary”. Irlandczyk zyskał pewność, że podczas ich nieobecności coś się wydarzyło.

„Coś się tu zmieniło”.

– Złodziejami... mówisz, sir Tomaszu?

– Słyszałeś mnie pan doskonale. Z przekłętymi złodziejami.

Liam zerkał na osobiście wybranych ludzi. Spoglądali na niego

przyczajeni w różnych rogach i zakamarkach przy skraju pokładu, czekając na jakiś znak. Teraz?

– Ukradliście moją własność i schowaliście na pokładzie waszych statków.
– Modyford wybrał jednego ze stojących obok piratów. – Ty! Negrze! Pokaż rękę!

Korsarz sprawiał wrażenie przerażonego. Szaleńczo potrząsnął głową, ale sir Tomasz nie był w nastroju na takie podchody. Przeszedł przez pokład, mocno chwycił mężczyznę za nadgarstek i podniósł luźny rękaw koszuli.

– Proszę! Mój znak! – Spiorunował Rashima wzrokiem. – A ty, panie! Wyraźnie zapewniałeś mnie, że Negrzy należący do tej załogi to hiszpańscy niewolnicy!

– Ja... najwyraźniej się myliłem, sir Tomaszu.

– Myliłeś się pan? Nie, sir... pan kłamał!

Rashim po raz kolejny spróbował zdobyć się na nonszalancję.

– Ach... – Zachichotał nerwowo. – Cóż znaczy małe kłamstewko pomiędzy przyjaciółmi?

„O nie... zły ruch” – Liam potrząsnął głową.

– CO?! – ryknął Modyford. – Dobry Boże, nie jesteś pan moim przyjacielem! A już na pewno nie współnikiem czy partnerem handlowym! Jesteś złodziejem, sir! Pan i pańska załoga jesteście nadto winnymi aktu piractwa...

– Piractwa? Ależ... ależ mamy list kaperski, własnoręcznie przez pana podpisany, sir...

– Nic nie macie! – Modyford szybko odwrócił się do porucznika Hamshawa. – Poruczniku?

– Sir?

– Zaaresztuj tego mężczyznę!

Liam wziął głęboki oddech.

– Do broni!

Tuzin mężczyzn szybko przemieściło się po pokładzie z towarzyszeniem

metalicznego brzęku i chrobotania muszkietów, które wyjmowano z kryjówek i opierano o barki, mierząc w żołnierzy. W odpowiedzi Hamshaw wydał rozkaz.

– Do broni i na cel.

Żołnierze też podnieśli muszkiety, celując w członków załogi trzymających broń.

– Celujcie w gubernatora! – krzyknął Liam.

Modyford z przerażeniem wybałuszył oczy, gdy lufy muszkietów przeniosły się na niego.

– Co to u diabła ma znaczyć?

– Jeśli dziś rankiem ktoś wystrzeli, sir Tomaszu – odezwał się Liam – jest więcej niż prawdopodobne, że co najmniej jeden strzał dosięgnie ciebie!

Modyford dyszał jak szalony, wydmuchiwał przerażenie długimi, astmatycznymi, świszczącymi oddechami. Liam dostrzegł ciemną plamę rosnącą na jego bryczesach.

– Sir, moi ludzie już wymierzili! Na rozkaz, sir?

– Nie! Stać! S-stać na miejscach!

Śródokręcie zastygło jak misterna płaskorzeźba z wieloma bohaterami. Scena przypominała Liamowi obraz historyczny przedstawiający słynną bitwę morską, stopklatkę historii. Panowała cisza, nie licząc rwanego oddechu kilku tuzinów mężczyzn znajdujących się na tyle blisko siebie, że każda kula musiała kogoś trafić.

Klincz.

– Ośmielę się zasugerować – powiedział Rashim – abyś, panie, wraz ze swymi ludźmi wrócił tą samą drogą, którą przyszlście i byście opuścili ten state...

– Ułaskawię wszystkich, którzy opuszczą broń! – krzyknął Modyford. – Łaska! Słyszeliście?

– Złażże ze statku! – ostro krzyknął Rashim. – Teraz!

Może gdyby akurat wtedy nagle, niespodziewane i ostre dmuchnięcie

powietrza nie zmierzwiło żagli, nie poruszyło luźnymi rękawami lnianych koszul, jedwabnymi szalami i koronkowymi krezami stojących nieruchomo ludzi – wtedy być może wydarzenia potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Ułamek sekundy przed chwilą, gdy pierwszy niespokojny, spocony palec instynktownie zareagował na zaskakujący podmuch i rozbrzmiał pierwszy wystrzał muszkietu, Liam kątem oka złowił dziwny kształt błyszczący w powietrzu. Ale szybko o tym zapomniał, bo nad wąskim pokładem wydymał się już pierwszy pióropusz szaroniebieskiego dymu.

Wybuchła kakofonia muszkietowego ognia. Liam poczuł na policzku świst pocisku, który wyleciał z mgły. Usłyszał sapnięcie, ktoś w oparach dymu dostał kulkę w klatkę piersiową, ktoś inny krzyczał, ktoś wołał na alarm.

Salwa ognia ustała, ale gęsty dym nie opadał. Liam słyszał stukot kul toczących się w dół podniesionych luf, gorączkowy chrobot wyciorów.

Porucznik Hamshaw krzykiem rozkazał żołnierzom, aby uformowali wokół niego szyk. Modyford wydzierał się w panice. Brzęknął i zadzwonił kordelas sparowany bagnetem żołnierza.

Dym zrzędził do postaci ulotnych kłębow, przez które Liam widział, że walka przerodziła się w niekontrolowaną młóckę nad wijącymi się ciałami tych, którzy dostali salwę ognia. W takim ścisku nikt nie miał czasu, by przeładować broń. Reszta załogi zdecydowała rzucić się w wir walki z każdą dostępną pod ręką bronią: siekierami, nożami, siekierami abordażowymi i korbami do kabestanu.

Ludzie Hamshawa zbili się w obronny krąg wokół Modyforda i szurając nogami, wycofywali się przez pokład w stronę trapu. W gęstwinie bijatyki Liam dostrzegł wielką postać Kwamiego, który wymachiwał toporem o długim trzonku, napierając na kilku żołnierzy i próbując rozpaczliwie wyrąbać sobie drogę do byłego właściciela. Ale Modyford wszedł już na nadburcie i właśnie schodził na trap.

Ogarnięty wściekłością Kwami cisnął weń toporem, w nadziei, że zrzuci go z trapu, ale broń przeleciała obok celu, a Modyford zbiegł po desce na nabrzeże.

„Nie pozwól mu uciec”. Człek jest bogaty, wpływowy, ustosunkowany,

a teraz niewątpliwie zdeterminowany, by postawić sobie za główny cel w życiu doprowadzenie jego i Rashima na stryczek. Lepszy martwy niż żywy.

W garłaczu, który Liam wyjął ze skrytki, wciąż tkwiła niewystrzelona kula. Młodzieniec zręcznie wycelował w gubernatora, kiedy ten oparł się o ściankę karocy, i odpalił. Pocisk odbił się rykoszetem od kolasy tuż przy głowie Modyforda, zalewając policzki mężczyzny żądlącymi odpryskami drewna. Kiedy ten odwrócił się błyskawicznie i spojrzał na Liama, bujna, kasztanowa peruka spadła mu z potylicy.

Gwardziści, idąc za jego przykładem, też zaczęli się wycofywać; kilku stojących najdalej przerzuciło nogi nad relingiem i potykając się, zbiegło w dół trapu, kilku innych po prostu przeskoczyło przez burtę.

– Szlak by ich wziął! Niech uciekają! – krzyknął Rashim. Rozejrzał się za Starym Tomem. Szybko go zauważył. – Tom? Musimy ruszać... teraz!

Kwatermistrz skinął głową.

– Odciąć ją z dziobu i rufy! – ryknął przez złożone dłonie. – Wszyscy do żagli! Odpływamy!

Ktoś machnął ostrzem i przeciął liny spinające trap, po czym kopniakiem zrzucił mostek z nadburcia. Trap ze stukotem spadł do wody pomiędzy dziobem a nabrzeżem. Przecięta przez jednego z piratów dziobowa lina cumownicza śmignęła w powietrzu. Przestrzeń pomiędzy statkiem a nabrzeżem zaczęła się natychmiast poszerzać.

Liam zaczął przeładowywać pistolet, ale Modyforda zasłonili gwardziści, tworząc wokół gubernatora zwarty krąg. Dostrzegł jednak jego twarz: policzek zalany krwią, pokrytą strupami wystawioną na słońce czaszkę oraz grymas wściekłości wyglądający jak ziejąca w twarzy rana.

– DOPADNĘ WAS, KUNDLE! – ryknął ze wzrokiem wciąż wbitym w Liama. – WEZWĘ KRÓLEWSKĄ MARYNARKĘ I WAS DOPADNĘ!

Przecięta przez jednego z piratów rufowa lina cumownicza strzeliła jak pejcz i „Pandora” zaczęła obracać się i odpływać z rosnącą prędkością. Żagiel nad Liamem rozwinął się i jął hałaśliwie łopotać. Nabrzeże szybko się

oddalało. Piskliwy głos Modyforda, niosący ponad wodą obietnicę rychłej śmierci na stryczku, wypatroszenia i poćwiartowania, również zaczynał cichnąć.

Rashim stanął obok Liama, obserwując odzianych w czerwone mundury żołnierzy, którzy ustawili się teraz w szeregu wzdłuż skraju nabrzeża. Kończyli ponowne ładowanie muszkietów i chowali wyciory. Hamshaw uniósł szablę, gotowy wydać komendę.

– SCHOWAĆ GŁOWY, CHŁOPCY! – krzyknął Liam. Pociągnął Rashima za sobą, akurat gdy żołnierze wystrzelili salwę pożegnalną. Reling tuż nad czubkami głów roztrzaskało kilka przyzwoicie wymierzonych strzałów. Opadł na nich deszcz drzazg. Reszta kul muszkietowych śmignęła nieszkodliwie nad pokładem.

Obaj powoli wstali. Liam wybuchnął nerwowym śmiechem.

– Hej! Łajzy! Spudłowaliście!

Rashim potrząsnął głową i cmoknął z dezaprobatą jak nauczyciel rozczarowany pupilem.

– Przestań, to dziecinne.

Rozdział 63

Nowy Jork

rok 2025

Kilka zakurzonych, pokrytych pajęczyną kątów w bazie wyglądało prawie tak samo, jak zapamiętała. Jakby opuścili ją wczoraj. Pomieszczenie na zapleczu też wyglądało bardzo podobnie. Brakowało oczywiście generatora, próbek wzrostowych. W kącie zalegała sterta spłaszczonych pudełek, w miejscach przesączania wody spód tektur zamieniał się w brązową, rozmokłą ściółkę.

Sal precyzyjnie się do głównego pomieszczenia. Ewidentnie korzystała z niego jakaś inna firma, albo i kilka firm, sądząc po przeróżnych znakach bytności. Ktoś przykładowo próbował pomalować ceglane ściany na biało, ale zaprawa i cegły były tak kruche, że ekipa remontowa szybko dała sobie spokój. Ktoś wymienił jarzeniówkę przy suficie – tę, która zawsze tak irytująco migotała – na energooszczędną żarówkę halogenową.

Ścianę, przy której stał kiedyś stół komputerowy, monitory i obudowy jednostek centralnych, podierały teraz korkowe tablice, na których, warstwa na warstwie, wisiały przypięte kawałki papieru. Sal przyjrzała im się z bliska. Do korkowej powierzchni zszywaczem przypinano ulotki, reklamy imprez i broszurki. Wyglądało na to, że ostatnią firmą z siedzibą w tym lokalu była jakaś drukarnia ulotek i plakatów ulicznych.

Małą, łukowatą wnękę, w której stały ich łóżka piętrowe, wypełniało teraz kilka wielkich blaszanych koszy na śmieci z kółkami. Uniosła pokrywę i skrzywiła się z powodu ulatniającego się zapachu rozkładu.

„To był nasz dom. Kiedyś”. Ale teraz był zbeszczeszczony. Dwadzieścia

cztery lata użytkowania przez rój najemców, firm, włóczęgów, narkomanów – nawet miejskich lisów – odbiło swoje piętno.

Cała betonowa podłoga bazy była zupełnie zalana. W kilku miejscach stały płytkie kałuże. Ale nie przez wodę, która sobie tylko znanymi kanalikami zawsze przesiąkała przez tony ceglanej konstrukcji i irytująco skapywała na podłogę. To była woda powodziowa.

Rozchlapując kałużę, przeszła na środek pomieszczenia, po czym nieśmiało włożyła palec w kolistą plamę wody. Miała kilka centymetrów głębokości. Uśmiechnęła się. Płytką wyrwa w betonie, którą regularnie pogłębiał wehikuł translokacyjny.

Powrót do bazy wywołał ciepłe uczucia. Powrót do miejsca, które przez jakiś czas było dla niej swojego rodzaju domem. Miejsca, w którym kiedyś rozbrzmiewało echo donośnego śmiechu Liama, dudniący bas Boba, jazgot rockowej muzyki Maddy, dyskretny furkot pomp filtracyjnych na zapleczu. Miejsce, w którym grali w gry planszowe na skleconej naprędce pomiędzy łózkami piętrowymi imitacji stołu. Miejsce, w którym Liam poznał uroki konsoli do gier Nintendo 64. O tam, tam stał długi stół kuchenny, otoczony kompletem niedopasowanych krzeseł i kilkoma starymi, wytartymi fotelami. Ileż posiłków zjedli przy tym stole? Ileż tam się piętrzyło kartonów pizzy, puszek po napojach, kubelków po makaronie i foo yong.

Uśmiechnęła się. I ile dziwnych rozmów tu przeprowadzili? Troje nastolatków z jakże odmiennych światów. Drużyna żyjąca tutaj, pod tym mostem. Sal przypomniała sobie, z jakim zachwytem słuchała opowieści Liama o pracy stewarda na Titanicu, z jaką fascynacją on sam odnosił się do wszystkich współczesnych wynalazków stworzonych w dwudziestym pierwszym wieku.

A teraz znowu było to wilgotne, puste miejsce pod arkadami. Niebawem, za jakieś pięć lat, zniknie pod powierzchnią wzbierającego oceanu.

Podeszła do podniesionej rolety zewnętrznej. Inna, zauważyła. Pochyliła się i wyszła na uliczkę. Tutaj sceneria specjalnie się nie zmieniła. Pokryty graffiti mur i sterty śmieci zalegające pod ścianą po przeciwległej stronie. Skręciła w lewo, w stronę alejki, z której rozciągał się widok na East River.

Teraz nie było żadnego widoku. Tylko duża betonowa płyta, oparta na szeregu masywnych metalowych wsporników, która wszystko zasłaniała. Tę wysoką na pięć metrów groblę wybudowano wzdłuż brzegu rzeki, aby chronić Brooklyn. Niestety, parę lat temu pękła w kilku miejscach i większa część dzielnicy została zalana. Wody ustąpiły, ale szkód powodziowych nie usunięto. Planowano rewitalizację obszaru i wzmocnienie wałów przeciwpowodziowych, powiększenie ich wysokości, obwodu, masy. Ale zamierzenia umarły śmiercią naturalną, kiedy następnej zimy w Brooklyn znów uderzyły fale.

Poziom oceanu rósł. Władze miasta żadną miarą nie mogły wygrać tej konkretnej potyczki. Sal spojrzała w górę grodzi. Wysoko nad nią ujrzała szare podbrzusze mostu Williamsburg. Nawet on, choć taki potężny, padł ofiarą wzbierających fal. Nie był już używany. Most prowadził do porzuconego Brooklynu, czyli zasadniczo donikąd. Zamknięto go z obu stron.

Z góry nie dochodził żaden szum. Żaden łoskot pociągu przejeżdżającego nad głowami. Już nie. Była to zbudowana z żelaza, cegieł i asfaltu pozostałość po lepszych czasach. Widziała gałązki i liście wystające spomiędzy załamań i spoin żelaznej konstrukcji. Gniazda rybitw i mew.

Kiedy Foster po raz pierwszy wyprowadził ich przed bazę, było już ciemno. Przypomniała sobie, jak schylając się pod roletą, wyszła na zewnątrz, jak się odwróciła i z zachwytu zaparło jej dech. Światła Manhattanu pięknie błyszcząły na spokojnej wodzie. Siedlisko życia i energii. Nowy Jork u szczytu chwały. Noc przed wydarzeniami, w wyniku których te dwie piękne wieże – dumne, obrócone do góry nogami żyrandole światła – rozsypią się w proch.

Teraz, dwadzieścia cztery lata później, miała przed oczyma inny widok – obraz umierającego miasta. Jeszcze nie martwego, ale do którego bram już pukała kostucha.

Sal zastanawiała się, czy odwiedziny tutaj to taki dobry pomysł. Śledziła Saleenę Vikram i jej ojca jeszcze przez jeden dzień. Później postanowiła dać im spokój. W końcu Sanjay Vikram może zauważyć, że wszędzie chodzi za

nimi niechlujnie ubrana dziewczynka, więcej niż trochę podobna do jego córki. Mógłby wezwać policję. A wtedy padłyby pytania, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć. Pewnie wsadzono by ją do psychiatryka, „dla jej własnego dobra”. A wtedy nie miałyby szansy zdążyć na tygodniowe okno powrotne.

O ile w ogóle zamierzała wracać. Sal nie była tego pewna. W głowie wirował mętlik myśli. Przyszła do bazy, żeby poprawić ponury nastrój. Przyszła, łudząc się, że wspomnienia z przeszłości przywrócą uśmiech na jej twarzy. Zamiast tego zobaczyła wymarły dystrykt Nowego Jorku. Martwiczą narośl na powierzchni Wielkiego Jabłka. Brooklyn zamieszkiwały teraz szczury, psy, lisy i prawdopodobnie kilku żyjących na dziko włóczęgów i narkomanów, chowających się na suchszych pierwszych piętrach.

Przybycie tutaj było głupim pomysłem.

Rozdział 64

Port au Prince, Hispaniola rok 1667

Liam przyglądał się ruchliwemu wybrzeżu Port au Prince z pokładu łodzi dobijającej do brzegu.

– Jak dla mnie niczym się to nie różni od Port Royal. Śmierdzi tak samo.

– Tyle że miastem nie rządzą Anglicy. – Rashim spojrzał na Liama. – Co, zważywszy na nasz status zbiegów, stanowi zasadniczą różnicę.

– Zgoda.

Port au Prince było głównym osiedlem na wyspie Hispaniola. Wyspie, która ponad sto trzydzieści lat później zostanie nazwana Haiti. Oficjalnie było to hiszpańskie dominium, ale władza Hiszpanów nad tym terytorium i potrzeba utrzymania tej władzy wygasła w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Wyspę zasiedlili francuscy i holenderscy korsarze, bukanierzy, tworząc kilka nabrzeżnych osad, z których najistotniejszą rolę odgrywało Port au Prince. To za radą Pasquinela zawinęli do tego miejsca. Port stał się zanarchizowaną przystanią dla wszelkiej maści łotrów umykających przed mściwymi gubernatorami i monarchami, których macki oplatały prawie całe Karaiby.

Liam obserwował galimatias drewnianych budynków na palach, gontowych dachów opadających pod różnymi kątami, kosmyków dymu parujących nad niezliczonymi ogniskami. Na długości całego wybrzeża panowała oczywiście krzątanina, nie przypominała ona wszakże zorganizowanego ładunku i rozładunku statków handlowych. Zamiast tego widział przypadkowe grupki ludzi o jasnej i ciemnej karnacji,

w wielobarwnych bluzach i bez koszul; żeglarzy – piratów – reperujących wyciągnięte na piasek pinasy. Po jednej stronie toczyła się walka: przepychały się dwie grupy pijaków. W dalszej części plaży w najlepsze trwało przyjęcie. Migąło ognisko, jęzory iskier lizały wieczorne niebo. Wokół płomieni, potykając się i zataczając, tańczyli biesiadnicy, Liam słyszał skoczny utwór wygrywany na akordeonie i śpiew kilku mężczyzn, którzy nie tylko nie potrafili uzgodnić między sobą słów, ale i melodii.

Nie panował tu nawet w połowie taki porządek jak w Port Royal. Nie było żadnych kamiennych konstrukcji, żadnego centrum miasta, głównej ulicy, widocznych magazynów. I żadnych fortów, które strzegłyby tego wszystkiego.

– Miasto graniczne – rzekł Liam.

– Co?

– Jak w westernach – wyjaśnił. – Kompletna anarchia. Nikt tu nie dowodzi. – Skrzywił się. Oznaczało to, że każdy niezadowolony człowiek z naładowanym pistoletem mógł rozwiązać spór bez obawy, że zostanie skazany za morderstwo. Choć ten sam człowiek miał równą szansę zostać zabity w wyniku podobnych porachunków.

– To coś więcej, Liamie. Więcej niż anarchia. – Rashim się uśmiechnął. Liam dostrzegł refleks ognia w jego oczach, gdy pinasa nieznacznie podskoczyła na falach, a dno zaczęło sunąć po kamienistym dnie, które łagodnie wznosiło się tuż przed brzegiem. – To raj.

– Co masz na myśli?

– To próżnia u władzy. Nie ma tu praw. Marynarki. Milicji. Gwardzistów. Każdy jest tu sobie panem.

Marynarze raz jeszcze zanurzyli wiosła i pozwolili ostatniej leniwej falce z kojącym szurnięciem wyrzucić łódź na miękkiej, biały piasek. Korsarze wyskoczyli z łodzi, rozbryzgując wycofującą się falę. Liam i Rashim zrobili to samo i brodząc w wodzie, wyszli na miękkiej, drobnoziarnisty piasek, ustępujący pod butami niczym dziewiczy śnieg.

Przyjęcie po ich prawej trwało w najlepsze, nikt nie zaszczycił ich jednym

ciekawskim spojrzeniem. Nowi piraci. Wielka rzecz. Potrzeby baraszkania, śpiewu i picia nie mogła zmącić taka błażostka.

Rashim postawił mokre buty na twardszym, suchym piasku. Mocno zaczerpnął haust powietrza, które pachniało jednocześnie zachęcająco i odpychająco: dopływający z bliska, wywołujący ślinkę aromat pieczonej na rożnie świni mieszał się ze smrodem leżącej na piasku góry rozkładających się na słońcu kup i odchodów, spomiędzy której, jak zauważył Liam, wystawała para gnijących ludzkich nóg.

– Cudownie – powiedział, wydawszy wargi.

Rashim zmarszczył nos, zakładając, że Liam mówi o zapachu.

– To pierwsza rzecz, którą tu naprawimy. Higiena.

Liam popatrzył na przyjaciela, który w blednym świetle zmierzchu stał z rękami na biodrach, obejmując wzrokiem gwarny chaos Port au Prince jak generał zwycięskiej armii. Scena ta przypomniała Liamowi film, który widział jeszcze w Nowym Jorku. Kolejny obraz, na który natknął się, gdy skakał pilotem po kanałach telewizji kablowej. Próbował przypomnieć sobie jego tytuł, ale ten nie chciał mu przyjść do głowy. Doskonale pamiętał jednak jedną konkretną scenę... kamera zaglądała do kolejnych pomieszczeń wielkiego domu, po brzegi wypełnionego nastolatkami. W każdym pokoju zdawało się odbywać osobne przyjęcie, wszyscy byli pijani w sztok, mieli rozszerzone źrenice i stracili kontrolę nad sobą. Stroili żarty i grali w gry, głupie gry. Idioci walili czołami w puszki po piwie, próbując sprasować je na płasko, ale zamiast tego rozkrwawiali sobie twarze. „Ot, zwykła impreza w akademiku” – powiedziała wtedy Maddy. Liam nie wiedział, co to takiego, ale ten obrazek... wyglądał bardzo podobnie.

Przypominała mu się również ilustracja, na którą natknął się w jednej z wertowanych książek historycznych i którą analizował przez dobre kilka godzin. Obraz namalowany przez artystę nazwiskiem Bosch. Dzieło nosiło nazwę *Ogród rozkoszy ziemskich*. Była to wizja Nieba i Piekła. Po lewej widniało Niebo: obraz porządku i błogiego spokoju, zieleń falujących pastwisk i wzgórz, piękni ludzie w powiewających jedwabnych szatach, nabożnie oglądający swoje pępki. Po prawej zgoła odmienny widok:

makabryczna scena – groteskowe dziwadła, płonące ogniska i bezkresna, ciemna dzicz pełna odrażających facjat i rechoczących prostaczków.

Taka impreza w średniowiecznym akademiku.

Chłopców nęciły płonące ogniska, wabił ich zapach skwierczącej wieprzowiny.

– Liamie – rzekł Rashim, patrząc, jak odchodzą. – To miejsce jest dla nas idealne. – Odwrócił się do niego, pobliskie ognisko rozświetlało mu oczy, które błyszczały i lśniły jak migocące węgielki w dogasającym piecyku koksowym. Objął Liama ramieniem.

– Czy nie tego szukaliśmy? Hmm? Miejsca, w którym moglibyśmy rządzić jak królowie?

Rozdział 65

Londyn
rok 1889

Maddy nie zauważyła pierwszej, mikroskopijnej fali: była zbyt zajęta sprawdzaniem, gdzie chciałaby przeżyć resztę swojego życia. Przeczesując olbrzymią cyfrową encyklopedię historii świata, żartowała z jednostkami pomocniczymi, które z kwaśną miną siedziały tuż obok.

– Hej. Widzicie? Zupełnie jak turysta szukający wakacji w trybie online.

Bo właśnie tak musiała wyglądać dla kogoś z boku: jak studentka szukająca egzotycznych kierunków, które chciałaby odwiedzić podczas rocznej przerwy między studiami. Starożytny Rzym?

„Niee, tam już byłam, odhaczone”.

Egipt w czasach Faraonów?

„Za gorąco”.

Anglia Tudorów?

„Za dużo ściętych głów”.

Anglia elżbietańska?

„Za dużo spalonych katolików”.

Renesansowe Włochy?

Hmm... spodobała jej się perspektywa noszenia wymyślnych fatałaszków, pomysł spotkania Leonardo da Vinci i zapozowania mu do kilku portretów. Wtedy jednak uznała, że nędzne warunki sanitarne, plagi i odrobinę nadgorliwe prześladowania heretyków trochę ją odstręczają.

Maddy obudziła się tego ranka w lochu całkiem sama, nie licząc

mięso robotów, głupawo wyglądającej jednostki laboratoryjnej i komputera-Boba. Krąg znajomych. Same roboty. W końcu tym właśnie byli, ona też. Sztucznymi inteligencjami takiego czy innego rodzaju. Siedziała więc sama... ale nie samotna. W dodatku w niespodziewanie wesołym nastroju. Zeszłej nocy, gdy komputer-Bob otworzył pierwsze okno powrotne, przeładował system i aktywował dwudziestoczęterogodzinne okno powrotne dla Sal, a ona się nie pojawiła, Maddy zawlokła się do łóżka. Naciągnęła koc na głowę i cicho wypłakiwała łzy, aż zasnęła głębokim snem.

Ale tego ranka... gdy wyszła przez boczne drzwi i patrzyła, jak Holborn budzi się do życia, a w jej nozdrza uderzył aromat świeżo palonych ziaren kawy, zapach dymu drzewnego, swąd nawozu konnego, gdy usłyszała gwizd przejeżdżającej w oddali lokomotywy, uświadomiła sobie, że wciąż ma wilczy apetyt na życie, na eksplorowanie bogactwa historii. Naprawdę było tak wiele do zobaczenia, doświadczenia, posmakowania. Może zabrałaby ze sobą Boba i Beki jako towarzyszy awanturnicznych podróży. Okej, Bob mógł sobie być trochę nadęty, formalny i mało zabawny, ale doskonale sprawdziłby się w roli ochroniarza. A Beki... czy sztuczna inteligencja Beki przypadkiem nie wyluzowała przed jej śmiercią. Średnio z niej rozrywkowa dziewczyna, ale zdobyła się już na kilka lamerskich żartów.

W głowie Maddy zaczęła kształtować się obraz życia, które mogłaby prowadzić. Życia po agencji, po byciu Jeźdźcem w Czasie... a zaczynało to wyglądać zachęcająco. Przypominałaby tę dziwną postać z brytyjskiego serialu, *Dr Who*... przeżywałaby przygodę za przygodą ze swoimi dwoma wiernymi pomagierami.

Kilknęła oś czasu wyświetloną na ekranie.

– Jak wam się podoba starożytna Grecja? – Odwróciła się, żeby na nich spojrzeć. – Uch? Hej... Bob, zapisalibyśmy cię na Olimpiadę. Wygrałbyś wszystkie konkurencje. Pisziesz się?

Bob popatrzył na nią chłodno.

– Jeśli tego sobie życzysz...

– Zuch chłopak.

Maddy otwierała już stronę z informacjami na temat starożytnej Grecji,

wojen peloponeskich, inwazji Persów... kiedy wszystko spowiła ciemność. Upłynęło kilka sekund. Przez chwilę dziewczyna myślała, że to kolejna awaria generatora pod Holborn Bridge. Ustrojstwu zdarzało się to regularnie, co kilka dni. Lampka obok monitorów ponownie zamigotała; komputery zaczęły szumieć i ponownie się uruchamiać.

Kiedy tak czekali, Maddy spojrzała na Boba i Beki.

– Sądzicie, że to była fala czasu?

– Obecnie nie jestem w stanie tego stwierdzić – odparła Beki. – Poczynię obserwacje na zewnątrz. – Odwróciwszy się, odeszła w stronę drzwi.

– Istnieje prawdopodobieństwo, że nadeszła fala – powiedział Bob. – Wiemy o co najmniej jednym potencjalnym źródle kontaminacji.

Sal? Nie. To nie mogła być ona – znajdowała się przed nimi na osi czasu. Nawet gdyby tam wyprawiała Bóg wie co, wpłynęłoby to jedynie na lata po dwa tysiące dwudziestym piątym roku.

– Liam?

Bob pokiwał głową.

– Liam. Albo ktoś inny.

Kiedy proces ponownego uruchamiania dobiegł końca, na monitorach zamigotało logo W.G. Systems. Później na ekranie pojawiło się okno dialogowe komputera-Boba.

> Maddy, właśnie doświadczyłem awarii operacyjnej.

– Wiem. Na kilka sekund padło zasilanie.

Chciała zapytać Boba, czy zarejestrował jakiegokolwiek zmiany danych w bazie historii, ale wtedy uświadomiła sobie, że bez zaprogramowanego i uruchomionego pola ochronnego komputer-Bob nie będzie miał możliwości porównania „przed i po”. Gdyby nastąpiła zmiana historii, pojawiłaby się na dysku w nowej wersji, a Bob nie potrafiłby stwierdzić, czy informacje rzeczywiście uległy modyfikacji.

„Ale ja...”.

– Bob, otwórz bazę historii. Wydaje mi się, że nadpłynęła fala.

> Tak, Maddy. Sądysz, że wywołał ją Liam?

– To była moja pierwsza myśl. Rozpocznijmy wyszukiwanie od momentu, gdy straciliśmy go z radaru, od tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego roku.

> **Potwierdzam.**

Coś jeszcze przyszło jej do głowy. Sal też odczuje zmianę. Fala popłynie w górę osi czasu i wreszcie do niej dotrze. W dwa tysiące dwudziestym piątym Sal ma dostęp do większej liczby źródeł. Internetu chociażby. Jeśli jej myśli podążą tym samym torem – i też zaczną podejrzewać, że to sprawka Liama – od razu zapragnie wrócić do domu.

„Czy aby na pewno?”

A może już jest stracona? Nie za bardzo jej odbiło, żeby się czymkolwiek przejmować? Warto było spróbować. Prąd był włączony, wehikuł translokacyjny się ładował.

> **Tak, Maddy?**

– Naładuj wehikuł ponownie i uruchom tygodniowe okno powrotne. Na wypadek gdyby Sal zdecydowała się powrócić.

Miała złe przeczucie, że i tym razem się nie pojawi.

Rozdział 66

Nowy Jork

rok 2025

„Przestańcie się na mnie tak gapić”.

Sal patrzyła wilkiem na ludzi, którzy przechodzili obok wylotu uliczki i odwracali głowy, spoglądając na przemoczoną hinduską dziewczynkę siedzącą na drewnianej pomarańczowej skrzyni. Nie mogła znieść tego nagłego wyrazu obrzydzenia na ich twarzach, po którym natychmiast przychodziło uczucie samooskarżycielskiej ulgi, że to nie oni tam siedzą. I właśnie ta mina – wyrażająca ulgę – bolała.

Doskonale wiedziała, że nie wygląda za dobrze. Po tygodniu koczowania i spania na dziko na Manhattanie każdy wyglądałby podobnie. Szczególnie w tych czasach, w których trudy i niedostatki życia zdawały się wzmacniać i hartować ludzi. Rzeczywistość wokół nie różniła się szczególnie od zainstalowanych wspomnień z Mumbaju. Czy w coraz bardziej wyjąłowym z zasobów świecie to nie humanizm staje się pierwszą ofiarą? Miłosierdzie? Współczucie? Miłość?

Po tygodniu włóczenia się po ulicach Manhattanu wszędzie dostrzegała skutki krachu naftowego: brak importowanych towarów, wzrost cen żywności. Reklamy informacyjne wyświetlane na gigantycznych ekranach rozwieszonych nad Times Square edukowały, jak nie marnować odpadów, przeprowadzać recykling, hodować żywność w warzywnikach na szczytach dachów, parapetach i donicach balkonowych. A same wiadomości...? Społeczność międzynarodowa patrzyła na Bliski Wschód. Przywódcy polityczni próbowali odwieść władze Iranu i Izraela od wypowiedzenia sobie

wojny. Widziała zdjęcia przedstawiające konwoje transporterów obciążonych głowicami nuklearnymi; pojazdy kursowały wahadłowo wśród wysuszonych kanionów i skalistych zboczy. Trwały nieustanne manewry, obie strony utrzymywały arsenały mobilne w ciągłym ruchu. Był to pierwszy akt, przygrywka do mających trwać przez najbliższą dekadę miniwojen, podczas których światowe potęgi walczyły o uzyskanie kontroli nad ostatnimi rezerwami ukrytej pod ziemią ropy.

Przybycie tutaj było wielkim błędem. Teraz Sal to rozumiała. Dzień po tym, gdy pozwoliła Saleenie i jej ojcu spędzić resztę wakacji w spokoju, Sal nagle postanowiła dać za wygraną. Zostać tutaj... nie wracać do tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Przyszły też złe chwile. Dwa dni później. Najbardziej kryzysowy moment nadszedł, gdy odnalazła przejście na zamkniętą kładkę na moście Williamsburg. Pokonała pół dystansu, przedarła się przez dziurę w rdzewiejącej siatce, przewiesiła nogi nad poręczą i spojrzała w dół, w szarą topiel East River.

Jak długo się tak wpatrywała? Trzy godziny? Cztery? Miała skoczyć, ale ręce nie chciały zwolnić zacisku, odczepić się od poręczy. Instykt przetrwania rozpaczliwie walczył o swoje. Złośliwy głos – głos rozsądku – szeptał, że w pragnieniu śmierci nie ma nic złego, jeśli tylko tego się chce. Przecież i tak w ogóle nie powinna żyć. A śmierć będzie szybka.

Ciało miało jednak zgoła odmienne zdanie.

Siedziała tak godzinami, mokre od łez policzki chłodziła ostra bryza. W tym miejscu jej krótkie życie, krótka historia, wreszcie dobiegną końca. I nikt... nikt nigdy za nią nie zateśni, nigdy nie dowie się, że istniała.

Nie skoczyła. Nie potrafiłaby powiedzieć, co ją właściwie uchroniło. Strach przed upadkiem? Instykt? Na pewno nie promyk nadziei ani przeczucia. Zwyczajnie nie potrafiła się na to zdobyć.

A następnego dnia to się wydarzyło. Fala czasu. Subtelna. Żaden tam skłębiony cumulus na horyzoncie. Delikatniutki błysk przypominający rozedrgane powietrze nad nagrzaną międzystanówką.

Fala czasu.

Jeżeli dożyje starości, to może będzie mylić sekwencję wydarzeń i opowiadać siedzącym na kolanach wnuczkom, że to fala czasu ocaliła jej życie, dała nadzieję, powstrzymała przed śmiertelnym skokiem. Ale nie... nie zdarzyło się nic tak poetyckiego. Zmiana czasoprzestrzeni przyszła prawie dobie po tym, jak zarzuciła pomysł skoku z mostu Williamsburg w odmęty. Od samobójstwa uchronił ją strach. Nic innego.

Fala czasu przybrała formę zwykłego błysku. Ale była też przypomnieniem, że w jej życiu wciąż istnieje coś wartościowego. Praca.

Misja.

Spojrzała na przeciwległą stronę alei, na holograficzny ekran z wiadomościami. Prezenterka opowiadała o toczącej się w Afryce wojnie, a znajdujący się pod nią zegar odmierzał sekundy. Zbliżało się południe. Tygodniowe okno prawie nadeszło.

Fala czasu oznaczała coś ważnego. Stanowiła wyraźny znak. Prawie na pewno od Liama. Albo próbował zaburzyć przeszłość, aby zwrócić na siebie uwagę Maddy, albo był zwyczajnie nieostrożny i hasał do woli po historii. Tak czy siak, Maddy wróci po niego do przeszłości.

Ale był to również znak dla niej, tak to odebrała. Przypomnienie, że wyznaczyła sobie osobisty cel. Powód, dla którego życie...

„Umrzesz jako stara kobieta, Saleeno Vikram”.

A to wymagało powrotu do domu, do Maddy, do londyńskiego lochu.

Przez ostatnie kilka dni była zajęta. Żebrała, plądrowała kosze na śmieci, kradła, żeby zebrać kwotę, która pozwoliłaby jej spędzić godzinę w jednej z cyfrowych kawiarni na szarym końcu Piątej Alei. Znalazła zatłoczone miejsce pełne imigrantów: rzędy zalogowanych przy cyfrokonsolach ludzi próbujących nawiązać kontakt z bliskimi; ciągi boksów, z których wзираły zatroskane twarze w słuchawkach; gwar rozmów prowadzonych w tuzinie języków. Zapłaciła za godzinę, odnalazła pusty boks, zalogowała się przy konsoli i zaczęła szukać wskazówek dotyczących źródła fali czasu.

Sal ponownie spojrzała na zegar. Zostało niewiele czasu. Najbardziej martwiło ją teraz, że fala mogła zniekształcić przeszłość i powstał świat bez wiaduktu Holborn z pierwszym komercyjnym generatorem prądu, bez okna powrotnego do translukacji.

Niespokojnie odliczała sekundy, aż minęło południe.

„Błagam... błagam... błagam”.

Wcześniej znalazła znak. O Boże, to był dopiero znak. Krzyk, donośne wołanie Liama biegnące przez historię. Do bólu jednoznaczna, bijąca po oczach informacja: zabierzcie mnie stąd!

– No dalej... otwórz się, proszę – wyszeptała.

Pięćdziesiąt trzy sekundy po tym, jak wybiło południe, błagania Sal zostały wysłuchane. Widziała, jak śmieci na uliczce zaczynają się niespokojnie poruszać, papierowe i plastikowe torby podrywają się i bawią w ganianego, zataczając psotne kręgi. Wtedy – bez zbędnych fanfar, bez żadnego odgłosu, nie licząc głuchego tąpnięcia wypartego powietrza – zmaterializowała się: ciemna kula wirującej, rozmazanej rzeczywistości.

Sal natychmiast poderwała się na równe nogi, popędziła w dół uliczki i w ostatnim momencie – nie wahając się ani sekundy, nie żywiąc żadnych obaw – skoczyła w mlecznobiałą czeluść po drugiej stronie.

LONDYN

rok 1889

Wyłoniła się w ciemności lochu, szybko wyszła z mgły i niemal powaliła Maddy na ziemię.

– Sal! To Liam! – ryknęła. – To Liam! – Maddy przerwała, mocno przytrzymała Sal za ramiona, obejrzała ją, po czym zmarszczyła nos. – Mój Boże, co ci się stało? – Skrzywiła się. – Śmierdzisz jak kosz na śmieci!

– Żyłam na ulicy. – Sal szybko wyrzuciła z siebie odpowiedź. Nieważne. – Maddy, fala czasu. Tutaj też przyszła, co?

Skinęła głową.

– Och, i to jak!

– To Liam, tak? Liam i Rashim?

– Tak jest! – Uśmiechnęła się. – Najwyraźniej ochrzcili jakąś chrzanioną piracką łajbę moim imieniem. – Maddy zarechotała. – A... twoim nazwali cały chrzaniony port, Sal!

– Widziałam w Internecie – powiedziała Sal. – Mało subtelne.

Maddy cmoknęła i roześmiała się.

– Liam nie lubi subtelności. Masakra, razem z Rashimem całą chrzanioną wyspę nazwali krajem Pandory. Uwierzysz?

Sal skinęła głową.

– To też widziałam. Utworzyli własne udzielne państewko.

– Właśnie. Na wyspie, którą najpierw nazywano Hispaniolą, a później Haiti.

Przyglądały się sobie, Maddy tak szeroko szczyrzyła zęby, że część jej

uśmiechu spłynęła na twarz Sal.

– Czyli chyba jednak naprawdę chciał wrócić.

Emocje sięgnęły zenitu, Sal nie wytrzymała i zaczęła wypłakiwać się w ramię Maddy.

– Hej, ty moje małe, ubabrane biedactwo.

Pozwoliła Sal łkać. Wstrząsana spazmatycznymi dreszczami emocji dziewczynka sączyła łzy ulgi, które strużkami skapywały po szyi Maddy i wsiąkały w koszulę. Pozwoliła na to Sal, bo dziewczyna najwyraźniej tego potrzebowała.

Okazało się zatem, że Liam i Rashim nie planowali uciekać z teraźniejszości, żeby wieść awanturniczy żywot piratów. Gdy z niewiadomych przyczyn ktoś inny wszedł w posiadanie transpondera, postanowili wszystkimi możliwymi sposobami odcisnąć piętno na historii, aby Maddy mogła o nich usłyszeć tutaj, w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Ich intencje były jednoznaczne.

„W końcu... Fort Bob? Republika Pandory? Okręt Maddy Carter”. Tylko taki idiota jak Liam mógł być tak nieostrożnie dosłowny. Myśli chłopaka biegły ewidentnie tym samym torem, co jej. „Zabierz mnie stąd, później oboje naprawimy tę kontaminację, byle tylko nie dotarła do czasów Waldsteina”. Choć z drugiej strony pewnie nie myślał tak analitycznie, podejrzewała Maddy. „Niech się tylko stąd wydostanę... Maddy wykombinuje całą resztę”.

Uśmiechnęła się, próbując ukoić drżącą i łkającą Sal.

„Cały Liam”.

Wiadomości nie były jednak jednoznacznie pomyślne. Powie o tym Sal, gdy ta przestanie już płakać w jej koszulę. Maddy poznała czas i miejsce pobytu przyjaciela, ale – „bo przecież w naszym przypadku zawsze musi być jakieś ale” – wieści z przeszłości, z tysiąc sześćset osiemdziesiątego siódmego roku, nie zapowiadały szczęśliwego zakończenia dla Liama i Rashima.

Nie były pomyślne.

Maddy postanowiła dać Sal jeszcze kilka minut, zanim powie jej, czego się dowiedziała.

Rozdział 67

Port au Vikram Republika Pandory rok 1687

Liam ponownie spojrzął na trzymany w rękach list. I ponownie odczytał pierwsze zdanie. Już początkowe słowa depeszy powiedziały mu wszystko.

Wasza Ekscelencjo, z wielkim żalem...

Reszta tekstu roiała się od politycznych pochlebstw i wymówek brzmiących mniej niż przekonująco.

– Ach, cóż – mruknął. Odprawił posłańca skinieniem głowy i schował liścik do kieszonki kamizelki. – Niczego innego się nie spodziewałem. – Poprawił apaszkę i kołnierz, mocno wcisnął trikorn na głowę i obejrzał się w ozdobnym, oprawnym w złocenia zwierciadle, które wisiało obok drzwi wiodących do jego prywatnych komnat.

Pomimo upływu lat zachował szczupłą sylwetkę. Gdyby obowiązywały go zwyczajne prawa starzenia, miałby około trzydziestu siedmiu lat. Ale Liam nigdy nie celebrował urodzin; nie wiedział, kiedy przyszedł na świat.

Trzydzieści siedem.

Wydarzenia przybrały taki obrót, że trzydziestych ósmych urodzin może już nie doczekać.

Włosy przetykały srebrne nitki, brodę porastała siwa szczecina. Kosmyk nad lewą skronią zamienił się w upiornie białe pasmo jak u Frankensteina.

Zapiął mankiety, żakiet, ciasno obwiązał talię pasem z przypasaną doń szpadą. Jeżeli dziś jest ten dzień... to gdy dobiegnie końca, będzie przynajmniej elegancko ubranym trupem. Liam otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Leciwy odźwierny złożył mu pełen szacunku ukłon.

Liam z czułością poklepał go po ramieniu.

– George, powinieneś wrócić do domu, do rodziny. Dzisiaj wybuchnie walka. Powinieneś zabrać żonę i dzieci i wydostać się z wyspy.

Przemaszerował przez korytarz i wyszedł na słońce zalewające podwórze przed rezydencją gubernatora. Chłopiec stajenny przytrzymał konia za uzdę i pomógł mu wskoczyć na siodło.

– Ty też, chłopcze. Zmykaj lepiej do domu. Niedługo przybędą Anglicy i Hiszpanie.

Puścił konia stępem przez małe podwórze, piękny dziedziniec, za którym będzie autentycznie tęsknił: niewielki sad mangowców i drzewek pomarańczowych. Miejsce, do którego przychodził kontemplować. Przypominał sobie wtedy stare życie, które wiódł dawno temu jako młody człowiek. Pamiętał oczywiście ich imiona. Imiona dwóch dziewcząt, które uważał za siostry: Madelaine Carter i Saleena Vikram. Ciężko mu było przypomnieć sobie, jak dokładnie wyglądały. Przywołał w pamięci niewyraźne wspomnienie Maddy, jej kręcone, jasnorude włosy i bladą, piegowatą skórę. I Sal z jej kruczoczarnymi włosami i intensywnie piwnymi oczami.

Kiedy to było? Upłynęło dwadzieścia jeden lat. Niektóre rzeczy z tamtego okresu dobrze pamiętał, o innych całkiem zapomniał. Wszystko zdawało się snem. Zachował blaknące wspomnienia statków powietrznych, zmutowanych potworów, stad dinozaurów, drapaczy chmur i rycerzy, zamków i Rzymian. Wszystkie te elementy zlewały się w jedną, zagmatwaną opowieść, która dawno przestała mieć sens. Nie inaczej... zupełnie jak we śnie, z tą różnicą, że kiedyś to wszystko naprawdę wydarzyło się w jego życiu.

Lecz od tamtego czasu kolejne lata wypełniło zupełnie inne życie. Dobre życie, gdyby chcieć obiektywnie je ocenić. Życie z ukochaną, którą poślubił, a później utracił. Fleur, piękna to była kobieta: niewolnica z plantacji, która

przez dwanaście lat była jego jedyną, prawdziwą miłością. Zmarła trzy lata temu, wydając na świat jego dziecko. Doktor powiedział, że byłby to chłopiec. Gdyby przeżył. Ale biedactwo okazało się tak zniekształcone, że nie pożyłoby długo. Tak było miłosierniej.

Liam opłakiwał ich wtedy, opłakiwał i teraz, w spokojniejszych chwilach, każdego dnia.

Spiął konia i wyjechał przez bramę rezydencji. Zasalutował mu kapitan Gwardii Republikańskiej. Mundur nosił szykowny: ciemnogrnatowa bluza ze złotymi mankietami i szamerunkiem, żółte bryczesy i trójgraniasty kapelusz z wetkniętym wewnątrz piórem papugi. Projekt Rashima oczywiście. Taka strona rządu państwem zajmowała go najbardziej: projektował flagę ich małego kraju, mundury skromnej armii, wybierał nazwy okrętów w flotylli morskiej. Tworzył efemeryczne symbole państwowości.

– Gdzie Lord Gubernator Anwar? – spytał Liam.

– Nadzoruje budowę konstrukcji obronnych na zachodnim wybrzeżu, sir. Główne siły Anglików widać już na horyzoncie.

– Dziękuję. – Liam spojrzał na kapitana i na pół tuzina ludzi strzegących wjazdu do rezydencji gubernatora. – Wracajcie do swoich oddziałów, panowie. Dzisiejszego ranka przyda się każda para rąk.

– Ale pański... pański dom, sir?

Liam rozejrzał się po ruchliwej alei, Lady Rebecca Street. Sklepikarze i kupcy uwijali się jak w ukropie, zabijając drzwi i okna deskami. Trudno się dziwić. Kiedy angielscy i hiszpańscy żołnierze wejdą do Port au Vikram, odbędzie się grabież. Przybijanie desek nie uchroni wszakże jego rezydencji. Cała jego własność zostanie skonfiskowana i przekazana Edwardowi Pullingerowi, brytyjskiemu generałowi dowodzącemu, który wylądował na wschodnim cyplu wyspy.

– Proszę się nie martwić o rezydencję, kapitanie. Liczy się tylko bitwa. Tylko to się teraz liczy.

Kapitan poważnie pokiwał głową.

– Tak jest, sir.

Liam pokłusował w górę Lady Rebecca Street, przyglądając się powszechnemu zgiełkowi i zamieszaniu: rodziny pospiesznie pakowały cały dobytek na platformy wozów i na osły, by wydostać się z portu na łodzie lub zaszyć w dzikiej dżungli porastającej wyspę. Nie sposób ich winić. Większość rodzin tworzyli Murzyni albo przedstawiciele obu ras. Byli to głównie dawni niewolnicy z Jamajki, Kuby, Hispanioli albo dzieci niewolników. Kiedy Port au Vikram upadnie, generał Pullinger potraktuje większość obywateli Pandory jak prywatny łup, który rozdzieli pomiędzy starszych rangą oficerów albo sprzeda, aby opłacić rosnące koszty kampanii wojskowej.

Wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Republika Pandory stała się cierniem w koronach Anglii i Hiszpanii. Korsarska flota okrętów złupiła zbyt dużo hiszpańskiego złota. A konstytucyjna obietnica wolności i równości dla wszystkich obywateli małego państwa sprawiła, że plantacje porzucały rzesze niewolników.

Ten dzień musiał nadejść. Prędzej czy później.

Dziwne było jedynie to, że nowemu królowi Anglii, Jakubowi II oraz królom Filipowi IV i jego następcy na tronie hiszpańskim, Karolowi II, aż tyle czasu zajęło zawiązanie sojuszu i zorganizowanie wyprawy na Pandorę w celu zgniecenia drobnej, nowobogackiej republiki.

Liam otarł z policzka kurz – i łzę.

Wspaniale się tu, na tej wyspie, urządzili. On, Rashim i wielu członków starej załogi, teraz starych przyjaciół z pierwszego statku – „Pandory”. Przybyli do tego skleconego byle jak, zrujnowanego portu, rządzonego przez bezprawie, brutalność i strach, i zamienili go w oazę wolności, sprawiedliwości, oświecenia i stabilności. A reputacja taka przez te wszystkie lata przyciągała setki kupców, rzemieślników i handlarzy oraz wiele tysięcy niewolników marzących o nowym życiu.

Za kolejne dwadzieścia lat za ich przykładem poszłaby pewnie inna wyspa na Karaibach, potem kolejna, a na koniec utworzyliby koalicję wyspiarskich państw wyznających te same wartości. Bezpieczeństwo zależało od liczebności.

Liam niejasno przypominał sobie, że mieli też inny cel. Nadzieję, że ich działania odbiją się echem w historii, a dziewczyny, które ledwo pamiętała, odbędą podróż w czasie i wrócą po nich. Albo do nich dołączą, by wspólnie spędzić życie na tym wyciosanym w dżungli spłachetku Nieba. Ale cel ten rok po roku schodził na dalszy plan, blaknął w pamięci, aż wreszcie obaj o nim zapomnieli w chaosie codziennego zarządzania małym państwkiem, które trzeba było nieustannie doglądać.

Liam przejechał konno przez nowy rynek, obok starego kościoła katolickiego i niedawno wybudowanego kościoła Wszystkich Wiar. Minął drewnianą palisadę Fortu Bob i wjechał łagodnym zboczem Grani Fostera na szczyt wzgórza, na którym trwała pospieszna budowa fortyfikacji obronnych.

Wśród setek ludzi, cywili i żołnierzy, pracujących z nagimi torsami w zapierającym dech porannym upale, wykopujących okopy i stawiających wały ziemne, dostrzegł Rashima i pułkownika oddziału, Williama Hope'a.

Ostatnie dwadzieścia lat nie okazało się równie łaskawe dla Rashima. Poblężanie przyjemnościom i folgowanie zachciankom zostawiło pamiątkę w postaci grubego pasa tłuszczu wokół talii. Pod czarną brodą, która porastała niegdyś szczupło zarysowaną szczękę, wyrosło wole podgardle. Nazywanie go „grubasem” byłoby niesprawiedliwe. Epitet „przysadzisty” byłby chyba bliższy rzeczywistości.

Liam ściągnął wodze, zeskoczył z wierzchowca i dołączył do nich.

– Dzień dobry, Will – powiedział.

Młody mężczyzna zasalutował.

– Dzień dobry, sir. – Mały, osierocony przez matkę chłopiec wyrósł na mężczyznę na schwał.

– Jak idą prace, Will?

– Zaraz sam pan zobaczy, że nasze baterie artyleryjskie chronią wały ziemne z trzech stron. – Wskazał płytkie rowy ciągnące się wzdłuż niewielkiej grani wznoszącej się ponad Port au Vikram. – Stworzyliśmy też doskonałe pozycje strzelnicze dla oddziału snajperskiego Pasquinela. – William wyszczerzył zęby. – Każemy im słono zapłacić za tę napaść, sir.

Liam skinął głową, osłonił oczy przed słońcem i objął wzrokiem rozbitą w oddali obóz połączonych sił ekspedycyjnych Anglii i Hiszpanii. Widział tylko rzędy płóciennych namiotów, łopoczące flagi pułkowe. Pomyśleć, że kiedyś miał sokoli wzrok.

– Liamie, proszę... użyj tego. – Rashim podał mu lunetę. – Niekoniecznie ci się to spodoba – dodał ciszej.

– Dziękuję.

Soczewka pozwoliła wyłowić więcej szczegółów. Armia zwijała obóz. Kilometr dalej, ponad labiryntem dzielących ich krzaków, zarośli i skał, w połyskującym, rozgrzanym powietrzu, widział linie angielskich szkarłatnych bluz i hiszpańskich jasnoniebieskich mundurów formujących się w kolejne pułki. Dostrzegł generała Pullingera, który pomyślał o zabranii sporej liczby dział artyleryjskich, chytrze.

Liam orientacyjnie oszacował wrogie siły. Pięć, może sześć tysięcy żołnierzy. Dodatkowo doliczył się sześciu baterii artyleryjskich ciągniętych przez zaprzęgi mułów.

Kiedy opuścił lunetę, poczuł na sobie wzrok Rashima, którego mina mówiła to, co Liam już wiedział.

„Długo tej pozycji nie utrzymamy”.

– Co odpowiedzieli Francuzi, Liamie?

Liam sięgnął do kieszeni po list, wy dobył go i podał przyjacielowi.

– Obawiam się, że nie doczekamy się pomocy z ich strony.

Żywili nadzieję, że będzie inaczej. Otrzymali obietnicę odsieczy. Miała nadejść w ostatniej chwili.

– Co? Dlaczego?

– W depezy napisano, że Hiszpanie zablokowali ich statki.

Rashim zakasał zabrudzone ziemią rękawy koszuli i otarł pot z czoła.

– Świnie! Stchórzyli, wyrolowali nas, tak to trzeba nazwać.

William Hope popatrzył na obu Lordów Gubernatorów.

– Jesteśmy zdani na własne siły?

Liam skinął głową.

– Na to wygląda, Will.

Przez otwartą przestrzeń ich uszu dobiegło narastające echo dudniących w oddali tarabanów pułkowych oraz subtelny trzask fletów i piccolo.

Rozdział 68

Londyn
rok 1889

– Oblężenie Port au Vikram z maja tysiąc sześćset osiemdziesiątego siódmego roku, prowadzone przez sir Edwarda Pullingera, generała Jego Królewskiej Mości, zakończyło się przytłaczającym zwycięstwem połączonych sił ekspedycyjnych Anglii i Hiszpanii – czytała Maddy. W rękach trzymała grube, twardo oprawione tomiszczce pod tytułem *Londyn w obrazach: słynne brytyjskie kampanie wojskowe*.

Udała się do biblioteki w British Museum. Tę właśnie książkę gorliwie polecał jej nadpobudliwy młody człowiek, żywo zainteresowany wojskowością – i chyba samą Maddy. Był to wielki, ciężki tom pełen grafik przedstawiających przeróżne bitwy, map i patriotycznych portretów bohaterów narodowych, takich jak Lord Nelson, Wellington, Chelmsford i Pullinger.

Sily pod dowództwem generała Edwarda Pullingera potajemnie wylądowały na wschodnim cyplu samozwańczej Republiki Pandory – kontynuowała – i w niecały tydzień przemaszerowały wyspę, przedzierając się przez dżungle i bagna. Pozwoliło to zaskoczyć zdezorganizowaną armię rebeliantów. Buntownicy – pstra zbieranina rzezimieszków, piratów, przestępców oraz rzesza zbiegłych niewolników pod wodzą samozwańczego przywódcy, „Lorda Gubernatora Anwara”, mieli niewiele czasu, aby przygotować się do przyjęcia ataku na port ze strony lądu. Generał Pullinger rozbił obóz i pozwolił oddziałom wypocząć przez noc przed głównym

osiedlem wyspy, Port au Vikram, a rankiem piątego czerwca poprowadził armię na wzgórze górujące nad portem, gdzie armia rebeliantów pośpiesznie wzniosła prymitywne instalacje obronne. Bitwa rozpoczęła się tuż po południu. Heroiczne, zdyscyplinowane oddziały angielskie rozbiły przeciwników w niecałą godzinę. Naoczny świadek tych wydarzeń, oficer sztabowy generała Pullingera, donosił: „Armii niewolników, znacznie przewyższającej liczebnie nasze skromne siły desantowe, wystarczyło jedno spojrzenie na karne szyki czerwonych kurtek wchodzących pod wzgórze, żeby porzucić zajmowane pozycje i pierzchnąć niczym kruki wyfruwające z pola kukurydzy.

Ludzie Pullingera zdobyli grani nad portem i patrzyli, jak rój rebeliantów zbiega z przeciwległej strony wzgórza, porzuca broń i gna przez labirynt walących się budynków Port au Vikram, żeby zginąć w otaczającej miasto dżungli. Pokrzepiony szybkim sukcesem i zdobyciem grani, Generał Pullinger odważnie wprowadził oddziały do portu...

Maddy podniosła wzrok na Sal.

– Podejrzewam, że nie jest to całkowicie bezstronna relacja wydarzeń, swoją drogą...

Sal skinieniem głowy zachęciła ją do dalszej lektury.

– ...do portu, gdzie wreszcie znaleźli niesławnego przywódcę buntowników, Rashima „Czarnobrodego” Anwara, kryjącego się w zbytkownych komnatach okazałej rezydencji w otoczeniu licznej służby – kontynuowała Maddy.

– Co z Liamem? – spytała Sal. – Nie wspominają tam o Liamie?

Maddy przesunęła palec w dół strony, aż wreszcie coś znalazła.

Wspólnik Anwara, jego zastępca i drugi osławiony „król piratów z Karaibów” w rzeczywistości był irlandzkim marynarzem o nazwisku Lionel O’Connor. O’Connora złapano, kiedy umykał przed brytyjską sprawiedliwością w pinasie dobijającej do ostatniego statku w pirackiej flocie. Wciąż zacumowana w zatoce „Madelaine”, trzydziestodziałowa

fregata, wcześniej znana pod nazwą HMS Reliance, była starym okrętem Marynarki Królewskiej zdobytym przez korsarską flotę „Czarnobrodego” Anwara.

– Lionel O’Connor? Pomylili imię!

– Błąd w zapisie albo literówka. – Wzruszyła ramionami Maddy i czytała dalej.

Oficer, który aresztował Lionela O’Connora, relacjonował, że „Kiedy go aresztowano, irlandzki łotr krzyczał, płakał i błagał jak złajane dziecko”. Twierdził, że wszystkie zbrodnie popełnił ze strachu przed śmiercią z ręki „Czarnobrodego”.

Sal stanowczo pokręciła głową.

– To nie w stylu Liama. Nigdy nic takiego by nie powiedział.

– Nie bądź naiwna. – Maddy westchnęła. – Nie wiesz, co się mówi o historii? Jest pisana przez zwycięzców. – Obróciła stronę. – Śmiało możemy założyć, że w tej relacji jest kapka inwencji.

Sal z oburzeniem pokręciła głową.

– Liam nigdy by nie krzyczał i płakał – mruknęła gniewnie. – Nie nasz Liam.

– Daj spokój – rzekła Maddy. – Najistotniejsza informacja jest taka, Sal, że przegrali bitwę...

Rozdział 69

Port au Vikram Republika Pandory rok 1687

Liam wykorzystał przerwę w walce do uspokojenia oddechu. Zbocze wiodące do ich okopów obronnych było usiane kobiercem martwych ciał w czerwonych mundurach, leżących w długiej, suchej trawie.

Tego popołudnia trzy razy próbowali zdobyć wzgórze – trzy bezowocne podejścia. Ostatnia próba o mały włos nie zakończyła się powodzeniem. Prawie ich zmiotli, bitwa przeobraziła się w krwawą, bezwzględną jatkę w ścisku. Na szczęście niszczący ostrzał snajperskiego oddziału Pasquinela i zdyscyplinowana kanonada Pierwszego Pułku Gwardii Republikańskiej – którą szybko wycofano z kotłowaniny i uformowano w trzy szeregi – przetrzebiła oddział Anglików, którzy jeden po drugim odstępowali od walki i zbiegali w dół zbocza.

Liam patrzył na wydłużające się cienie. Słońce opadało za horyzont. Trzymali się lepiej niż można by przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Najazd na skromną „stolicę” przeciągnął się o cały dzień. Dzięki temu mieszkańcy fortu zyskali bezcenne godziny, żeby uratować życie. Spojrzał z powrotem na Port au Vikram i ujrzał kilka postaci wciąż biegających w panice po wąskich uliczkach, ciągnących wozy z dobytkiem, pomimo że wiele statków i łodzi, które zazwyczaj cumowały przy rojnym nabrzeżu, na wodach płytkiej zatoki, już kilka godzin temu podniosło kotwice i odpłynęło.

Oby większość z nich umknęła przed angielskimi i hiszpańskimi okrętami przeczesującymi morze, przedarła się na Tortugę albo inną z wielu pobliskich

wysepek i tam znalazła schronienie.

Spotkał się wzrokiem z jednym ze snajperów Pasquinela, sierżantem plutonu, który przeczyszczal lufę wyciorem, usuwając z niej warstwę sadzy.

John Bucik.

Posłał mu zmęczony uśmiech, podszedł i uklęknął przy nim.

– Jak się masz, John?

– Dobrze, sir. – Wyszczrzył zęby. – Ciemną twarz mężczyzny pokrywały brud i wyschnięta krew. – Pokazaliśmy tym prawdziwym żołnierzom, że my walczyć dobrze jak oni?

Klepnął Bucika po ramieniu.

– Ty i twoi chłopcy jesteście prawdziwymi żołnierzami, John. Taka prawda. – Liam zauważył, że John z namaszczeniem trzyma w dłoniach trzy muszkietowe kule. – Ile pocisków nam zostało?

Hardy uśmiech Johna zbladł.

– Niedobrze z tym. Mało. Trzy, może cztery salwy jeszcze damy.

„A zatem przy następnym natarciu odbiją od nas wzgórze”.

Powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu mężczyzn klęczących w wąskim okopie: melanz ciemnozielonych mundurów snajperów, których zostało mniej niż tuzin, i ciemnogrnatowych bluz Gwardii, z której uzbierałyby się może setka ludzi zdolnych do walki. Wśród ciał wymieszanych z martwymi angielskimi żołnierzami rozpoznał gigantyczną sylwetkę Kwamiego. Kątem oka złowił go już niecałe pięć minut temu, kiedy walczył w największym ścisku, rycząc wyzywająco ponad jazgotem walki. Liam spostrzegł również ciało chudego jak chart Pasquinela, czerwoną wełnianą czapkę *coureur de bois*, która leżała na ziemi przy zwłokach.

Padł też William, od strzału w skroń. Nigdy nie obdarzył nikogo uczuciem bardziej przypominającym ojcowskie niż tego małego chłopca. Przez te wszystkie lata patrzył, jak wyrasta na odważnego mężczyznę. Liam zacisnął szczękę i stłamsił uczucie żalu. Groziło wybuchem.

Dobrzy chłopcy, wszyscy bez wyjątku. Przyjaciele: bracia, których przez ostatnie dwadzieścia lat zdążył doskonale poznać. A wszystko zaczęło się od

krótkiej, słynnej i bardzo owocnej działalności korsarskiej.

– Bądźmy szczerzy, nie mamy już kim walczyć – cicho powiedział Rashim.

Liam podniósł na niego wzrok, czując ulgę, że przyjaciel wyrwał go z zamyślenia.

– O tym samym właśnie myślałem.

Rashim uklęknął obok niego, równie wycieńczony, ubłocony i okrwawiony. Długie, poskręcane włosy wysuwały się ze wstążek. Liam przywykł już do widoku nienagannie odzianego, nieskazitelnie schludnego Rashima, który teraz wyglądał dziko i niechlujnie.

– Popatrz na siebie – cmoknął Liam. – Strasznieś się zapuścił.

Rashim zaśmiał się urywanym głosem.

– Wcale nie wyglądasz lepiej, przyjacielu.

Bez słowa patrzyli, jak generał Pullinger przegrupowuje oddziały, wprowadza świeży pułk piechoty w zastępstwie ostatniego rozgromionego regimentu. Nowa, nieskazitelna linia szkarłatnych bluz, białych jak śnieg bryczesów i lśniących bagnatów. Mężczyzn gotowych i chętnych do przypuszczenia ostatniego ataku.

Liam poklepał Rashima po ramieniu.

– Słówko na osobności. – Podniósł się i Rashim podążył za nim. Odeszli na kilka kroków od okopu, a ich ludzie zaczęli gotować broń do kolejnego szturmu. Ostatecznego.

– Chyba już pora, Rashimie.

– Pora?

– Zakończyć to wszystko.

– Poddać się?

– Tak jest. – Liam zerknął przez ramię na prawie pustą zatokę i opuszczone ulice poniżej. – Podarowaliśmy im dodatkowy dzień. To więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Z tego, co widzę, większość zdołała uciec.

– Rzeczywiście. – Rashim skinął głową. – Nabrzeże opustoszało. – Obok

długiego wystającego cypla cumował tylko jeden, ostatni statek. – Choć wciąż jest tam „Madeline”.

– Ach, rozumiem. – Liam wyszczerzył zęby. – Tylko mi nie mów, że pragniesz wrócić na morze i wznowić karierę awanturniczego kapitana piratów?

– Za stary już jestem na takie figle. – Rashim klepnął się w obwisły brzuch.

Liam popatrzył na swoich ludzi. Wszyscy gotowali się do walki, którą mieli przegrać, o czym doskonale wiedzieli. Wszystkim pisana była śmierć. Albo więzienie. Nawet jeśli złożą broń, nie zostaną ulaskawieni. Kilka tygodni temu dotarł ostatni list od króla Jakuba II. Monarcha groził, że jeśli chwycą za broń i wystąpią przeciwko ekspedycyjnym siłom generała Pullingera, czeka ich najsurowsza z możliwych kar. Każdy pochwycony żywcem biały człowiek trafi pod sąd i zostanie skazany na stryczek za bunt i korsarstwo. A każdy pojmany żywcem Murzyn zostanie na powrót wzięty w niewolę.

Słońce zniżało się na niebie, nadciągała ciemność. Została im co najwyżej godzina, zanim złocista kula całkowicie zniknie za horyzontem i krótki zmierzch zamieni się w noc. Sądząc po rozradach wśród angielskiej armii u stóp wzgórza, Pullinger też to widział i za wszelką cenę chciał zdobyć wzgórze i rozstrzygnąć bitwę przed nadejściem zmroku.

Godzina? Liam uznał, że mieliby wielkie szczęście, gdyby zdołali się utrzymać przez kolejne dziesięć minut, gdy walka rozgorzeje na nowo. Jeżeli niedobitkom z plutonu snajperów Johna Bucika i reszcie Gwardii zostały rzeczywiście tylko trzy salwy, walka dobiegnie końca, zanim się na dobre rozpocznie. Być może znajdzie sposób, aby kupić tym kilku mężczyznom czas niezbędny do ucieczki. Zasłużyli na nią: na szansę ucieczki pod osłoną nocy. Niektórzy, dobrze o tym wiedział, mieli rodziny niespokojnie czekające na nich w mieście: kobiety i dzieci, które nie opuściłyby wyspy bez swoich mężczyzn.

– Rashimie? Jak myślisz?

Odwrócił się i zobaczył, że Rashim związuje już niesforne, kręcone włosy

wstążką, robiąc co w jego mocy, żeby poprawić wygląd.

– Prędeż mnie piorun trzaśnie, niż poddam się im, wyglądając jak ostatni włóczęga.

Rozdział 70

Więzienie Newgate, Londyn rok 1687

Czy czegoś żałuję? A pokażcie mi takiego, który nie żałuje. Nie zmieniłbym wszakże żadnego aktu swego życia. Wiem, że wypełniłem – ile? Trzydzieści siedem? Trzydzieści osiem? – lat na tym padole większą liczbą wspomnień niż ktokolwiek, kto stąpał po ziemi. A móc coś takiego powiedzieć to już prawdziwe osiągnięcie.

Kiedy w tej ostatniej godzinie wstecz spoglądam na życie swoje, zaczynam rozumieć, że niebywale mnie szczęście spotkało, że miałem dwa odrębne żywoty. Pierwszy jako korsarz, pirat i król samozwańczy. Z tego żywota dwie dekady wspomnień mam w głowie. A czyż to nie wspomnienia są jedyną walutą, która ostaje się człękowi na łożu śmierci?

Rashimowi i mnie niewiele doprawdy brakowało, aby ocalić małe nasze płachetko Nieba na Karaibach. Miejsce, w którym rządziła sprawiedliwość pospołu z równością. Miejsce, w którym wyznawano wartości, jakie zostaną spisane przez ojców założycieli w Filadelfii dopiero za sto lat.

Dla nas obu to powód do dumy.

Doszły mnie słuchy, że od czasu naszej tu, do Londynu, deportacji i urzędzonego ku uciesze gawiedzi procesu, który odbył się był w zeszłym miesiącu, ukochany nasz port nazwano Port James. Sama wyspa natomiast – nasza Republika Pandora – odtąd potomnym znana będzie pod nazwą Nowe Dominium, co ustawą swą usankcjonował Parlament. Wielu obywateli naszych, jako się okazało, pochwycono na wyspie i aby słowu króla Jakuba zadość się stało, biali na stryczkach zawieśli, a czarnym na powrót kajdany

niewoli założono. Postyszałem takowoż, że cała wyspa Nowe Dominium została oddana we władanie lorda Pullingera i członka Parlamentu, który orędownął za wydzieleniem z kasy królewskiej funduszy na inwazję, a był to lord Tomasz Modyford.

I tu kropkę stawiam. Tyle z naszych snów i nadziei.

Liam O'Connor, 17 listopada 1687 roku

– Przeraż-żliwie z-zimno dziś rano – wyszeptał Rashim, gdy opuścili więzienie Newgate Prison. Nosił luźną białą wełnianą koszulę i narzucony na nią czarny filcowy surdut, ale wciąż drżał.

Liam podniósł wzrok na pochmurne, szare niebo. Rześka bryza podgryzała Tamizę, tworząc białe grzywy na mulistej wodzie.

– Rzeczywiście chłodnawo.

– Powinienem był spakować sweter. – Rashim przywołał na twarz cień uśmiechu. – Może następnym razem.

Wóz ze skazańcami turkotał po kocich łbach równoległe do Tamizy. Liam patrzył na niknący za plecami London Bridge, wciąż stojący dumnie pomimo wielkiego pożaru sprzed dwudziestu lat, który niemal pochłoniął cały most.

Wzdłuż północnego krańca ulicy ciągnęły się rzędy tłumnie zgromadzonych gapiów, żądnych widoku egzekucji, którą poprowadzić miał Marszałek Sądu Najwyższego, siedząc na koniu. Gawiedź drwiła, czasem nad ich głowami przelatywał niecelnie ciśnięty kamień, który lądował w rzece, ale słyszeli głównie wiwaty ekscytacji. Nie, ciżba nie chciała umilać im ostatniej drogi, wspierać, cieszyła się po prostu atmosferą fiesty, zawsze towarzyszącej publicznej egzekucji przez powieszenie.

Wóz wreszcie skręcił w prawo, w stronę Doków Skazańców. Zatrzymali się bezpośrednio przed rzeką. Czekala na nich zbita z desek „scena”, wybudowana na drewnianych filarach, które sterczały nad Tamizą. Za nią na wzburzonej wodzie unosiły się łodzie i pontony, pinasy i promy: „płatne” łoże dla tych, którzy zapragnęli zająć najlepsze miejsca na widowni.

Kapelan, który dzielił z nimi wóz i cicho intonował modlitwy z Biblii Króla Jakuba zszedł z wozu pierwszy i podał Liamowi dłoń.

– Poradzę sobie, dziękuję.

Rashim zeskoczył, potknął się na bruku, co spowodowało wybuch śmiechu wśród obserwującego ich tłumu.

– Nie przejmuj się motłochem – mruknął kapelan. I pomógł Rashimowi wstać. – Masz ostatnią szansę wyznać swoje grzechy, synu. Pozwolisz mi się wysłuchać?

Rashim potrząsnął głową.

– Ja... nie wierzę w takie rzeczy.

– Bóg wybacza wszystkim niedowiarkom. Błagam, byś zastanowił...

– Dlaczego nie dasz mu spokoju? – warknął Liam, odwracając się, po czym uraczył kapłana cieniem uśmiechu. – Największą przysługę zrobisz nam, panie, jeśli pozwolisz nam szybko się z tym uporać.

Rashim ponownie skinął głową.

– T-tak. P-proszę.

Liam podszedł bliżej. Obaj mieli ręce związane za plecami. Aktem dobroci byłoby też podarowanie im możliwości podania sobie dłoni. Pragnął ostatni raz dotknąć przyjaciela, objąć go ramieniem.

– Za pięć minut będzie pozamiatane. Trzymaj fason.

Rashim popatrzył na niego z pobladłą twarzą.

– Ja... zazdroścę ci, Liamie.

– Urody?

Wybuchł nerwowym, płochliwym uśmiechem, który zabrzmiał jak furkot małego silnika parowego.

– Nie... n-ie bo-boisz się. Tego ci zazdroścę.

– Też jestem przerażony – zwierzył się szeptem. – Ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę tym rzewnym duszom to zauważyć.

Sędzia Sądu Najwyższego nakazał wprowadzić ich po czterech drewnianych stopniach na szafot. Kat podszedł do nich i delikatnie ujął

Liama za ramię.

– Chodź ze mną – powiedział łagodnie. – Zawieście od razu, chłopcy.

Przeszli przez szafot, odeskowanie wyginało się głucho i skrzypiało pod stopami.

Przytrzymując Liama za ramiona, kat ustawił go na samym środku długiej zapadni. Bez słowa, z uznaniem skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Doskonale. Zuch chłopak”. Rashima przesunął na zapadnię tuż obok i sięgnął po pętle liny zawieszane u szczytu szubienicy.

– Liamie? – syknął Rashim.

– Tak?

– One... one nigdy nas nie od-odnalazły. Nigdy po nas nie-nie wróciły.

„Mówi o dziewczynach”.

– Wiem.

Na twarzy Rashima zaigrał płomyk nadziei.

– Być może przy-przybędą te-teraz? Może wła-łaśnie na to czekały... ca-cały ten czas?

Liam przez chwilę zastanawiał się nad słowami przyjaciela. Nie. Ledwo pamiętał, jak wyglądał system, zasady, nakazy i zakazy. Ale nie tutaj. Nie przy takiej publice. Nie otworzyłyby okna w tym miejscu. Czy gdyby ratunek miał rzeczywiście nadejść, nie nadszedłby dużo wcześniej? Ale Rashim nie musiał wysłuchiwać jego przemyśleń. Dlatego odwrócił się do niego i skinął głową.

– Tak, to możliwe – powiedział. – Kto wie.

Kat ujął pętle w różowe jak racice świnki dłonie i przełożył ją przez głowę Liama.

– Odrobinę unieś podbródek, proszę, dobry chłopak. – Liam zrobił jak mu kazano. Kat umieścił kluczkę szorstkiej konopnej liny pod jego brodą, sprawdził węzeł i mocnym pociągnięciem upewnił się, że trzyma. Potem ten sam rytuał powtórzył przy Rashimie.

Liam podniósł wzrok na bezbarwne, szare niebo. Nijakie. Monotonne.

Przypominało mu obraz z odległej, bardzo odległej przeszłości. Natychmiast sobie przypomniał – intrygującą białą mgłę, przez którą należało przejść, aby udać się do przeszłości. Tamten inny, dziwny wymiar.

„Chaos... tak, tak go nazywaliśmy. Wymiarem chaosu”.

Tyle że w wymiarze chaosu nie było mew. Ptaki pikowały i szybowały nad rzeką, zataczały kręgi na wietrze, jakby chcąc na kilka minut opóźnić podróż i obejrzeć spektakl, jak pozostali widzowie, którzy zgromadzili się tego ranka.

– Wszystko gotowe! – ryknął kat.

Liam słyszał szarpany, dyszący oddech stojącego obok Rashima: wdech – wydech, wdech – wydech, wdech – wydech, jak powietrze pompowane do miechów kowalskich. Dopiero teraz... teraz strach wreszcie zaczął zżerać Liama. Zacisnął zęby. Nie pokaże im najmniejszej oznaki strachu przed szubienicą.

„Nie uczynię im tej przyjemności. Nie uczynię!”

Zamknął oczy i pomyślał o swojej dawno temu zmarłej żonie, Fleur: o jej długich, ciemnych splotach włosów, brązowych oczach, pełnych wargach. O milionie unikalnych odruchów, nawyków, powiedzonek, które szeptała mu do ucha w oparach gorącej nocy. O przysłowiach i przypowieściach, mądrościach ludowych pochodzących z jej starego świata.

Potem pod powiekami pojawił się obraz dwóch dziewczyn, jego dwóch dziewczyn, prawie zapomnianych sióstr w czasie. Towarzystek wzajemnie powiązanych przeznaczeniem. Bliższych niż rodzina. Bliższych niż bracia i siostry. I obraz tej wielkiej niezdarnej góry mięsa – jednostki pomocniczej, Boba. Przed oczami przebiegły mu wspomnienia z całego życia. Bezcenne, a najważniejsze z tego wszystkiego, że wszystkie te wspomnienia były tylko jego. Niczyje inne. Nie była to fikcja stworzona przez jakiegoś technika laboratoryjnego.

„Jego”.

Usłyszał pojękiwanie stojącego obok Rashima i postanowił podzielić się ze swoim wieloletnim przyjacielem, partnerem w zbrodni, przemyśleniem.

– Hej! Hej, Rashimie?

– Grgh... haa...?

– Wiesz, czemu piraci są tak wielcy i przerażający?

Rashim zwrócił na niego wzrok. Oczy miał szeroko rozwarte, skóra zszarzała i zmatowiała jak niebo nad nimi.

– Ja... ja nie... ja...

– Bo taaaaghrrrr. – Liam posłał mu krzywy uśmiech. – Chwytasz?

Rashim zmusił się do mdłego uśmiechu.

Potem, przy chrobocie dźwigni, zapadnia pod ich stopami się rozsunęła.

Spadli.

Rozdział 71

Londyn
rok 1889

– ...obaj zawiśli i skonali na stryczku w Dokach Straceńców w Londynie. Tak jak przyjęło się to przy egzekucji piratów, ich ciała pozostawiono wiszące nad Tamizą podczas odpływu i pozwolono, aby trzy razy oblał je przyływ. – Kiedy Maddy podniosła wzrok na Sal, dostrzegła w kąciku jej oczu łzę. Siedzący za nią Bob i Beki wyglądali bardziej ponuro niż zazwyczaj. – Następnie zwłoki odcięto i poćwiartowano, głowy ścięto i natknięto na piki nad mostem London Bridge...

Maddy zamknęła książkę. Już się naczytała.

– Próbowali... – rzekła Sal – próbowali nas wezwać... Wszystkiemu nadali nazwy, które byłyby dla nas czytelne. – Podniosła wzrok na Maddy. – A my to przegapiliśmy. Spóźniliśmy się. – Sal zacisnęła usta, powstrzymując się od płaczu. – O Boże, biedny, biedny Liam.

– Nie, chrzanić to. Czekaj. To jeszcze nie koniec.

Sal przechyliła głowę.

– Pomyśl tylko! Przechwycimy ich wcześniej, Sal. Wcześniej! Pozostawili po sobie dwie dekady przeszłości. Całe dwie dekady, w dodatku doskonale wiemy, gdzie je spędzili i co zamierzali zrobić!

– Maddy ma słuszność – rzekła Beki. – Liama i Rashima można teraz bardzo łatwo teleportować.

– Widzisz? Nawet Królowa Lodu się ze mną zgadza! – rzekła Maddy z uśmiechem. – Wiem, że to dość ponura historia, ale ostatecznie zdobyliśmy

wspaniałe wiadomości! Mamy wyjściową datę i lokalizację, do których możemy się cofnąć i wyznaczyć optymalne miejsce aktywacji portalu. Teraz należy tylko trochę poszperać, dorwać parę podręczników historii.

Sal skinęła głową i przetarła policzki.

– Faktycznie... teraz rozumiem.

– No, czyli wszystko cacy. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – Znaleźliśmy ich. Wyznamy sygnaturę czasową i zabierzemy stamtąd na długo, zanim zawisną na stryczku!

Sal wciąż miała pochmurną minę.

– Sal? Sądziłam, że cię to ucieszy! – Maddy poczuła lekką irytację. Wiedzieli, jak wszystko się skończy – dzięki ponuremu opisowi egzekucji. Na pewno znajdą protokół rozprawy sporządzony przez urzędników Sądu Admiralicji oraz, zawarte w tych dokumentach, opowieści naocznych świadków z opisem przeróżnych aktów piractwa dokonanych przez Liama i Rashima wraz z datami. To dobry punkt wyjścia. A jeśli ta metoda zawiedzie... wybiorą dowolny moment z dwóch poprzednich dekad, znajdą ustronne miejsce na wyspie i skoczą z powrotem. Nie zapowiada się to na ciężkie zadanie: wrócić, rozejrzeć się, popytać kogo trzeba i zdobyć ogólne wskazówki, jak dojść do miejsca, gdzie rezydencje pobudowali Liam i Rashim. Choć najbardziej przydałaby się im naoczna relacja świadków. Dotycząca wydarzeń, które rozegrały się stosunkowo wcześniej podczas ich długiego pobytu w przeszłości; w końcu trochę dziwnie byłoby odzyskać Liama w średnim wieku. Powinna tylko poszukać przekazów dotyczących konkretnego czasu i miejsca.

– Sprowadzimy ich z powrotem, Sal. Jeju... teraz to już kaszka z mleczkiem! Sama zobaczysz. – Podniosła wzrok na dwie górujące jednostki pomocnicze. – Wrócą akurat na herbatę.

– Wiem. – Sal pokiwała głową. – Wiem, że ich odzyskamy... tylko...

– Co?

– Ja tylko... nie wiem, myśl, że... to – wskazała głową zamknięty podręcznik do historii leżący na stole przed nim – to okropieństwo...

naprawdę spotkało Liama i Rashima.

Maddy podążyła za jej wzrokiem i nagle uczucie ekscytacji, radości, szczęścia wydało się niestosowne, nie na miejscu. Nie wiedziała, jak funkcjonuje czas, czy jest linią, czy pętlą, czy przyszłość i przeszłość to dwa równoległe biegnące tory; czy istnieje nieskończona liczba uniwersów, w których realizują się wszystkie możliwe wydarzenia, wszystkie osie czasu. Uświadomiła sobie jednak, patrząc na podręcznik historii z widniejącym na okładce dumnym napisem *Sławne zwycięstwa militarne*, że gdzieś, w pewnym wymiarze... obaj Liam i Rashim doświadczyli śmierci przez powieszenie.

Ta myśl ją otrzeźwiła, złagodziła więc entuzjizm z „Oł-je-zaliczyliśmy-tę-bazę” do odrobinę wstrzemięźliwszego tonu.

Przytuliła Sal.

– Znajdźmy ich i zabierzmy do domu. Hmm?

Rozdział 72

Londyn
rok 1889

> Portal gotowy do aktywacji za minutę, Maddy.

– Dziękuję, Bob.

Próbowali tego już kilka godzin temu, lecz zbyt wczesne uwolnienie ładunku mocy w wehikule translokacyjnym spowodowało stopienie się miedzianego przewodu, w efekcie cała procedura zawiodła, a w pomieszczeniu na moment zgasły światła. Całe popołudnie zajęło jej i Bobowi zdiagnozowanie defektu i zastąpienie przewodu z epoki wiktoriańskiej sporym kawałkiem kabla elektrycznego, który zabrali z dwa tysiące pierwszego roku.

Czas spróbować ponownie.

Odwróciwszy się, spojrzała na kwadraty wyrysowane w centralnym miejscu lochu. Kulisty portal powrotny – oby tym razem się udało – pojawił się tam kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą.

Dzięki Beki i Sal, które przez ostatnie kilka dni przekopywały się przez stertę książek w bibliotece, zdołali wyznaczyć idealną sygnaturę czasową i idealną lokalizację czasoprzestrzenną okna. Zgodnie z oczekiwaniami Maddy rzeczywiście znaleźli obszernie zapiski poświęcone procesowi „okrytych złą sławą pirackich królów Pandory”. Proces przyciągnął uwagę publiki i zyskał wielką popularność wśród londyńczyków. Znalazła informacje na jego temat w dzienniku Samuela Pepysa, który wykupił bilety, aby uczestniczyć w jednej z rozpraw.

Boże, poświęcono im nawet książkę. Powieść pod tytułem *Piracki tyran*

napisał sam Charles Dickens. Wyszła też sztuka autorstwa Johna Drydena – *Pirat i właściciel niewolników*.

Ale to bardzo precyzyjne zapiski lorda Tomasza Modyforda pozwoliły Maddy wyznaczyć najdokładniejszy czas i miejsce. Najbardziej niezawodne okno nadziei.

> **Trzydzieści sekund.**

Racja, nie było to idealne miejsce na ekstrakcję: za dużo świadków. Ale połowa z nich to piraci, wyznawcy niezliczonych przesądnych zabobonów, ludzie, którym nie należy wierzyć w żadne słowo. Kolejnymi świadkami byli sam Modyford i wielu żołnierzy. Być może okno wywoła inną, pomniejszą kontaminację. Może zaistnieć potrzeba powrotu i wysprzątania po sobie. Ale może wcale nie będzie to konieczne.

„Ostatecznie historii przypisany jest jeden kurs, którym ta chce podążać”.

Ale, wedle relacji Modyforda, podczas procesu, który relacjonował, panowało zamieszanie: wokół było dużo dymu, krzyków, walki, harmidru... wymiana ognia pomiędzy zwartymi szeregami żołnierzy. Wybuchł taki chaos, że dziwne opowieści na temat zniknięcia osoby w środku walki można było wytłumaczyć jako pokłosie szoku powypadkowego.

> **Dwadzieścia sekund, Maddy.**

Lecz bez względu na to, czy po uratowaniu przyjaciół naprawa będzie konieczna, lokalizacja była zbyt dobra, żeby ją przegapić.

– Odsuńcie się – powiedziała niepotrzebnie. Szum wehikułu translokacyjnego narastał do postaci zwyczajowego *crescendo*, momentu wyzwolenia energii, wypuszczanej jak cięciwa z łuku łucznika. Lampka elektryczna przygasła, ekrany komputerów zamigotały. Prąd płynął w wehikule czasu.

> **Dziesięć sekund... dziewięć... osiem...**

Uśmiechnęła się do myśli, że Liam i Rashim zostali pierwowzorami bohaterów powieści Dickensa. Chciałaby ją przeczytać przed sprowadzeniem ich do domu albo znaleźć sposób, żeby uchronić kopię przed korygującym podmuchem wynikłej fali czasu. To dopiero byłaby pamiątka.

> **Pięć... cztery... trzy...**

Czuła, jak w pomieszczeniu kumuluje się ładunek elektrostatyczny, jak delikatnie unosi jej włosy, wywołuje gęsią skórkę na ramionach. Silny pęd przesuniętego powietrza i nagle przed ich oczami wytrysnął kłębiący się sferyczny wzór, wyglądający jak olejny obraz Van Gogha pejzaż błękitnego nieba i błękitnego oceanu, drewnianych desek i wykoślawionych postaci w jaskrawoczerwonych strojach.

– Okej, Bob... przynieś mi ich.

PORT ROYAL, JAMAJKA ROK 1667

Nagły, niespodziewany podmuch wiatru śmignął po pokładzie i ożywił zamarłe żagle. Płótno trzaskało i łopotało. Wystarczyło, aby zakłócić idealnie wyważony impas. Wypalił muszkiet. To z kolei zachęciło wszystkie spocone palce spoczywające na cynglach do spazmatycznego drgnięcia.

Śródokręcie natychmiast wypełniły pióropusze prochowego dymu w odpowiedzi na kakofonię wywołaną przez tuzin huczającej i łoskoczącej broni. Liam poczuł, jak coś rozgrzanego musnęło mu ucho. Instynktownie padł na ziemię, obawiając się kolejnego strzału wymierzonego w jego kierunku. Kiedy huk ostrzału zelżał, usłyszał zderzenie i dzwonienie ostrzy, szczęk broni w kotłującej się mgle.

Wyciągnął kordelas zza pasa i obrócił się, by stawić czoła postaci, która szybko wyłaniała się z mgły. Uniósł rękę, szykując się do zadania uprzedzającego ciosu w brzuch. Zajmując pozycję, widział, jak postać przybliżyła się, robi coraz wyraźniejsza, jak rośnie.

Zza ostatniego kosmyka dymu wyłoniła się granitowa twarz Boba, klon przypominał monolit z Wyspy Wielkanocnej, wznoszący swe oblicze ponad niepokojącą morską mgłę. Liam dostrzegł, że pochwycił już Rashima. Niósł go za kołnierz. Rashim instynktownie się szarpał i wrywał: najwidoczniej nie widział, czyje wielkie jak dźwig łapsko chwyciło go od tyłu. Bob wyciągnął drugą ze swoich gigantycznych dłoni w kierunku Liama.

– Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć, Liamie.

LONDYN ROK 1889

Garść sekund i wieczność wymiaru chaosu później trójka wytoczyła się z mgły w ciemność. Miotając przekleństwa, wylądowali na zimnej, twardej podłodze lochu w płataninie kończyn.

Kiedy Liam leżał na plecach, wpatrując się w łukowaty sufit mokrych cegieł, dysząc, próbując ogarnąć umysłem zamęt ostatnich dziesięciu sekund życia, usłyszał czyjeś piskliwe i irytujące skrzeczenie radości.

– Skippa w domu! Skippa w domu!

Potem w polu widzenia pojawiły się, zawieszony nad jego głową, dwie znajome twarze. Twarze, których mógł już nigdy nie zobaczyć, jak się obawiał.

– U was na dole wszystko w porządku, chłopcy? – spytała Maddy. – Nawet nie myślcie o wstawaniu.

Ale Sal nie myślała czekać. Opadła na kolana i ucałowała go w policzek.

– Witaj w domu, Liamie.

Rozdział 73

Londyn
rok 1889

Stojąc na Blackfriars Bridge, Liam obserwował barki sunące po Tamizie. Patrzył, jak podpływają, przygotowując się do załadunku i rozładunku: balet przemysłu i siły roboczej w tętniącym, zadymionym sercu Londynu.

Dziesięć minut po ich powrocie do lochu nad miastem przeszła fala czasu. Fenomen zdawał się prawie przypadkowy. Czasem fala nadpływała po wielu godzinach, innym razem trzeba było poczekać kilka dni; w tym przypadku, z niewiadomego powodu, wystarczyło kilka minut. Mała fala, a nie ściana skłębionego mroku na niebie, błysk, który zmieniał jedynie słowa zapisane na stronach niezliczonej ilości książek w niezliczonej ilości bibliotek całego świata.

Maddy powiedziała, że to wielka szkoda, iż fala nadleciała tak szybko. Chciała bowiem pokazać jemu i Rashimowi dwa podręczniki historii, które zwędziła z biblioteki. Powiedziała, że niezamierzenie długi pobyt w przeszłości okazał się pełen przygód. On i Rashim zostali niesławnymi bohaterami siedemnastowiecznej historii Anglii.

Opowiadała, że obaj przeżyli w tamtych czasach dwie dekady. I że zdążyli przez ten okres stworzyć załóżek państwa na wyspie Hispaniola. Urosli też do rangi problemu dla Anglii i Hiszpanii, na tyle poważnego, że państwa te wysłały na drugi kraniec Atlantyku flotę statków wraz z całą armią, żeby się z nimi rozprawić.

Maddy opowiedziała też, jaki los ich spotkał; że on i Rashim zostali powieszoni niczym pospoliccy przestępcy w miejscu oddalonym o rzut

kamieniem od punktu, w którym wszystko się zaczęło. Mostu London Bridge.

Tym razem Liam spędził w przeszłości siedem miesięcy, dłużej niż podczas przygody z Kramerem. Dłużej niż podczas przygody w czasach króla Jana. Siedem miesięcy piratowania. Fascynowało go, że gdyby Maddy nie natknęła się na relację Modyforda opisującą ich ucieczkę podczas próby aresztowania za akt piractwa, wiódłby zupełnie inne życie.

Zastanawiał się, czy w tym alternatywnym życiu, podczas dwudziestu lat panowania nad pirackim królestwem, kogoś pokochał. Dziwna myśl. Że mógł mieć żonę, dzieci i to wszystko.

„Jezu... po dwudziestu latach miałbym czterdziestkę na karku”.

Starość. Prawie.

„Rashimowi prawie stuknęłyby pięćdziesiątka!”

Nie wiedział, co myśleć o powrocie. Cieszył się z niego? I tak, i nie. Na pewno nie powie Maddy, że tęsknił za nią i za Sal, że wiele razy usychał z tęsknoty, śnił mu się powrót do przytulnego, ciemnego lochu. Tylko by się z niego śmiały. Kilka ładnych razy myślał, że utknął w XVII wieku na dobre. A zatem tak... cieszyło go, że znowu jest z dziewczynami. Jednostkami pomocniczymi. Że wrócił do domu, do swojej dziwnej, przedziwnej rodziny.

Kilkakrotnie zapragnął jednak powrotu na morze. Do słodkich chwil, które ciężko było wyjaśnić, opisać komuś, kto ich nie doświadczył. Do chwil, gdy oglądał ostatnie promienie słońca niknące za płaskim jak stół horyzontem. Do odgłosu żagli, leniwie uderzających o solidny bezanmaszt w środku nocy. Do kojącego skrzypienia i jęku kadłuba statku. Smolistego zapachu uszczelnionego drewna wymieszanego z wszechobecnym zapachem soli. Do cuchnącego jak zgniłe jaja dymu strzelniczego i fetoru przemoczonej liny konopnej. Kołysania „Pandory”, jej powolnego wznoszenia się, odbicia trzy kwarty pod wiatr, gdy żywo pruć białe grzywy, zostawiając za sobą ujarzmione koryto piany.

„Tak, dobra to była łajba, »Pandora«. Doskonały statek, nie inaczej”.

Ostatniej nocy w lochu, kiedy przyjaciół zmorzył już sen, Liam leżał na

zrobionym z materaców i skrzyń pakowych łożku, przykładając do ucha dłoń i wsłuchując się w odległy huk głębin. Wiedział, że słyszy tylko odgłos krwi wzbierającej w organizmie, ale przysłuchując się tej rytmicznej kołysance, niemal czuł łagodne wznoszenie się i opadanie statku na morzu. Fantazjował, że ciemność lochu to ciemność pokładu działowego. Wyobrażał też sobie, że widzi swoją załogę, chłopców, zwiniętych w hamakach, wiercących się, kręcących, pierdzących przez sen.

Zastanawiał się, co się z nimi wszystkimi stało.

Miał nadzieję, że nie spotkał ich ten sam los, który pewnego dnia miał stać się udziałem jego i Rashima.

„Mam nadzieję, że te dobre chłopaki – młody Will, Stary Tom, John Bucik, Działko, Pasquinel, Kwami – mam wielką nadzieję, że wszyscy zdołali uciec i odnaleźli własną drogę, dokądkolwiek miałyby ich zaprowadzić”.

Rozdział 74

gdzieś przy wybrzeżach Florydy
rok 1687

Nad olinowaniem rozciągało się nieskazitelnie błękitne niebo; wystawił ku niemu twarz, rozkoszując się ciepłem słońca. Na kilka sekund przymknął powieki i pozwolił zmysłom chłonąć chwilę: porywy wiatru smagały policzki, trzeszczący statek ciął szachownicę morza, załoga krzątała się po pokładzie. Z kambuza wypływał dym drzewny, a z jego fajki dym tytoniowy.

Idealny ranek.

Przypomniał sobie mądrą radę Irlandczyka, który dawno temu uratował mu życie:

„Pamiętaj, trzeba chwycić piękne chwile, chłopcze. Przytulaj je mocno, jak kochankę, hołub je”.

Upłynęło już tyle czasu, że ledwo pamiętał, jak tamten człowiek wyglądał. Szczupły, ciemnowłosy, z tym dziwnym kosmykiem szarych włosów i skromnym puszkiem młodzieńczego zarostu. Przez pewien czas był dla niego jak starszy brat, nie, ojciec prawie. Boże, jaka szkoda, że nie potrafi przypomnieć sobie jego nazwiska.

Pamiętał tylko imię. Ale to wszystko. Tym samym imieniem ochrzcił swojego synka, który czekał na niego w domu, w Nassau, na wyspie New Providence.

Tyle już upłynęło czasu, a wspomnienia potrafią płatać figle. Czy to naprawdę się wydarzyło? Czy po prostu wypadł za burtę podczas tej walki? On i ten smaglejszy mężczyzna, kapitan Anwar? Przez tyle lat to go zastanawiało... że mogli ich ot tak zostawić. Nagle. Zniknąć wśród dymu,

a przecież tak było.

Nie miał im tego za złe. Jeśli uciekli, tym lepiej dla nich. Nie wiedzieć czemu, był przekonany, że właśnie to się wydarzyło. Że uciekli, że nie zostali zastrzeleni, zabici. Że nie wypadli martwi przez burzę. Uciekli, a on, co gorsza, podskórnie przeczuwał, że obaj wciąż gdzieś jeszcze żyją.

Uśmiechnął się.

„Gdziekolwiek jesteś, Liamie... pomyślnych wiatrów”.

Wtedy dobiegł krzyk z bocianiego gniazda. Pierwszy oficer, Jacques Pasquinel, wbiegł po drabinie na pokład rufowy.

– Szyprze! Jankeski statek kupiecki na bakburcie!

Kapitan William Hope wyszczerzył zęby.

– No i na co czekamy? Dorwać ciulów!

Epilog

London Bridge, Londyn

rok 1889

Sal też zmusiła się do spaceru. Choć na chwilę chciała opuścić ponure kazamaty pod mostem. Obserwowała te same barki przyplływające, aby rozładować ładunek i napęlić otwarte ładownie workami koksu, tobołkami skór, żeliwem. Surowce te spławiano w dół rzeki do fabryk przemysłu ciężkiego, w których chciwie przerabiano je na artykuły masowe, aby następnie rozprzedać je na całej długości imperium kolonialnego. Sal obserwowała to wszystko z mostu London Bridge. Gdyby oboje wiedzieli, gdzie stoi drugie, może zdołaliby dostrzec się nawzajem z odległości niewiele większej niż pół kilometra i przyjaźnie do siebie pomachać.

Spojrzała w dół, na zimną, szarą rzekę, zanieczyszczoną chemikaliami z garbarni, garncarni, fabryk tekstylnych. Była jeszcze mniej zachęcająca niż East River.

Wszyscy wrócili, byli zdrowi i bezpieczni, a historia odzyskała dawny kształt sprzed wędrówki Liama i Rashima. Rzeczywistość wyglądała tak samo jak zawsze. Choć trochę się zmieniło. Zrozumiała, że kocha Liama. Poczła taką ulgę, gdy wrócił do domu bezpieczny, zdrowy. Maddy też kochała. I tak, polubiła Rashima i jednostki pomocnicze. Nawet tego głupiego robota laboratoryjnego.

Ale im więcej nad tym myślała, im częściej się nad tym zastanawiała, tym bardziej martwiła się o pewną dziewczynkę, która urodzi się dopiero za sto dwadzieścia trzy lata. Saleenę Vikram. Prawdziwą dziewczynkę, którą czeka

długie życie. Sal była tego pewna.

Tymczasem ona przebywała tutaj, prawie wiek i ćwierć przed czasami Saleeny Vikram, z maszyną zdolną swobodnie wykoleić kruchą sekwencję wydarzeń, która miała doprowadzić do spotkania młodego Sanjaya Vikram z Abeer.

„Nie pozwolisz na to” – dopowiedział jej dręczący głos.

Skinęła głową. Zgadzała się z tym.

– Obiecuję ci, Saleeno Vikram, nigdy im na to nie pozwolę.

Odwiedź witrynę
www.zielonasowa.pl/akcje/time-riders
i zostań *Jeźdźcem w Czasie*

HISTORIA, JAKĄ ZNAMY

1666 rok

Jeźdźcy w Czasie wyruszają w przeszłość, by na własne oczy obejrzeć wielki pożar Londynu...

PRZESUNIĘTA HISTORIA

1666 rok

W chaosie pożaru Liama i Rashima porywa banda piratów.

1667 rok

Liam i Rashim zostają siłą wcieleni do załogi korsarzy, ale doprowadzają do buntu i zamieniają się w skutecznych kapitanów pirackiego okrętu.

1687 rok

Liam i Rashim zakładają liberalną Republikę Pandory, w której zakazany jest handel niewolnikami.

1889 rok

Nową bazą operacyjną Jeźdźców
w Czasie jest wiktoriański Londyn.

TERAŻNIEJSZOŚĆ:

Świat, jaki znamy dzisiaj.

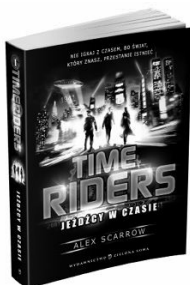
1889 rok

Zjednoczone siły Hiszpanii i Anglii
podbijają piracką Republikę
Pandory.

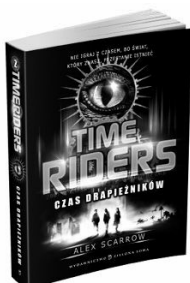
TERAŻNIEJSZOŚĆ:

Świat, w którym Republika
Pandory widnieje jako przypis
w podręcznikach historii.

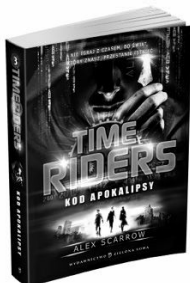
Zostań Jeźdźcem w Czasie!



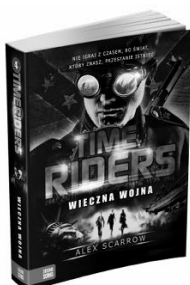
W pierwszym tomie przeniesiesz się w czasy po II wojnie światowej do Stanów Zjednoczonych Ameryki opanowanych przez nazistów.



W drugim tomie odkryjesz, jak mógł wyglądać świat sześćdziesiąt pięć milionów lat przed naszą erą.

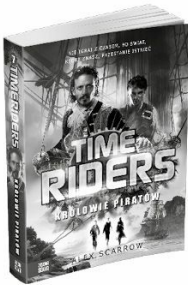
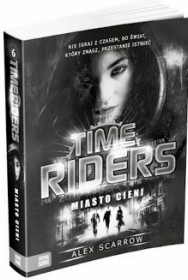
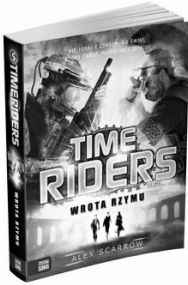


W trzecim tomie przekonasz się, jak żyli ludzie w średniowiecznej Anglii i czy Robin Hood istniał naprawdę.



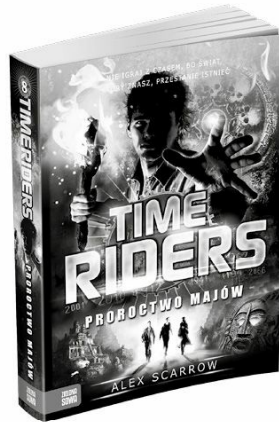
W czwartym tomie przeniesiesz się do świata, w którym wojna secesyjna z XIX w. nigdy się nie zakończyła.

W piątym tomie zobaczysz, jak wyglądało starożytne Cesarstwo Rzymskie.



W szóstym tomie przeniesiesz się do wiktoriańskiego Londynu i poznasz prawdziwą tożsamość Kuby Rozpruwacza.

W siódmym tomie zobaczysz słynny pożar Londynu w 1666 roku i przekonasz się, jak wyglądało życie piratów w XVII wieku.



Już wkrótce tom ósmy!
[Proroctwo Majów](#)

Kiedy Maddy udaje się w końcu odblokować fragmenty zakodowanej w umyśle Becky wiadomości, prawdziwy cel istnienia Jeźdźców w Czasie zaczyna układać się w logiczną całość.

Kiedy drużyna wyrusza w kolejną podróż w czasie, aby połączyć wskazówki, natrafia na starożytny lud Majów i okazuje się, że odnaleziony relikwiarz łączy w wyjątkowy sposób przeszłość z przyszłością.

Ale nie wszyscy w drużynie radzą sobie z ciężarem tego odkrycia. Jeden z Jeźdźców w Czasie grozi pozostałym, że pogrąży ich wszystkich, jeśli dokonają swojej zemsty...

Wejdź na stronę

www.zielonasowa.pl/akcje/time-riders